Dr Wiktor Czermak
Prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego

Studya Historyczne

Na dworze Władysława IV
Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616—1636)
Wojna smoleńska z roku 1633—1634 w świetle nowych źródeł
Polska wobec wojny 30-letniej
Kilka słów o pamiętnikach polskich XVII wieku
Miłostki królewskie
Przyczynek do biogr. Zimorówicza
Przyczynki do dziejów XVII wieku z archiwów prywatnych

W Krakowie
Spółka Wydawnicza Polska
1901

Nowsze wydawnictwa

SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ

w Krakowie.

Antoniewicz Karol Ks. **Poezye,** 2 tomy. Wydał ksiądz Jan Badeni. Wydanie wytworne z licznemi winietami. Kraków 1898. złr. **2**·—, w pięknej oprawie złr. **3**·—.

Balcer Oswald Dr, prof. Uniw. lwowskiego. **Genealogia Piastów.** Kraków 1896. 4-o, str. 574, złr. **10**·—.

Bałucki M. **Poezye,** wydanie bardzo ozdobne, miniaturowe. Kraków 1887, brosz. złr. 1·20 oprawne bogato à l'antique złr. **2**·—.

— **Mój pierwszy występ literacki,** zbiór nowel, Kraków 1898, wydanie drugie, złr. **1·20**

— (Treść: Jaką miarką mierzysz, taką ci oddadzą. — Wiedźma. — O zagon ziemi. — Złodziejska ambicya. — Dla szczęścia dziecka. — Przez tydzień aktorem. — „Dla moich starych". — Mój pierwszy występ literacki).

— **Pan burmistrz z Pipidówki,** powieść z życia autonomicznego Galicyi i **Dwie wizyty jego ekscelencyi,** szkic wiernie zdjęty z natury, Kraków 1898, wydanie drugie, złr. **1·20.**

Bilczewski ks., Arcybiskup lw. **Eucharystya** w świetle najdawniejszych pomników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych. Kraków 1898, Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z 47 rycinami i tablicą w heliograwurze. Dzieło odznaczone nagrodą Akademii Umiejętności. — Cena złr. **5**·—, w starannej oprawie złr. **6**·—. Pierwsza w tym rodzaju praca. nietylko w literaturze naszej, lecz i ogólno-europejskiej, dokonana na podstawie kilkuletnich badań w podziemiach katakumb rzymskich.

Brzozowski Fr. Korab. **Przysłowia polskie.** Kraków 1896, w 4-ce, złr. **1·30** Obszerny ten zbiór uzupełnia lukę w literaturze naszej.

Chołoniewski ks. Stanisław. **Kazania niedzielne i świętalne,** 2 tomy, wydał ks. Jan Badeni. Kraków 1888, złr. **4**·—.

Danielewicz Edward Dr. **Alkohol i zgubny jego wpływ na zdrowie i życie ludzkie.** Wydanie trzecie. Kraków 1897. Str. 104, złr. —·**80.**

Finkel Ludwik Dr. **Bibliografia historyi polskiej.** Cz. II, zeszyt I—III. Kraków 1895, w d. 8-ce, po złr. **1 80.** Tegoż dzieła obszerny tom I-szy złr. **6**·—. Żmudna ta praca jest drugą częścią dzieła, którego początkowy tom opuścił prasy drukarskie w r. 1891. Podczas gdy część pierwsza na 66 arkuszach objęła prócz wiadomości wstępnych (archiwa i biblioteki), także źródła, to jest dokumenty i kroniki, to te zeszyty podają bibliografię opracowań, dotyczących **dziejów, geografii, etnografii, wiary, kultury i literatury.**

Fogazzaro Antonio. **Dawny światek** (Piccolo mondo antico). 1898, str. 418, złr. **2**·—. Autoryzowane tłómaczenie rozgłośnej powieści znakomitego pisarza włoskiego, dokonane wykwintnem piórem pani K. M. —

Gawalewicz Maryan. **Niczyja.** Powieść. Kraków 1897, w 8-ce, str. 208, złr. **1·80.**

— **Majster do wszystkiego.** zbiór nowel, Kraków 1898, wydanie drugie, złr. **1·20.**

— (Treść: Majster do wszystkiego. — Y. Zyg. — Do Mimi. — Grajek z „Pod Kotwicy". — Filiżanka. — Ostatnia schadzka).

Gliński Henryk. **Mamusie.** Studya niedyskretne. Kraków 1897, str. 254, złr. **2**·—. Treść: Mamusie. — Czy warto? — Kukułka. — Pszczółka robocza. — Gęś. — Z hrabiów Modro Stopp Ciciświńska. — Promyk słońca. — Lalka. — Malgré elle.

Golian Zygmunt ks. **Kazania niedzielne i świąteczne,** wydane staraniem ks. Bartkiewicza. — Kraków 1888 złr. **2**·—.

STUDYA HISTORYCZNE.

Dr WIKTOR CZERMAK
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO.

STUDYA HISTORYCZNE

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1901.

W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

Na dworze Władysława IV.

I.

Władysław IV i jego rodzina [1]).

W pośród naszych królów elekcyjnych, o trzech tylko właściwie powiedzieć można, że jest w ich postaciach coś, co na pierwszy rzut oka, czy na pierwsze wspomnienie pociąga, ujmuje i usposabia dla nich sympatycznie, a bliższe poznanie się z nimi pierwszego tego wrażenia nie rozprasza. Mamy na myśli Stefana Batorego, Władysława IV i Sobieskiego.

Nie potrzeba tłómaczyć, dlaczegośmy z tej grupy wykluczyli pierwszego, Henryka: cudzoziemiec, król wiarało-

---

[1]) W toku wieloletnich studyów nad źródłami historycznemi z XVII wieku, zebrałem sporo wzmianek współczesnych, dotyczących spraw oświaty, kultury i t. d. za czasów Wazów — świadectw, w przeważnej części dotąd przez nikogo nie zużytkowanych. Wybrałem na razie z pośród nich te szczegóły, które rzucają światło na życie dworskie za Władysława: na ich tle właśnie został osnuty niniejszy artykuł, który niema pretensyi do nazwy wyczerpującego studyum, lecz może posiadać co najwięcej wartość pierwszego rzutu, fragmentarycznego przyczynku, i jakby przygotowawczego szkicu, przydatnego głównie jako materyał do lepszego wykończenia przyszłego obrazu naszej kultury z XVII wieku.

Ponieważ Władysław IV był duszą swego dworu i wycisnął na nim głębokie piętno swej indywidualności, przeto wydało mi się potrzebnem rozpocząć od krótkiej charakterystyki jego osoby i przedstawienia jego najbliższego otoczenia. Temu przedmiotowi właśnie poświęcam pierwszy rozdział artykułu.

mny, nie miał on w sobie nic takiego, coby mogło otworzyć serca nowym poddanym — wyjąwszy może takich poddanych, którym łatwo było otworzyć serce za pomocą złota i kielicha wina. Zygmunt III, zacniejszy, więcej do naszej ziemi przywiązany, poważny, roztropny i pod niejednym względem około dobra Rzeczypospolitej rzetelnie zasłużony, odstręczał współczesnych sztywnością postawy i ruchów, chłodnem obejściem, jakiemś dumnem zamknięciem się w sobie, małomownością, upodobaniem w języku, stroju i w zwyczajach cudzoziemskich, i przenoszeniem towarzystwa obcego nad polskie. I nam się jeszcze dzisiaj wydaje, że na tronie Jagiellonów było mu jakoś nieswojsko: czuje się dlań szacunek, czasem nawet i podziw — ale ukochać go trudno. Trudno ukochać i Jana Kazimierza, co prawda, dla innych przyczyn; zbyt wiele mamy mu do zarzucenia, a zbyt mało umiemy powiedzieć na jego uniewinnienie, abyśmy się wobec niego zdołali zdobyć na uczucia żywsze i serdeczniejsze od współczucia i pobłażania... Tak samo ma się rzecz i z Wiśniowieckim. Gorzej jeszcze z Augustem II: tego nie sposób nawet szanować, nie mówiąc już o miłości i sympatyi; trzeci jest nam co najwięcej obojętnym. Poniatowskiego można cenić, bronić, usprawiedliwiać, można o zaletach jego umysłu i dobrych chęciach mówić z uznaniem, a rozumnym zabiegom przyklasnąć; ale niepodobna odłączyć od jego postaci tych wszystkich cieniów, wobec których widoku milkną życzliwe uczucia, a bierze górę smutek i żal niezgłębiony...

Zostają ci trzej, których nazwiska przed innemi wymieniliśmy na czele: trzej królowie z wyboru, bynajmniej nie równi sobie, ani nawet do siebie podobni, a w których postaciach jest więcej stron świetlistych, niżli ciemnych, więcej cech dodatnich, niż ujemnych, więcej tego nieokreślonego wdzięku duszy, co chwyta za serce, niż właściwości, zdolnych wywołać ubolewanie lub niechęć. Nie są oni sobie równi: Stefan Batory łączył w swej osobie więcej świetnych zdolności, znamionujących dobrego wodza i statystę, niż

dwaj tamci; ale za to mniej miał od nich przymiotów towarzyskich, mniej ciepła i serdeczności w pożyciu z ludźmi, mniej ognia i zapału w tem, co czynił, lub o czem rozmyślał. A nadewszystko brak nam w nim tego, co stanowiło i stanowi w Sobieskim i nawet we Władysławie IV główną siłę przyciągającą: ducha narodowego. Trudno o tem zapomnieć, że Batory był z pochodzenia Węgrem, że języka poddanych swego królestwa nie znał, lecz przemawiał do nich martwym językiem klasycznym. Sobieski i Władysław byli natomiast Polakami z krwi i kości. Władysław IV także — chociaż przez znaczną część życia nosił strój cudzoziemski, bo wiadomo, że nosił go tylko jako dogodniejszy dla cierpiącego częste bole reumatyczne człowieka. Władysław IV był najbardziej polskim wśród Wazów: urodził się w Rzeczypospolitej, na ziemi mazowieckiej wychował się i kraj rodzinny kochał całą duszą: nie czuł się nigdy tak obcym na polskiem królestwie, jak Zygmunt III, i nie przyszła mu też nigdy do głowy myśl, którą Jan Kazimierz pieścił w sercu przez lat kilkanaście: aby porzucić Rzeczpospolitą i życia dokonać na obczyźnie, zdala od swoich. Jako żywe uosobienie wszystkich właściwości narodowych, zawsze najbliższym sercu naszemu będzie Sobieski: przerastał on Władysława IV także zacnością charakteru, płomienną miłością ojczyzny i tym wyższym nastrojem, który sprawiał, że kładł zawsze całą duszę w to, co czynił, i gotów był bez namysłu głowę położyć tam, gdzie godziło się ją narazić dla publicznej sprawy. Szlachcic z urodzenia, pozostał on typowym szlachcicem i na tronie: zostało w nim też może za dużo szlachcica z jego wadami i upodobaniami. Nie pragnął korony, i korona ta w istocie nie przystawała do jego dobrodusznego oblicza: bardziej do twarzy było mu z szyszakiem na głowie, albo z misiurką szlachecką.

Inaczej Władysław. Ten zdawał się stworzonym na króla. Miał w swojej postawie, w ruchach, w sposobie obejścia się z ludźmi, a nadewszystko w myślach i słowach coś

z naturalnej, wrodzonej „grandezzy“ monarszej: i można powiedzieć, że na tronie polskim czuł się skrępowanym nie dlatego, iżby królewskość nie odpowiadała jego usposobieniu, lecz raczej dla tej przyczyny, iż majestat tego tronu nie wystarczał mu: że było mu na nim za ciasno, że marzył o świetniejszym, bardziej przestronnym i wyniosłym. Jemu potrzeba było władzy swobodniejszej i bardziej otwartego pola do działania: na tronie Francyi znalazłby się pewnie jak na najwłaściwszem dla siebie miejscu, i kto wie, czy nie urósłby tam do wielkości Henryka IV, kiedy u nas okoliczności skazywały go nieledwie na bierną więcej rolę takiego naprzykład Ludwika XVI.

Władysław IV należy do tych nielicznych postaci dziejowych, które na bliższem poznaniu nic nie tracą. Owszem, im lepiej się poznaje, im głębiej się wgląda w treść jego myśli i czynów, tem większego nabiera się dlań szacunku. Opracowania, ogłoszone w ostatnich czasach i wykrywane codziennie nowe materyały do dziejów jego rządów w niczem nie umniejszyły jego dobrej sławy, owszem, do tego wieńca, którym go otoczył ćwierć wieku temu Szajnocha, przydały nowych listków. Pociąga nas ku niemu zwłaszcza świadomość, że jako król dorastał do swoich zadań, był pełnym dobrej woli, zdolności i energii — a dziwnie się mu nie wiodło, nie szczęściło... Pojmował on swoje historyczne posłannictwo tak szczytnie, jak żaden może z królów elekcyjnych, prócz Batorego: a żadnego z innych, prócz Poniatowskiego, twarda rzeczywistość nie strąciła nigdy ze szczytów wymarzonych pragnień i dążeń tak nisko, jak jego nieraz strącała. Zdawało się, jakby miał z urodzenia nieszczęśliwą rękę, bo wszystko mu się w ręce psuło i rozpadało. Ileż to śmiałych, rozumnych projektów, ileż to przedsięwzięć, podjętych przezeń z zapałem, podtrzymywanych długo z podziwienia godną wytrwałością, chybiło ostatecznie, nie z jego winy, celu: ileż dzieł, rozpoczętych dobrze i przez pół dokonanych, runęło i poszło na marne! W świetle dziejów

współczesnych, których król ten był nietylko sprawcą, ale i ofiarą, nabiera postać jego jakiegoś posępnego, tragicznego nieledwie kolorytu; ci, co go znali bliżej, zapewniają, że w istocie na dnie jego duszy była melancholia, ta melancholia wyższej miary, to jest smutek dusz wybranych, który się rodzi z bolesnego poczucia, że się nie było zrozumianym, że się nie znalazło dla swych górnych uczuć i myśli odgłosu i poparcia w otoczeniu.

Już sama powierzchowność króla, znana z kilku dobrych portretów i rycin, robi sympatyczne wrażenie. Kobierzycki zapewnia, że w młodości był uderzająco pięknym [1]; później, wzrastająca coraz bardziej otyłość popsuła harmonię kształtów. Jeszcze w roku 1636 podziwiał nuncyusz Visconti w czterdziestoletnim już mężczyźnie „piękny skład ciała“; ale dodawał zarazem, że „teraz, przyszedłszy do dojrzałego wieku, nabiera zbytecznej tuszy, przez co nikną owe wdzięki, które dawniej były jego ozdobą i ściągały na niego oczy, i ujmowały mu serca“ [2]. Urok jego osoby polegał nie na samej tylko pięknej powierzchowności, lecz także, i to głównie, na zaletach usposobienia i charakteru. Mimo otyłości, był żywego temperamentu; skłonny do wesołości, rozmowny, towarzyski, lubiał widzieć dokoła siebie twarze rozpogodzone, nie znosił, aby ktokolwiek odchodził odeń z żalem w sercu. „Posiada w wysokim stopniu“ — są słowa wspomnianego już wyżej nuncyusza [3]) — „nie wiem, czy sztukę zadziwiającą, czy dar przyrodzony jednania sobie umysłów. Jest tak wymowny, iż zdaje się, że mu płyną z ust słowa, jak ogniwa złotego łańcucha owego Herkulesa dawnych Gallów, któremi krępuje uwagę słuchaczy. Ci nawet, co go znają, nie mogą uniknąć sideł tej czarującej wymowy; ci, co go zrazu ze wstrętem, lub uprzedzeniem słuchają, odchodzą ujęci i prze-

[1]) *Kobierzycki:* „Historia Vladislai Principis“, str. 26—27.

[2]) Relacye nunc. Apost., tom II, str. 189—190.

[3]) Relacye nunc. Apost., tom II, str. 190.

konani; do czego łączy jeszcze szczególniejszy sposób karmienia nadzieją tych, którzy nigdy nie pożywali owocu jego szczodrobliwości". Nie miał w sobie nic ze sztywności i wyłączności ojca: przeciwnie, robiono mu nawet zarzut z tego, że nieprzebierał w towarzystwie, poufalił się łatwo z ludźmi niższego stanu, i chętnie zaglądał nawet do niechlujnych chat wieśniaków [1]). W tej chęci zjednywania serc, zobowiązywania dla siebie ludzi, było zapewne źródło nadzwyczajnej szczodrobliwości, o której wszyscy współcześni świadkowie mówią z naciskiem, jedni jako o zalecie, drudzy jako o głównej wadzie króla. W istocie, nie lubiał ściskać mieszka i liczyć się z groszem, ale jeśli pieniądze wydawał łatwo i prędko, to częściej na rzecz innych, niż dla własnej przyjemności. W hojności posuwał się owszem tak daleko, że sam na tem nieraz cierpiał, bo pozbawiał się niekiedy po prostu ostatnich zapasów, jakie miał w prywatnej szkatule. Pozwalał się wyzyskiwać — świadomie, a nigdy nie brakło takich, co ze sposobności wzbogacenia się jego kosztem potrafili korzystać. Było zatem w tej rozrzutności coś bezinteresownego i poczciwego: rozdawał, co mógł, bo nie miał serca nikomu odmawiać [2]).

Ta naturalna dobroć, to dopiero jedna strona natury Władysława IV. Tajemnica sympatyi, jaką żywili ku niemu wszyscy, co go bliżej poznali, miała i inne źródła. Zjednywał sobie nawet umysły wyższe, mające bardziej wygórowane wymagania, bo sam był umysłem wyższym, posiadał liczne, wybitne zdolności, które go wynosiły wysoko po nad tłum przeciętnych ludzi. Inteligencyą przewyższał z pewnością ojca i braci, i pod tym względem śród królów elekcyjnych stał odeń wyżej może jedyny Batory; Sobieski, ani

[1]) Tamże strona 193 i 196.

[2]) Tamże str. 190—191. Por. relacyę posła weneckiego Tiepola z 1647 roku *Ehrenberg:* Urk. und Actenst. zur Gesch. der Prov. Posen str. 361. Nadto relacyi Sparrego z roku 1645. (Dodatek do *Czasu*, tom VII z roku 1857, str. 360—361).

nawet Poniatowski pewnie mu nie dorównywał. Umysł jego bystry, rzutki, jasno rzeczy widzący i łatwo oryentujący się w każdej sytuacyi, nie zasklepiał się w żadnej jednostronności, lecz obejmował szersze widnokręgi: nie było prawie żadnej dostępnej dziedziny w zakresie obowiązków królewskich zarówno, jak w zakresie literatury, sztuki i nauki, do którejby wzrok jego spojrzeniem znawcy nie sięgał. Jako monarcha, był równie biegłym statystą i dyplomatą, jak wodzem i strategikiem. Poświadczyć mu można, że sam rządził Rzecząpospolitą, sam był poniekąd swoim kanclerzem, podskarbim i hetmanem. Nie ulegał nigdy do tego stopnia cudzym wpływom, jak Jan Kazimierz lada komu, lub Sobieski Marysieńce; żadna z żon jego nie zdobyła sobie przy nim tego stanowiska, iżby ją wolno było uważać za współrządczynię. Nawet Ludwika Marya, ta zręczna i przebiegła kobieta, która pózniej uczyniła z Jana Kazimierza powolne dla siebie narzędzie, nie wzięła nad nim przewagi, owszem, umiał on od początku narzucać jej swoją wolę i zniewalał ją niekiedy do ustępstw, wprost sprzecznych z jej osobistemi życzeniami [1]). Ossolińskiemu nie udało się także wznieść do stanowiska wszechwładnego ministra; czuć było to zawsze w ich stosunku wzajemnym, że król stoi po nad kanclerzem, i kanclerz na króla ciągle się ogląda. Jedyny Adam Kazanowski zdołał sobie zaskarbić u Władysława wpływy, które przekraczały zwyczajną miarę, ale też rzadko sięgały po za obręb spraw prywatnych, lub drugorzędnych. Król ten nadawał, bądź co bądź, kierunek całej polityce zagranicznej, niekiedy nawet wbrew woli całego narodu, jak naprzykład w stosunku do Turcyi w latach 1645 po 1648; a podobnież i w zakresie rządów wewnętrznych znać wybitne piętno jego indywidualnych zapatrywań i dążności na wielu sprawach.

[1]) Tak np. mimo że Ludwika Marya była przeciwniczką projektu wojny tureckiej i z natury bardzo oszczędną, uzyskał od niej w roku 1646 w formie pożyczki sumę przeszło pół miliona złp. na cele tej wojny.

zwłaszcza na całym układzie stosunków wyznaniowych między rokiem 1630 a 1648. Visconti świadczy, że Władysław sam czytywał wszystkie ważniejsze pisma, odnoszące się do spraw publicznych, i sam z nadzwyczajną łatwością na nie odpisywał. „Bystry w przenikaniu i osądzaniu na pierwszy rzut oka charakteru osób, z któremi miał do czynienia, umiał zastosować się do nich i trafiać do ich przekonania“ [1]). Szczególnie dobrze znał się na rzeczach wojskowych: podczas wojny smoleńskiej sam nieraz stawał na czele wojska, lub osobiście kierował robotami inżynierskiemi. Moskorzewski, którego znakomity dyaryusz tej wojny niedawno okazał się w druku, wyraża się o królu z podziwem i zapałem [2]). W młodszych latach posiadać miał Władysław nadto nadzwyczajną łatwość pracy: przerzucał się swobodnie od spoczynku do ruchu, od rozrywki do działania. „W każdej chwili gotów jest zasiąść do roboty (spostrzeżenie Viscontego), nawet w godzinach, które inni na spoczynek przeznaczają. Mając wyjść, lub wyjechać, nie uważa na to, czy pogoda, czy słota, czy ma, czy niema kogo do posługi w podróży. Zaraz po obiedzie jedzie na polowanie, i niema wstrętu wstępować do chat wieśniaków... albo też wraca do sądzenia spraw, lub się zajmuje innemi interesami publicznemi, w czem wszystkiem tak jest pilnym i niezmordowanym, że słusznie porównaćby go można z owym wielkim Demetryuszem, synem Antygona, który, ile był niewolnikiem rozkoszy, tyle umiał nad niemi panować, gdy był zajęty sprawami wojny lub pokoju“ [3]). Później, co prawda, ze wzrostem otyłości i przy coraz częstszych nawrotach reumatycznych cierpień, stawał się coraz bardziej ociężałym, ale jeszcze w ostatnich latach życia zastanawiała w nim wielu świadków naocznych gorączkowa ruchliwość, z jaką pracował nad urzeczywistnieniem planów wojny tureckiej.

---

[1]) Rel. Viscontego, str. 190.

[2]) Wydawnictwo Biblioteki Krasińskich, tom XIII.

[3]) Rel. Viscontego, str. 196.

Posiadał także niepoślednie wykształcenie. Władał językami: łacińskim, niemieckim i włoskim tak dobrze, jak swoim. „Podróżując po cudzych krajach, porównywając rzeczy obce ze swojskiemi, wydoskonalił swe przyrodzone zdolności, wzbogacił umysł wiadomościami o każdym przedmiocie, przez co pięknie odbija od stopnia oświecenia swego kraju i królów swoich poprzedników“ [1]). W istocie, interesował się zawsze żywo rzeczami literatury i sztuki; czytywał dużo, chętnie obcował z artystami i uczonymi, i lubiał się nimi otaczać. Znanem jest jego zamiłowanie w muzyce i sztuce teatralnej; i nietylko zamiłowanie, ale prawdziwe, wykwintne znawstwo. Wszak on to pierwszy utworzył stałą trupę operową na swoim dworze, a orkiestra jego uchodziła za jedną z najlepszych w Europie. Maciej Sarbiewski był jego nadwornym kaznodzieją i cieszył się jego szczególnemi względami (wiadomo, że wdzięczny poeta poświęcił Władysławowi kilka pochwalnych poematów, a w „Silviludiach“ uświetnił myśliwstwo królewskie). Wiemy skądinąd, że król utrzymywał stosunki z wielu literatami i artystami obcymi. Pobudzał czynność rytowników Baera i Hondiusa. Korespondował z Galileuszem; poetę i historyka, Jana Ciampolego, zachęcał do napisania dzieła o Polsce i o własnych rządach, i dostarczał mu przez parę lat materyałów do ich opracowania. Feldmanowski wymienia kilkanaście nazwisk pisarzy włoskich, którzy już to w poematach, już też w dziełach historycznych sławili imię króla. O. Waleryan Magni, zakonnik, dyplomata, fizyk i astronom w jednej osobie, przebywał długie lata na dworze królewskim i informował Władysława o postępach nauk ścisłych; przezeń i przez dwór warszawski rozpowszechniła się w Polsce pierwsza wiadomość o barometrze [2]). Szczegółami tych stosunków zajmiemy się pó-

[1]) Tamże, str. 191—192.

[2]) Por. artykuł Hieron. Feldmanowskiego p. t. „Władysław IV, stosunki literackie i naukowe z Włochami (w czasopiśmie: „Biblioteka Ossolińskich“, tom XI, str. 144—192).

żniej; wszystkie one składają się razem na najpochlebniejsze świadectwo o wszechstronności umysłu króla i o jego działalności, jako mecenasa sztuk pięknych i umiejętności.

Uchodzić za takiego mecenasa, to była jedna z ambicyi Władysława IV; jedna z ambicyi, bo miał ich więcej i sięgających daleko wyżej. Miał ambicyę, aby się okazywać królem w każdym calu; co więcej, aby zrównać się w mierze z największymi monarchami świata. Rzecz to stwierdzona, że dążył do skupienia na swojej głowie koron polskiej, szwedzkiej i rosyjskiej, że marzył nawet o władzy cesarskiej. Był chciwym sławy wielkiego wojownika i zdobywcy; rola pogromcy mahometanizmu i oswobodziciela chrześcijan i Grobu świętego z rąk niewiernych uśmiechała mu się całe życie [1]). Słowem, powtarzamy, pojmował swoje posłannictwo królewskie tak szczytnie, jak żaden inny z królów elekcyjnych prócz Batorego, i był w nim z pewnością materyał na monarchę, godnego i zdolnego królować naprawdę, a nie figurować na tronie, jak na to bywał skazanym najczęściej w ówczesnej Rzeczypospolitej...

W relacyach świadków współczesnych nie brak, obok słów uznania, także i zarzutów; ale jest ich w ogóle niewiele, i najmniej zwłaszcza ważnych i uzasadnionych. Najsurowszy, jaki mu czyniono, to zarzut rozrzutności [2]). Zarzut ten rozważymy później osobno, tu tylko wspominając, że usprawiedliwiało go już dawniej wielu, i że my mamy niejedno do powiedzenia w tym samym duchu. Obwiniano Władysława IV także o upór i zaciętość. Wytykał mu te przywary zarówno pobłażliwy Visconti, jak w dziesięć lat później złośliwy nieco de Bregy [3]). Miał się król dąsać, gdy mu się

[1]) Por. pierwszy rozdział mego dzieła o „Planach wojny tureckiej Władysława IV.

[2]) Por. przytaczane wyżej relacye Viscontego, Sparrego i Tiepoli.

[3]) Rel. Viscontego, str. 161. Por. depesze do Brégy'ego, posła francuskiego, z 29. marca 1647 i 17. kwietnia 1648. (W tece Lukasa, własności biblioteki Ossolińskich we Lwowie, tom III, k. 230).

kto sprzeciwiał, i niechętnie odstępować od swego zdania. Zarzut to, który najczęściej spotyka ludzi prawdziwie zdolnych i wyjątkowych, od tych, co ich zdolnościami i wiedzą nie dorastają. Trudno niesłychanie położyć granicę, gdzie kończy się pewność siebie, stałość przekonań i przeświadczenie rzetelne o prawdzie, a gdzie się zaczyna zarozumiałość, uprzedzenie i zbyt ślepe zaufanie we własne siły i wiadomości. Za mało znamy szczegółów z prywatnego życia króla, abyśmy potrafili stwierdzić, czy i o ile w nich rzekomy jego upor przebierał miarę słuszności; wiemy natomiast o kilku sprawach publicznej natury, przy których stawał bardzo upornie, ale wiemy zarazem, że stawał przy nich dlatego, ponieważ wierzył głęboko w ich zbawienną dla Rzeczypospolitej doniosłość. Jeszcze bardziej błahemi i mniej uzasadnionemi są inne zarzuty, jak zarzut porywczości w gniewie, zbyt łatwego poufalenia się z podwładnymi, lub wreszcie rozwiązłego życia.' Cięższym o wiele byłby zarzut, jaki przeciw niemu mogłaby podnieść historya: że żadnego właściwie z wielkich planów swego życia nie zdołał urzeczywistnić, w czyn zamienić. Ale czy więcej sam temu był winien ze swojemi rzekomemi wadami, czy więcej zawinili inni? Czy nie zwichnęły tych przesięwzięć trudności, silniejsze i bardziej niezłomne, niż hart i siła genialnego nawet człowieka? Oto pytania, które ciągle nasuwają się dziejopisom przy rozważaniu życia tego szczególniej króla, i na które dotąd wszyscy prawie dawali odpowiedzi, przyjaźniejsze osobie Władysława IV, niż jego przeciwnikom i przeciwnościom. I w tej przemocy nieszczęśliwych warunków królowania, przeszkód i trudności, spiętrzonych na drodze życia, należy dopatrywać się przyczyn tej melancholii, o której mówiliśmy, że była na dnie duszy Władysława IV. Uderzyła ona bacznego obserwatora, Viscontego, w człowieku, żywym zresztą z usposobienia, towarzyskim i rozmownym. Zastanawiając się nad tem, dlaczego król często poszukiwał towarzystwa po za dworem, w niższych sferach społeczeń

stwa, albo też wprost uciekał od ludzi w ustronia leśne, nie umiał sobie nuncyusz wytłómaczyć tych upodobań inaczej, jak następującem przypuszczeniem: „Może nawet szuka przez to ulgi dla skołatanej myśli i roztargnienia w tym smutku głębokim, jaki często obarcza umysły wyższego rzędu, nie mogące wynurzyć swych uczuć“... „Wracając do teraźniejszego króla“ — dodawał w konkluzyi swojej relacyi — „powtórzę jeszcze, że ma interesa swego domu na głowie, i jeżeli się nie mylę, rozległe inne zamiary. Ma on i głowę po temu, lecz że mu brakuje pomocy, która kształci pomysły, i że nie każdy zdolny wykonać, co sam pomyślał, nie dziw, jeżeli dla braku rady i doradców zamysły jego albo w nim są ukryte, albo nie przychodzą do skutku, i że te, obarczając jego umysł, sprawiają czasem tę melancholię, o której wyżej wspominałem“ [1]).

Przyczyn tej melancholii trzeba więc szukać raczej w czynnikach, leżących poza królem, a nie w nim samym. Jeśli były jakie i w nim samym, to także więcej przypadkowe, zewnętrzne, a nie wynikające z braków osobistych, z poczucia własnej nieudolności, czy też niedostatku sił duchowych. Miał w późniejszych latach życia w istocie przez pół związane ręce i nogi, ale nie z powodu moralnego niedołęstwa, lecz wskutek słabości ciała. Ten dobrze zbudowany, tęgi człowiek, był chorowitym.

W pełni męskiego wieku, między 30. a 35. rokiem życia, zaczął zapadać na zdrowiu, i zapadał odtąd coraz częściej przez lat kilkanaście: ta sama choroba, która wystąpiła dosyć groźnie już na trzy lata przed wstąpieniem na tron Władysława, zaprowadziła go w roku 1648 do grobu. Trzebaby na to biegłego lekarza, aby, na podstawie licznych wprawdzie, ale dosyć sprzecznych między sobą, wzmianek w źródłach, dojść i wyjaśnić dokładnie, na czem polegała ta choroba; my umiemy powiedzieć tyle, że składały się na

[1]) Rel. Viscontego, str. 193—221.

nią głównie cierpienia reumatyczne, rodzaj chronicznej podagry, i nadto dolegliwości, powodowane tworzeniem się tak zwanego kamienia.

Kobierzycki wspomina o złym stanie zdrowia królewicza po raz pierwszy pod rokiem 1631; już wtedy zmuszonym się widział Władysław do szukania ulgi w kąpielach czeskich, i to mianowicie w cieplicach egerskich [1]. Kuracya przyniosła tylko doczesne, krótkotrwałe polepszenie, bo od chwili elekcyi król nie miał prawie ani jednego całego roku spokojnego, wolnego od cierpień, a miewał natomiast lata, w których całe miesiące zjadała mu uporczywa choroba, trzymając go przykutego do łóżka, lub krzesła, z obezwładnioną na poły raz nogą, to znowu ręką. Z maja roku 1633 i października roku 1634 mamy tylko jednorazowe wiadomości o atakach podagry [2]; z roku 1636 są już wiadomości kilkakrotne z różnych miesięcy. W lutym nie trwają wprawdzie cierpienia długo, ale w lecie nękają króla przez większą część lipca i sierpnia [3]. W ostatnich dniach lipca miał chory chwile tak ciężkich bolów, że „wołaniem i stękaniem pokoje napełniał“ i nawet, 30. wzywał do siebie spowiednika, myśląc, że zbliża się koniec [4]. I w następnym

[1]) *Kobierzycki:* „Historia Vladislai Principis“, str. 933—4.

[2]) *Radziwiłła Albrechta* „Memoriale“ (używam stale oryginalnego łacińskiego tekstu Pamiętników, zachowanego w rękopisie krakowskiej bibl. Czartoryskich nr. 2,356, w stanie niezupełnym, i w zupełniejszym odpisie w bibl. Ossolińskich we Lwowie, rękop. nr. 116 i 117), por. rel. z maja r. 1633 i z października 1634. (Przytaczam nie stronice rękopisów, lecz ustępy wedle dat, gdyż „Memoriale“ ma układ dyaryusza, a cytaty dat ułatwiają odnalezienie odpowiednych ustępów w dostępnym dla wszystkich, bo wydanym drukiem, przekładzie Pamiętników).

[3]) „Memoriale“, ustępy z wymienionych wyżej miesięcy.

[4]) Depesza nuncyusza Filonardego z 8. sierpnia 1636 r. Oryg. w archiwum watykańskiem: „Nunziata di Polonia“, t. 47. Odpisy depesz nuncyuszów, na które się będę powoływał, znajdują się w archiwum krakowskiej Akademii umiejętności, w oddziale t. zw. naukowej ekspedycyi rzymskiej).

roku nie minęły go w listopadzie też same przejścia; w maju roku 1638 dokuczyły one Władysławowi do tego stopnia, że po raz drugi uznał za konieczne wyjechać z kraju dla ratowania zdrowia w zagranicznych kąpielach. Od 2. września do 9. października leczył się w cieplicach badeńskich; ale i tym razem nie wyleczył się gruntownie [1]). W parę miesięcy po powrocie z Badenu, widzimy go znowu złożonego chorobą; cały prawie czerwiec przeleżał w łóżku, w Mereczu. Nierównie więcej nacierpiał się w roku 1640. Od stycznia do listopada nie było prawie miesiąca, żeby go nie nawiedziła chroniczna niemoc [2]). W maju reumatyzm nie dolegał już samym tylko kończynom, lecz „teraz — jak pisał świadek naoczny, nuncyusz Filonardi [3]) — przekracza już wszelkie granice, rozchodząc się po całem ciele, począwszy od szyi i ramion, i trzyma króla w bezwładności od dziesięciu tygodni, pozbawiając go snu na całe noce, i sprawiając nadto takie boleści, że samo opowiadanie o tem budzi politowanie“... Nie pomogli lekarze przyboczni i nie pomógł Niemiec Kraus, przysłany z dworu cesarskiego; jakiś Szwed, chemik, któremu król oddał się w kuracyę z całem zaufaniem w drugiej połowie roku 1640, i trzymał go przy sobie przez lat parę, sprowadzał tylko chwilową ulgę w atakach cierpień tajemniczym płynem, którego składu wyjaśnić nie chciał [4]). W relacyach z roku 1641 przedstawia Filonardi Władysława, jako przesiadującego ustawicznie na krześle,

---

[1]) *Radziwiłła* „Memoriale“: 1637 Novembris, 1638 Aprilis, Majus, September etc. Por. nadto w wydanych przez Raczyńskiego relacyach p. t.: „Dwie podróże Jakóba Sobieskiego“ (Poznań, 1833), opis podróży Władysława IV do Badenu i jego pobytu tamże w r. 1638, na str. 199—227.

[2]) *Radziwiłła* „Memoriale“ w ustępach z wymienionych wyżej miesięcy. 1635 i 1640.

[3]) Depesza nuncyusza z datą: „Di Varsavia, li 5 di Maggio 1640“ (Arch. watyk. Nunz. di Polonia, t. 50).

[4]) Por. depesze nuncyusza Filonardego z 8. września, 24. listopada i 8. grudnia 1640, z 12. stycznia, 11. maja i 5. października r. 1641

z lewą nogą obandażowaną wielkim kawałem płótna, i odzianą w wielki futrzany trzewik, co wszystko razem miało powiększać na pozór rozmiary tej nogi do poczwórnej objętości [1]. Odtąd zdarzało się wprawdzie, że król mógł, w czasach wolnych od boleści, chodzić po pokojach o własnych siłach i jeździć na koniu bez wielkich trudności; ale po schodach trzeba go było wnosić i znosić zawsze na krześle. Rok 1641 był stosunkowo dosyć dobry; ale pod jego koniec zdrowie królewskie znowu się popsuło. Miesiące zimowe i wiosenne następnych dwóch lat zapisały się boleśnie w pamięci króla: natomiast czas od połowy roku 1643 do końca roku 1644 mógł uchodzić za bardzo szczęśliwy, bo w ciągu tych kilkunastu miesięcy zaszło i utrzymywało się tak znaczne polepszenie, że nawet często używane rozrywki myśliwskie żadnych prawie przerw przymusowych nie doznawały [2]. Ale też był to już ostatni tak długi okres dobrego względnie stanu zdrowia. W roku 1645 ataki podagryczne ponawiały się w różnych czasach trzykrotnie; w grudniu stały się tak uporczywemi, że przykuły chorego na trzy blisko miesiące do łoża. Przerwa następna trwała pół roku i skończyła się w jesieni. Listopad roku 1646 dał się z dwojakich przyczyn we znaki Władysławowi: pamiętny sejm inkwizycyjny narażał go na moralne cierpienia, a boleści reumatyczne nękały współcześnie ciało. I następny sejm, z maja roku 1647, przypadł właśnie w czasie, kiedy ze zdrowiem króla było niedobrze; musiano go wnosić do Izby poselskiej na łóżku. Następne lato i jesień, to były ostatnie dwie pory roku, w któ-

i jeszcze z 16. maja r. 1643, wszystkie pisane z Warszawy. (Arch. watyk. Nunz. di Pol. t. 50 i 51).

[1]) Por. depesze nuncyusza z 12. stycznia i 15. października r. 1641. (Nunz. di Polonia, t. 50 i 51).

[2]) Porównaj cały rocznik 1641 w „Memoriale" Radziwiłła; w roczniku z roku 1642 głównie ustępy z 17. i 28. lutego, z roku 1643 ustępy z 28.–31. marca i z 5. kwietnia. Nadto, oprócz przytoczonych wyżej, depesze Filonardego z 21. grudnia 1641, 4. i 18. stycznia, 22. lutego i 15. marca 1642 i z 16. maja r. 1643. (Nunz. di Polonia, t. 51).

rych Władysław mógł używać rozrywek myśliwskich dłużej bez żadnych przeszkód fizycznych. Najbliższa zima przyniosła nowy, tym razem bardzo ciężki, nawrót choroby. Podniósł się z niej król na to tylko, aby się raz jeszcze nacieszyć ukochaną Litwą; lecz wysiłki podróży i łowów w puszczach litewskich dobiły go ostatecznie. Dnia 20. maja roku 1648 uległ nurtującej oddawna ciało słabości w ulubionem zaciszu Merecza [1]).

Nie bez powodu rozwiedliśmy się tak szeroko nad przebiegiem chorób, jakie przebył Władysław IV w czasach swego królowania. W ocenie działalności tego monarchy za mało dotąd brało się w rachubę te fizyczne przeszkody, które przecież musiały niesłychanie utrudniać jednostajną czynność w jakimkolwiek z góry wytkniętym kierunku, musiały rozdrażniać i rozstrajać jego silną, ale wrażliwą organizacyę duchową: w przeszkodach tych, niezawisłych od osoby króla, należy też szukać części przyczyn niepowodzenia lub też zaniedbania wielu jego politycznych i prywatnych przedsięwzięć.

Usiłowano, co prawda, i te przeszkody złożyć na karb ujemnych właściwości charakteru i usposobienia Władysława, dowodząc, że sam zdrowie swoje na szwank naraził — rozwiązłem życiem i lekceważeniem przepisów hygieny. „O jego obyczajach różnie mówią — pisał nawet przyjaźnie dla króla usposobiony Visconti [2]) — do czego podobno on sam dał powód, zbaczając czasem z drogi regularnego życia“. „Lubiąc nadewszystko swobodne życie, nie cierpiąc w niczem przymusu, ściągnął na siebie podejrzenie zbytecznego może zamiłowania tych przyjemności, które zmysłowemi zowią, a dla których niegdyś sam Jowisz zstępował z wysokości Olimpu na padół ziemski pod postaciami mniej godnemi ojca bogów

[1]) Co do całego przebiegu choroby króla, począwszy od roku 1645, por. ustępy z wymienionych powyżej lat i miesięcy w „Memoriale“ Radziwiłła. Nadto obszerną relacyę p. t.: „Opis zgonu króla“ w Michałowskiego Księdze pamiętniczej, na str. 10–16.

[2]) Relacya, str. 191–2.

i ludzi“ [1]). Daleko jeszcze bezwzględniej powtórzył ten sam zarzut w dziesięć lat później nieznany autor relacyi o bytności posła szwedzkiego Sparrego w Warszawie, twierdząc bez ogródki, że król „najwięcej rozrzuca na nierządnice“ [2]). Tylko trzeba zaraz zauważyć, że ten sam autor w tym samym ustępie popada poniekąd w sprzeczność z sobą, gdy przyznaje, że Władysław IV „ani licznego niema dworu, ani na życie wiele nie wydaje, owszem, w tem bardzo umiarkowanie sobie postępuje“, i trzeba przypomnieć sobie to, już wyżej przytoczone, a zastosowane przez Viscontego, przyrównanie króla do Demetryusza, syna Antygona, „który ile był niewolnikiem rozkoszy w chwilach swobodnych, tyle umiał nad niemi panować, gdy był zajęty sprawami wojny lub pokoju“. W istocie, jakiekolwiek były zasady moralne Władysława IV i jakiemikolwiek jego stosunki z kobietami, to pewna, że rozrywki zmysłowe, miłostki, traktował on zawsze jako powszednie, drugorzędne sprawy życia, i nigdy nie ulegał im do tego stopnia, iżby się miał im kiedy oddawać wyłącznie. Podczas gdy taki Ludwik XIV, o XV już nie mówiąc, nie umiał się opierać wdziękom kobiet do tego stopnia, że kilka z nich trzymało faktycznie ster rządów nad Francyą w swoich rękach, to przy boku Władysława IV żadna kobieta nie zdobyła sobie nigdy wpływu, któryby ją wysuwał na plan pierwszy — przed osobą króla. Co więcej, gdy rozpatrzymy się szczegółowo we wszystkich wiadomościach, jakie się zachowały o życiu prywatnem tego obwinianego o rozwiązłość człowieka, spostrzeżemy ze zdziwieniem, że właściwie jest w tych obwinieniach więcej gołosłownych domysłów, aniżeli pewności, opartej na realnych podstawach faktów. W całym materyale biograficznym nie udało nam się znaleść więcej nad dwie wzmianki, objaśniające tę stronę życia królewskiego. Z testamentu mianowicie Jana

---

[1]) Tamże, str. 192—3.

[2]) Dodatek do „Czasu“, tom VII z r. 1857, str. 361.

Kazimierza dowiadujemy się, że w roku 1672 żył jakiś hrabia de Varenault, który był synem naturalnym Władysława [1]), i nadto, że około roku 1645 podejrzewano jedną z panien dworu zmarłej w roku 1644 Cecylii Renaty, Niemkę d'Eckemberg, o utrzymywanie stosunku miłosnego z królem, i że o tę damę była nawet zazdrosna druga żona Władysława, Ludwika Marya [2]). Dodajmy jednak zaraz, że kanclerz litewski, Albrecht Radziwiłł, uważał tego rodzaju podejrzenia za bezpodstawne, i że wnet po przybyciu Ludwiki Maryi do Polski, została niesympatyczna dla niej Niemka usunięta z dworu i wydana za mąż za księcia Michała Czartoryskiego, starostę krzemienieckiego [3]). Oto i wszystko, co umiemy obecnie powiedzieć na świadectwo o rzekomej rozwiązłości króla. Ale możemy przytem powiedzieć, że jeżeli panna d'Eckemberg była w istocie kochanicą Władysława, to z pewnością wpływ jej nie sięgał po za prywatne jego apartamenta. Do roli takiej, jaką naprzykład grała przy boku Jana Kazimierza pani Denhofowa, nie udało się jej podnieść nigdy: nie znać bowiem ani śladu podobnej władzy kobiecej we współczesnych dziejach politycznych. A w tem jest jeden dowód więcej, że Władysław IV był człowiekiem niezwykłej miary, że miał władzę nad innymi, ale nikt po prawdzie nie potrafił zapanować wszechwładnie nad nim samym. W człowieku nieudolnym, o lichym charakterze, taka

---

[1]) Por. w moim artykule o „Ostatnich latach życia Jana Kazimierza" (w tomie szkiców: „Z czasów J. Kaz.", ustęp na str. 277).

[2]) Por. ustęp na str. 41–2 w dziele *Waliszewskiego* p. t.: „Polsko-francuskie stosunki". Nadto w „Memoriale" Radziwiłła ustępy z datami: „1645 October" i „1646 Junius".

[3]) Por. przytoczone w poprzednim przypisku ustępy w „Memoriale" Radziwiłła. W pierwszym z nich wyraża się Radziwiłł o pannie d'Eckemberg temi słowy: *Fuit illa in gratia Reginae et Regis, ideo a morte Ceciliae Renatae) apud Principem filium Regis manserat: hinc variae, verera autem falsae hominum opiniones. Rex ergo cupiebat, ut principi alicui eam elocaret*... W drugim ustępie jest właśnie mowa o ślubie panny E. z księciem Czartoryskim.

niezawisłość wobec cudzych wpływów byłaby może nieszczęściem; w człowieku tak szlachetnym, zdolnym i rozumnym, jak on, wolno ją uważać za jedną więcej zaletę.

Nie znaczy to, abyśmy usprawiedliwiali same nadużycia, pochodzące z cielesnych popędów, jeżeli się do nich kiedykolwiek posuwał Władysław. Owszem, jest to dosyć widocznem, że krwista jego konstytucya i gorączkowa, bujna natura nie znosiła hamulców, a więc zasadami umiarkowania nie dawała się zbytnio krępować. Władysław IV lubił huczne zabawy i uczty, i przy ucztach nie rachował wypitych kielichów; miał namiętne upodobanie w myśliwstwie, i dla rozrywek łowieckich nigdy nie brakowało mu czasu; lubiał taniec, i przy tańcu zapominał o tem, że zbyt ożywiony ruch i zanadto silne rozgrzanie ciała sprowadzić mogło nowy atak podagrycznych cierpień.

Tryb jego życia był w ogóle dosyć ekscentrycznym. „Z zadziwieniem dodać muszę — opowiada Visconti [1] — że od wielu lat król inaczej nie jada, jeno w łóżku, czyli raczej nie wstaje z łóżka, aż po obiedzie, do czego tak przywykł, że nie mógł się pozbyć tego nałogu, lub potrzeby wtenczas nawet, kiedy Polacy uważali w tem przeszkodę do osiągnięcia tronu. Mówią także, że w czasie ostatniej wojny pod Smoleńskiem, gdzie sam ważniejszemi kierował obrotami, gdy znużony po bezsennie przepędzonej nocy, lub zaledwie trochę przespawszy się w powozie, mógł powrócić do namiotu na obiad, żadnej nie wziął do ust potrawy, póki go nie rozebrano i w łóżku nie położono“. „Jada bardzo mało zrana; ale za to więcej sobie pozwala na wieczerzę, zawsze jednak w granicach umiarkowania; a gdy jest sam, prędko się uwinie i wstaje zaraz od stołu. Mało także sypia, kładąc się późno zazwyczaj, a zrana dość wcześnie w łóżku różne sprawy załatwiać poczyna“. Visconti, jak widzimy, przypisuje królowi nawet przymiot wstrzemięźliwości; innego je-

[1]) Relacya, str. 195—6.

dnak cokolwiek zdania był Albrecht Radziwiłł, świadek życia królewskiego po ostatnią jego chwilę. W pamiętniku kanclerza litewskiego dosyć dużo jest wzmianek o udziale Władysława IV w sutych ucztach, libacyach i tańcach, i o tem, że król niekiedy folgował sobie zanadto [1]). Nie słychać, co prawda, o tem, żeby kiedy godność monarszą naraził na pośmiewisko. A gdy się nadto rozważy, w jakich czasach żył Władysław, jakie były obyczaje ówczesnych Polaków, jakie obyczaje zresztą dworów i wyższych sfer społecznych w całej Europie XVII wieku, to wszystkie wyżej wyliczone i wogóle mało znaczące zarzuty powinny zmaleć jeszcze bardziej w oczach nieuprzedzonych sędziów. Władysław IV dostrajał się upodobaniami swemi poniekąd do społeczeństwa, w którem mu działać wypadło; ale też z drugiej strony pod niejednym względem otoczenie swoje przerastał. Światło, które bije od jasnych stron jego charakteru, rzuca pogodny odblask i na ciemniejsze strony, i zdaje się, jakby urok, który padał od tej sympatycznej postaci na współczesnych ludzi, zdobywał królowi jeszcze z za grobu serca potomnych...

Jeśli Władysław wyrobił się na człowieka, imponującego osobistemi zaletami i wiedzą więcej, niż majestatem królewskim, to może skutek tej szczęśliwej okoliczności, że na tron dostał się już w dojrzałym wieku, że mógł długo korzystać z opieki ojcowskiej i używać też długo swobody, nie skrępowanej więzami zbyt licznych i ciężkich obowiązków.

Urodzony 9. czerwca roku 1595, matkę Annę z domu austryackich Habsburgów stracił, co prawda, wcześnie, bo już w trzecim roku życia; ale Zygmunt III otaczał go zawsze najgorętszą miłością. Z dziejów dzieciństwa i młodości Władysława zachowało się dosyć dużo szczegółów; wiadomo,

[1]) „Memoriale“, ustępy z lutego 1640, z grudnia 1641, z marca 1642, z października 1643 i t. d. Por. nadto w Kobierzyckiego dziele: „Historia Vladislai Principis“, ustęp na str. 333—4, i wreszcie depeszę nunc. Filonardego z 5. maja 1640. (Arch. wat. N. Pol. 50).

że jeden ze świadków tych czasów poświęcił życiorysowi królewicza osobne, obszerne dzieło [1]). Wiemy nawet, jak się nazywała mamka Władysława. Była nią niejaka pani Forbes, zapewne Francuska, której syn dorosły jeszcze w roku 1630 korzystał z protekcyi dostojnego brata mlecznego [2]).

Wychowywał się Władysław i kształcił pod nadzorem Michała Konarskiego, kasztelana gdańskiego; ochmistrzem, a raczej guwernerem i opiekunem był przy nim Zygmunt Kazanowski. „Ten nieodstępny towarzysz — powiada Kobierzycki [3]) — roztropny przewodnik młodocianego wieku, i przez wieloletnie wypróbowane służby spoufalony z królewiczem, wierny następnie strażnik godności i fortuny królewskiej, nietylko widział Władysława ozdobionego królewską koroną, ale nawet w sędziwym wieku, pomny dawnej służebności, chodził z nim do Moskwy i stamtąd odprowadził tryumfującego do Warszawy, gdzie wnet życie zakończył". (Umarł w roku 1634, wyniesiony do godności podkomorzego i uposażony starostwem soleckiem). Los związał więc Władysława już w dzieciństwie z domem Kazanowskich serdecznemi węzłami, które nie zerwały się nigdy po koniec życia króla. Obaj synowie Zygmunta, Stanisław i Adam, cieszyli się jego względami. Pierwszy był dworzaninem Władysława do roku 1618, w którym umarł: a miejsce jego zajął zaraz młodszy brat Adam, aby już nie odstępować swego pana, a zarazem protektora, i później nieledwie przyjaciela aż do grobowej deski [4]).

[1]) *Kobierzycki:* „Historia Vladislai Principis".

[2]) W archiwum watykańskiem (Nunz. di Pol., v 49), znajduje się list Władysława do kardynała Barberiniego z datą: „Di Varsavia li 3 di Luglio 1630", w którym królewicz, polecając kardynałowi niejakiego *Padre Forbes,* dodaje: *per esser egli figlio della nostra nutrice, forzati dá un certo obligo naturale, l'habbiamo voluto accompagnar con la nostra intercessione...*

[3]) *Kobierzycki:* „Historia Vladislai Principis", str. 16—17.

[4]) Porównaj w Jerzego Ossolińskiego autobiografii wydawnictwie lwowskiej Biblioteki Ossolińskich, t. z rzędu III ust. na str. 31—2 i 73.

Samo nauczanie, kierowanie kształceniem Władysława miał sobie powierzone Gabryel Prevancius-Władysławowski. Syn ziemi chełmińskiej, Gabryel „Prevancius“ pochodził z ludu. Skończywszy studya w Akademii krakowskiej, zdolnościami swemi i wiedzą zwrócił na siebie uwagę sfer wyższych, i dzięki temu wydostał się na wybitne stanowisko. Zygmunt III łożył na jego dalsze wykształcenie; posyłał go na nauki do Rzymu i Paryża i wreszcie, wyświęconego na księdza, wybrał na nauczyciela dla królewicza. Wówczas dopiero, nobilitowany w roku 1609, przybrał „Prevancius“ nazwisko Władysławskiego; i odtąd też rósł szybko w zaszczyty, mianowany po kolei sekretarzem królewskim, proboszczem warszawskim, scholastykiem łęczyckim, kanonikiem chełmińskim i płockim [1]). Człowiek, który urósł samopomocą, musiał być doskonałym kierownikiem; jemu to zapewne miał do zawdzięczenia Władysław, że nabył nietylko gruntownej wiedzy, ale i głębszego zamiłowania do rzeczy literatury i sztuki. Kobierzycki zapewnia, że królewicz w istocie oddawał się naukom z zapałem i umiał sobie doskonale przyswajać. Ze szczególnem upodobaniem studyował historyę; zawładnął także wcześnie trzema obcemi językami. Dla dopełnienia edukacyi, wysłał go ojciec w roku 1624 w dłuższą podróż zagraniczną. W towarzystwie Krzysztofa Radziwiłła, kanclerza w. litewskiego, kilku innych senatorów i orszaku doświadczonych sług, zwiedził Władysław w ciągu roku znaczną część Niemiec, Niderlandów, Szwajcaryi i Włoch, unikając o ile możności ostentacyi i świetnych przyjęć, a starając się pod osłoną *incognita* wyciągnąć jak największy

[1]) Co do Władysławskiego, por. szczegóły w artykule Józefa Muczkowskiego: „Wiadomość o kolegium Władysławsko-Nowodworskiem“, str. 139—142 i 155—164. — *Kobierzycki:* Historia, str. 18—19. Nie umiemy wyjasnić, jak właściwie brzmiało po polsku pierwotne rodzinne nazwisko Władysławskiego, a raczej jaką formę miało w języku polskim nazwisko: „Prevancius“, podane w łacińskim akcie nobilitacyi (u Muczkowskiego l. s. cit., str. 155—158).

pożytek z pobytu w obcych krajach [1]). Podróż po Włoszech wzmocniła niezawodnie jego artystyczne upodobania, tam to musiało się rozwinąć zwłaszcza to wytworne znawstwo muzyki i sztuki dramatycznej, którem się po powrocie do kraju odznaczał. Z opowiadań Stefana Paca widać, że interesował się żywo przedstawieniami teatralnemi, jakie miał sposobność oglądać; przysłuchiwał się też z predylekcyą koncertom sławniejszych śpiewaczek. Na świetnych dworach włoskich książąt, miłośników i mecenasów sztuki jakby z urodzenia, z Bożej łaski, musiał też upatrzyć sobie wzory, które usiłował na późniejszem swojem stanowisku w Polsce w miarę środków naśladować.

Słowem, odebrał wykształcenie, godne tej roli, jaką chciał odegrać w Rzeczypospolitej, godne pojęcia, jakie sobie wytworzył o przyszłych królewskich zadaniach. Jak co do zdolności, tak co do nabytej wiedzy, stał wyżej od swego rodzeństwa. Ani Jan Kazimierz, ani rozsądniejszy i bardziej inteligentny Karol Ferdynand, ani najmłodsi: Jan Albert i Aleksander, nie mogli się z nim równać, pod żadnym względem. Wszyscy oni byli braćmi przyrodnimi, dziećmi drugiej żony Zygmunta III, Konstancyi. Z czworga dzieci pierwszej żony, Anny, troje wymarło w dzieciństwie; pozostał przy dłuższem życiu tylko jeden Władysław [2]).

Dwóch ostatnich synów Konstancyi trudno zestawiać z Władysławem, gdyż żaden z nich nie doczekał nawet pełnoletności. Najmłodszy, Aleksander, zdawał się jeszcze najbardziej podobnym do najstarszego brata: przypominał go urodą i bystrością umysłu, ale przymiotów tych nie miał czasu rozwinąć, bo w dwudziestym roku życia uległ ospie (20. listopada 1634). Starszy, Jan Albert, dwudziestodwuletni.

[1]) Por. *Stefana Paca:* „Obraz dworów europejskich" (Wrocław, 1854), zawierający opis podróży królewicza. Nadto w Kobierzyckiego Historyi ustęp na str. 864–907 i w dziele *Wassenberga:* „Gestorum Vladislai IV pars prima" (Gedani, 1641) ust. na str. 135–208.

[2]) *Kobierzycki:* „Historia Vladislai Principis", str. 13–14.

a już biskup krakowski i kardynał, zeszedł ze świata prawie równocześnie; zabiła go 22. grudnia tegoż roku taż sama choroba, co i Aleksandra, za pobytu w Padwie. O tym wiadomo, że zalecał się zawsze więcej dobrocią i łagodnością, aniżeli zdolnościami [1]).

Reszta natomiast rodzeństwa dotrzymywała Władysławowi towarzystwa w życiu do jego końca. Mówimy zarówno o braciach, Janie Kazimierzu, młodszym o lat 13 z okładem od Władysława, i Karolu Ferdynandzie, młodszym od Jana Kazimierza o półpięta roku, jako też o jedynej siostrze, Katarzynie Annie Konstancyi, urodzonej dnia 9. czerwca 1619, a więc w przeszło 24 lata po Władysławie.

Osobistość Jana Kazimierza jest już dziś dosyć dobrze znaną. Przy charakterze chwiejnym i kapryśnym, przy usposobieniu dziwacznem i dziwnie drażliwem, była to inteligencya i zdolność dosyć w ogóle mierna; braki te odbijały przy zaletach Władysława tem bardziej rażąco, że nie usunęło ich niezbyt staranne wychowanie. Wychowaniem bowiem dzieci z drugiego małżeństwa zajmowała się głównie Urszula Majerin, Niemka, ulubienica obojga królestwa, doskonała, rządna gospodyni i serdecznie przywiązana do domu, ale nie posiadająca odpowiedniego stanowisku i zadaniom swoim wykształcenia [2]). Jan Kazimierz od młodości chodził sobie, że tak powiemy, samopas — i, jak wiadomo, nieraz narażał starszego brata na kłopoty i zmartwienia. Trzymał się w ogóle dosyć z daleka od królewskiego dworu, dużo podróżując, albo odbywając służbę wojskową za granicą, albo nawet przytrzymywany w obcych krajach przymusowo: bo jakiś czas bawił w Niemczech jako żołnierz, dłużej we Francyi, jako więzień, i wreszcie naprzód jako zakonnik, potem jako kardynał, we Włoszech. Mając więc mówić o życiu dworskim za Władysława IV, nie będziemy się właściwie

[1]) Relacya Viscontego, str. 211.

[2]) *Kobierzycki:* Historia, str. 24.

potrzebowali liczyć z osobą tego królewicza: częściej o wiele zdarzy się nam spotkać z młodszym, Karolem Ferdynandem, który wprawdzie także osobny dom prowadził i lubiał samotność, ale przynajmniej często w kraju przebywał i na dworze królewskim nie rzadko się pokazywał.

Karol Ferdynand obrał sobie zawód duchowny i został jeszcze przed dojściem do pełnoletności uposażony biskupstwem wrocławskiem, do którego przybyło mu później także i płockie. Wnosząc z relacyi Viscontego, był on co do usposobienia przeciwieństwem Władysława. „Z powierzchowności i obejścia nie bardzo przyjemny — pisał o nim nuncyusz — ma cerę ciemną, wzrost wysoki, chuderlawy, niezmiernie z każdym cierpki i surowy, w gniewie tak dalece porywczy, że mu się nieraz zdarzyło uderzyć najprzywiązańszego do siebie sługę. Niewzruszony w swoich postanowieniach, zaciętszy od ojca; jeżeli mu kto wypadnie z łaski, niech się nie spodziewa więcej do niej powrócić, której z przyrodzenia skąpo bardzo udziela“. Znajdował Visconti także, że „rozum i nauki ma bardzo mierne“, a więc i co do inteligencyi i wykształcenia nie dorównywał Władysławowi. Natomiast był oszczędnym i gospodarnym; prowadził dom skromny; uprawiał ze szczególnem upodobaniem tylko ogrodownictwo [1]).

Siostra, Katarzyna, nie odznaczała się wdziękami ciała: miała płeć brzydką i była nawet trochę ułomną. Temperamentem przypominała najstarszych braci. „Zresztą, jest to królewna dobrze ułożona, roztropna, mająca wiele cnót i przymiotów, które jednają jej serce każdego, kto ma szczęście znać ją bliżej“. Władysław kochał ją serdecznie; znalazła także i męża, przystojnego i dobrego, w księciu najburskim, Filipie Wilhelmie. Weszła z nim w związki małżeńskie w roku 1642; przed tym czasem przebywała w Polsce, przeważnie na dworze braterskim. Z mężem nie było jej danem przeżyć całych lat dziewięciu: zeszła ze świata w roku 1651 [2]).

[1]) Relacya Viscontego, str. 214—216. [2]) Tamże, str. 216—217.

Władysław IV wchodził, jak wiadomo, w związki małżeńskie dwukrotnie. Pierwszą jego żoną była Cecylia Renata, siostra cesarza Ferdynanda III, z którą żył od września roku 1637 do marca roku 1644 (śmierć królowej przypadła na 24. tego miesiąca). Kobieta uczciwa, pobożna, do męża przywiązana, była zresztą biernego usposobienia; nie zajęła też na dworze nigdy znaczącego stanowiska, nie wywierała, o ile wiadomo, żadnego poważniejszego wpływu na sprawy polityczne, ani nawet na sprawy domowe. Znany nam jest jedyny wypadek, świadczący, iż usiłowała niekiedy stawić opór woli królewskiej, ale i ta jedyna znana próba skończyła się jej przegraną [1]). Król żywił dla niej, bądź co bądź, rzetelne przywiązanie, zwłaszcza od chwili, kiedy uszczęśliwiła go synem (w roku 1640 [2]). W dwa lata później wydała na świat jeszcze i córkę; ale ta w miesiąc później umarła, ochrzczona przytem imieniem Maryanny [3]).

Droga żona Władysława, Ludwika Marya de Nevers, wywodząca się z rodu Gonzagów, zaślubiona w marcu roku 1646, zbyt krótko towarzyszyła w życiu Władysławowi, aby miała czas ugruntować obok niego swoje samodzielne stanowisko na dworze. Okazało się później, że był w niej materyał na królowę w pełnem tego słowa znaczeniu, na prawdziwą rządziochę, jak ją nazywali współcześni. Ale przy boku Władysława IV nie zdołała zająć tak wielowładnej pozycyi, jaką zdobyła sobie bez trudności przy boku Jana

[1]) Chodziło o wybór marszałka dworu królowej. Władysław IV mianował nim wojewodę sieradzkiego, Denhofa, niemiłego Cecylii Renacie. Gdy Denhof począł na rozkaz króla pełnić swoje obowiązki, królowa nie chciała go zrazu uznawać, mdlała, chorowała z rozdrażnienia; ale po kilku dniach uległa i Denhof ostał się na nowem stanowisku.

[2]) Memoriale *Radziwiłła:* Aprilis 1640.

[3]) Memoriale *Radziwiłła:* Januarius 1642 (wiadomość o narodzinach królewny). Wiadomość o śmierci tejże w depeszy nuncyusza Filonardego z datą: „Varsovia, 8 febbrario 1642. (Arch. watyk. Nunz. di Polonia, v. 49).

Kazimierza. W każdym razie jednak już i jako żona tamtego zdołała utorować drogę własnym wpływom na niektóre przynajmniej sprawy, co prawda, wpływom tak ograniczonym, że wobec nich przewaga woli męża nie wiele straciła na swej sile. To pewna, że Władysław widział się zniewolonym liczyć z życzeniami Ludwiki Maryi o wiele więcej, aniżeli z wolą pierwszej żony, i w stosunku do niej uciekać się częściej do próśb, niż do rozkazów.

Jedyny syn Władysława, urodzony 1. kwietnia roku 1640, otrzymał przy chrzcie imiona Zygmunta Kazimierza. Filonardi, który oglądał niemowlę w kolebce, zapewniał, że miało twarzyczkę prześliczną, i ojca przypominało rysami jak najzupełniej [1]). Władysław IV nie mógł się dosyć nacieszyć tym chłopakiem. Kiedy mu przyniesiono dziecię do łóżka, chociaż właśnie mocno cierpiący, zapomniał o boleściach i wołał z radością: „Witaj gościu nowy, gościu pożądany!“ Spełniło się jego najżywsze pragnienie: w synu tym ukochał on nietylko jedyne dziecię, lecz także jakby wcielenie swoich najbardziej ulubionych marzeń o dziedzicznym tronie, o założeniu dynastyi. Ale i w tym wypadku, jak w wielu innych, nie poszczęściło się królowi: nagła, krótka choroba zabrała mu już w roku 1647 (9. sierpnia) jedynaka w ósmym roku jego dziecięctwa [2]). Władysław był nieutulonym w żalu, i kto wie, czy ta bolesna strata nie przyspieszyła jego własnego zgonu.

---

[1]) Porównaj depeszę nunc. Filonardego z datą: „Varsovie, 12 Maggio 1640“. (Arch. watyk. Nunz. di Polonia. v. 49).

[2]) Memoriale *Radziwiłła:* ustępy z sierpnia i października roku 1647, i z lutego 1648.

II.

Finanse królewskie.

Gdy mamy przedstawić życie na dworze Władysława IV, to zaraz u wstępu narzuca się pytanie: jakie były warunki materyalne tego życia? bo, rzecz prosta, zarówno urządzenie dworu, jak i jego utrzymanie, było zawisłem od środków, jakimi król rozporządzał, od jego zwyczajnych i nadzwyczajnych dochodów.

Wiadomo, że w Polsce elekcyjnej nie wolno było królom posiadać żadnego osobistego, dziedzicznego majątku; (co prawda, nie przestrzegano zbyt ściśle tej zasady): podstawą ich materyalnego bytu miało być to zaopatrzenie, które im dawała Rzeczpospolita. Nie wyznaczono królom żadnych stałych dotacyi, lecz oddawano im do użytku różnorodne źródła dochodów w dobrach ziemskich, cłach, mytach i t. d. Do dóbr stołu królewskiego należały za czasów Wazów w Koronie ekonomie: samborska, sandomierska, rogozińska, malborska, (z tczewską) i t. zw. Wielkorządy krakowskie; na Litwie ekonomie: brzeska, grodzieńska, kobryńska, szawelska, olicka i mohylewska. Osobną grupę stanowiły dochody z t. zw. żup krakowskich, pod któremi rozumiano kopalnie zarówno wielickie, jak bocheńskie; jako też z olbory olkuskiej, t. j. z kopalń srebra i ołowiu w Olkuszu. Trzeciem, i to bardzo cennem źródłem dochodów, były cła i myta: w rachunkach z czasów Jana Kazimierza znajdujemy wyróżnioną ogólną kategoryę „ceł koronnych,“ obok osobno i szcze-

gółowo wymienionych: zakroczymskich, ruskich i wrocławskich; co do Litwy, istnieje jedyna kategorya: „myt starych." Jako ostatnie wreszcie, większe źródło dochodów, figurują w tychże rachunkach t. zw. „darowizny," a faktycznie stałe daniny pieniężne miast pruskich, i osobno z miast: Gdańska, Elbląga i Malborga. Wymieniamy w końcu oddzielnie t. zw. „Gottespfenig", t. j. dochód z miejscowości Tiegenhoff, leżącej na Żuławie malborskiej (o 27 km. na północ od Malborga), który także miał swoją osobną pozycyę w wykazach budżetowych dworu z XVII i XVIII wieku. Dochodów z mennicy zrzekł się Władysław IV na rzecz skarbu Rzeczypospolitej w paktach elekcyjnych [1]). Zarówno ekonomie, jak i cła, były wydzierżawiane: pierwsze szlachcie, zazwyczaj magnatom, drugie najczęściej Żydom.

To były zwyczajne, stałe dochody skarbu królewskiego. Oprócz takich miewali królowie z domu Wazów także dochody czysto-osobiste w procentach od sum neapolitańskich, któremi dzielili się jednak z innymi członkami swej rodziny [2]); a nadto, wszyscy wogóle królowie elekcyjni, także źródło dosyć znacznych korzyści materyalnych w prawie używalności wakujących starostw w ciągu roku i sześciu tygodni, od chwili nastania wakansu [3]). To były źródła czyste; nie całkiem czystem natomiast wydać nam się musi inne, które właśnie miało przynosić bardziej troskliwym o skarb panującym nie mało pieniędzy. Mamy na myśli rodzaj okupów, nakładanych na tych, którzy ubiegali się o wyższe godności, lub o starostwa. Wakans, lub urząd, dostawał się w takich razach oczywiście więcej ofiarującemu. Jakkolwiek konstytucye Rzeczypospolitej targów tego rodzaju nie dopuszczały, świadko-

[1]) „Volumina legum," tom III. str. 765.

[2]) Por. w moim zbiorze szkiców historycznych p. t.: „Z czasów Jana Kazimierza" ustępy na str. 109 — 110; nadto w relacyi Cefalego o stanie Polski z roku 1665, ustęp na str. 313 — 14. (Relacya nunc. Apost., tom II).

[3]) Por. wskazany powyżej ustęp w relacyi Cafalego.

wie, spółcześni Wazom, zapewniają, że szczególniej Zygmunt III czerpał niejednokrotnie z tego niedozwolonego źródła dochodów, a Jan Kazimierz miał podobno pod tym względem wstępować w ślady ojca [1]).

Rozumie się, że takich i tym podobnych dochodów nadzwyczajnych, zwłaszcza tajemnych, nie spisywano i nie wciągano do rachunków skarbu nadwornego; trudno więc wyrobić sobie o nich jakieś dokładniejsze wyobrażenie. Zresztą nawet o zwyczajnych dochodach królów w XVII wieku możemy mieć obecnie pojęcie, jedynie do prawdy zbliżone, niezupełne: bo dane, któremi na razie rozporządzamy, nie wystarczają nawet do odtworzenia najogólniejszego zarysu dziejów skarbowości nadwornej. Wiadomo, że już w pierwszej ćwierci XVI wieku skarb nadworny został oddzielony od skarbu Rzeczypospolitej; i podczas, gdy rachunki skarbu publicznego musiały być przedstawiane sejmom do sprawdzenia, to rachunków domu królewskiego nie miał prawa kontrolować nikt, prócz króla. Sporządzano więc wykazy dochodów i rozchodów dla użytku królów, i w archiwach też prywatnych królewskich musiały się one przechowywać, a następnie wraz z niemi rozproszyły się, lub może nawet w części przepadły. Dzięki badaniom Lubomirskiego, Pawińskiego i Korzona znamy dokładniej obroty kasowe skarbu nadwornego z czasów Zygmunta Starego, Stefana Batorego i Stanisława Augusta. Dzieje natomiast skarbowości nadwornej z wieku XVII i z pierwszej połowy XVIII stoją dotychczas odłogiem; brak nietylko opracowań, ale i wydanych materyałów, któreby tę stronę stosunków dworskich pozwalały wszechstronnie oświetlić. Z całego XVII wieku posiadamy, prócz kilku pobieżnych wzmianek w relacyach współczesnych, jedyny wydany drukiem krótki wykaz dochodów dworskich,

[1]) Por. ustęp na str. 314 w przytoczonej wyżej relacyi Cefalego; nadto w relacyi nuncyusza Marescottego z 1670/1, ustęp na str. 369 — 70 (w tymże zbiorze źródeł); wreszcie depeszę cyfrowaną nuncyusza Filonardego z 8 marca roku 1642. (Archiw. watyk. Nunz. di Polonia, t. 51).

i to tylko dochodów samej królowej Ludwiki Maryi, sporządzony w roku 1667 przez des Noyers'a dla informacyi ks. Kondeusza, a więc nie wykaz urzędowy [1]). Poszukiwania w mnóstwie nieskatalogowanych jeszcze rękopisów naszych archiwów publicznych i prywatnych usuną niezawodnie z czasem ten brak świadectw: bo oto wśród niewielkiej liczby przejrzanych przezemnie manuskryptów archiwum XX Czartoryskich w Krakowie udało mi się znaleźć dwa bardzo ważne wykazy dochodów i rozchodów skarbu królewskiego z lat 1651 — 1653, jeden niezupełny, i tylko w kopii zachowany, drugi zupełny i oryginalny, opatrzony podpisami urzędników, którzy rachunki kontrolowali [2]).

To, co dotychczas wiedzieliśmy o stosunkach finansowych królów polskich z czasów nowszych, dotycze, jak już powiedziałem, jedynie wieku XVI i końca XVIII. Wedle zajmujących dochodzeń Lubomirskiego, dochód zwyczajny skarbu królewskiego za Zygmunta Starego, w czasie między rokiem 1518 a 1523, wynosił od 30 do 40 tysięcy złp.; w czasie między r. 1525 a 1531, — przeciętnie około 60 tysięcy [3]). Na tych datach urywa się nasza wiedza o finansach dworskich z czasów Jagiellonów [4]). Badaniom Pawińskiego zawdzięczamy natomiast szczegółowe i ważne wiadomości z czasów Batorego. Król Stefan miewał, wedle obliczeń znakomitego uczonego, przeciętnie po 180.000 złp. z Korony, a 130.000

---

[1]) *Raczyński:* „Portofolio Maryi Ludwiki," tom II. str. 363 — 73.

[2]) Bliższe szczegóły o tych rękopisach, będą podane w dalszym ciągu.

[3]) *Lubomirski Tadeusz:* „Trzy rozdziały z historyi skarbowości," por. ust. na str. 24 — 80, 51, 56, 63, 66, 93 i 102.

[4]) W relacyach Fulwinsza i Juliusza Ruggierich z r. 1565 i 1568 (Rel. nunc. Apost., t. I. str. 143 i 179), znalazłem dwie wzmianki o dochodach Zygmunta Augusta, które jednak na nic nam się nie przydadzą, bo obaj Włosi pomieszali dochody skarbu królewskiego z dochodami Rzpltej. Przesadną niezawodnie jest także data w relacyi Giovanniniego, który dochody Zygmunta Augusta z roku 1565 oblicza na 500 - 600 tysięcy złp. (Korzeniowski: „Analecta Romana," str. 192).

złp. z Litwy, czyli razem 310.000 złp. [1]) Wedle opinii p. Korzona, który obliczenia Pawińskiego kontrolował, należałoby tę kwotę powiększyć o jakieś 120.000, a więc przyjąć, że przeciętny dochód Batorego dosięgał sumy 430.000 złp. [2]) W relacyach z końca XVI i z całego XVII wieku znajdujemy zaledwie parę niecałkiem pewnych, bo pochodzących od cudzoziemców, wzmianek o stosunkach materyalnych królów polskich. I tak nuncyusz Malaspina w roku 1598 utrzymuje, iż Zygmunt III nie miewał w tym razie więcej, jak 500.000 złp. rocznego dochodu [3]). Możemy uznać tę datę za wiarogodną, gdyż przystaje ona do tego, co wiemy o skarbie nadwornym z czasów Batorego: przyrost dochodów o jakichś kilkadziesiąt tysięcy w ciągu lat dziesięciu jest całkiem prawdopodobnym. Dalsze znane relacye przenoszą nas odrazu w czasy ostatnich lat rządów Jana Kazimierza. O dochodach wymienionego co dopiero króla mówi w swej relacyi o stanie Polski Sybastyan Cefali, ale tylko ogólnikowo, bez podania jakichkolwiek dokładniejszych danych w cyfrach; natomiast nuncyusz Galeazzo Marescotti zapisuje wyraźnie, że król miewał około roku 1670 dochodu rocznego 1,200.000 złp. [4]). Zresztą, ze znanych opracowań i wydanych drukiem źródeł wiemy tylko tyle, że za Augusta II dochód ten zmalał (wyjątkowo) do 1 miliona złp., ale za Stanisława Augusta podniósł się zaraz w pierwszych latach do przeciętnej sumy 6,600.000 złp., a w latach 1790 — 1792, wynosił od 8½ do 10 milionów [5]).

Wobec wielkiego niedostatku danych z XVII wieku, bardzo szacowną wartość mają dla nas te dwa wykazy, które się przechowały w rękopisach archiwum książąt Czartoryskich

---

[1]) Skarbowość za Stef. Batorego“ str. 130 i 467.

[2]) W recenzyi książki Pawińskiego, („Tygodnik Illustrowany,“ 1881, nr. 283, str. 347).

[3]) Relacya nunc. Apost., tom II. str. 79—80.

[4]) Relacya nunc. Apost. tom II. str. 313—14 i 369 — 70.

[5]) *Korzon:* „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“, tom III, str. 12 — 87, (por. nadto przypisek 3-ci str. 5).

w Krakowie, tembardziej, że dotyczą dwulecia od wiosny roku 1651 do wiosny roku 1653, a więc mogą nam dać pojęcie o stanie skarbu nadwornego w czasach, bardzo bliskich okresowi rządów Władysława IV [1]).

Rok budżetowy liczył się wedle tych wykazów od 1. kwietnia, kończył się na 31. marca; wykaz pierwszy odnosi się do roku budżetowego 1651/2, wykaz drugi do następnego, 1652/3. Ogólne sumy dochodów królewskich w tych dwóch latach różnią się między sobą bardzo znacznie: w roku 1651/2 dosięgał ogólny dochód summy 1,004.027 złp. 27 gr., w następnym wynosił tylko 684.332 zł. 3 gr. [2]). Różnica ta

---

[1]) Rękopis bibl. Czartor. z r. 1739 zawiera jedynie odpis regestru dochodów królewskich w ciągu jednego roku, t. j. od 1 kwietnia roku 1651 do 31 marca roku 1652, i nadto odpis regestru wydatków na dwór, w ciągu jednego tylko kwartału r. 1651. Wedle notatki, umieszczonej na czele rękopisu (która brzmi: „Przepisano w Sztokhoimie r. 1810“), oryginał regestru musi się znajdować w któremś archiwum sztokholmskiem. Natomiast rękopis z roku 1729 zawiera wyłącznie oryginalny, urzędowy regestr dochodów i rozchodów skarbu nadwornego z całego jednego roku, opatrzony na końcu wizą z własnoręcznymi podpisami urzędników nadwornych, takiej osnowy: „Visum. My, niżej podpisani, rewidowaliśmy ten regestr roku 1654 d. 30 marca. G. Butler, P. N. K. (podkomorzy nadworny koronny). Thom. Lezeński. St. Sarnowski“.

[2]) Tu musimy nadmienić, że w kopii regestru z r. 1651/2 zachodzi kilka bardzo grubych błędów, a to w samem zsumowaniu dochodów, tak koronnych i litewskich z osobna, jak oczywiście wskutek tego także w zestawieniu dochodów ogólnych. Omyłka jest bardzo znaczna, bo chodzi o różnicę stukilkudziesięciu tysięcy. „Suma percepty z ekonomii koronnych“ podana jest w rękopisie 272.469 zł. 4 gr., podczas gdy ze zsumowania pojedynczych pozycyj wynika, że powinna była wynosić 272.061 zł. 4 gr.; suma percepty z Litwy wynosiła wedle rękopisu tylko 598.464 zł. 17 gr., podczas gdy wedle mego obliczenia powinnaby dać sumę 731.963 zł. 23 gr. Wskutek tego też w rękopisie ogólny dochód, obliczony na 870.933 zł. 21 gr. 13 den., podczas gdy zliczenie obu podanych przezemnie sum powinnoby dać kwotę 1,004.027 zł 27 gr. Rachunek sprawdzałem kilkakrotnie, ale nie mogłem dojść, jaka była przyczyna tej tak grubej omyłki. Jest rzeczą wprost niemożliwą, żeby przy sporządzaniu oryginalnego regestru przepuszczono tak ra

pochodzi stąd, że w rachunkach z roku 1651/2 figurują dosyć znaczne pozycye dochodów, które zapewne wpływały do skarbu tylko co lat kilka (mianowicie donatyw), jako też zwrotów (ze skarbu Rzeczypospolitej) sum, wydanych z kasy królewskiej w poprzednich latach na potrzeby publiczne. Biorąc jednak z konieczności za podstawę obliczenia dwie powyższe dane, jako jedynie autentyczne, musimy przyjąć, że przeciętny dochód skarbu nadwornego w pierwszych latach rządów Jana Kazimierza wynosił około 850 tysięcy złp. Ponieważ mamy do czynienia z regestrami nader rzadkimi, bo na razie, o ile wiadomo, jedynymi na cały wiek XVII, przeto wypada nam z niektórymi, przynajmniej ważniejszymi, ich szczegółami zapoznać bliżej czytelników, zwłaszcza, że wobec braku analogicznych danych z czasów Władysława IV, dadzą nam one zarazem względnie najbardziej przybliżone do prawdy wyobrażenie o źródłach i wysokości dochodów skarbu królewskiego, także i za życia tego bezpośredniego poprzednika Jana Kazimierza.

W obu wykazach znajduje się obok pozycyi, stojących w związku ze znanemi i wyliczonemi wyżej źródłami dochodów królewskich, także jedna, która wymaga wyjaśnienia,

---

żące niedokładności: albo więc kopista sam zsumował szczegółowe dane, i przeprowadził mylnie obliczenie, albo też przy odpisywaniu błędnie odpisał niektóre pozycye, czego nieuniknionem następstwem musiała być ta rożnica, jaka zachodzi między cyframi sum w rękopisie, a mojem obliczeniem. Ja wychodzę z założenia, że prawdopodobniejszem jest, iż zaszła omyłka w rachunku, w sumowaniu; odrzucam więc ogólne sumy, *a trzymam się szczegółowych pozycyi*. Jak jednak rzecz miała się w istocie, to będzie można stwierdzić dopiero po wykryciu oryginalnego regestru. Porównanie z oryginalnym regestrem z następnego roku nie może pomódz do sprostowania danych wykazu z roku 1651/2, gdyż różnice między pojedynczemi pozycyami w jednym i drugim wykazie są od początku do końca bardzo znaczne. W regestrze oryginalnym z roku 1652/3 omyłek niema. W dalszym ciągu, cytując cyfry, będę podawać kwoty w złotych i groszach, a pomijać denary.

a brzmi zazwyczaj: „Ze szkatuły J. kr. Mci". Wedle naszego rozumienia, pod rubryką tą uwidocznione są te sumy, które król wykładał na potrzeby dworu ze swoich ściśle osobistych dochodów, a więc tak tych, które mu przybywały w formie procentów od sum neapolitańskich, jak może i innych nadzwyczajnych, które napływały ze źródeł bliżej nieznanych. Nadmieniamy nadto, że w obu wykazach są wprawdzie zestawione dochody z Korony i osobno z Litwy, ale pod kategoryę dochodów litewskich podciągnięto rozmaite przybytki, które właściwie żadnego związku z W. Księstwem i źródłami tamtejszych dochodów nie mają. W zestawieniach poniższych będziemy więc podawać, obok obliczeń urzędowych, także i nasze własne, z osobnem wyszczególnieniem tych dochodów, które ani pod dział koronnych, ani pod dział litewskich podciągnąć się nie dają.

Wedle wykazu pierwszego, dochód w ciagu roku urzędowego, od 1. kwietnia roku 1651 do 31. marca 1652, wynosił z Korony 272,064 zł. 4 gr., z Litwy 731,963 zł. 23 gr. Po przeprowadzeniu kontroli, możemy jednak tylko sumę dochodów koronnych przyjąć bez poprawki; co do drugiej cyfry zaznaczamy, że, ściśle biorąc, z samego W. Księstwa przybyło do skarbu królewskiego tylko 502.918 zł. 15 gr., a reszta weszła do rachunków litewskich całkiem niewłaściwie, gdyż składają się na nią takie pozycye, jak donatywy z ziem i miast pruskich, wpłaty ze szkatuły królewskiej i t. d. Ogólna suma tej wpłaty wynosi 33.988 zł.; z donatyw wpłynęło 155.506, różne inne zródła dochodów, także niemające związku z litewskimi, przyniosły razem 39.553 zł. 3 gr.

W szczególności przyniosły ekonomie koronne:

Wielkorządy krakowskie	8.000 zł.
Samborska	66.000 „
Rogozińska	12.000 „

Dochodów z innych ekonomii koronnych w rachunkach z roku 1651/2 uwidocznionych niema, chyć może, że

dzierżawcy ich spłacali sumy należne w ratach kilkoletnich, albo zaliczyli kwotę, przewyższającą kilka razy należytość za wydzierżawienie, z góry w którymś roku poprzednim).

Z żup krakowskich wpłynęło w tymże samym czasie 101.400 złp. z ceł koronnych 52.202 złp. 28 gr., z ceł wrocławskich 7.000, z ceł ruskich 156 złp. 6 gr., z ceł zakroczymskich 2.000, i wreszcie z Tiegenhoffu [1]), czyli Nowego dworu 7.000 złp.

Ekonomie litewskie dały:

Szawelska i olicka razem .	92.214	złp.	
Brzeska	54.274	„	15 gr.
Kobryńska	168.588	„	
Grodzieńska	24.884	„	10 „
Mohylewska	139.616	„	
Pińsk	4.000	„	

Z „myt starych“ litewskich wpłynęło 19.349 złp. 19 gr.; w formie donatyw: od ziem pruskich 100.000 złp., od Gdańszczan 42.012, od Elblążan 6.000, od mieszczan malborskich 12.000, od Gniewu 300 — i jedna od „Nakielskiego“, której bliżej objaśnić nie umiemy, w kwocie 5.994 złp.

Na sumę 39.553 złp. 36 gr., którąśmy podciągnęli pod ogólną kategoryę nadzwyczajnych dochodów, złożyły się w części zwroty ze skarbu koronnego i parę innych pozycyi, które wymagałyby bliższych komentarzy, aby się stać mogły dla nas zrozumiałemi (np. pozycya: „zwrot za srebro od Świętochowskiego 8.050“, od „Radwańskiego“ 6.000 i t. d.).

Tyle z pierwszego wykazu. Rachunki z roku 1652/3 wykazują, jak zaznaczyliśmy wyżej, dochód o 319.696 złp. mniejszy od dochodu z poprzedniego roku. Na dochód ten złożyła się Korona sumą 226.626 złp. 24 gr., Litwa wedle wykazu sumą 457.705 złp. 9 gr.; tylko co do tego wykazu

[1]) W rękopisie kopista, mylnie odczytawszy ten wyraz, napisał: „Pygnoff“.

litewskiego musimy znowu zauważyć, że wciągnięto doń rozmaite dochody, które z litewskiemi źródłami nie miały żadnego związku. Ściśle biorąc, z Litwy wpłynęło właściwie nie więcej, jak 383.706 złp. 24 gr., a reszta to były wpływy po części ze szkatuły królewskiej, po części z dóbr, leżących po za obrębem W. Księstwa. Wciągnięto mianowicie do rachunku litewskiego dochód z ekonomii malborskiej w kwocie 1.625 złp., z Nowego dworu (Tiegenhoffu) w kwocie 3.700, wpłatę ze szkatuły królewskiej w wysokości 15.132 złp. 29 gr., i dalej sumy 15.305 złp. 19 gr., wpłacone „za asygnacyą podskarbiego koronnego“ (znowu jakiś zwrot pieniędzy, wydanych przez króla na potrzeby Rzeczypospolitej), 1.800 „od królowej JMci na piechotę węgierską“, 1.000 „od JMci X. Prażmowskiego na stajnię“.

Z ekonomii koronnych wpłynęło w tym roku bardzo mało, bo tylko 15.000 złp., a to z Wielkich Rządów 3, z Rogoźna 12 tysięcy złp. (ekonomii malborskiej nie wliczają rachunki do koronnych).

Ekonomie litewskie dały nierównie więcej, bo razem 358.106 złp. 21 gr., a to:

Szawelsko-olicka . . .	58.517	złp.
Kobryńska	35.500	„
Mohylewska	119.000	„
Grodzieńska	57.750	„
Brzeska	60.000	„

Zaległości z lat poprzednich 27.339 złp. 21 gr.
Z „myt starych“ litewskich przybyło 25.600 złp.

Takie były dochody króla Jana Kazimierza w pierwszych latach jego panowania. Cyfry powyższe mogą nam dać jednak tylko przybliżone pojęcie o przeciętnej sumie dochodów Władysława IV: bo to jest widoczna, z zestawienia danych z różnych czasów, że sumy dochodów królewskich stopniowo wzrastały: jeżelibyśmy przyjęli datę Marescottego

z czasów Michała Wiśniowieckiego za ścisłą, (a nie mamy powodu powątpiewać o jej dokładności, bo cyfra, przezeń podana, jest wyższą tylko o 200.060 od cyfry dochodów królewskich z roku 1652/3); to możnaby stwierdzić, że w ciągu niecałego wieku, od czasów Batorego, suma roczna dochodów królewskich urosła do potrójnej liczebnej wysokości. Jeżeliby więc przeciętny dochód za czasów Jana Kazimierza dosięgał nawet sumy 850.000 złp., to dla czasów Władysława IV nie wolno nam przyjąć przypuszczalnej przeciętnej kwoty wyższej nad 600—700 tysięcy.

Cokolwiek wiemy o stosunkach materyalnych Władysława IV i o całej jego gospodarce finansowej, wszystko zgodnie świadczy o tem, że po śmierci rządnego i oszczędnego Zygmunta III, za panowania jego syna, dochody nadworne (wyjątkowo!) bynajmniej nie powiększyły się, mimo, że Rzeczpospolita oddała mu do dyspozycyi też same źródła korzyści materyalnych, z których czerpał Zygmunt III, a nawet nieco je pomnożyła[1]). Wiemy nadto z relacyi Cefalego z roku 1665, iż „póki administratorami żup solnych byli przedniejsi senatorowie, co trwało aż do roku 1649, król nie miał z nich więcej, nad 40.000 złp.“ [2]), gdy już wedle rachunków z lat 1652—1653, zwyczajny dochód z żup solnych wynosił blisko 100.000, a wedle wyjaśnień wymienionego co dopiero Cefalego, w ciągu wojen szwedzkich miał urość aż do 400 tysięcy. Szczegóły powyższe przestrzegają przed zbyt wygórowanemi obliczeniami: może więc najwięcej zbliżymy się do prawdy, jeśli przyjmiemy przypuszczalną cyfrę możliwie najniższą, to jest oznaczymy prawdopodobny przeciętny dochód roczny skarbu Władysława IV na sumę 600 tysięcy złotych polskich.

[1]) Porównaj zwłaszcza w znanej relacyi nuncyusza Viscontego ustęp na str. 190—191. (Rel. nunc. Apost. II), i nadto depeszę cyfr. nunc. Filonardego z 8. marca 1642 r. (Archiw. watyk. Nunz. di Polonia, tom 51).

[2]) Relacye nunc. Apost., tom II, str. 317.

Czy było to dużo? Aby dać odpowiedź na to pytanie, trzebaby przeprowadzić porównanie między dochodami naszych królów i współczesnych innych monarchów, z uwzględnieniem ich rangi, że tak powiemy, mocarstwowej, w rzędzie władców europejskich. Ale, niestety, przeprowadzenie takiego porównania jest obecnie prawie niemożebnem, z powodu braku pewniejszych danych o dochodach przeważnej części monarchów z XVII wieku, a potem i dla tej przyczyny, że w państwach, samowładnie rządzących, skarb państwa był faktycznie zarazem skarbem królewskim, z którego panujący czerpali dowolnie. Materyałów do dziejów skarbowości w państwach europejskich XVII wieku wydano dotychczas bardzo niewiele, a jeszcze mniej opracowań tychże dziejów: co wiemy pewniejszego, to odnosi się głównie do stosunków finansowych Francyi, i w szczególności dworu francuskiego za Ludwika XIV. Wedle dochodzeń Philippsona i Levasseura, obracał Ludwik XIV w siódmym dziesiątku lat XVII wieku na swoje osobiste i dworskie wydatki rocznie około 40 milionów liwrów, a to mniej więcej po 10 milionów na potrzeby domu królewskiego, dworu, na budowle i na wydatki tajemne (*déspenses sécrètes*, jak się ogólnie wyraża Levasseur). Wiemy skądinąd, że stół królewski kosztował rocznie półtora miliona, i osobno sama piwnica milion; że płace urzędników nadwornych pochłaniały $2\frac{1}{2}$ miliona, a rachunki apteki królewskiej wykazywały zwykle 180.000 liwrów. Nadzwyczajne wydatki dosięgały nieraz sum ogromnych: i tak, wedle Philippsona, w ciągu jednego roku wydano na rozmaite uroczystości dworskie 2,000.000; jedna podróż do Wersalu kosztowała 1,200.000 liwrów, jedna wystawna uczta 300.000. Otóż trzeba wiedzieć, że właśnie w tym samym czasie, wedle tabelki Payena, 1 liwr równał się co do wartości ówczesnemu złotemu polskiemu [1]: cyfry więc po-

[1] Porównaj w dziełku: „Les voyages de M. Payen, lieutenant général de Méaux“ (wydanie drugie z roku 1668, na str. 158 tabelkę: „Monnaie de Pologne“.

wyższe, podane w liwrach, odpowiadają takim samym sumom w złotych. Łatwo wobec tego zrobić porównanie z przeciętnym dochodem królów polskich w tych samych latach (za Jana Kazimierza 850.000 złp., a ponieważ chodzi o siódmy dziesiątek XVII wieku, przyjmujemy nawet z uwzględnieniem cyfry, podanej przez Marescottego, z roku 1670/1, przeciętny milion). Okaże się, że król polski miał w trzeciej ćwierci XVII wieku do rozporządzenia fundusze, czterdzieści razy mniejsze, od dochodów króla fancuskiego; że dochód jego roczny wynosił mniej, aniżeli wydatek Ludwika XIV nadzwyczajny na jedną podróż do Wersalu; tyle, ile pochłaniała rocznie sama piwnica „Króla-Słońca", i wreszcie trzy razy tylko więcej, niż kosztowała jedna uroczysta feta na dworze francuskim! Ale zamiast przyrównywać do królów zstąpmy niżej, i wciągnijmy do zestawienia dochody magnatów. Oto majątek Wallensteina wynosił około roku 1625 jakieś 50 milionów guldenów; majątek Mazariniego w chwili jego śmierci (1661 r.), 40 do 50 milionów liwrów; a więc pierwszy reprezentował (licząc tylko 5% dochodu) dochód roczny $2^1/_2$ miliona guldenów, (a 1 „Reichsgulden" równał się, wedle Zagórskiego, 1 złp. 24 gr. z czasów Władysława IV), drugi $2-2^1/_2$ miliona liwrów, czyli tyleż złotych polskich, to jest znowu 2—3 razy więcej, niż współczesny dochód króla polskiego.

Wracając do porównania z dworem francuskim, uznajemy, że był to dwór najbogatszy i najwspanialszy w całej Europie; że inni monarchowie prawdopodobnie znacznie mniej wydawali na swoje potrzeby i zbytki; ale czyż ranga Rzeczypospolitej i króla polskiego, w stosunku do Francyi i jej panującego, była tak podrzędną, iżby odpowiadała stosunkowi 1:40? Z pewnością nie: Polska była w XVII wieku mocarstwem, bądź co bądź, drugorzędnem, i mogła się stawiać w tym rzędzie, w którym stawiano Hiszpanię i Szwecyę. A jeśli honor Rzeczypospolitej i względy na *decorum* wymagały tego, ażeby, co do zewnętrznej okazałości życia

i wystąpienia, nie pozostawać w tyle po za innemi równorzędnemi państwami, i godnie występować nawet obok najświetniejszych dworów europejskich, to łatwo zrozumieć, że utrzymywanie dworu polskiego na stanowisku drugorzędnem w stosunku do francuskiego było u nas poprostu niemożliwem wobec kilkadziesiąt razy mniejszych dochodów naszych królów.

Mógłby ktoś wywnioskować z powyższego wywodu, że ubolewamy nad niedostatecznem uposażeniem królów polskich i jesteśmy zdania, iż Rzeczpospolita powinna była lepiej zaopatrywać swych panów. Zastrzegamy się przeciw takiemu domysłowi wyraźnie, gdyż wniosek taki byłby wprost sprzeczny z naszym na rzeczy poglądem. Że Ludwik XIV potrzebował aż 40 milionów liwrów na swoje rzekome „potrzeby", i w istocie tyle zazwyczaj rocznie wydawał, to z pewnością jemu chluby nie przynosi, a Francyi przyniosło większą szkodę, niż pożytek; a że natomiast królowie polscy umieli zaspakajać analogiczne potrzeby sumą 40 razy mniejszą, to można uważać jedynie za objaw, korzystnie o nich świadczący, a nie ubolewania godny. Wykaz przeciętnych wydatków dworu polskiego w XVII wieku jest nowem świadectwem przeciw niesłychanej rozrzutności królów francuskich, jest jednym dowodem więcej, jak niezmiernie wiele ponad potrzebę wystawnego nawet dworu pochłaniał corocznie dwór wersalski, kosztem milionów poddanych, z których wielu nie miało dachu nad głową, i wedle dochodzeń Taine'a, w latach nieurodzaju, żywiło się samą niełedwie trawą... Jeżeliśmy przeprowadzili powyższe porównanie, to jedynie dlatego, aby w niem posiąść jeden więcej argument, pomocny do częściowego przynajmniej usprawiedliwienia tej rzekomej niegospodarności finansowej, o którą się obwinia często zarówno Władysława IV, jak i Jana Kazimierza. Obydwaj oni byli zawikłani całe życie w kłopoty pieniężne; obydwaj zabrnęli w długi, których ciężar spadł w znacznej części na spadkobierców. Otóż, warto się zastanowić, czy zadłużenie

się to nie miało swej głównej przyczyny w chęci, a niekiedy wprost w potrzebie dostrajania się do kamertonu innych równorzędnych dworów zagranicznych? Trzeba było przyjmować gości królewskich, posłów zagranicznych; trzeba było wchodzić w związki pokrewieństwa z najmożniejszymi rodami, panującymi w Europie. Trzeba było wreszcie okazywać wobec cudzoziemców, że królowie polscy są bogatymi, bo to znaczyło, że i Rzeczpospolita jest możną i bogatą; i nietylko, że są bogatymi, ale że nie są biedniejszymi od królów hiszpańskich, angielskich i szwedzkich. Każda taka próba dotrzymywania towarzystwa i utrzymywania się w równym rzędzie z bogatszymi, zwłaszcza dorównania, choćby na czas krótki, dworowi francuskiemu pod względem wystawności życia (n. p. w chwili jakiejś nadzwyczajnej uroczystości, koronacyi, wesela i t. d.), musiała za sobą pociągnąć znaczne przekroczenia budżetu dworskiego.

Bo zresztą, gdyby dochód królów polskich wziąć sam w sobie, bez uwzględnienia relatywnego stosunku do budżetu innych dworów spółczesnych, to właściwie trzebaby uznać, że mógł on zupełnie wystarczyć na utrzymanie nawet bardzo wystawnego dworu. Suma 600.000 złp., (przeciętny dochód za Władysława IV), wydaje się na pierwszy rzut oka niezbyt wielką. Ale rzecz to wiadoma, że w owych czasach złoty polski miał inną wartość bezwzględną; a względna jego wartość, wobec ówczesnych, znacznie niższych cen zboża i towarów, była nierównie wyższą od dzisiejszej. I tak, wedle tabelki Czackiego, 1 złp. z czasów Władysława IV równał się przeciętnie 3 złp. z naszych czasów [1]). Dalej, wedle

[1]) Tabelę Czackiego i nadto wiele danych o wartości pieniędzy z czasów Władysława IV podaje Ignacy Zagórski w dziele p. t. „Monety dawnej Polski“, Warszawa, 1845. (Porównaj zwłaszcza ustęp na stronie 46).

Wedle tabeli Czackiego, 1 złoty z roku 1639 miał wartość dzisiejszych 3 złp. 4 gr., z roku 1640 — 2 złp. 26 gr., z roku 1650 i 1662 — 3 złp. dzisiejsze. Przyjmujemy więc jako przeciętną wartość

ustawy cen miasta Warszawy, korzec pszenicy kosztował w początkach drugiej ćwierci XVII wieku 1 złp. 20 groszy [1]). Gdybyśmy w braku danych z późniejszych czasów przyjęli tę cenę za wymiennik, i zestawili ją z dzisiejszą ceną korca pszenicy (przeciętnie 8 złr. w. a., a to jest 6 rubli 30 kop.), i uwzględnili nadto określony wyżej stosunek wartości bezwzględnych, to okazałoby się, że 1 złp. z drugiej ćwierci XVII wieku miał wartość dzisiejszych 72 złp. Znaczyłoby to, że 600.000 złp. z czasów Władysława IV równało się co do wartości jakimś 43,200.000 dzisiejszych złp., czyli (przy teraźniejszym kursie $66^2/_3$ kopiejek w złocie za 100), 4,266.240 rubli w złocie. Przeszło cztery miliony rubli, to znaczy więcej, niż wynosi dzisiaj lista cywilna cesarza austryackiego (niespełna 5 mil. złr. w. a.), więcej, niż takaż lista królowej angielskiej (przeszło 400 tysięcy funtów szterlingów), i nie o wiele mniej, niż pobiera z kasy państwa cesarz niemiecki (około 13 milionów marek). Prawda, że każdy z wymienio-

bezwzględną 1 złotego z czasów Władysława IV i Jana Kazimierza okrągło, jako równą dzisiejszym 3 złp.

[1]) Brak nam, niestety, danych pewniejszych co do cen zboża i innych towarów z czasów Władysława IV. O ile wiemy, żadnych cenników z czasów tego króla dotychczas u nas nie wydano. Natomiast ogłosił, jak wiadomo, p. Adam Chmiel w „Archiwum komisyi historycznej" tom VII cenny wykaz p. t.: „Ustawy cen dla miasta starej Warszawy", gdzie się znajdują dane co do cen zbóż i innych towarów z pierwszych trzech dziesiątków lat XVII wieku: do czasów więc Władysława IV wykaz ten nie sięga. Z tego to wykazu bierzemy najpóźniejszą względnie, bo z roku 1627 pochodzącą, wzmiankę o cenie pszenicy (str. 240) korzec po 1 złp. 20 gr. Możemy tę cenę pszenicy przyjąć bez obawy popełnienia grubej omyłki za minimalną dla pszenicy w pierwszej przynajmniej połowie rządów Władysława IV. Różnica między cenami z roku 1627, a n. p. z lat 1635 — 40 nie mogła być znaczną, skoro od roku 1606 urosła tylko o 16 gr. (cena z roku 1606 wedle daty na str. 60: 1 złp. 6 gr.).

Rozumie się, że całe powyższe obliczenie, oparte na zestawieniu cen samej tylko pszenicy, nie może mieć pretensyi do uchodzenia za ścisłe.

nych monarchów posiada, prócz funduszów z listy cywilnej, nadto ogromne dochody ze swoich własnych majątków; ale, bądź co bądź, sumy, wyszczególnione powyżej, mogłyby dzisiaj same doskonale wystarczyć na utrzymanie nie jednego z drugorzędnych dworów, a więc też i równająca się im co do wartości suma 600.000 złp. powinna była stanowić wystarczające utrzymanie nawet wystawnego dosyć dworu w XVII wieku.

Tak nam się wydaje: ale ze źródeł współczesnych wiemy na pewno, że Władysławowi IV nie wystarczała. W ciągu całego okresu swoich rządów znajdował się król prawie ustawicznie w kłopotach pieniężnych, i to nieraz w kłopotach nader dotkliwych: niektóre szczegóły o stosunkach materyalnych Władysława, przekazane nam przez wiarogodnych świadków, są tak drastyczne, że wydają się nieledwie nieprawdopodobnemi. Mimo, że Zygmunt III miał zostawić synowi dosyć znaczne sumy w gotówce, bo co najmniej 50.000 dukatów w złocie [1]), mamy wiadomość już z roku 1634, że część klejnotów królewskich znajdowała się u Żydów w zastawie [2]). W przeciągu pierwszych siedmiu lat panowania położenie materyalne króla nietylko się nie poprawiło, lecz musiało się, owszem, pogorszyć bardzo znacznie, skoro od roku 1639 mnożą się wzmianki w źródłach o „niedostatku“ królewskim, a od roku 1640 datują się usilne zabiegi Władysława IV, o uzyskanie od Rzeczypospolitej subwencyi dla pokrycia osobistych swych długów. Kanclerz litewski, Albrecht Radziwiłł, notuje w pamiętniku swoim pod datą 8. grudnia 1639 roku, że „takie ubóstwo panuje u stołu króla, iż ledwie około południa drzewo i mięso przyniesiono do kuchni, i służba do czwartej po południu czekała o głodzie, a król sam przy zamkniętych drzwiach spożył obiad, z kilku

[1]) *Radziwiłła Albr.* „Memoriale“, ustęp z 4. maja 1632.

[2]) Por. list Władysława IV do podskarbiego kor. z 8. grudnia roku 1634. (*Grabowski A.:* „Wład. IV listy“, str. 65—66).

potraw złożony...[1]). Musi być w tym szczególe coś prawdy, skoro w roku następnym Władysław uznał za konieczne odwołać się do skarbu publicznego z żądaniem, aby obaj podskarbiowie Rzeczypospolitej, „wobec ciężkiej nawały długów“, uciskających króla, „łącznie obmyślili utrzymanie i porządek stołu królewskiego“. Podskarbiowie uczynili zadosyć woli pana: skarb koronny wziął na siebie pokrywanie wydatków stołu i stajni; skarb litewski wypłatę pensyi dla służby dworskiej i gwardyi[2]). Jakiem prawem? Tego dobrze nie rozumiemy: boć przecież skarb Rzeczypospolitej nie był obowiązany do utrzymywania dworu i podskarbim nie było wolno używać pieniędzy publicznych na pokrywanie wydatków osobistych króla. Król miał sobie przeznaczone osobne, wiadome źródła dochodów, i z tych tylko źródeł miał prawo czerpać fundusze na opłacenie potrzeb własnych i swojego dworu. Ponieważ Radziwiłł, za którym powtarzamy tę całą wiadomość, rzeczy bliżej nie wyjaśnia, przeto musimy rozumieć, że podskarbiowie przyjęli tylko na własną odpowiedzialność i tymczasowo ciężar wydatków królewskich na skarb publiczny: to jest, dostarczali królowi do czasu funduszów ze skarbu Rzeczypospolitej, w formie pożyczki[3]). Był to więc środek ratunku doraźny i chwilowego znaczenia, który stawiał króla w jeszcze trudniejszem położeniu, czyniąc go dłużnikiem Rzeczypospolitej. Długi narastały z każdym miesiącem, i wreszcie, w roku 1642, doszło do tego, że, jeśli wierzyć nuncyuszowi Filonardemu, wówczas z Władysławem

[1]) Jak zwykle przytaczamy nie tekst przekładu, wydanego przez Raczyńskiego, lecz przekład, dokonany przez nas samych z oryginalnego tekstu „Memoriale“.

[2]) *Radziwiłła* „Memoriale“, ust. z 6. czerwca 1640.

[3]) Domysł nasz znajduje dosyć wyraźne potwierdzenie w słowach samegoż podskarbiego koronnego, który na sejmie konwokacyjnym z roku 1648 publicznie usprawiedliwiał ubóstwo skarbu Rzeczypospolitej między innemi racyami i tą: że „za żywota ś. p. króla JMci wiele się *anticipative na necessitates króla JMci occurentes* przybierało... (*Michałowski*: „Księga pamiętn.“, str. 143).

poróżnionemu, „król widział się zupełnie pozbawionym możności popłacenia tych długów, i pokrywania nietylko wydatków, odpowiednych godności, ale nawet koniecznych“, i że kupcy poczęli mu po prostu odmawiać kredytu [1]). Zresztą, możemy sobie o ówczesnem położeniu materyalnem Władysława IV wyrobić dosyć jasne wyobrażenie, bo mamy pod ręką wykaz długów, które Rzeczpospolita w roku 1643 za króla popłaciła [2]). Dosięgały one, wedle literalnego brzmie-

[1]) Por. depeszę nunc. Filonardego z 8. marca 1632 (Arch. watyk. Nunz. di Polonia, tom 51). Uwagi godnem jest także, co podaje Radziwiłł w „Memoriale“ pod datą czerwcową roku 1641. Jak wiadomo, przyjmowanie i utrzymywanie posłów cudzoziemskich było obowiązkiem króla. Otóż król miał się znajdować — wedle Radziwiłła — w roku 1641 w takich kłopotach pieniężnych, że nie chciał, czy nie mógł opłacać kosztów utrzymania przebywających właśnie w lecie roku 1641 w Polsce posłów tatarskich. *Tartari illi*, są słowa Radziwiłła — *qui Solcum missi (erant), iam Gostinium migrarunt, destituti victu consueto dando et pecunia Regia; equos proprios comederunt et vi venditoribus extorquebant victualia fugamque meditabuntur: fuerant aliquot consilia, qua neratio legatis extraneis provideri possit, ne egestos denudaretur etc.*

[2]) Wykaz ten znalazłem w rękopisie, będącym własnością hr. Romana Michałowskiego z Dobrzechowa (w Galicyi). Rękopis, oznaczony starą sygnaturą jako tom XIV, jest jednym z siedmiu, pozostałych po Jakubie Michałowskim, wojskim lubelskim, a później kasztelanie bieckim, który żył za czasów Władysława IV i Jana Kazimierza. Zawiera on *miscellanea* z czasów Wazów; prócz kopii rozmaitych aktów publicznych, także prywatne akta familijne. W tymże tomie znajduje się między innemi odpis regestru, który jakaś inna ręka (nie ręka kopisty) opatrzyła w XVII wieku napisem: „Króla JMci Władysława IV długi, które Rzeczpospolita płaciła“. Jest w tym wykazie, zapełniającym kilka stronic pisma, kilka oddziałów. A więc najpierw: „Regestr wydatków prywatnych J. K. Mci, pieniędzy na potrzeby Rzeczypospolitej podczas rekuperowania Prus“. Dalej rubryka: „Inne długi“. Dalej: „Na stołowe potrzeby Króla JMci długi zaciągnione“. I wreszcie: „A zasłużone dworowi Kr. JMci“, (zaległości pensyi dworskich niewypłaconych).

Wykaz cały jest widocznie nie żadnym oryginalnym, urzędowym aktem, lecz kopią jakiegoś wykazu, niezawodnie sporządzonego na

nia wykazu, już w roku 1641 łącznej sumy 4.447.239 złp. 9 gr. Muszę jednak nadmienić, że jest to wprawdzie kwota, którą Rzeczpospolita miała wypłacić, ale nie przedstawia ona sumy samych wyłącznie długów królewskich. W wykazie tym bowiem, u wstępu, znajduje się dział, pod napisem: „Regestr wydatków z prywatnych J. Kr. Mci pieniędzy na potrzeby Rzeczypospolitej podczas rekuperowania Prus“, z którego wynika, że Władysław IV miał do Rzeczypospolitej uprawnioną pretensyę o zwrot znacznych funduszów, wyłożonych z własnej kieszeni na cele publiczne, państwowe. Wykazano tu ogółem wydatków na sumę 820.399 złp. 10 gr. Otóż tej sumy nie mamy powodu wliczać do długów królewskich, bo nie mamy żadnej wskazówki upewniającej, iż Władysław IV pieniędzy tych nie wyłożył z własnej kieszeni, lecz uzyskał je także tylko sposobem pożyczki. Nadto, na końcu wykazu u Michałowskiego wstawiona jest kwota 120.000 złp. z tem objaśnieniem, że przeznaczono ją na pokrycie przyszłych, czekających króla w najbliższym czasie wydatków (chodziło

rozkaz Władysława IV dla poparcia prośby, zaniesionej do Stanów o subwencyę na zapłatę długów, i to sporządzonego z pewnością w ciągu roku 1641, bo na końcu onego, w dziale, wykazującym niespłacone zaległości pensyi dworskich, jest wzmianka o potrzebie obmyślenia „dalszego zasłużonego dworowi Króla JMci“ na ostatni kwartał r. 1641, i dwa kwartały r. 1642 (w czem dowód oczywisty, że wykaz spisano przed końcem r. 1641).

Wiarogodności regestru niniejszego nie mamy powodu podawać w wątpliwość. Kopia sporządzona została w XVII wieku; a Jakób Michałowski przekazał nam sporo odpisów innych aktów publicznych, których dokładność została naukowo stwierdzoną (część ich bowiem ogłosił drukiem Helcel w znanej „Księdze pamiętniczej Michałowskiego“). Zresztą, mamy też pod ręką pewne dane o długach królewskich, zaczerpnięte z innych źródeł, które się mniej więcej zgadzają z danemi, zawartemi w regestrze Michałowskiego. Ogół długów, „które Rzeczpospolita płaciła“, wynosił wedle tego regestru 4.447.239 złp. Radziwiłł zaś w „Memoriale“ pod datą stycznia r. 1642 podaje, że król, wniósłszy prośbę do sejmu z r. 1642 o pomoc w spłaceniu długów: *expensarum summam ad quatuor milliones quadraginta millia elevabat*. Jest

o zapłatę pensyi dworowi na dalsze trzy kwartały), ale w owej chwili, kiedy wykaz układano, kwota owa długu nie stanowiła. Wypada więc odliczyć co najmniej 940.399 złp. od wykazanej wyżej ogólnej sumy, aby otrzymać kwotę, przedstawiającą w istocie stan zadłużenia się króla. Dostaniemy i tak pokaźną sumę 3,506.840 złp.

Dowiadujemy się w szczególności z wykazu w rękopisie Michałowskiego, iż własnej służbie winien był król w zaległościach pensyi przeszło 760.000 złp.; że na „stołowe potrzeby“ szafarz jego musiał zaciągnąć pożyczkę w kwocie 150.799 złp., na stajnię owieśny p. Baryczka znowuż 131.625 złp. 27 gr. Pozycye powyższe i liczne inne okazują, że król większą część długów porobił ze względu na zwyczajne wydatki dworskie, na których pokrycie widocznie dochody mu nie wystarczały.

Wedle wyjaśnienia, zamieszczonego na rękopisie wykazu, obejmuje on te długi Władysława IV, „które Rzeczpospolita płaciła“. Król bowiem, jak wiadomo, udał się w roku

---

między cyfrą regestru, a daną u Radziwiłła, co prawda, różnica o przeszło 400 tysięcy złp. Ale czy to nie omyłka rękopisu? Bardzo jest prawdopodobnem, że w pośpiechu, zamiast *quadringenti* napisał Radziwiłł, czy też jego jakiś sekretarz *quadraginta*. W każdym razie i u Radziwiłła suma długów przewyższała 4 miliony. Wedle innego świadka naocznego, nuncyusza Filonardego (por. depeszę z 8 czerwca 1642 roku. Archiw. watyk. Nunz. di Pol. tom 51) suma długów królewskich: *se arriva, non passa á un milliono e ducento mila scudi de'nostri.* Skud równał się talarowi, a talar bity szedł za Władysława IV za 3 złp. (*Zagórski:* „Monety“, str. 46); suma, podana przez Filonardego, równałaby się więc 3,600.000 złp. Cyfra ta odpowiadałaby najlepiej temu obliczeniu długów królewskich, które przeprowadziliśmy w tekście, a którego wynikiem, że właściwe długi króla, nawet wedle wykazu Michałowskiego, nie wynosiły więcej, nad 3,506.840 złp. Różnica o niecałe 100 tysięcy da się łatwo wytłómaczyć tem, iż Filonardi podawał cyfrę okrągłą.

Spełniam przy tej sposobności miły obowiązek, składając hr. Romanowi Michałowskiemu uprzejme podziękowanie za łaskawe wypożyczenie rękopisu, zawierającego wykaz długów Władysława IV.

1642 do szlachty, zgromadzonej na sejmie, z prośbą o ulżenie mu ciężaru długów. Sejm z roku 1642 zajął wobec pretensyi króla stanowisko niechętne, tylko województwo łuckie wystąpiło z darowizną w kwocie 280.000 złp.[1]). Dopiero na następnym sejmie z r. 1643 przeszła miła dla Władysława IV uchwała „wdzięczności"; prawie wszystkie województwa zgłosiły się do udziału w spłacie długów królewskich, i to przeważnie sumą „czworgu podymnemu korespondującą". Zastrzegła się jednak zarazem szlacta w konstytucyi: „O niezaciąganie długów na Rzeczpospolitą", że do ponoszenia tego rodzaju ciężarów w przyszłości nigdy pociąganą nie będzie. „A ktoby kolwiek takowe długi ważył się *in publico* promowować albo mimo to postanowienie *in spem* zapłacenia od Rzeczypospolitej dał pieniędzy, takim *penom* podlegać będzie, jakie *de terra Sandomiriensi non abligandu* są uchwalone" [2]).

Skoro w wykazie, powyżej omówionym, znajduje się na czele zapiska, że owe 4 miliony z okładem przedstawiają sumę długów, „które Rzeczpospolita płaciła", przeto wolno przypuszczać, że po uchwale z r. 1643 popłaciła je w istocie, i to w takiej właśnie ich wysokości. Dzięki temu zbył się Władysław IV niezawodnie znacznej części ciężaru, który go przygniatał, ale — nie na długo pozbył się kłopotów pieniężnych. Już bowiem z roku 1646 mamy wiadomości o nowych jego stosunkach z wierzycielami. W roku 1646 był król dłużnikiem kupca i rajcy krakowskiego, Hieronima Pinoccego na 28.943 złp. 15 gr.; nawiasem dodamy, że pozostał dłużnikiem tego obywatela do końca życia, bo wiemy na pewno, że Pinocci jeszcze w roku 1664 czynił u dworu płonne, zdaje się, zabiegi, aby ową sumę wierzytelną odzyskać [3]).

[1]) *Radziwiłła* „Memoriale, ustęp z 25. lutego 1641.

[2]) „Volumina legum", tom IV, str. 56—60.

[3]) Parę oryginalnych aktów, dotyczących stosunku Władysława IV z Pinoccim i specyalnie długu, zaciągniętego przez króla u tego Włocha, znaleźliśmy w archiwum miejskiem krakowskiem, w zbiorze

Że Władysław IV zapasów pieniężnych w roku 1646 nie miał, to wykazaliśmy już dawniej, w opracowaniu „Planów wojny tureckiej“; przypominamy, że w tym czasie zapożyczył się król ze względu na cele wojny tureckiej u królowej Ludwiki Maryi na sumę 660.000 złp.[1]). I do zwrotu tej sumy nie przyszło za życia Władysława[2]); co gorsza, niedługo po jego śmierci podskarbi koronny publicznie użalał się na sejmie konwokacyjnym, „że mu został winien ś. p. król JMć. 380.000 fl.[3]). A trzeba wiedzieć, że i te trzy pozycye znanych nam długów królewskich nie obejmowały wszystkich niespłaconych prezeń należytości; bo wedle notatki, zachowanej w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych francuskiego, jeszcze w roku 1672 ciężyły na skarbie Wazów długi, pozostawione ze spuścizną Władysława IV Janowi Kazimierzowi, w sumie 797.894 talarów[4]).

---

t. zw. „Pinoccianów“ (porównaj tekę z czasów Władysława IV). Jest tam między innemi akt p. t. „Origine e stato del credito di fior. 32 mila con la M-tà di Vladislav IV, fatta presentare dopo la morte di detta M-tà dél Ser-mo Principe Carlo — di Girolamo Pinocci“. Dług urósł dopiero po śmierci Władysława IV do wysokości 32.000 zlp.; za życia króla, w roku 1646, wynosił tyle, ileśmy podali w tekście, jak dowodzi „Sommario generale del debito“ z r. 1646, zachowany w brulionie wśród papierów Pinoccego. Treść kilkunastu listów, pisanych do Pinoccego, w latach 1649—1664, przez sekretarzy królewskich i inne osoby, (które to listy znajdują się w tej samej tece), okazuje, że po rok 1664 Pinocci zwrotu sumy, pożyczonej Władysławowi IV, nie doczekał się.

[1]) Porównaj w dziele o „Planach wojny tureckiej“ ustęp na stronie 190 -191. Przy tej sposobności prostujemy omyłkę, która się tam wkradła, co do sumy pożyczki: wynosiła ona 660.000 zlp., nie 650.000 złp., jak wynika z treści ogłoszonego przez Raczyńskiego „Skryptu Władysława IV, wydanego Maryi Ludwice etc.“ (Portofolio, tom I, strona 28 do 33).

[2]) Porównaj przypisek Raczyńskiego w wydawnictwie: „Portofolio Maryi Ludwiki“, tom I, str. 35.

[3]) *Michałowski:* „Księga pamiętnicza“, str. 143.

[4]) Porównaj w zbiorze moich szkiców historycznych „Z czasów Jana Kazimierza“, przypisek 1 na stronie 112.

Jaka była przyczyna tych ustawicznych kłopotów finansowych, tego zadłużenia się króla? Wspominaliśmy już o tem, podając charakterystykę Władysława IV, że za życia i po śmierci jego pomawiano go o rozrzutność, a raczej o zbyt nieopatrzną szczodrobliwość.

O tej nadzwyczajnej i nadmiernej hojności swego pana napomyka nawet największy jego chwalca, Kobierzycki. Już jako królewicz lubił Władysław okazywać się hojnym „bez wszelkiego względu na swoje mienie i bez wyboru osób", które obdarzał [1]). W ciągu podróży zagranicznej w latach 1624 i 1625 rozdał, wedle Wassenberga, 150.000 złp.[2]). „To pewna, że ta jego dla drugich powolność to sprawiła" — świadczy także nuncyusz Visconti w znanej relacyi z roku 1636 [3]) — „że osoba i majątek jego stały się łupem otaczających go osób, tak, iż gdy był jeszcze królewiczem, dochody jego, w części trwonione na uboczne cele, w części rozdrapane, nie wystarczały na codzienne potrzeby". I zaraz dodaje Visconti, przechodząc do czasów późniejszych: „Podobnie, gdy został królem, też dochody przez hojne rozdanie dóbr stołu królewskiego tak dalece zmalały, że stany Rzeczypospolitej na ostatnim sejmie musiały w to wejrzeć, osobnemi konstytucyami dobra królewskie od dalszego obwarować uszczerbku". Viscontemu musimy wierzyć, bo fakta, znane skądinąd, stwierdzają prawdziwość jego przedstawienia rzeczy.

W dyaryuszu sejmu konwokacyjnego z roku 1648 czytamy, że była na tym sejmie mowa o gospadarce finansowej zmarłego króla. Przy tej sposobności „JMP. Podskarbi sumitował się to regestrami pokazać, że Król JMć ś. p. pierwszego roku panowania swego zaraz samych prowentów solnych i żupnych rozdał na 600.000 fl. swojej intraty" [4]):

[1]) Historia Vladislai Pricipis, str. 923.
[2]) *Wassenberg:* Gestorum Vladislai IV, pars I, str. 208.
[3]) Relacye nunc. Apost., tom II, str. 190—191.
[4]) *Michałowski:* Księga pamiętnicza, str. 145.

z drugiej strony wejrzenie w *Volumina legum* upewnia, że w istocie szlachta próbowała kilkakrotnie hamować hojność króla osobnemi konstytucyami: „O ekonomiach". W roku 1633 przypomniano, że „dawne jest prawo, żeby ekonomie, cła i insze dobra wszystkie, do stołu królewskiego przynależne, jurgieltami żadnymi i daninami nie mogły być onerowane", i uznając te przywileje, które Zygmunt III i Władysław IV (rozumie się, wbrew swemu prawu) po ten czas powydawali, włożono na króla zobowiązanie, że w przyszłości tego rodzaju przywilejów wydawać nie będzie [1]). Ponownie, w roku 1635, konstytucya umarzała i kasowała poprostu „wszystkie przywileje, listy na jurgielty i pensye", powydawane przez króla po sejmie koronacyjnym, jako też „libertacye wszystkich miast i miasteczek", „którekolwiek ubliżenie prowentów stołu królewskiego za sobą pociągają" [2]). Trzecia konstytucya sejmowa, z 1638 roku, dowodzi, że król mało się liczył z poprzedniemi dwiema uchwałami: w pierwszych słowach nowego artykułu o „ekonomiach" znajdujemy wyznanie publiczne samegoż Władysława IV, iż „niektórzy nadużywają tego dobrodziejstwa Rzeczypospolitej, którego im pozwala konstytucya sejmu szczęśliwej koronacyi naszej i drugiego sejmu roku 1635, i nie przestawają otrzymywać sobie przywilejów na jurgielty i lekkie arendy na dobrach do stołu naszego należących", — poczem następuje znowuż kasata wszelkich takich, wbrew prawu wydanych, przywilejów i zakaz ubiegania się o nie i korzystania z tychże w przyszłości [3]). Zdaje się, że i ta nowa konstytucya pozostała tylko uchwałą na papierze, bo w relacyach z późniejszych czasów znajdujemy znowuż u jednych nagany, u drugich pochwały szczodrobliwości króla, takie same, jak i w dawniejszych.

[1]) Volumina legum, tom III, str. 803.

[2]) Tamże, tom III, str. 853—854.

[3]) Volumina legum, tom IV, str. 925—926.

Sama Ludwika Marya twierdzi po półrocznem pożyciu z Władysławem IV, że „gdyby go Bóg uczynił trochę więcej oszczędnym i mniej skłonnym do rozdawania, to mógłby zgromadzić wielkie mienie“ [1]). Współcześnie pobłażliwy Tiepolo, poseł wenecki, nie może zaprzeczyć, że „król tak jest szczodrym, że aż zubożał“, bo „nietylko rozrzucił wszystkie skarby ojca, ale pogardza bardzo znacznemi korzyściami królowania, rozdając wakanse Rzeczypospolitej bez żadnego zysku dla siebie [2]). Całkiem podobne szczegóły znajdujemy we wcześniejszej relacyi rodaka posła weneckiego, nuncyusza Filonardego. Donosząc kuryi w depeszy z dnia 8. czerwca 1642 roku o kłopotach finansowych króla, czynił Filonardi następujące uwagi: „Dług J. kr. Mci jeżeli dosięga, to z pewnością nie przekracza miliona dwustu tysięcy naszych skudów; co do dochodów, to nie posiada innych, jak te, które mu wyznaczyła Rzeczpospolita; co się zaś tyczy tego, co się nabywa z rozdawnictwa łask i co ongi cośkolwiek przynosiło, Jego kr. Mość nic z tego niema, bo albo rozdaje je pierwszorzędnym panom, a ci, zamiast płacić, dopraszają się ich i ubiegają o nie nieraz ostremi słowy, a nawet z pogróżkami; albo też rozdaje je zwykłym kompetentom, którzy, jeśli co dają, to ich darowizny dostają się faworytom, starającym się o nie; słowem, że król, nie ciągnąc nic z rozdawnictwa łask i rozdarowawszy albo rozdzierżawiwszy z własną niekorzyścią owe dochody, wyznaczone mu przez Rzeczpospolitą, a nie mając, ani nie mogąc nakładać, ani spodziewać się innych wypłat od Rzeczypospolitej, prócz tych, które już posiada, — widzi się zupełnie pozbawionym sposobu spłacenia swoich długów i środków nietylko dla pokrywania wydatków, odpowiadających go-

[1]) List królowej do kardynała Mazariniego z datą: „Varsovie le 10 Décembre 1646“ (odpis z oryginału w rękop. biblioteki Ossolińskich we Lwowie, w t. zw. tece Łukasa III, na karcie 291).

[2]) Generalrelation des Giov. Tiepolo 1647 (*Ehrenberg:* Urkund. und Acten. zur gesch. der Prowinz Posen, str. 166).

dności, ale nawet niezbędnie koniecznych" [1]). Charakterystyczne są opinie obu tych Włochów: biorą oni nieledwie za złe Władysławowi IV, że nie ciągnął dochodów ze źródeł nieprawych, że nie nakładał haraczu na tych, których wyszczególniał przy rozdawnictwie wakansów!

Jeżeli rozważymy bliżej wszystkie przytoczone powyżej szczegóły, to ostateczne wnioski, jakie z nich wysnuć wypadnie, dostarczą więcej danych, przydatnych do usprawiedliwienia króla, aniżeli do poparcia tych zarzutów, któremi go obciążali współcześni i potomni. Trzeba bowiem wiedzieć, że nietylko Jan Kazimierz, ale i Władysław IV uchodził w opinii potomnych za rozrzutnika; mniemaniu temu dał drastyczny wyraz nawet dosyć umiarkowany w swoich sądach poeta, Wacław Potocki.

W zbiorze *Jovialitates* [2]) poświęca on naszemu królowi niezbyt pochlebne wspomnienie, a raczej wkłada jemu samemu w usta następujące wyznanie:

„Gdy mi bronią z Turczynem szukać sławy w mieczu,
Puściłem cug pieszczony Wenerze w Mereczu:
Com miał mało od Marsa między kawalery,
To mię między dziewczęty potka od Wenery...
Umieram; nie jako król w ten tu grób otwarty
Ja Władysław sromotnie zawieram się Czwarty,
Umieram, dwa klejnoty różnego gatunku
Zostawiwszy Polakom w swoim podarunku:
Jeden — wojna kozacka, drugi — zbytek sprosny,
Z Francuską wprowadzony; nie jednej że wiosny,
Nie jednej głowy praca takie zgoi rany:
Długo będzie Władysław w Polsce pamiętany!"

Czy historya ma przyklasnąć temu sądowi poety? Potocki jest w tym wypadku echem opinii szlacheckiej, a opi-

[1]) Depesza cyfrowana w arch. watyk. (Nunz. di Polonia t. 51).
[2]) Wydanie z roku 1747, str. 77—78.

nia szlachty była w XVII wieku prawie zawsze zwróconą przeciw królom. Zapewne, i my także nie potrafimy temu zaprzeczyć, że król zanadto łatwo i nazbyt nieopatrznie rozrzucał pieniądze: ale gdzie szły te pieniądze? Przeważnie do kieszeni szlachty, do kieszeni panów i faworytów. Była to więc rozrzutność, której słusznie wielu współczesnych dawało szlachetniejszą nazwę — królewskiej hojności. Wszak konstytucye sejmowe wytykały królowi, że wydał za dużo aktów darowizn, za dużo przywilejów na jurgielty — a nie, że sam na swoje zbytki potrzebował za wiele. Tiepolo i Filonardi zdają się ubolewać także i nad tem, że król nie ciągnął zysków ze źródeł, które podobno miały się przyczynić do wzbogacenia Zygmunta III, ale których czystemi nazwać nie można! Najbardziej słuszne i trafne zdanie o tych rzeczach wypowiedział, jak sądzimy, kanclerz Jerzy Ossoliński, tłómacząc szlachcie na sejmie konwokacyjnym z roku 1648: „że niedostatku nie skarb, ale sam ś. p. król JMć był przyczyną, a chciwość ludzka bez dyskrecyi, która, obaczywszy pana ze wszystkiem dobrego, bez miary, samemu tylko *iniquum,* ciągnęła go ledwo nie ze skóry *ex hac occasione* [1]).

A jeśli przypomnimy nadto ów omówiony już wyżej stosunek zwyczajnych dochodów królów polskich w XVII wieku do dochodów królów francuskich w tem samem stuleciu, to uznamy potrzebę jeszcze bardziej względnego i pobłażliwego sądu. Nie mogło być u nas ani mowy o tem, aby król polski zdołał pod względem wystawności życia dorównać królowi francuskiemu; ale godność Rzeczypospolitej i jej stanowisko mocarstwowe wymagały, bądź co bądź, tego, aby król mógł się choć w wyjątkowych wypadkach pokazać godnie obok innych współczesnych monarchów. Każdy taki występ nadzwyczajny kosztował tyle, że musiał spowodować nadmierne obciążenie budżetu dworskiego. Ze znanego wy

[1]) *Michałowski:* „Księga pamiętnicza", str. 113.

kazu długów królewskich widać, że pogrzeb Zygmunta III pociągnał za sobą wydatek w kwocie 468.752 złp., to znaczy więcej niż $^2/_3$ przeciętnego dochodu rocznego; „weselny akt“ króla (z r. 1637) 321.879 złp., czyli półroczny dochód! Nie przeczymy, że to są sumy znaczne, że oba te obrzędy dałyby się, być może, opędzić mniejszymi kosztami. Ale cóż one znaczą wobec zwyczajnych wydatków Ludwika XIV, wobec tych danych o rozrzutności króla francuskiego, któreśmy zestawili wyżej? Porównanie cyfr budżetu dworskiego Ludwika XIV z podanemi co dopiero kilku cyframi wydatków Władysława IV dowodzi raz jeszcze, że król i dwór polski prowadził życie nierównie skromniejsze, aniżeli francuski, i nawet w nadzwyczajnych wypadkach nigdy nie posuwał się w rozrzutności ani w dziesiątej części tak daleko, jak skarb „Króla-słońca“. Jeżeli przyjmujemy, że u nas król miał rocznie dochodu 600.000 złp., to w ciągu 16 lat swoich rządów wybrał z dóbr stołowych i innych źródeł zyskownych, oddanych mu do rozporządzenia przez Rzeczpospolitą, około 9,600.000 złp.: doliczmy do tego przeciętny dochód królowych z „oprawy“ po 200.000 złp. na rok, w ciągu lat dziesięciu (bo przez lat 10 tylko niecałych miał Władysław IV przy boku swoim królowę) dwa miliony, — to otrzymamy razem sumę 11,200.000 złp.; a po doliczeniu nadto sumy owych 4,400.000 złp. (bierzemy sumę okrągłą), którą Rzeczpospolita przyczyniła się w roku 1643 do spłaty długów królewskich, przekonamy się, że cały dom i dwór królewski Władysława IV w ciągu całego jego panowania nie kosztował Rzeczypospolitej więcej jak 15,600.000 złp.[1]). Czyż może ciężar taki iść w porównanie z tym ciężarem,

[1]) Dobra stołowe, część dóbr Rzeczypospolitej, zastępowały pieniężną dotacyę, wypłacalną ze skarbu państwa; oddając je królowi do użytku, Rzeczpospolita tem samem odejmowała skarbowi państwowemu część źródeł dochodów; a więc mamy prawo uważać dochody, jakie król ciągnął z dóbr stołowych, za ciężar, który faktycznie ponosiła Rzeczpospolita.

jakim przygnieciony był naród francuski wskutek wystawnego i zbytkownego nad wyraz życia Ludwika XIV? Dom i dwór króla francuskiego wyciągnął przez taki sam, szesnastoletni okres czasu, w szóstym i siódmym dziesiątku lat XVII wieku, z kieszeni podwładnych około 640 milionów liwrów, czyli tyleż złotych polskich! Choćbyśmy przyjęli, że Francya była pięćkroć bogatszym krajem aniżeli Polska, a więc mogła z równą łatwością ponosić pięć razy większe ciężary, i choćbyśmy z uwzględnieniem takiego stosunku bogactwa narodowego ową sumę 640,000.000 pięćkroć zmniejszyli, to i tak okazałoby się, że utrzymanie naszych królów było dla narodu polskiego ośm razy mniejszym ciężarem, aniżeli utrzymanie królów francuskich dla Francyi.

Prawda, że Władysław IV miałby się był lepiej, gdyby był umiał rozumniej i nieco oszczędniej gospodarować dobrami, które mu Rzeczpospolita oddała do dyspozycyi. Ale czy ta rzekoma rozrzutność króla, a raczej jego szczodrobliwość i łaskawość, nie była dla niego poniekąd koniecznością, nie była wskazaną pewnymi względami politycznymi, nie była narzuconą tymi warunkami, wśród jakich wypadło mu królować w Rzeczypospolitej? Wiadomo, jaka była pozycya królów w państwie polskiem XVII wieku wobec jego wadliwego ustroju, wobec przemocnego uprzywilejowania innych Stanów. Król podtrzymywał właściwie swoją powagę i swój wpływ na sprawy państwa i na podwładnych, głównie dzięki temu, że miał w ręku rozdawnictwo łask. Jeśli chciał przeprowadzić jakieś przedsięwzięcie własnego pomysłu, nawet najbardziej rozumne i szlachetne, to nie mógł nakazać jego wykonania, nie mógł go narzucić szlachcie, lecz musiał się odwoływać do dobrej woli, do życzliwości poddanych. Partyę dworską stanowili głównie ci, co potrzebowali względów króla albo cokolwiek mu zawdzięczali: im więcej ludzi sobie zobowiązał dowodami łaski, tem pewniej siedział na tronie. Hojność, szczodrobliwość — były to więc główne środki, podtrzymujące tron i wzmacniające jego stanowisko

w Rzeczypospolitej. Chcąc zbytnio oszczędzać, zbyt ściśle rachować się z groszem, trzeba było abdykować z samodzielnych dążności, z wszelkich celów osobistych: a do tego najmniej zdolnym był Władysław IV — ten król-polityk, o głowie, pełnej górnych marzeń i ambicyi, pełnej śmiałych i rozległych planów powszechno-dziejowego znaczenia. Gdy się pomyśli, że większa część tych zamysłów miała na celu dobro, wielkość, sławę, potęgę Rzeczypospolitej, że niejeden z nich, wykonany, mógł wprowadzić Polskę na drogę odrodzenia, a wszystkie prawie upadły głównie dlatego, że królowi brakło osobistej potęgi, bardziej samodzielnej władzy, brakło środków, odpowiadających doniosłości zadań, a więc brakło tej koniecznej do pewnego stopnia niezawisłości moralnej w stosunku do otoczenia, która się zwykle opiera na niezawisłości materyalnej, — to chce się raczej ubolewać nad tem, że Władysław IV nie był bogatszym, że nie mógł być rozrzutnym bez obawy zubożenia siebie, że nie miał do dyspozycyi takich funduszów, jak Ludwik XIV.

Osobno jeszcze musimy zająć się kwestyą dochodów królowych. Królowe polskie miały zapewnione osobne źródło dochodów w tak zwanej „oprawie“, uchwalanej przez Stany po każdem nowem małżeństwie króla. Sposób pobierania tych dochodów został, o ile nam wiadomo, uregulowany dopiero konstytucyą sejmową z r. 1593. Oto tekst tej ustawy: „Iż wedle konstytucyi przodka naszego, króla Stefana, *anni* 1581 miało być namówiono od wszech stanów, na którychby dobrach oprawy królew polskich miały być czynione, tedy za radą Panów Rad i pozwoleniem wszech stanów obojga narodów mianowane i naznaczone są tu na tym sejmie dobra stołu naszego królewskiego, t. j.: Bielsk, Rajgrod, Grudziądz, Tuchola, Świecie, Łomża, Uście z Piłą, Jurbork z Nową Wolą i leśnictwem, Upita ze wszystkiemi włościami i folwarkami,

unacum iuribus patronatus w tych wszystkich dobrach, na których *salvis iuribus* Królowej JMci Ciotki naszej *et modernorum possessorum* natenczas oprawę pięćdziesiąt tysięcy złotych polskich wiana, a drugie pięćdziesiąt tysięcy przywianku Kr. Jej Mci Małżonce naszej nieomieszkanie wydać z kancelaryi naszych rozkażemy. A przytym wedle obyczaju dawnego *donum nuptiale* złotych dwa tysiąca czerwonych we złocie doroczne Kr. JMci ma być naznaczone" [1]).

Przyznajemy się, że brzmienie tej konstytucyi nie całkiem jest dla nas jasne i zrozumiałe. Z pierwszej jej części wynika, że królowa miała zapewnioną oprawę na dobrach stołowych, a więc należących do źródeł dochodów króla, ale widocznie na takich dobrach stołowych, z których królowie sami w ostatnich czasach przed r. 1593 nie ciągnęli już żadnych dochodów, gdyż część ich przeznaczona była na utrzymanie Anny Jagiellonki, a reszta znajdowała się w rękach posiadaczy prywatnych, t. j. jako darowizny królewskie tego rodzaju, iż obdarowani nie mieli wprawdzie dóbr oddanych sobie na wieczystą własność, ale mieli zapewnioną dożywotnią pełną używalność wszystkich płynących z nich dochodów. Stąd niezawodnie zastrzeżenie, zawarte w końcowej części konstytucyi, iż oprawa będzie wydawana z kancelaryi królewskich (a więc ze skarbu króla!) „*salvis iuribus* królowej JMci Pani Ciotki naszej *et modernorum possessorum*" — zastrzeżenie, które rozumiemy w ten sposób: iż król brał na siebie spłatę sum, stanowić mających oprawę, a miał je sobie odebrać później z owych dóbr, wyliczonych w konstytucyi, po wygaśnięciu dożywotnich ich posiadaczy. Z treści konstytucyi powyższej dowiadujemy się zatem, że dochód roczny królowej miał wynosić od roku 1593 sto tysięcy złp. i dwa tysiące czerwonych złotych. Te dwa tysiące czerwonych złotych nazwane są w konstytucyi: *donum nuptiale*; rozumiemy, że to był dar osobisty króla, to jest, że tylko

[1]) „Volumina legum", tom II, str. 1402—1403.

ową sumę 2.000 dukatów miał król wypłacać królowej ze swoich dochodów. Potwierdza ten nasz domysł brzmienie późniejszych konstytucyi o „oprawach“, z których widać, że spłatę owego „daru małżeńskiego“ zapewniał król żonie na żupach krakowskich, a więc na jednem z głównych źródeł dochodów korony.

W dwóch konstytucyach z czasów Władysława IV, ustanawiających oprawy, w roku 1638 dla pierwszej żony, Cecylii Renaty, w roku 1646 dla drugiej żony, Ludwiki Maryi, dochody królowych zabezpieczone są po części nie na tych samych dobrach, które były wymienione w konstytucyi z roku 1593, ale z treści ich można wywnioskować na pewno, że w tych czasach dobra, wyznaczone do użytku królowym, stanowiły już osobną grupę, t. j. nie należały do dóbr stołowych, lecz państwowych (nie są one już w konstytucyi z roku 1638 nazwane stołowemi, jak w roku 1593) i że Rzeczpospolita zapewniała królowym dochód na jednych lub drugich, stosownie do tego, jakie w danej chwili wakowały.

W roku 1638 otrzymała królowa Cecylia Renata oprawę w kwocie 200.000 zlp. (po 100.000 z Korony i z Litwy), zabezpieczoną w Koronie na Niepołomicach, Knyszynie, Krzeczewie, Stanisławowie, Kamieńcu Mazowieckim z Zawiszynem i Jadowem, Tykocinie, Surazie, Wiśniowie, Kapinosie z Młodzieszynem i Kazuniem, Uściu z Piłą, Brodnicy, Gołubiu i Tucholi; a w Wielkiem Księstwie litewskiem na Bobrujsku „ze wszystkiemi włościanami, zdawna należącemi do niego, którekolwiek się znajdują teraz u różnych possesorów, które po zejściu teraźniejszych wracać się do oprawy Królowej JMci za oddaniem sumy sukcesorom, która się z prawa pokaże, mają“: dalej „na Jurborku z Nową Wolą, Sokółce z leśnictwy, Hodorówce i Kamiennej z leśnictwy, Przerośli z leśnictwy, Giemnie i Metellach“. Od siebie miał król dodawać, jak dawniej, po 2.000 czerwonych złotych rocznie [1]).

[1]) „Volum. legum“, tom III., str. 926.

Królowej Ludwice Maryi natomiast przyznał sejm z roku 1646 oprawę w takiejże sumie 200 tysięcy złp., zabezpieczonych w przeważnej części nie na dobrach, wymienionych w konstytucyi z roku 1638, lecz na tych samych, których używała królowa Anna od roku 1593, przydawszy do nich Kapinos i Kazuń z Młodzieszynem w Koronie, a na Litwie Bobrujsk i Sokołkę z leśnictwami (a więc tylko te przydane dobra były z rzędu używanych przez Cecylię Renatę [1]).

Jeden szczegół tych konstytucyi wymagałby bliższego wyjaśnienia. Jak mianowicie rozumieć owo dokładne określenie sumy dochodów, jakie królowe miały ciągnąć z dóbr, wyznaczonych im do użytku? Czy królowe miały pobierać w istocie tylko dochody nie przekraczające sumy 200 tysięcy zlp. i czy z drugiej strony miały zagwarantowany dochód, który musiał dosięgać takiej wysokości? Zdaje się, że nie: że konstytucya podawała sumę 200 tysięcy zlp., jako cyfrę określającą w przybliżeniu wysokość przypuszczalnych dochodów, obliczonych na podstawie ryczałtowego oszacowania wartości samychże dóbr, a że faktycznie królowa mogła rozporządzać temi dobrami dowolnie, wydzierżawiać je, komu chciała (byle szlachcie), i za taką sumę dzierżawną, jaką jej się wyznaczyć podobało. Z notatki, jaką spisał *des Noyers*, informując księcia Kondeusza o dochodach Ludwiki Maryi w ostatnich latach przed jej śmiercią, dowiadujemy się, że królowa z części starostw, wydzierżawionych „największym panom w królestwie", nie miała więcej jak 30.000 zlp. rocznego dochodu; z innych dóbr, mianowicie z Świecia, Połągi, Uścia, Piły, Bielska, Grudziądza, Okolnik i trzech innych wsi czy też kluczów, których *des Noyers* nie wymienia, choć wlicza dochody, jakie z nich płynęły, do ogólnego rachunku — razem 104.000 zlp. [2]). Dochody ze wszystkich

[1]) Tamże, tom IV, str. 90.

[2]) *Raczyński*: „Portofolio Maryi Ludwiki", tom II, strona 358 do 361.

dóbr przyniosły zatem ogółem zaledwie 134.000 złp. Natomiast z żup solnych przybywało jej wedle tegoż *des Noyers'a* aż 228 tysięcy złp., podczas gdy wedle konstytucyi z roku 1646 „dar małżeński“, zabezpieczony na żupach solnych, miał wynosić tylko dwa tysiące czerwonych złotych czyli 12 tysięcy złp. (licząc wedle wskazówki Zagórskiego 6 złp. na 1 czerwony złoty). Musimy stąd wnosić, że Ludwika Marya z biegiem czasu wyrobiła sobie u Jana Kazimierza udział w dochodach żupnych znacznie większy, niż jej wyznaczył Władysław IV, być może, że ewentualne ustępstwo ze strony Jana Kazimierza było tylko formą spłaty tych długów, jakie on i jego poprzednik zaciągnęli byli u królowej.

Królowe miały nadto drugie, osobiste źródło dochodów w swoich posagach. Posag Ludwiki Maryi wynosił, zdaje się, nie więcej jak 220.000 talarów, czyli 660.000 złp. [1]).

---

[1]) Nie umiemy oznaczyć dokładnie, jak wysokim był posag Ludwiki Maryi, dla braku autentycznych danych. De Brégy, poseł francuski, pisał w liście do Ludwiki Maryi z 1645, z Warszawy, co następuje: „Fundując się na ustnej deklaracyi W. K. M., umieściłem między artykułami kontraktu, że W. K. M. jako córka domu mantuańskiego, masz parwo do 200.000 talarów posagowej sumy, stosownie do familijnego zwyczaju, ale nie wiem, co na to powie nasz dwór, bo w danej mi instrukcyi niemasz żadnej wzmianki o tych 200.000 talarów“? (Portofolio, tom I., str. 16).

Jakkolwiek de Brégy zdaje się powątpiewać o tem, aby Ludwika Marya mogła posiadać w istocie posag takiej wysokości, jaką oznaczył sam w kontrakcie, jest rzeczą niezawodną, że królowa rozporządzała w roku 1646 (przed uzyskaniem oprawy) własnemi funduszami w sumie co najmniej 660.000 złp. czyli 220.000 talarów, bo właśnie taką sumę „w talarach bitych i dukatach dobrej wagi, pochodzących z dóbr dziedzicznych i z posagu tejże Najjaśniejszej Królowej“, dostał od niej w formie pożyczki Władysław IV, jak dowodzi rewers królewski, wystawiony 16. września roku 1646 (Portofolio, tom I., strona 28—31). Akt „asekuracyi tej sumy“ tegoż dnia wydany (tamże, strona 33 - 34) zapewniał królowej procent roczny w kwocie 46.200 złp.

Licząc tak wysoki procent dochodu od tej sumy, jaki płacił Ludwice Maryi Władysław IV, otrzymalibyśmy jako dochód roczny z posagu około 46.000 złp. A że *des Noyers* inne dochody królowej oblicza na 332.000 złp., przeto razem miałaby Ludwika Marya do rozporządzenia rocznie sumę, nie dosięgającą 400 tysięcy złp.

III.

Dwór królewski.

Kto z sędziwych ludzi z czasów Władysława IV sięgał wspomnieniami w przeszłość aż do czasów Batorego, ten, zjeżdżając do Warszawy około roku 1644, musiał uznać, że miasto przybrało w ciągu ostatniego półwiecza zgoła odmienną postać. Ubyło w niem wiele drewnianych budynków, przybyło niemało gmachów z cegły i kamienia. Drewniane stanowiły jeszcze zawsze większość [1]; ale kamienne przewyższały je rozmiarami i okazałością. Zamek, jeszcze za króla Stefana w części drewniany, imponował teraz rozległą, murowaną budową o dwóch i trzech gdzieniegdzie piętrach, i o kilku wieżycach, które tem łatwiej było ogarnąć jednem spojrzeniem, że front od strony miasta właśnie około roku 1643 odsłoniono, opróżniwszy przylegającą doń przestrzeń ze starych zabudowań i zamieniwszy ją na plac otwarty [2]. Na placu wznosiła się dopiero co postawiona kolumna Zygmunta: a opodal przeglądały z za zieleni ogrodów ściany nowego pałacu królewskiego, zbudowanego przez samegoż Władysława IV na Krakowskiem Przedmieściu.

Władysław IV rezydował, podobnie jak ojciec, w Warszawie, która, ze wstąpieniem na tron Wazów, stała się właściwą stolicą królestwa. Mieszkał chętniej pod miastem,

[1] *Laboureur:* „Relation du voyage de la reine Marie Louise“ etc. Paris, 1648, część III str. 4 — 5.

[2] „Memoriale“ *Radziwilla*, 1643, Augustus.

w Ujazdowie, niż w samej stolicy; ale i tu przebywał często i długo, zwłaszcza od czasu, kiedy postawił sobie pod zamkiem osobny pałac. Obie miejskie rezydencye wyglądały około roku 1648 prawdziwie po królewsku: zamek — dzięki staraniom Zygmunta III, nowy pałac — dzięki nakładom i dobremu smakowi artystycznemu Władysława IV. Zygmunt przebudował zamek z gruntu; trzy jego boki drewniane zniósł, a postawił natomiast murowane, bok od strony Wisły powiększył o jedno piętro i wieżę, sale i apartamenta we wszystkich częściach poodnawiał. Za Władysława IV miał gmach kształt pięciokątu i był otoczony podwójnym murem i fosą. Rogi ozdobione były małemi wieżyczkami; z pośrodka wystrzelała duża wieża kamienna, z zegarem, pokryta dachem miedzianym i zakończona pozłacaną gałką. Za zewnętrznym, czworokątnym dziedzińcem, mieściły się kuchnie i mieszkania dla służby, nad kuchnią nadto łaźnia z wyłożonym cyną basenem, w podziemiach piwnice i sklepy. Ogród, przylegający do zamku od strony Wisły, był niewielki; ale nie brakło w nim, prócz kwiatów, także drzew owocowych. Wysoki mur zabezpieczał sutereny zamkowe od wylewów rzeki. W gmachu samym największym przepychem urządzenia zwracały na siebie uwagę sale: zwierciadlana i balowa; nowością była sala teatralna ze sceną, zaopatrzoną w sztuczne maszynerye, które umożliwiały nietylko stosowanie wszelkich zmian dekoracyi i światła, ale także wprowadzanie zjawisk napowietrznych, postaci, unoszących się w przestrzeni, lub też zapadających w podziemia. W ścianach widowni znajdowały się loże [1]. Apartamenta mieszkalne były obite kosztownemi materyami: pokój np., w którym gościła w roku 1646 marszałkowa de Guébriant, miał powałę osłonioną baldachimem z aksamitu, przetykanego złotem.

[1] *Laboureur*: „Relation du voyage", cz. III, str. 5. Por. Jarzemskiego wierszowany opis Warszawy z roku 1643 i źródłowy artykuł Korotyńskiego o Warszawie w „Słowniku geograficznym".

Laboureur, towarzysz marszałkowej, nie wahał się utrzymywać w historyi podróży Ludwiki Maryi, że „obicia królewskie są nietylko najpiękniejsze w Europie, ale nawet i w Azyi“ [1]. Niema powodu kłaść tej uwagi na karb przesadnego entuzyazmu francuskiego dworaka: bo nadzwyczajna piękność i wytworność obić i kobierców, widzianych w Polsce, imponowała nawet osobom, które się wychowywały wśród zbytków najwspanialszego w Europie dworu paryskiego. Oto, co sama królowa Ludwika Marya pisała zaraz z drogi, z Gdańska, do kardynała Mazariniego, w liście z 15 lutego 1646 roku [2]: „Zdziwisz się W. M., gdy się dowiesz, że nigdy nie widziałam na dworze francuskim obić tak pięknych, jak tutejsze. Gdym się zapytała, ile jest sztuk tych kobierców, które zdobią wewnątrz kościół w Oliwie, to, com usłyszała w odpowiedzi, wprawiło mnie w zdumienie, które i W. M. podzielisz, gdy wyczytasz: że jest ich tam sto sześćdziesiąt, szerokich na 4 łokcie, tak złotogłowiowych, jakoteż z innych materyi...“ [3]. „Podobnież najmniejsze przejścia w mojem mieszkaniu, jak niemniej w mieszkaniu p. Guébriant tutaj (w Gdańsku) wyłożone są złotogłowiem...“

Kolumna Zygmunta, świadectwo synowskiego pietyzmu Władysława IV, stanęła na placu, przed zamkiem, w lecie roku 1643. Opróżnienie tego placu kosztowało króla dosyć dużo zachodów i kłopotów: bo trzeba było nabyć kawał gruntu i budynków, należących do przyległego klasztoru Kla-

[1]) *Laboureur*, j. wyż. str. 5.

[2]) Oryginał listu w archiwum ministerstwa spraw zagr. franc.; odpis w tece Lukasa, t III, str. 131 — 2. (Ręk. bibl. Ossolińskich).

[3]) Po tych słowach następuje w odpisie listu parę wyrazów, których Lukas odczytać nie zdołał; wpisał prawdopodobnie ich brzmienie ołówkiem, zaznaczając w ten sposób, że są dlań niezrozumiałe. Słowa, których i my objaśnić nie umiemy, brzmią: *le tout du théore de la biele(?)*. Może jakiś znawca starych materyi (bo pewnie te słowa określać mają bliżej rodzaj owych „innych materyi“), potrafi wytłómaczyć znaczenie tych słów, albo wykazać, o ile Lukas źle ją odczytał, i jakby je właściwie sprostować należało.

rysek. Wmieszał się w tę sprawę nuncyusz Filonardi, któremu się wydawało rzeczą niewłaściwą burzyć budynki, będące posiadłością kościelną, dla celów świeckich. Bróździł więc królowi, z którym był właśnie z innych powodów mocno poróżnionym, i podobno groził nawet klątwą. Ale król przeprowadził swoją wolę bezwzględnie, naturalnie, zaspokoiwszy uprawnione pretensye Klarysek, usunął stare mury z placu i postawił kolumnę na miejscu, jakie sobie upatrzył. Nuncyusz dał za wygraną [1]). Model pomnika był, jak wiadomo, dziełem Klemensa Molusa z Bolonii; odlew został wykonany w Warszawie przez Daniela Tyma.

Pałac nowy, później Kazimierzowskim zwany, wybudował Władysław w pośrodku dawnego zwierzyńca książąt mazowieckich, tam, gdzie za czasów Zygmunta III, znajdowała się przy ogrodach tylko obożnia nadworna. Stajnie pozostały na dawnem miejscu: stanowiły one od przodu dwa długie boki, między któremi przechodziło się do budynków pałacowych, wzniesionych w głębi. Mówimy: budynki pałacowe, bo, o ile można wyrozumieć z opisu Jarzemskiego, poza stajniami stał nie jeden gmach, lecz cały kompleks gmachów: a mianowicie, prócz pałacu, osobny budynek kuchenny, osobny z mieszkaniami i jadalnią dla pokojowców, osobny wreszcie dla fraucymeru królowej.

Urządzenie wewnętrzne pałacu, ozdobionego z frontu kolumnadą, imponowało Jarzemskiemu bogactwem marmurów i kosztownych obić, malowideł i złotniczych wyrobów niderlandzkich; kaplicę upiększały „prześliczne" obrazy św. Cecylii i św. Franciszka. Za pałacem leżały rozległe ogrody, podzielone na dwie części: odróżniano bowiem wyraźnie ogród, przylegający bezpośrednio do pałacu, od drugiego ogrodu, leżącego poniżej tamtego, bliżej brzegów Wisły

[1]) „Memoriale" *Radziwiłła:* 1643, Augustus. Por. depesze nuncyusza Filonardego z tegoż miesiąca i roku, z archiwum watykańskiego odpisy w zbiorach krak. Akad. Umiej.

i zwanego dla tej zapewne przyczyny „dolnym“. Górny, głównie kwiatowy, urozmaicały sztuczne ozdoby, jako to: marmurowa fontanna, śpiżowe statuy Herkulesa, duszącego lwa, konia, kąsanego przez węża i t. d., wreszcie baszty, pokryte pozłocistą miedzią, z widokiem otwartym na Wisłę i pola okoliczne. Po stronie tego ogrodu wysuwał się z pałacu rodzaj murowanego tarasu, na którym królestwo zwykli byli siadać do jedzenia, lub grywać w bilard.

Ogród dolny, znacznie rozleglejszy, był czemś w rodzaju angielskiego parku. Widziało się tu murawy i sadzawkę; wśród drzew uwijały się jelenie i daniele, na sadzawce lub dokoła niej, krążyły łabędzie, gęsi i żórawie. Krynica, płynąca krętą wstęgą, zasilała staw wodą. I tu nie brakło wodotrysków, posągów i innych sztucznych upiększeń, jak kompasu i nawet wiatraku. Pod altaną, pokrytą „cudownemi malowaniami“, stał na straży żołnierz z marmuru; drugi podobny dalej, przy krużgankach, prowadzących do ogrodu owocowego. Mieściły się w tym ogrodzie, obok grządek kwiatowych i alei drzew, wolno rosnących, także cieplarnie, pełne obcych krzewów: pomarańcz, fig, kasztanów, cytryn, jakoteż jarzyn takich, jak kardy, finokki, selery itp.

Wspominaliśmy już wyżej o stajniach królewskich, które zajmowały przestrzeń po bokach placu przed frontem pałacowym: znajdowały się tu także, zapewne w bezpośredniem sąsiedztwie, psiarnie i zwierzyniec myśliwski z sokołami, jastrzębiami, białozorami, krogulcami i grzymlikami [1]).

Poza obrębem Warszawy najbardziej ulubioną rezydencyą króla był nowy pałac w Ujazdowie. Ujazdów bowiem stanowił wówczas, jak wiadomo, osobną wioskę, a nie dzielnicę miasta, jak dzisiaj, i obejmował także przestrzeń całych dzisiejszych Łazienek. Pałac, o którym mówimy, wzniósł sam Władysław IV dopiero w roku 1637 i najbliższych następnych, nie naruszając jednak starego, drewnianego, istnie-

[1]) Por. *Jarzemskiego* wierszowane „Opisanie Warszawy,“ druk z roku 1643.

jącego co najmniej od początku XVI wieku, który stał w roku 1643 z pewnością na swojem miejscu wraz ze staremi stajniami, oborami, łaźnią i sadzawką. Utrzymywały się też ruiny starodawnego szańca, także zabytek z czasów, kiedy tu przebywali mazowieccy książęta. Gmach nowy był cały murowany: pracowano snać nad jego wykończeniem jeszcze w roku 1643, bo Jarzemski w tym czasie widział na dziedzińcu rorzucone ciosane kolumny i figury lwów z białego marmuru.

Do dziedzińca tego, dosyć ciasnego, dostęp dawały dwie bramy. Schody frontowe prowadziły do apartamentów głównych. W salach pałacu znajdowała się królewska galerya obrazów: Jarzemski wymienia obraz allegoryczny, przedstawiający Wiarę św., broniącą Polski, inny, odtwarzający scenę koronacyi królowej Cecylii Renaty, i trzeci, upamiętniający akt chrzcin syna królewskiego, wreszcie cały zbiór portretów. Pokoje obite były złotogłowiem niderlandzkiem. Stojące po rogach pałacu altany otwierały szeroki widok na okolicę. Do gmachu przylegały dwa ogrody: owocowy, otoczony żywymi płotami, z figarnią, i park, w którym mieścił się ogrodzony zwierzyniec, zapełniony stadami jeleni, saren, zajęcy, królików i zarybionymi stawami. Na przestrzeni, zajętej przez dzisiejszy Belweder, stał kościół drewniany z cudownym obrazem, który przeniosła tu ze Solca królewna Anna [1]).

Dla ozdobienia tego to ujazdowskiego pałacu, niezawodnie sprowadził król sporą liczbę posągów bronzowych, stołów marmurowych i statuetek z Florencyi. Wspomina o nich nuncyusz Filonardi w jednej z depesz z roku 1637, kiedy właśnie budowa pałacu letniego była w toku. Miały te rzeźby kosztować 7.000 talarów, a rozstawieniem ich zajmował się architekt Locci z Rzymu [2]).

[1]) Wedle wspominanego powyżej opisu Jarzemskiego z roku 1643.

[2]) Por. depeszę nunc. Filonardego do kard. Barberiniego z datą Varsowie, 11 Luggio, 1637. Arch. watyk. Nunz. di Pol., v. 47.

Jako odleglejsze, a także miłe Władysławowi miejsca pobytu, wymieniają źródła współczesne Nieporęt, Falenty i Merecz. W Nieporęcie stał zamek drewniany, wzniesiony przez Zygmunta III, po nim własność Jana Kazimierza. Laboureur chwalił „wspaniałą robotę ciesielską“ budynku. „Król i królowa — pisał dalej w swojej Historyi podróży [1]) — mogą w nim mieszkać wraz z głównymi dworzanami bez niewygody, z powodu wielkiej liczby izb, wszystkich bardzo pięknych. Jest tam wielki podwórzec, piękny ogród, ładna kaplica; słowem nic nie pozostawia do życzenia, jak tylko, aby był z materyału bardziej trwałego: bo to niby okręt, który trzeba często odnawiać“. Władysław zjeżdżał tu niekiedy w odwiedziny do brata w porze letniej.

Pałac w Falentach nie był, o ile wnosić można z relacyi Laboureura, własnością króla, lecz burgrabiego zamku krakowskiego, Zygmunta Opackiego; ale ugaszczał także dosyć często w swoich murach Władysława IV. „Leżał — jak powiada tenże Laboureur [2]) — w miejscu nader przyjemnem, ze względu na położenie, urozmaicone gajami, strumieniami żywej wody, kanałami i łąkami, nęcącemi do przechadzki. Król udaje się tam niekiedy dla świeżego powietrza i ma wyśmienite pomieszczenie, bo liczne apartamenta są bardzo piękne i urządzone po większej części na sposób francuski, a, co niezwykła, mają ściany pokryte gipsem i wapnem. Podwórze jest wielkie, stajnie w dobrym porządku, ogród miły; słowem, rzecz piękna, zwłaszcza jak na Polskę, gdzie wskutek niedostatku gipsu, kamienia i wapna, szlachta, nieskora do wznoszenia większych pałaców murowanych, zadawala się budynkami drewnianymi“.

Co do Mereczа, miasteczka leżącego na prawym brzegu Niemna, u ujścia Mereczanki, w dzisiejszym powiecie Trockim, — ten pociągał do siebie Władysława, jako osiadły wpośród ogromnych knieci litewskich. Na wzgórzu, przy samem

[1]) Część I, str. 180 — 1. [2]) Tamże, str. 182.

ujściu Mereczanki do Niemna, musiał stać kiedyś zamek murowany: bo dotychczas widnieją tam ślady okopów i rozrzucone tu i owdzie odłamy starych cegieł, żużli i nawet wielkich kul kamiennych; żadnego jednak opisu współczesnego tego gmachu znaleźć się nam nie udało. Do Merecza przywiązane jest ważne wspomnienie historyczne: tutaj bowiem zaskoczyła Władysława IV śmiertelna choroba, i tu też zamknął król 20 maja roku 1648 powieki do wiecznego spoczynku...

Takie były zwyczajne widownie życia królewskiego, i zarazem dworskiego: bo jedno od drugiego było nieodłączne. Król wyjątkowo tylko mógł wieść życie odosobnione, zamknięte w sobie: wzgląd na stanowisko naczelne w państwie uczynił koniecznem otaczanie się ceremoniałem majestatycznym, a więc i licznym dworem. Jak wszędzie w monarchiach, tak i w Polsce, było to otoczenie królewskie dwojakie: jedno honorowe, złożone z wysokich dygnitarzy, od uroczystych wystąpień, i drugie stałe, zwyczajne, noszące charakter służby obowiązkowej.

Dwór honorowy stanowili marszałkowie wielcy i nadworni, podskarbiowie nadworni, kuchmistrze, krajczowie, podczaszowie, koniuszowie i kilku innych dygnitarzy, osobnych dla Korony i dla Litwy. Z wyjątkiem marszałków i podskarbich byli to sami dygnitarze tytularni, którzy asystowali królowi tylko przy wielkich uroczystościach, i przy publicznych wystąpieniach, jak np. przy koronacyi, ucztach koronacyjnych, ślubach, otwieraniu sejmów, przyjęciach monarchów postronnych i t. d. Marszałkowie wielcy byli w takich wypadkach mistrzami ceremonii, organizatorami i dyrygentami obrzędów; podczaszowie, krajczowie usługiwali królowi przy stole, koniuszowie podprowadzali konia. Marszałkowie wielcy spełniali jednak u dworu nadto stałe funkcye: do nich bowiem należało najwyższe sądownictwo w miejscu, gdzie król przebywał, a więc i w szczególności sądownictwo nad dworem. Urzędnikami dworskimi mimo to nie byli: bo nie wykonywali względem osoby króla żadnych usług, któreby

nie stały w związku z jego publicznym charakterem, jako głowy Rzeczypospolitej. Toż samo trzeba rozumieć i o innych wymienionych wyżej dygnitarzach: nawet ci, którzy nosili tytuł nadwornych, jak marszałkowie i podskarbiowie nadworni, nie spełniali żadnych stałych funkcyi u dworu, lecz byli tylko zastępcami marszałków i podskarbich wielkich w ich publicznych czynnościach, w wypadku ich nieobecności. Szczególniej o tem trzeba pamiętać, że podskarbiowie nadworni nie byli wcale zarządcami prywatnego skarbu królewskiego.

Do takich usług osobistych, prywatnych, wchodzących w zakres domowego życia, miał król u nas, jak miewali królowie wszędzie indziej, ów cały dwór osobny, ściślejszy, złożony z urzędników, funkcyonaryuszy i sług najróżnorodniejszych kategoryi.

Główną w nim kategoryę stanowili oczywiście dworzanie, których zadaniem było nie tyle spełnianie jakichkolwiek funkcyi służebnych, ile głównie nadzór nad pewnym działem porządku czy gospodarstwa domowego i usługi przybocznej, jakoteż asystowanie królowi w ciągu jego codziennych zajęć. Poniżej tej grupy wyborowej stał cały najliczniejszy zastęp służby właściwej. Osobną grupę wreszcie stanowiła gwardya nadworna, złożona z wojsk pieszych i konnych, i kapela królewska z chórami śpiewaków. Dzięki przytaczanym już niejednokrotnie w poprzednich ustępach niniejszej pracy wykazom rachunkowym dworu Jana Kazimierza z lat 1651—1653, możemy sobie wyrobić całkiem dokładne wyobrażenie o składzie dworu około połowy XVII w., i to nietylko za czasów wymienionego króla, ale i za Władysława IV: bo niema wątpliwości, że pod tym względem różnic między stosunkami Władysława IV i jego następcy nie było prawie żadnych. Upewnia nas o tem wzmianka w spisie długów Władysława IV z r. 1651, z której się okazuje, że pensye samego dworu, z wyłączeniem piechoty i kapeli, wynosiły w tym czasie kwartalnie 40.000 zlp. (t. j. zapłata dworzan, służby dworskiej i jazdy w gwardyi na-

dwornej) [1]; a z rachunków Jana Kazimierza wiemy, że w roku 1652/3 opłata dworzan i służby kwartalna pochłaniała przeciętnie sumę 26.000 złp., opłata samej gwardyi konnej od 9 — 13 tysięcy, a więc zarazem 35 — 39 tysięcy złp., to jest nawet nieco mniej, niż za Władysława IV.

Wobec tego możemy śmiało użyć szczegółów, zawartych w wykazach z roku 1651/3, do przedstawienia stosunków dworskich za Władysława IV [2]). Z wykazów tych wynika, że właściwych dworzan i służących dworskich było na usłudze Jana Kazimierza razem okrągło osób 330 [3]). Nie jest

[1]) Spis ten długów królewskich zajduje się, jak już podaliśmy wyżej, w rękopisie, należącym do zbiorów prywatnych hr. Michałowskich. Znajdujemy tam między innemi taką pozycyę: „A że jeszcze zapłata dalszego zasłużonego dworowi Kr. JMci nie jest obmyślona, przeto, rachując jeszcze nadto trzy kwartały, videlicet kwartał Luciae 1641, Cinerum et Spiritus 1642, na które (wkrom piechoty i muzyków, którym z W. X. Lit. tera solucya naznaczona), *wynidzie fl. 120.000*" 120 tysięcy na trzy kwartały, a więc 40 tysięcy na kwartał.

[2]) W tych samych dwóch rękopisach biblioteki kks. Czartoryskich w Krakowie (Nr. 1729 i 1739, z których przytaczaliśmy cyfry dochodow Jana Kazimierza w latach 1651—3, znajdują się szczegółowe wykazy rozchodów królewskich z tegoż czasu; a to z kwartału drugiego roku 1651 wyłącznie wykaz pensyi, wypłaconych dworzanom i służbie dworskiej, a z czterech natomiast kwartałów, po części od 1 kwietnia roku 1653, po części od 1 stycznia do końca grudnia roku 1652, oprócz wykazu takichże pensyi, także wykazy wszelkich wogóle innych zwyczajnych i nadzwyczajnych wydatków królewskich, jako to: wydatków na kuchnię, na barwę, na stajnię, pocztę i t. d. Wykazy są bardzo szczegółowe, tak, że znajdujemy w nich wymienionych wszystkich prawie dworzan i służących, albo po imieniu, albo po tytule, z określeniem dokładnem w cyfrach, ile każdy z nich pobierał pensyi; podobnież w wykazy wydatków na kuchnię, stajnię i t. d., wciągnięte są pozycye najdrobniejszych wydatków, jak np. nawet na zakupno małych dóz korzeni, na opłacenie drobnych naprawek naczyń i t. p.

[3]) Liczby tej ogólnej w samych wykazach niema: otrzymaliśmy ją sami, policzywszy wszystkie osoby, które wedle nich pobierały pensye z tytułu jakichś czynności urzędowych, lub usług, spełnianych na dworze. Liczba takich osób nie była całkiem jednakową we wszystkich pięciu kwartałach, z których mamy wykazy: bo gdy jedni odelo

w tę liczbę wciągniętą jednak ani kapela, ani też gwardya. Liczby śpiewaków i muzykantów, składających orkiestrę i chóry, nie podają dokładnie żadne źródła; Radziwiłł w „Pamiętniku“ swoim mówi raz aż o 20 chórach śpiewackich, drugi raz tylko o czterech. Jarzemski, sam muzyk, wymienia w roku 1643 ogólnie pięć kategoryi śpiewaków, i nadto kilkanaście instrumentów, z których na każdym miało grywać wedle niego po kilku muzyków. Zapewne więc nie popełnimy przesady, jeśli przyjmiemy, że orkiestra musiała się składać przynajmniej z 20 „wokalistów“. Razem cała kapela ze śpiewakami mogałaby liczyć z 70 ludzi [1]). Co do gwardyi, o tej wiadomo, że, chociaż liczba jej była oznaczoną konstytucyami, Władysław IV w różnych czasach dosyć dowolnie zwiększał jej zastęp ponad dozwoloną miarę; jako przeciętną wypada nam przyjąć tę liczbę, którą przepisał królowi jako normalną sejm z roku 1646, stanowiąc, że „gwardya... nie będzie większa nad 600 ludzi obywateli Rzeczypospolitej“ [2]). Rachunki Jana Kazimierza nie wykazują liczebnego składu całej gwardyi: są w nich wzmianki dokładniejsze tylko o liczbie jezdnych; ilość piechoty natomiast nieokreślona. Trzymając się tych danych, któreśmy powyżej zestawili, można, bądź co bądź, przyjąć prawie za pewne, że na usłudze

---

dzili ze służby, nie zawsze zaraz znajdywano dla nich, lub przyjmowano następców; różnice jednak między ogólnemi cyframi z pojedynczych kwartałów nie przekraczają liczby 10. Wobec tego przyjęliśmy przeciętną okrągłą w liczbie 330 (choć czasem było w personalu dworskim o parę osób więcej, czasem o parę mniej).

[1]) Por. prócz znanego „Opisania Warszawy“ *Jarzemskiego*, w „Memoriale“ *Radziwiłła* ustępy z 16 lipca 1636 roku i 13 września 1637 (tekst łaciński), i nadto w cennem dziełku dra Windakiewicza, p. t.: „Teatr Władysława IV,“ ustęp na str. 8. Dr W. przyjmuje, że orkiestra składała się z 30 do 50 osób, a chóry śpiewackie były nawet liczniejsze. Liczba więc 70 osób, którąśmy przyjęli dla orkiestry i chórów razem wziętych, nie będzie pewnie przesadną.

[2]) *Szajnocha:* „Dwa lata dziejów naszych“ (wydanie pierwotne), tom I. str. 307.

dworu około połowy XVII wieku było mniej więcej tysiące ludzi, to jest 330 dworzan i służby właściwej, około 70 śpiewaków i muzykantów, i przeciętnie jakichś 600 żołnierzy w gwardyi przybocznej.

Właściwych dworzan stałych, a raczej prywatnych urzędników dworskich, to jest takich, którzy pełnili przy królu pewne wyższe, ściśle określone funkcye, lub sprawowali nadzór nad służbą i pobierali za to pensye, liczono stosunkowo niewielu, bo, o ile wnosić można z rachunków Jana Kazimierza, co najwyżej trzydziestu. Faktycznie, liczba dworzan była o wiele znaczniejsza: bo około osoby króla skupiało się dużo młodzieży szlacheckiej z najlepszych rodów, która bawiła przy boku króla, jako świta honorowa, korzystająca z prawa asystowania monarsze, jako z pożądanego, zaszczytnego przywileju, a wcale z kasy królewskiej nieopłacana [1]); to też o takich honorowych dworzanach w wykazie budżetu dworskiego nie znajdziemy wzmianki.

Na czele całego zastępu dworskiego stał podkomorzy nadworny, prywatny niejako majordom i wielki ochmistrz pałacowy. Wyróżniał się od całej rzeszy płatnych dworzan i służby nietylko zwierzchniem stanowiskiem, ale i honorowym charakterem swojej godności: bo, w przeciwieństwie do reszty, sam z tytułu swego urzędu dworskiego nie pobierał, o ile wiadomo, żadnej pensyi (zwykle, oczywiście, pan bogaty i uposażony starostwami). Jemu podlegali wszyscy inni dworzanie, jako podwładni. Wśród tych podwładnych najbardziej samodzielnymi i najściślej do osoby samegoż króla przywiązanymi byli niezawodnie jego lekarze, sekretarze i kapelani. Na znanym etacie pensyjnym Jana Kazimierza znajdowało się trzech doktorów, trzech sekretarzy: włoski, francuski i niemiecki, którzy niezawodnie załatwiali korespondencye króla, zarówno prywatne, jak nawet dyplomatyczne, w trzech odpowiednych językach, i wreszcie dwóch kapelanów.

[1]) Por. w relacyi Viscontego z roku 1636, «Relacye nunc. Apost.», tom II., ust. na str. 219—20.

Prywatną kasą królewską zarządzał „pisarz najwyższy skarbu króla JMci,“ który po lekarzach i sekretarzach pobierał względnie najwyższą pensyę. W rzędzie urzędników dworskich z lat 1652—3 spotykamy nadto jednego „starszego nad pacholęty,“ dwóch „pisarzów niemieckich,“ dwóch piwnicznych, dwóch szatnych, po jednym budowniczym, stanowniczym, komorniku, przystawie, podkoniuszym, „fechterze“ — i wreszcie pięciu innych płatnych dworzan wyższego rzędu, bez określonych tytułów [1]). Do kategoryi pośredniej między dworzańską a służebną można zaliczyć dwóch aptekarzy, z których jeden nosił tytuł „podróżnego.“

Reszta z wymienionych w rachunkach Jana Kazimierza osób w ogólnej okrągłej liczbie trzystu — to już sama właściwa służba. Jak w każdym zastępie służby, tak i w tym, jedni mieli sobie wyznaczoną obsługę pokojów, inni wydział kuchenny, piwniczny, stajenny i t. d. Do liczby pokojowych można zaliczyć pacholęta, których było w r. 1652—3 12-cioro (i ci do swojej usługi mieli jeszcze troje „sług pacholęcych“), dalej od 3—5 srebrowych, 11—18 odźwiernych, 2 łaziebników, dwoje sług „przy obiciu,“ 4 cerulików, 13—14 lokajów i parę innych o nieokreślonych funkcyach, t. j. ogółem przeszło 50 osób [2]). Rozumie się, że w skład wszystkich wymienionych kategoryi wchodzili służący, mający wyznaczone sobie pewne jeszcze dokładniej określone funkcye: i tak np. w grupie „srebrowych“ wyróżnia wykaz pensyjny dworu Jana Kazimierza po jednym stołowym, podstolim, kredencerzu i piwnicznym.

Osobną grupę dla siebie stanowili stali rzemieślnicy dworscy. Było ich za Jana Kazimierza trzydziestu kilku,

[1]) Wszystkie powyższe dane zaczerpnięte z wykazu, zawartego w rękopisie biblioteki książąt Czartoryskich, Nr 1729, z pod rubryki: „Zapłata dworowi J. Kr. Mci.“ Także i najbliższe dalsze dane pochodzą z tegoż samego źródła.

[2]) Liczby maksymalne i minimalne (od 3—5, od 11—18 i t. d.) oznaczają, że w różnych kwartałach roku 1651 i 1652/3, ilość służących zmieniała się, i raz wynosiła mniej, drugi raz więcej.

wśród których około piętnastu „stajennych.“ Należało tu po dwóch zegarmistrzów, ślusarzy, ruśnicznych, kominników, ogrodników; po jednym „skulptorze“, krawcu, „namietniku“, perukarzu, „fontanierze“ i t. d. Ci wszyscy także pobierali stałe pensye.

Na czeladź kuchenną składało się około trzydzieści osób: rej wśród nich wodzili podkuchmistrz, pisarz kuchenny, śpiżarny i trzej mistrze kuchenni, którym podlegało dwóch pasztetników i kilkunastu innych pomocników, jak odźwierny, tłukacz i t. p.

Najwięcej rąk zatrudniały stajnie królewskie: w roku 1652—1653 bowiem do czeladzi stajennej należało przeszło stu ludzi. Tutaj panem był podkoniuszy, mający przy swym boku osobnego pisarza stajennego. Wśród podwładnych podkoniuszego znajdujemy jednego kawalkatora, trzydziestu kilku masztalerzy, dwóch woźniców głównych („starszego“ i „karecianego“), i około sześćdziesięciu innych, podrzędnych, dwóch „mulliterów“ (pewnie do obsługi mułów), i kilkunastu rzemieślników stajennych, których już poprzednio wliczyliśmy do grupy rzemieślników dworskich.

O wiele mniej liczną była służba myśliwska. Sprawowało ją ogółem trzydzieści kilka osób, między któremi ośmiu myśliwców, jeden strzelec i kilku dojeżdżaczy spełniało ważniejsze funkcye, reszta podrzędne.

Znajdujemy nadto w wykazach z czasów Jana Kazimierza wymienionych jeszcze czterech „segetarów“ (niezawodnie włoskich *segettieri*, czyli lektykarzy), trzech karłów, 17—18 trębaczy, 4—6 praczek i w końcu jednego „generała sadów króla JMci.“

Niema w tych rachunkach natomiast, jak już była o tem mowa, podanej liczby członków kapeli królewskiej, ani też liczby gwardyi. Staraliśmy się już wyżej o wyszukanie danych przybliżonych, i przyjęliśmy, że kapela (wraz z chórem śpiewackim) mogła się składać z jakichś 70 osób, gwardya przeciętnie z sześciuset. Jarzemski, muzyk, wspo-

mina, że w chórze, prócz soprana, altysty i basisty, było wiele „dyszkantów i wokalistów", a w orkiestrze po jednym wioliście, lutniście, korneciście i t. zw. „granicznym" (do sztorców), dalej po kilku grających na puzonach, kwartach i fletach; wreszcie, że w zbiór instrumentów orkiestralnych wchodziły także „muty, szałamaje, pomorty, teorby, gitarony i lira." Dyrygował orkiestrą kapelmistrz, do organów i kompozycyi byli osobni specyaliści.

Co do gwardyi, (jak także już o tem wspomniano), w rachunkach z lat 1652—1653 podane są dokładniejsze liczby żołnierzy w oddziałach jezdnych; ilość piechoty natomiast nie została w nich wcale określoną (chociaż ogólne cyfry płac dla wszystkich rodzajów wojska nadwornego figurują w nich). Dla czasów Władysława IV, jako zwyczajną przeciętną stanu całej gwardyi przyjęliśmy liczbę 600, oznaczoną konstytucyą sejmu z roku 1746. W wykazach z czasów Jana Kazimierza znajdujemy pozycye pensyi raz dla 120, drugi raz dla 84 tylko rajtarów, dla 160 dragonów i dla 30—40 kozaków; i prócz tego ogólne pozycye płac dla piechoty węgierskiej, osobno dla „starej węgierskiej" (bez wymienienia liczby tych żołnierzy pieszych). Skoro ogólna suma liczb wyszczególnionych wyżej wojsk konnych chwieje się między cyframi 274 i 320, przeto możemy przyjąć, że gwardya królewska składała się mniej więcej pół na pół z wojsk pieszych i konnych (po 300 jednych i drugich).

Królowe miewały swój osobny dwór, o wiele mniej liczny. Nie znamy składu dworu Cecylii Renaty, ani Ludwiki Maryi z czasów Władysława IV, ale znamy skład dworu tej drugiej królowej z ostatniego roku jej życia, co prawda, nie całkiem dokładny. Zdaje się, że na usłudze Ludwiki Maryi nie było więcej nad sto (co najwyżej) osób. Wykaz, przekazany nam przez des Noyers'a [1]), sporządzony bezpośrednio

[1]) Wydany przez *Raczyńskiego* w zbiorze: „Portofolio Maryi Ludwiki", tom II, str. 365—273.

po śmierci jego pani, wylicza dwanaście pań, względnie panien dworskich, wymienia dalej dziesięciu dworzan bez tytułów, którzy, jak można wnosić z wysokości pensyi, przez nich pobieranych, musieli spełniać jakieś ważniejsze funkcye (poznaliśmy wśród nich w istocie nazwiska kilku lekarzy i sekretarzy królowej), i dalej dziesięciu innych, zdaje się podrzędnego znaczenia: reszta wymienionych to widocznie sama służba. Wśród tej służby wyróżnieni są dwaj odźwierni, trzej woźni, dwaj kredencerze, dwaj pomocnicy, dwóch kuchcików i po jednym krawcu, kucharzu, piekarzu, lokaju, i osobno jedna dama, widocznie gospodyni kuchenna, bo do jej rąk szły pieniądze, przeznaczone na zakupno żywności, potrzeby stołowe i t. d. Dotąd dopiero około 50 osób: ale jest w spisie des Noyers'a nadto wzmianka ogólna o „młodzieży" i o „służbie stajennej" (bez specyfikacyi liczebnej), a ze składu dworu Jana Kazimierza wolno wnosić, że także i służba stajenna królowej musiała być względnie najliczniejszą. Pewnie więc nie popełnimy przesady, jeśli przyjmiemy, że „młodzieży" było na dworze Ludwiki Maryi ze 20, w służbie stajennej ze 30 osób. Jeżeliby te ostatnie przypuszczalne cyfry okazały się za wysokie, to tem pewniejszą będzie rzeczą, że dwór królowej składał się co najwyżej ze stu osób.

Rachunki dworu Jana Kazimierza z lat 1652—1653 pozwalają nam także określić dokładnie, ile kosztowało całe utrzymanie tego dworu.

Pensye samych dworzan i służby, (to jest owych 330 osób, bez kapeli i gwardyi), wymagały kwartalnego wydatku w sumie o 24—28 tysięcy. Dokładniejsze cyfry z pięciu kwartałów roku 1651 i 1652/3 są takie:

W drugim kwartale roku 1651: 24.002 złp.

W czterech kwartałach roku 1652/3 (od 1. kwietnia 1652 do 31. marca roku 1653): w pierwszym 27.154 złp.
w drugim . 27.827 „
w trzecim . 25.011 „
w czwartym 25.591 „

Z tych sum dworzanie właściwi (w przeciętnej liczbie trzydziestu kilku, wraz z lekarzami, cerulikami, aptekarzami i ich pomocnikami) pobierali razem od 8—9 tysięcy złp.[1]); cała reszta pieniędzy szła na opłatę służby. Pensye kwartalne dwunastu pacholąt wynosiły razem 620 złp.; na srebrowych przypadało od 127—128 złp., na odźwiernych 404 do 530, na wszystkich rzemieślników 2.381—3.372 złp., na całą czeladź kuchenną stale po 1.551, na czeladź stajenną od 4.873—5.876, na służbę myśliwską 1.592—1.642, na segetarów stale po 720, na lokajów 770—980, na karłów 150—225, na trębaczy 3.525—3.993, na praczki wreszcie od 500—700 złotych polskich (kwartalnie).

Najwyższą pensyę na dworze Jana Kazimierza w roku 1652 pobierał doktor Knefeliusz. Dosięgała ona sumy 2 tysięcy złp. na kwartał. Zresztą żadna pensya nie przekraczała sumy 625 złp.: w tej wysokości pobierali ją tylko dwaj inni lekarze. Nieco mniej, 600 i 500 złp., dostawali sekretarze włoski i francuski; trzeci, niemiecki, pobierał 375 złp. Wszystkie inne pensye były niższe od ostatniej, dopiero co wymienionej. Nawet „pisarz najwyższy skarbu króla JMci" nie dostawał więcej nad 331 złp. kwartalnie; a tacy dworzanie, jak szafarz, szatny i komornik, tylko po 50 złp.

Wśród pokojowej służby pensya kwartalna pacholęcia wynosiła 50, odźwiernego 37, srebrowego od 13—38 złp. Wśród czeladzi kuchennej rozmaitość płac była wielką: jeden z kuchmistrzów pobierał 150 złp., reszta od 18—90 złp. Wśród służby stajennej najwyższa pensya dostawała się podkoniuszemu (250 złp.): masztalerze pobierali po 30—40, woźnice, z wyjątkiem dwóch lepiej uposażonych, także od 30 do 40 złp. Dobrze płatni byli myśliwcy, bo każdy z nich brał po 100 złp. kwartalnie, jeden nawet 200; a najlepiej wśród służby mieli się trębacze, bo wśród nich jeden dosta-

[1] Takiej cyfry ogólnej niema w wykazach: otrzymaliśmy ją, pozliczawszy pozycye pensyi, jakie pobierali wedle tych wykazów pojedyńczy dworzanie wyższej kategoryi.

wał aż 375 kwartalnie, kilku po 336 i kilku po 108—225 złp. Praczkom płacono od 30—200 złp. Natomiast pan „generał sadów króla JMci“ używał nieproporcyonalnie skromnej, w stosunku do szumnego tytułu, pensyjki w kwocie 12 tylko złotych polskich z kilkunastu groszami [1]).

Utrzymanie kapeli w ciągu roku 1652 (od 1. stycznia do końca grudnia) kosztowało 38.664 złp. (to jest przeszło 9½ tysiąca kwartalnie), a najwięcej utrzymanie gwardyi: bo „zapłata rajtariei, dragonom, piechocie węgierskiej i kozakom“ od 1. kwietnia roku 1652 do 31. marca 1653 wynosiła aż 85.703 złp. Słowem, same pensye, wypłacane całej w ogóle wyższej i niższej służbie dworskiej, cywilnej i wojskowej, przedstawiały roczny wydatek w sumie jakichś 230 tysięcy złotych polskich.

Są to cyfry z pierwszych lat rządów Jana Kazimierza; staraliśmy się jednak dowieść już wyżej, że można je bez uchybienia ścisłości historycznej przyjąć za normalne także dla stosunków dworskich za czasów Władysława IV.

Etat pensyjny dworu królowej był, o ile można wnosić z wykazu des Noyers'a z roku 1667 [2]), nierównie szczuplejszy. Pensye panien dworskich, dworzan i służby wymagały około roku 1666 półrocznego wydatku w kwocie 11.206 złp., a z pensyami stajennej służby (nie uwzględnionej w powyższym wykazie) zapewne około 50.000 złp. I w otoczeniu Ludwiki Maryi z najlepszego uposażenia korzystali lekarze. Conrade i Dawison (pierwszy pobierał 1.500 półrocznie, drugi 2.000); pięciu innych dworzan, zdaje się, sekretarzy, dostawało od 1.000 do 2.500; żadna z pozostałych pensyi nie przekraczała sumy 600 złp. Panny i panie dworskie używały dość skromnych apanażów, bo od 150 do 400 złp. na pół roczne; a wśród służby byli i tacy, co nie mieli więcej nad 6 złp. płacy na kwartał. Te cyfry także można, jak sądzimy,

[1]) Wszystkie powyższe cyfry zaczerpnięte z wiadomego wykazu zawartego w rękopisie biblioteki książąt Czartoryskich nr [illegible]

[2]) „Portofolio“ *Raczyńskiego*, l. c. cit.

odnieść do ostatnich przynajmniej lat rządów Władysława IV, to jest do czasów, kiedy na tronie polskim już siedziała Ludwika Marya; jeśli między budżetem i składem jej dworu z pierwszych lat jej pobytu w Polsce, a stanem tychże rzeczy z roku 1666, zachodziły jakieś różnice, to nie były one z pewnością zbyt znaczne.

Właściwy dwór królewski około połowy XVII wieku, a więc i za czasów Władysława IV, był, jak z powyżej zestawionych danych wnioskować można, stosunkowo wcale nielicznym, skoro poza służbą na etacie pensyjnym nie znajdowało się więcej nad trzydzieści kilka osób, a służba cała (poza gwardyą i kapelą) składała się co najwyżej z trzystu osób. Powiadamy: stosunkowo nielicznym; bo naprzykład o dworze francuskim za Ludwika XIV wiadomo, że w skład jego wchodziło 5.000 osób [1]), to jest kilkanaście razy więcej, niż w skład dworu polskiego. W istocie też dwór Władysława IV w zwyczajnych okolicznościach nie imponował bynajmniej cudzoziemcom, nie zadziwiał ich liczebnością ani wystawnością. Nawet taki entuzyasta i zwolennik króla, jak nuncyusz Visconti, nie tai uczucia pewnego zawodu. „Co się tyczy dworu — powiada w znanej relacyi z roku 1636 [2]) — którego Waszej Przewielebności skreślić rys przyobiecałem, dopełnię dość dobrze tej powinności, gdy krótko powiem, że nie widzę w nim żadnego podobieństwa do dworu (królewskiego). Zakrawa więcej na dwór bogatego pana polskiego, bo mało kto tam krząta się około osoby królewskiej, a czasem jest zupełnie pusty: z tem wszystkiem ceremonialna powaga nieboszczyka króla (Zygmunta III) utrzymywała na nim pewien porządek. Zaraz jednak poniżej Visconti wyjaśnia, że taki był tylko zwyczajny stan dworu w dniach powszednich, i że ten brak wystawności stanowił poniekąd objaw osobistego upodobania króla, który „nie bardzo dba

[1]) Wedle obliczenia G. Lacour-Gayet'a.

[2]) Relacye nunc. Apost., tom II, str. 219—220.

o liczną kompanię, żeby nie mieć subiekcyi i żyć swobodniej.“ Natomiast w wyjątkowych wypadkach, w chwilach uroczystych, w czasie sejmu czy jakiegobądź obrzędu, wymagającego publicznego wystąpienia króla, postać dworu zupełnie się zmieniała. „Kiedy szlachta zjedzie się na sejm — są słowa tegoż Viscontego — lub z innej okazyi, wtenczas dopiero ludno i huczno na dworze: kto go wtedy widzi, ma się na co napatrzeć. Polacy bowiem lubią się pokazać z wielkim przepychem, i są z niemałem uszanowaniem dla króla, którego sobie sami obrali. Samych pokojowców uwija się wtedy często kilkadziesiąt koło króla; jest to bowiem urząd, czyli raczej funkcya honorowa, jakby nowicyat dworski, do którego król wybiera bez oznaczenia liczby z pośród najprzedniejszej młodzieży krajowej. Ci mogą wejść wszyscy do pokoju, gdzie się król ubiera, tak, iż często pomieścić się nie mogą i wtedy nieraz zdarza się, że, dla zbytniej liczby sług, źle jest usłużony.“

Jeżeli w ogóle w kreślonych przez cudzoziemców opisach publicznych wystąpień naszych królów i uroczystości dworskich spotykamy się z wyrazami podziwu dla świetności i przepychu dworu i orszaku królewskiego, to niezawodnie blasku tego dodawały dworowi głównie wspaniałe świty panów polskich, z których niejeden był bogatszym od króla. Panowie polscy lubili i umieli „pokazać się“: była między najmożniejszymi domami pod tym względem zawsze pewna emulacya, żeby nie dać się zaćmić innym, a wszystkim zaimponować. Splendor dworów wielkopańskich spływał się wówczas ze splendorem królewskiego dworu, i składał się razem na widowisko, które widzom, nawet przybyszom z Paryża, niezatarte pozostawiało wspomnienia. Świetność przyjęcia, jakiego naprzykład doznała Ludwika Marya w Polsce w 1646 roku, wprawiła nawet ją samą w zdumienie [1].

---

[1] Por. list Ludwiki Maryi do Mazariniego z 15. lutego 1646 r. (odpis z arch. min. spraw zagr. franc. w tece Łukasa II, na str. 130).

Przechodząc od powyższych ogólnych danych do szczegółów, musimy z góry zaznaczyć, że o składzie dworu Władysława IV mamy tylko dorywcze wiadomości, które nie wystarczają, aby przedstawić jego zupełny obraz w żadnej danej chwili. Podkomorzym nadwornym koronnym przez większą część rządów tego króla był Adam Kazanowski; w roku 1642 przeszedł on na wyższy urząd nadwornego marszałka. Kto po nim objął podkomorstwo, nie zdołaliśmy stwierdzić na podstawie dostępnych nam źródeł. Względnie najdokładniejszy wykaz dygnitarzy i urzędników nadwornych posiadamy z roku 1638. Jakób Sobieski zapisuje mianowicie w swojej relacyi podróży królewskiej do Badenu, że do świty Władysława IV należeli wówczas: Adam Kazanowski, podkomorzy koronny, Maksymilian Ossoliński, podskarbi nadworny koronny, Piotr Daniłłowicz, krajczy, Zadorsko, cześnik, Andrzej z wielkich Kończyc Mniszech, kuchmistrz koronny, Rafał Groszkowski, podkoniuszy koronny, i nadto, jako dworzanie pokojowi: Rylski, starosta rabsztyński, Żyżemski, Pape, Płatemberg, Rozen, Inflantczyk, Mayer. Kapitanem gwardyi nadwornej, konwojującym króla, był Denhof, dowódcą jazdy Bałdyss [1]).

Z innych źródeł znamy kilkanaście innych nazwisk dygnitarzy i urzędników dworskich; ale właściwych, stałych dworzan jest między nimi stosunkowo niewiele. Nie umielibyśmy wymienić więcej, jak Maydla, łowczego nadwornego [2]), czterech sekretarzy: Fontoniego [3]) i Puccitellego [4]), Włochów i dwóch Polaków: Sadowskiego i ks. Kołudzkiego, który to ostatni musiał około roku 1635 sprawować obowią-

[1]) „Dwie podróże Jakóba Sobieskiego". Poznań, 1833 ust. na stronie 191—192.

[2]) Laboureur, część II, str. 205.

[3]) Portofolio Maryi Ludwiki, tom I, str. 12.

[4]) O tym Puccitellim, jako sekretarzu królewskim, są częste wzmianki w relacyach nuncyusza Filonardego z lat 1637—1643 (odpisy w zbiorach krakowskiej Akademii Umiejętności).

zek pisarza skarbu królewskiego [1]); dalej dwóch architektów: Trevanniego i Loccego Rzymianina [2]), dwóch budowniczych, Wojciecha Gizę i Jarzębskiego [3]), i wreszcie dwóch kapłanów nadwornych, znanego poetę, Macieja Sarbiewskiego, między rokiem 1636 a 1640, jako kaznodzieję królewskiego [4]), i księdza Pstrokońskiego, jezuitę, jako spowiednika w roku 1636 i 1637. O tym Pstrokońskim wyraża się nuncyusz Visconti w swojej relacyi dosyć nieprzychylnie: że „więcej był lubiony od króla dla długich usług, a może dla podobieństwa charakteru, niżeli dobrze widziany w swem zgromadzeniu, które dałoby chętniej innego na jego miejsce, gdyby krok zrobiony o to był dobrze przyjęty“, i że „utrzymuje się na tym stopniu, nie żeby był człowiekiem wyższych zdolności, lecz że się łatwo daje powodować“ [5]).

Wpośród znanych osobistości z dworu Władysława IV o jednej tylko można powiedzieć, że się wyróżniła, wzniosła ponad innych, że była w całem tego słowa znaczeniu osobistością znaczącą i wpływową, a mianowicie o Adamie Kazanowskim. Może to nietyle zasługa przymiotów serca Kazanowskiego, ile jego zręczności: bo znając charakter tego człowieka, ma się ochotę podejrzewać go o to, że z umysłu nie dopuszczał do otoczenia królewskiego ludzi, którzyby go

[1]) Porównaj listy Władysława IV z roku 1634 i 1635, wydane przez A. *Grabowskiego* (na str. 51, 113, 115—116, 117—118).

[2]) Porównaj list Władysława IV z dnia 15. stycznia 1635 roku (*Grabowski*: Listy, strona 84—85) i depeszę nuncyusza Filonardego z dnia 11. lipca 1637 roku. (Nunz. di Polonia v. 47).

[3]) Ci dwaj wymienieni jako budowniczowie królewscy w spisie długów z roku 1642 (w rękopisie hrabiów Michałowskich).

[4]) Porównaj korespondencyę Sarbiewskiego z biskupem płockim, Stanisławem Lubieńskim z lat 1630—1637, ogłoszoną przez Syrokomlę. (Przekłady poetów polsko-łacińskich, tom VI, str. 11—138), i biografię Sarbiewskiego, pióra Syrokomli, na czele tomiku IV tegoż zbiorku.

[5]) Relacye nuncyusz. Apost., tom II, str. 229. Jest wzmianka o Pstrokońskim także w liście Sarbiewskiego do Lubieńskiego z dnia 13. grudnia 1637 roku (w przytoczonym wyżej zbiorku na str. 137).

mogli zaćmić swemi zdolnościami i zaletami. A musiał mieć wpływ na dobieranie tego otoczenia stanowczy, bo w ogóle nikomu ze współczesnych Władysław IV nie dawał tak chętnego ucha i nie ulegał tak łatwo, jak temu towarzyszowi i przyjacielowi z lat młodzieńczych. Stosunek tych dwojga ludzi do siebie można w istocie nazwać przyjaźnią, opartą na ślepem nieledwie zaufaniu z jednej strony, na niewyczerpanej gotowości do usług z drugiej, przyjaźnią, która przetrwała wszystkie zmiany humoru porywczego króla i wszystkie intrygi i komeraże dworskie w ciągu 30-letniej służby Kazanowskiego, i nie skończyła się, aż ze śmiercią obydwu. Wspominaliśmy już wyżej, że rodzina Kazanowskich była od dzieciństwa Władysława przywiązaną do jego domu: bo ojciec Adama, Zygmunt, sprawował przy królewiczu przez długie lata obowiązki ochmistrza nadwornego, i do ostatnich chwil życia (skończonego w roku 1634), cieszył się szczególnemi względami swego pana. W ślady ojca i w jego rolę wcześnie wstąpili synowie. Starszy, Stanisław, dworzanin Władysława w latach 1617—1618, stał się w krótkim przeciągu czasu jego ulubieńcem, i nie stracił łaski, mimo wielu intryg, których historyę opowiada Jerzy Ossoliński w swojej autobiografii [1]). Gdy zaś w roku 1618 śmierć Stanisława zabrała, zajął zaraz jego miejsce młodszy brat, Adam, aby odtąd wzrastać przy boku królewicza, i następnie króla, w znaczenie, zaszczyty i bogactwa [2]).

Już pod rokiem 1624 zapisuje Stefan Pac w swoim „Obrazie dworów europejskich“ [3]) charakterystyczny szczegół, że gdy Władysław, wbrew woli ojca i senatu, powziął zamiar puszczenia się w podróż zagraniczną, to nikomu się z tym projektem zrazu nie zwierzył, tylko jednemu Adamowi Kazanowskiemu, „z którym się — jak dodaje Pac — około

[1]) Wydanie „Zakładu narodowego imienia Ossolińskich“. Porównaj ustępy na stronie 30—73.

[2]) *J. Ossolińskiego* Autobiografia, strona 73.

[3]) W ustępie na stronie 3.

tej, jak i każdej innej rzeczy, niezwyczajniej się z nim kochając, znosił“. Wiemy też z korespondencyi Władysława z ks. Krzysztofem Radziwiłłem, że królewicz używał tegoż Kazanowskiego do poufnych misyi, przyczem w jednym liście z roku 1631, wyjeżdżając do kąpieli egierskich, upraszał księcia, aby „z łaski przeciw pomienionemu“, a jemu „miłemu słudze nieodmiennie mu chęć i łaskę swoją pokazować i oświadczać raczył“ [1]). W tym czasie (w roku 1631) stosunek Kazanowskiego do Władysława tak się zacieśnił, że królewicz po prostu nic nie umiał odmówić zręcznemu słudze, obdarzał go bezwzględnem zaufaniem, pozwalał mu nawet świadomie wyzyskiwać się. Tak przynajmniej twierdzi Kobierzycki, i tak twierdzili niektórzy senatorowie z otoczenia Zygmunta III, których ta przemożność wpływów zwyczajnego pokojowca niemało drażniła i gniewała. Zygmunt III był, zdaje się, oddawna niechętnym Kazanowskiemu, którego Władysław trzymał — wedle zapewnienia Viscontego — wbrew wyraźnej woli króla. Gdy zatem poczęto królowi znosić wiadomości, że Władysław nietylko zasypuje ulubieńca swego pieniądzmi, ale nawet obdarza go przedmiotami i kosztownościami, jakie otrzymał w darze od ojca (głównym donosicielem miał być Lampugnani, nadworny sekretarz włoski), — zaniepokoił się Zygmunt i, przywoławszy do siebie Władysławskiego, byłego nauczyciela królewicza, Andrzeja Szołdrskiego i Jakóba Zadzika, kanclerza, zażądał od nich rady, co do sposobu pohamowania rozrzutności syna i zbyt daleko posuniętej jego powolności dla Kazanowskiego. Jakiej rady udzielili wezwani królowi, nie wiemy; ale to pewna, że, gdy Władysław wyjechał na kuracyę do kąpieli egierskich, a Kazanowski w interesie osobistym do Królewca, kazał Zygmunt położyć areszt na dom jego i wszystkie w nim znajdujące się sprzęty. Na wiadomość o tem za

[1]) *Muchliński*: „Listy Władysława IV do księcia Radziwiłła“, strona 111—115.

rządzeniu, powrócił Kazanowski niezwłocznie do Warszawy, aby przebłagać gniew królewski; ale nic nie wskórał, póki Władysław nie pojawił się w stolicy. Królewicz, nieugięty, wystąpił stanowczo w obronie ulubieńca, i oświadczywszy, że cokolwiek Kazanowski posiada, to posiada z wolnej jego łaski, nietylko ochronił go od szkodliwych następstw wymierzonej przeciw niemu intrygi, ale zaczął odtąd wyróżniać jeszcze bardziej ostentacyjnie, nie tając przeciwnikom niechęci i urazy [1]). Lampugnani, sekretarz włoski, musiał się wynieść do swej ojczyzny. Śmierć Zygmunta była wielką wygraną dla Kazanowskiego: nie potrzebował nadal obawiać się niczyjej zawiści. Władysław IV nie zachmurzył wobec niego nigdy swojego oblicza: jakim był dla towarzysza lat młodocianych, takim pozostał do grobowej deski. W relacyach Viscontego, wszystkich nuncyuszów i wszystkich posłów zagranicznych z czasu między rokiem 1632 a 1648, Kazanowski przedstawiany jest stale, jako ulubieniec króla, jako najbardziej wpływowa osobistość w jego otoczeniu.

Posypały się nań liczne starostwa: Bielskie, Soleckie, Kozienickie, Nowotarskie. Posypały się i godności: został najpierw stolnikiem koronnym, wnet potem podkomorzym nadwornym, wreszcie w roku 1642 marszałkiem nadwornym koronnym. Gdy się w r. 1634 żenił z Elżbietą Głuszczanką, wojewodzianką mińską, dostał od króla w darze 20.000 złp. w złotym kielichu [2]). Prawdopodobnie dobiłby się był i innych wyższych urzędów w Rzeczypospolitej, gdyby był miał po temu zdolności. Ale zdolności na statystę widocznie nie posiadał. „Do niego, jak do orędownika, każdy się ucieka, — pisał nuncyusz Visconti w roku 1636 [3]) — kto chce co wskórać na dworze; mimo to jednak, nie zdaje się, aby go (król) przypuszczał do spraw ważniejszych, albo przynajmniej rady jago zasięgał“. I poniżej: „Król go nie używa do ża-

[1]) *Kobierzycki:* „Historia Vladislai Principis“, str. 913—914.

[2]) „Memoriale“ *Radziwiłła:* Junius, 1634.

[3]) Relacye nuncyusza Apost., II, strona 221—222.

dnych posług krajowych, i on też nie wiele do nich okazuje pociągu."

Czemu zawdzięczał Kazanowski wyjątkowe, bądź co bądź, stanowisko w stosunku do króla? Głównie niezawodnie, jak już mówiliśmy, zręczności w usłużnem schlebianiu wszelkim zachciankom swego pana. Musiał też posiadać pewne przymioty towarzyskie. Visconti utrzymuje wprawdzie, że nie miał on „nic w sobie, coby mu miłość drugich zjednać mogło", ale temu surowemu sądowi trudno dać wiarę, budzi on podejrzenie, że go podyktowała jakaś osobista uraza. Laboureur bowiem, przeciwnie, nie może się dosyć nachwalić grzeczności, ogłady, wspaniałości i serdeczności marszałka wówczas nadwornego: pisząc o nim, popada w styl entuzyastycznego panegiryku [1]). Widać, że Kazanowski umiał zjednywać sobie ludzi, albo przynajmniej zadziwiać ich i olśniewać. Bogaty i lubiący wystawne życie, musiał być znawcą w rzeczach zbytku, bo wspaniałością swego pałacu, jego wewnętrznem urządzeniem, imponował dworakom francuskim [2]). Pod tym względem, jak pod wielu innemi, przypadał niezawodnie do usposobienia takiego smakosza intellektualnego, jakim był Władysław IV.

Moglibyśmy przytoczyć nazwiska kilkunastu innych urzędników i dworzan, ale żaden z nich nie odegrał na dworze królewskim znaczącej roli, to też niema powodu zajmować się bliżej ich osobami.

Nieco podobnych szczegółów, luźnych tylko i dorywczych, posiadamy o składzie dworu królowych, żon Władysława IV, zwłaszcza Cecylii Renaty. Królowe miały, jak już wyżej nadmieniono, swoich osobnych podkomorzych, i nadto swoje ochmistrzynie dworu. Podkomorzym królowej Cecylii był najpierw Maksymilian Przerębski, wojewoda łę-

[1]) „Relation de voyage", część II, strona 31—35.

[2]) Porównaj opis tego pałacu u Laboureura (Relation, część I, strona 210—215).

czycki [1]), po nim od lipca roku 1630 hrabia Denhof, wojewoda sieradzki, który sprawował ten sam urząd i przy boku Ludwiki Maryi [2]). Ochmistrzyni natomiast dworu pierwszej królowej nie znamy nawet z nazwiska; znana nam jest tylko ochmistrzyni Ludwiki Maryi, którą została w roku 1646 hrabina Magni, żona Franciszka, hrabiego Strassnitz, Włocha z pochodzenia, poddanego cesarskiego (posiadacza majątku w Czechach), którego Władysław IV używał do tajnych misyi dyplomatycznych [3]). Dwór Cecylii Renaty musiał się składać z panien dworskich, przeważnie pochodzenia obcego: na sześć przynajmniej znanych nazwisk tych dam pięć jest cudzoziemskich. Są to nazwiska panien: Eckerin, Eisenreich, Stroczen i Eckenberg, o których wiemy z pewnością, że były Niemkami, i panna Guldenstern, którą Radziwiłł podaje za Szwedkę; tylko nazwisko Malińskiej brzmi po polsku [4]). Z otoczenia Ludwiki Maryi w czasach Władysława IV umiemy nazwać zaledwie parę osób, jako to: ks. Fleurego, spowiednika i kaznodzieję nadwornego, Platemberga, koniuszego, wspomnianą już wyżej hrabinę Magni i pannę dworską, Opacką [5]). Później, za Jana Kazimierza, dwór tej królowej składał się przeważnie z Francuzów i Francuzek; w spisie dam, dworzan i sług jej osobistych, sporządzonym w roku 1667 przez des Noyers'a, na 13 nazwisk kobiecych spotykamy tylko 5, na 23 nazwiska męskie, zaledwie 9 polskich (zresztą francuskie [6]).

---

[1]) *Raczyński:* „Jakóba Sobieskiego dwie podróże", ustęp na stronie 193—194.

[2]) „Memoriale" *Radziwiłła:* Julius, 1639. *Laboureur:* „Relation", część I, strona 145.

[3]) *Laboureur:* „Relation", część II, str. 13.

[4]) „Memoriale" *Radziwiłła,* ustępy z lipca i z 9. października 1639, z 3.—4. czerwca 1640, z października 1642, ze stycznia 1644 i z października 1645 roku.

[5]) „Memoriale" *Radziwiłła:* ustęp z czerwca 1646 roku. *Laboureur:* „Relation", część I, str. 139 i 168.

[6]) „Portofolio", str. 370 i 373.

Wracając do kwestyi kosztów utrzymania dworu, przypominamy, że cyfry, dotychczas podane, wchodzą w zakres jednej tylko rubryki rozchodów królewskich, t. j. rubryki pensyi dworskich. Okazaliśmy, że same płace dworzan, służby, kapeli i gwardyi wymagały w połowie XVII wieku, a niezawodnie i za Władysława IV, rocznego wydatku w okrągłej sumie 230 tysięcy złp. Cały rozchód skarbu nadwornego w ciągu roku był oczywiście nierównie większy. Wedle znanych wykazów z czasów Jana Kazimierza, w roku 1652/3 dosięgał on łącznej kwoty 612.126 złp.[1]. Trzeba bowiem wiedzieć, że znaczna część dworzan i służby dostawała na dworze, prócz pensyi, całe utrzymanie, to jest mieszkanie, pożywienie i odzienie. Otóż koszta tego utrzymania, jako też inne stałe wydatki królewskie, są policzone w dalszym ciągu rachunków Jana Kazimierza pod rubrykami „ekspensów na kuchnię“, „na stajnię“, „na barwę“, „na pocztę“; osobną w nich rubrykę stanowią na końcu tak nazwane „ekspensa ekstraordynaryjne“.

Ogólne sumy wydatków w każdym z pomienionych działów w rachunkach z roku 1652/3 przedstawiają się tak:

Ekspensa na pocztę	. .	10.751	złp.
„ „ kuchnię	. .	101.143	„
„ „ stajnię	. .	68.392	„
„ „ barwę	. .	74.727	„
„ ekstraordynaryjne		127.160	„ [2])

W rubryce „ekspensów na pocztę“ znajdujemy tylko dwie większe pozycye: jedną na 5.000 złp., jako sumę, wy-

[1] Tę cyfrę i wszystkie dalsze dane czerpiemy znowu z przytoczonego już wyżej rękopisu biblioteki XX. Czartoryskich, Nr. 1729.

[2] W przytoczeniach cyfr powyższych i dalszych pomijamy stale sumy groszowe; dlatego ogólna suma tych pięciu ostatnich pozycyi podanych wyżej, jest o parę złotych wyższą od sumy, jakąby dało zliczenie pięciu szczegółowych cyfr, podanych tutaj bez uwzględnienia dodatków w groszach.

liczoną „P. Montelupiemu na pocztę“ i drugą na 3.000 złp., jako sumę, wypłaconą „P. Doniemu, sekretarzowi włoskiemu, na drogę do Włoch z rozkazania króla JMci“. Zresztą, są tu wciągnięte same sumy drobniejsze, od kilku złotych do 200 co najwyżej, wydane na alimenta dla trębaczy, dragonów, kozaków, którzy jeździli do różnych osób z listami.

Z wykazu „ekspensów na kuchnię“ dowiadujemy się, że w roku 1652 „P. Koryckiemu, szafarzowi, na prowizyę kuchni króla JMci wypłacono różnymi czasy“ złp. 57.936 i dopłacono 4.853. Trzeba rozumieć, że tyle mniej więcej kosztował sam stół królewski: bo osobno znajdują się w tymże wykazie uwidocznione koszta stołu wybitniejszych dworzan, prowizye posłów, gości królewskich i t. d., w sumach od najdrobniejszych do 1.200 złp.; wyjątkowo w dwóch wypadkach po 3.900 i 4.366 złp. (na prowizyę stołu posłów najburskiego i hiszpańskiego). Są w rachunkach tej rubryki uwzględnione zresztą najmniejsze nawet wydatki kuchenne: na świece, korzenie, naprawki naczyń i inne t. p., których szczegóły mogą zainteresować jakiegoś historyka sztuki kulinarnej w Polsce, ale nad którymi my zatrzymywać się dłużej nie będziemy.

Rubryka „ekspensów na barwę“ zapoznaje nas znowuż z cenami rozmaitych materyi, zakupywanych dla dworu, i to zarówno dla króla samego, jak i dla dworzan i służby, a nadto z kosztami różnych robót krawieckich. Lwią część tych wydatków pochłaniała barwa dla służby: bo w szeregu pozycyj na łączną sumę 74.726 znajdujemy zaledwie 7—8 takich, które stoją w widocznym związku z osobistemi potrzebami króla, z jego własną toaletą, a opiewają razem na sumę 12—13 tysięcy złp. Cała więc reszta w kwocie przeszło 60 tysięcy złp. szła na zakupno materyi mundurowych i na odpowiednie roboty krawieckie. I tu znowu jest dla badacza rozwoju sukiennictwa i krawieczyzny cenny materyał szczegółów: bo rachunki z roku 1652/3 objaśniają o kosztach barwy dla każdej kategoryi sług z osobna (dla hajduków,

pachołąt, myśliwców i t. d.). Dla siebie i niezawodnie dla królowej kupował król atłasy, aksamity, kitajkę, koronki złote, wstęgi i t. p., nadto z futer: rysie, gronostaje, sobole i popielice. Dostawcami tych materyi i futer byli, jak widać z wykazów, głównie Żydzi.

W dziale wydatków stajennych, jako główny wydatek figuruje suma, wypłacona „P. Baryczce owieśnemu“ — „na prowizyę stajnie króla JMci różnemi czasy“ w kwocie 38.202 złp. Reszta w sumie 30.000 złp. wychodziła głównie na prowianty dla furmanów (gdy wyruszali w dalszą drogę, i zamiast brać żywność i furaż dla koni, dostawali tylko pieniądze na zakupno alimentów), i na koszta robót, wykonywanych przez rzemieślników stajennych. Na zakupno koni wydano w roku 1652/3 tylko 2.500 złp.

Wszystkie inne wydatki dworu Jana Kazimierza w oznaczonym roku podciągnięte są pod ogólną kategoryę „ekspensów ekstraordynaryjnych“, których szczegółowe pozycye przedstawiają też największą rozmaitość. Uwagi godnemi są dość liczne pozycye datków nadzwyczajnych dla służby, darów „z łaski króla JMci“, — można ich wyliczyć dwadzieścia kilka na łączną sumę jakichś 10 tysięcy złp. Natomiast wydatki na jałmużnę były bardzo skromne: zliczone nie dają nawet całej sumy półtrzecia tysiąca złp. Na potrzeby zdrowia (do rąk lekarzy i cerulików, rozumie się, prócz ich pensyi) wyszło półpiąta tysiąca złp. Budowniczym na roboty budowlane, ciesielskie i t. d. wypłacono ogółem przeszło 15 tysięcy. Wśród mistrzów rzemieślniczych najwięcej na wykonanie powierzonych sobie robót pobrał zegarmistrz, bo około 17½ tysięcy. Na nabycie dzieł sztuki nie poświęcono natomiast dużo: zakupno kilku obrazów i wykonanie jakichś malowideł (Salomonowi Schindlerowi za obrazy — JMX. Karwatowi za obrazy, w Rzymie malowane — malarzowi z Elbląga) pociągnęło za sobą wydatek tylko 2.026 złp. Myśliwstwo kosztowało w ciągu tegoż roku 1652/3 (wraz z utrzymaniem oswojonych zwierząt) przeszło 8.000. Nadto wyszło

z kasy królewskiej do rąk króla na nieokreślone bliżej cele 9.000 złp., a całą resztę pochłonęły najrozmaitsze inne, drobniejsze wydatki, uwidocznione w 300 blisko pozycyach, stojących po części w związku z podciągniętemi pod inne rubryki, n. p. wydatków na kuchnię, na stajnię i t. d. [1]).

Przytoczyliśmy te wszystkie dane z rachunków dworu Jana Kazimierza dlatego, że, jak już nieraz powtarzaliśmy, bez obawy popełnienia błędu historycznego, możemy je odnieść także i do czasów Władysława IV, jako dające względnie najlepsze pojęcie o zwyczajnych kosztach utrzymania dworu królewskiego w drugiej ćwierci XVII wieku, to jest w okresie czasu, z którego nie posiadamy innych tak szczegółowych wykazów. Mamy natomiast z tego okresu wcześniejszego dosyć dużo luźnych danych, drobniejszych rachunków, które rzucają światło na pewne przynajmniej szczegóły wydatków dworskich za Władysława IV. Części ich dostarcza znany wykaz długów królewskich z roku 1642, parę rachunków wydał swego czasu Grabowski; kilka innych przechowuje się w przejrzanych przez nas rękopisach.

Możemy stwierdzić naprzykład prawie napewno, że kuchnia musiała kosztować za Władysława IV w roku przeciętnie co najmniej tyle, ile za Jana Kazimierza, t. j. około 100.000 złp., bo wedle przejrzanego przez Gołębiowskiego wykazu wydatków kuchennych na dworze Zygmunta III w przedostatnim roku jego rządów, już wtedy, t. j. w roku 1631, wydatki te pochłaniały okrągło sumę jakichś 120 tysięcy złp. [2]).

[1]) Cyfry, podane w ostatnim ustępie, a zaczerpnięte z pod rubryki „ekspensów ekstraordynaryjnych“ znanego wykazu rękopiśmiennego, nie są powtórzeniem pozycyi, znajdujących się w wykazie; otrzymaliśmy je sami, zsumowawszy szczegółowe dane, któreśmy poprzednio rozgrupowali na działy, odpowiednio do przeznaczenia każdej z nich i bliższego związku, zachodzącego między jednemi a drugiemi.

[2]) *Gołębiowski*: „Domy i dwory“ (Warszawa 1830), str. 90. Gołębiowski podaje rachunki z 9 tylko miesięcy, które wykazują ogólny wydatek w kwocie 89.551 złp. Obliczywszy, że na miesiąc przypada

Z wykazu długów Władysława IV dowiadujemy się nadto, że na same wina włoskie, francuskie, węgierskie, sprowadzone z Wiednia w latach 1636—1639, a więc w ciągu lat czterech, należało się dostawcy 39.412 złp. W tymże wykazie znajdujemy jeszcze takie nieopłacone należytości, jak: jubilerowi 90.000 złp., Wojciechowi Gizy, budowniczemu, 10.908 złp., Janowi Górzyńskiemu „na różne potrzeby do pokoju króla JMci i na rzemieślniki" 22.000 złp., Jarzembskiemu, budowniczemu, 16.070 złp., i zwłaszcza „na kuchnię króla JMci przez P. Białeckiego szafarza dług zaciągniony od 30. Martii" w sumie 150.796 złp., „na stajnię przez P. Wojciecha Baryczkę, króla JMci owieśnego" dług w kwocie 132.625 złp. [1]).

Wydatki na odzienie, na barwę, musiały być też równie znacznymi, jak za Jana Kazimierza, skoro dwa znane nam rachunki za kupno „bławatów, danych P. Sebastyanowi, szatnemu, które brał do pościeli na wesele J. Kr. Mci ze sklepu Wincentego Barsottego w Krakowie", z jednego roku 1637 brzmią na sumę 11.281 złp. [2]), skoro w rok potem (we wrześniu roku 1638) Władysław IV zakupił za pośrednictwem Hieronima Pinoccego we Włoszech „pięć sztuk złotogłowu" za sumę 7.265 złp. [3]), a w parę lat potem, w listopadzie roku 1645, był dłużnym znowuż samemu tylko Pinoccemu za materye, sprowadzone z Wenecyi i Wiednia, 4.000 talarów [4]). Skądinąd wiemy naprzykład, że gdy w roku

---

zatem przeciętnie 9.950 [1]/[2] złp., otrzymaliśmy jako sumę wydatków całorocznych kwotę 119.400, czyli okrągło 120.000 złp.

[1]) Wykaz długów w rękopisie hr. Michałowskich.

[2]) *Grabowski*: „Ojczyste spominki", tom I, str. 75.

[3]) Tamże, str. 76 (Pokwitowanie Władysława IV z datą: w Brodach, dnia 27. września roku 1638).

[4]) Materyały, dotyczące stosunków Władysława IV z Pinoccim, znajdują się w archiwum miejskiem krakowskiem, w osobnych tekach tak zwanych „Pinocciana". Szczegół powyższy wzięliśmy z należącego

1634 jechał do Moskwy poseł Rzeczypospolitej, to w jego świcie znajdował się dworzanin, mający zlecenie królewskie zakupna „różnych a przednich futer“ za 20.000 złp. [1]).

Są to pozycye po większej części znaczniejsze, niż analogiczne w rachunkach Jana Kazimierza z roku 1652/3; a gdy nadto wiadomo, że Władysław IV dbał o pozory, i zwłaszcza o wystawność publicznych wystąpień, to tem pewniej możemy przyjąć za niezawodne, że zwyczajny rozchód jego kasy prywatnej wynosił co najmniej tyle, ile za jego następcy, to jest okrągło jakichś 600 tysięcy złp., a prawdopodobnie nawet więcej, skoro zwyczajne dochody, obliczone przez nas na 600 tysięcy, nie wystarczały na pokrycie zwyczajnych wydatków, i Władysław IV często znajdował się w konieczności zaciągania znacznych długów.

O wydatkach królowych niewiele umiemy powiedzieć. To pewna, że prowadziły one, jak to się mówi, dom osobny, to jest osobno, z własnych funduszów, opłacały swoją służbę, pokrywały wydatki na kuchnię, stajnię i t. d. Koszta utrzymania dworu królowych musiały być znacznie niższe, niż koszta utrzymania dworu królów: bo z wykazu des Noyers'a z roku 1667 widać, że na kuchnię do rąk „panny Ruffini“ nie szło miesięcznie więcej, jak 2.318—2.528 złp., że piekarz brał miesięcznie około 400, kredencerz około 300 złp. na potrzeby stołu. Cała kuchnia królowej mogła wymagać co najwięcej 40—50 tysięcy rocznego wydatku. Podobnież z wykazu wydatków na stajnię królowej (w notatce des Noyers'a) wynika, że wydatki te dosięgały w roku 1666 okrągłej sumy 33 tysięcy złp. (z uwzględnieniem wydatków nadzwyczajnych i kosztów sporządzenia liberyi), a w latach 1665 i 1667 chwiały się między cyframi 24 i 28 tysięcy.

---

do tego zbioru własnoręcznego listu Jana Gębickiego, pisanego do Pinoccego, z datą: Varsovia, 8. Novembre, 1645.

[1] Por. list Władysława IV do podskarbiego z dnia 7. grudnia 1634. *Grabowski A.*: „Listy Władysława IV“, str. 62—63.

Słowem, wydatki dworu królowej Ludwiki Maryi pod koniec jej życia były co najmniej o połowę niższe od wydatków króla: ogólna suma zwyczajnych nie przekraczała zatem zapewne cyfry 300 tysięcy złp., co odpowiadałoby też wysokości zwyczajnych dochodów królowych, które obliczyliśmy w poprzednim rozdziale na 360 do 400 tysięcy złotych polskich.

IV.

Życie powszednie.

Jakkolwiek Zygmunt III, dynasta „w każdym calu“, zapatrujący się na dwór cesarski i wspierany pomocą małżonek swoich, arcyksiężniczek austryackich, starał się zaprowadzić w Polsce surowe i ścisłe formy niemieckiej i hiszpańskiej etykiety dworskiej i dbał o ich zachowanie z pedantyczną usilnością, — nie zdołał przecież nigdy doścignąć swoich zagranicznych wzorów, nie zdołał otoczeniu swemu i zwyczajom dworskim nadać tego uroczystego wprawdzie i świetnego, ale zarazem sztywnego i pompatycznego nastroju, jaki cechował dwory jego habsburskich krewniaków. Opierała się więzom zbyt ścisłej etykiety swobodna, bujna natura polskich magnatów, buntowały się przeciw zbyt krępującym przepisom liberalniejsze pojęcia Polaków o stosunku podwładnych do elekcyjnego monarchy, bróździło wreszcie Zygmuntowi nawet usposobienie jego własnych dzieci — Władysława, prostodusznego, serdecznego, chętnie bratającego się nawet z prostaczkami, i Jana Kazimierza, kapryśnego, przekornego, skłonnego do ekscentrycznych wybryków. Władysław zwłaszcza nie cierpiał formalności, nie umiał się naginać do ceremonialnych manier; nuncyusz Visconti powiada o nim, że „jak będąc królewiczem lubił mieszkać na ustroniu, żeby uniknąć oddychania dworskiem powietrzem, zerwać resztę stosunków z ojcem lub żyć po swojemu bez świadków, tak i teraz (w r. 1636) dla tych samych przyczyn, lub że

istotnie nie lubi zgiełku dworskiego i daje pierwszeństwo wiejskiej zaciszy, — często nam z oczu znikał i, jak mówią, prowadził życie na dyszlu" [1]). Jeżeli więc kto, to Władysław najmniej był usposobionym do podtrzymywania na dworze tradycyi ojcowskich, a miał przytem dosyć siły i samodzielności, aby ustalone formy naginać raczej do swoich upodobań, aniżeli do nich się stosować. W istocie też, zasiadłszy na tronie, nie wyrzekł się wcale swoich nawyknień i nie zmienił dosyć oryginalnego trybu życia. Przypominam, że jeszcze w roku 1636, wedle Viscontego, zwykł był jadać obiady w łóżku, czyli „raczej nie wstawał z łóżka aż po obiedzie". „Mówią także, — czytamy dalej w relacyi nuncyusza, — że w czasie ostatniej wojny smoleńskiej, gdzie sam ważniejszymi kierował obrotami, gdy znużony po bezsennie przepędzonej nocy, lub zaledwie trochę przespawszy się w powozie, mógł powrócić do namiotu na obiad, żadnej nie wziął do ust potrawy, póki go nie rozebrano i w łóżku nie położono". „Jada bardzo mało zrana, ale za to więcej sobie pozwala na wieczerzę, zawsze jednak w granicach umiarkowania; a gdy jest sam, prędko się uwinie i wstaje zaraz od stołu. Mało także sypia, kładąc się późno zazwyczaj, a zrana dość wcześnie w łóżku różne sprawy załatwiać poczyna" [2]).

Łatwo zrozumieć, że upodobanie Władysława w życiu więcej samotnem i brak regularnego w niem rozkładu były to przeszkody, które same przez się czyniły niemożebnem przestrzeganie ścisłej etykiety. Władysławowi przypadały zresztą więcej do usposobienia zwyczaje małych dworów włoskich, aniżeli niemieckich. Strój nosił wprawdzie cudzoziemski z konieczności; ale, jak zapewnia Laboureur, kroju francuskiego, nie niemieckiego. Powiedziałem, że nosił strój cudzoziemski z konieczności; bo w istocie ubiór francuski bardziej dogadzał choremu na reumatyzm i otyłemu mężczyźnie, któremu

[1]) Rel. nunc. Apost., II. str. 195. [2]) Tamże, str. 195—6.

nogi czasem tak nabrzmiewały, że o wdzianiu na nie buta polskiego nie można było ani myśleć [1]). Kobierzycki zaznacza wyraźnie, że jako królewicz, póki był zdrów, po rok 29 życia, Władysław ubierał się stale po polsku [2]); i tak samo kazał też później ubierać swego syna, Zygmunta Kazimierza, jak to zauważył Laboureur w r. 1646 [3]).

Wyliczyłem wprawdzie poprzednio, że na usłudze dworu około połowy XVII wieku było przynajmniej 1000 osób; ale trzeba pamiętać, że w tysiąc ten wchodzi już i cały zastęp wojska nadwornego, i kapela. Służba dworska składała się ogółem z trzystu kilkudziesięciu osób; a w ich liczbie nie było właściwych dworzan więcej jak trzydzieści kilka. Dlatego to Visconti nie widział w dworze Władysława IV (jak się wyrażał) „żadnego podobieństwa“ do dworu królewskiego. „Zakrawa więcej — pisał — na dwór bogatego pana polskiego, bo mało kto tam krząta się około osoby królewskiej, a czasem jest zupełnie pusty“. Nie była to jedyna okoliczność, która nuncyusza zastanawiała i dziwiła; dziwiło go, a nawet raziło o wiele więcej, że Władysław IV w pierwszych latach swoich rządów nie dbał nawet o zachowanie tych form zewnętrznych, których przestrzeganie było dlań poniekąd obowiązkowem, jako dla monarchy katolickiego i przełożonego nad narodem chrześcijańskim. Nie tylko Visconti, ale i jego następca, Filonardi, podnosili to niejednokrotnie z ubolewaniem, że król nie wypełniał zbyt ściśle powinności religijnych, a niekiedy, w dłuższych okresach czasu, zaniedbywał ich zupełnie. Obaj nuncyusze posądzali też króla z tego powodu o oziębłość religijną: Visconti pisał nawet w jednej z depesz z r. 1634, że „wszyscy szemrają, iż pałac jego zdaje

[1]) *Laboureur:* Rélation du voyage de la Reine etc. I. str. 32. Por. depeszę nunc. Filonardego z 12 stycznia 1641 (A. wat. N. Pol. 50, odpis w krakowskiej Akad. Umiejętności).

[2]) *Kobierzycki:* Historia Vladislai Principis. str. 27—8.

[3]) Rélation du voyage. I. str. 182—3.

się być pozbawionym wszelkiego śladu pobożności“ [1]), a Filonardi w r. 1642 posuwał się nawet do twierdzenia, że „jeżeliby (Władysław IV) jeszcze nieco więcej zobojętniał, to stałby się heretykiem“ [2]). Ta rzekoma obojętność religijna Władysława była podobno źródłem wielkiego zmartwienia dla pobożnego Zygmunta III: „bo w ostatnich latach jego życia, — jak powiada Visconti — gdy przy nim syn rzadko bawił, ani razu nie widziano go z nim w kościele, co było także niezmiernie przykrem dobrym katolikom, przywiązanym do osoby królewskiej“. Po elekcyi i koronacyi miało się usposobienie religijne Władysława IV zmienić na lepsze: „lubo nigdy nie pokazał się w kościele i rzadko bywa na nabożeństwach, dał się jednak kilka razy widzieć w swej loży w ciągu wielkiego tygodnia i ostatnich świąt wielkanocnych, a w innych uroczystościach przynajmniej podczas kazania...“ „Mówią także, że słucha mszy codzień w miejscu prywatnem ze swego pokoju“ [3]). Władysław tłómaczył się przed nuncyuszem, że nie bywa w kościele, bo nie może się nagiąć do zwyczaju wczesnego wstawania z łóżka, i atmosfery kościelnej, przepojonej wonią łoju i kadzideł, nie znosi; uskarżał się, że pobyt w tej atmosferze nabawiał go nieznośnego bólu, to znowu nudności i jakichś dolegliwości sercowych“ [4]). Nie wydawały się te tłumaczenia wystarczającemi nuncyuszowi. Visconti dopatrywał się w oznakach oziębłości religijnej Władysława pewnego wyrachowania, mającego na względzie cele polityczne, mianowicie chęć pozyskania sobie przychylności dyssydentów, a w szczególności Szwedów i schyzmatyckich Kozaków: ale kładł je po części także na karb

---

[1]) Depesza nuncyusza Viscontego z dnia 12 listopada r. 163[illegible] (A. wat. N. Pol. 48).

[2]) Depesza nuncyusza Filonardego z dnia 8 sierpnia roku 1642 (A. wat. N. Pol. 51).

[3]) Rel. nunc. Apost. I, str. 193–5.

[4]) Por. depesze nunc. Viscontego z 20 września r. 1632 i 11 czerwca r. 1633 (A. wat. N. Pol. 45 i 46).

jakichś czarów, czy wpływu złych duchów, zgodnie z opinią arcybiskupa gnieźnieńskiego, który miał króla nawet z tego powodu raz egzorcyzmować [1]).

Nie tu miejsce wchodzić w dokładny rozbiór kwestyi, czy i ile było słuszności w zarzutach nuncyuszów i w ich posądzeniach; jakkolwiek rzecz się miała, to w każdym razie jest niewątpliwem, że w miarę przyrostu lat Władysław IV stopniowo coraz więcej okazywał się dbałym o wykonywanie przepisów religijnych, coraz staranniej i dokładniej przestrzegał przynajmniej formalnych praktyk prawowiernego katolickiego monarchy. Był to, zdaje się, skutek wpływu obu małżonek, Cecylii Renaty i Ludwiki Maryi, kobiet religijnych i nawet skłonnych do przesadnej dewocyi.

Filonardi, który przedstawiał kuryę rzymską w Polsce do połowy r. 1643, nie przestaje wprawdzie do ostatnich chwil swego pobytu w Polsce podawać w wątpliwość religijności Władysława IV i posądzać go o sprzyjanie herezyi [2]); ale do opinii tego nuncyusza nie można przywiązywać zbyt wielkiej wagi, gdyż wiadomo z jego własnych relacyi, że był dla pewnych ubocznych powodów mocno zrażonym do króla i wogóle do Polaków, — a rozdrażnienie to zamąciło niejednokrotnie spokój jego sądu. Mamy bowiem pod ręką współczesne zapiski klasycznego świadka życia królewskiego, kanclerza litewskiego, Radziwiłła, z których treści wynika, że Władysław IV już w pierwszych latach rządów nietylko częściej, niż za życia ojca, brał udział w publicznych obrzędach kościelnych, ale nawet sam praktykował religię, przystępując od czasu do czasu do św. sakramentów itd. Weźmy np. zapiski z samego roku 1635: dnia 4 kwietnia (wedle

[1]) Por. przytoczoną wyżej relacyę z roku 1636 (Relacye nuncyusza Apost. I. str. 193 i i depeszę Viscontego z dnia 8-go września roku 1632 (A. wat. N. Pol. 45).

[2]) Por. depeszę tego nuncyusza z lat 1637—1643, passim (A. wat. N. Pol. 18–51. Jak poprzednie, tak te i wszystkie dalej przytaczane posiada w odpisach krakowska Akademia Umiejętności).

relacyi Radziwiłła) odprawia król spowiedź wielkanocną i przystępuje do komunii św.; w Wielki Czwartek jest obecnym na całem nabożeństwie i umywa nogi ubogim; w Wielki Piątek, mimo bolów reumatycznych, zwiedza Boże Groby w kilku kościołach, a w samą Wielkanoc słucha jutrzni od początku do końca z przykładną wytrwałością [1]). Toż samo powtarza się w r. 1636, 1641 itd. [2]). W późniejszych latach odbywa parę razy podróże w celach pobożnych i pielgrzymki do cudownych obrazów. W r. 1643 udaje się do Wilna na obrzęd beatyfikacyi Józefata Kuncewicza, w styczniu r. 1644 do Żyrowic, do cudownego obrazu Panny Maryi, w sierpniu r. 1638 i w czerwcu r. 1644 nawiedza Częstochowę i za każdą bytnością w klasztorze Jasnogórskim spowiada się i przystępuje do komunii św. W czerwcu r. 1641 i 1642 bierze udział w procesyach Bożego Ciała [3]). W roku 1637 (podług Sarbiewskiego) wybito dla króla umyślnie w kościele katedralnym św. Jana drzwi blisko wielkiego ołtarza, aby mógł w razie nagłej niedyspozycyi oszczędzić sobie przechodzenia z powrotem do pałacu przez całą nawę; nie byłoby mu zapewne takie udogodnienie potrzebne, gdyby nie chciał bywać częściej na nabożeństwach [4]). Co zaś do ostatnich lat życia Władysława, to już nietylko Radziwiłł, ale i nowy nuncyusz, de Torres, stwierdzają zgodnie i niejednokrotnie, że król nie usuwał się od żadnych obrzędów i spełniał obowiązki religijnego człowieka z gorliwością. W „awizie" nuncyusza z 8 maja 1647 r. czytamy, że „z każdym dniem ujawnia się coraz bardziej rzadka pobożność i gorliwość J.

---

[1]) Memoriale: Aprilis 1635.

[2]) Memoriale: Aprilis r. 1638 (z dnia 2 i 4); Martius r. 1641 (z dnia 29 do 30) etc.

[3]) Wszystkie powyższe szczegóły także w „Memoriale" *Radziwiłła* pod odpowiedniemi datami.

[4]) Por. list Sarbiewskiego do biskupa Lubieńskiego z r. 1636 (*Sarbiewski*: Opera posthuma, wyd. Bohomolca z r. 1769, str 105—6).

Kr. Mci..." [1]). W depeszy późniejszej, z dnia 13 lutego roku 1648, podnosi de Torres z zadowoleniem, że przed wyjazdem na Litwę Władysław „kazał się zanieść do jednej z kaplic kościoła katedralnego, znajdującej się w zakrystyi, gdzie się przechowują różne relikwie — i tu całą godzinę spędził na modłach..." [2]) Jeden ze świadków ostatnich chwil życia Władysława IV i jego śmierci w Mereczu zapisuje w swojej relacyi, że król skończył religijnie, oddany na łożu przedśmiertnych cierpień wyłącznie trosce o zbawienie duszy, z pobożnemi słowy na ustach [3]).

Wiadomo zresztą skądinąd, że nie brakło na dworze królewskim spowiedników i kaznodziejów. Spowiednikiem był między innymi przez czas dłuższy ks. Stanisław Pstrokoński, kaznodziejami: do r. 1635 Sebastyan Layszczewski, a po nim między r. 1635 a 1642 znany poeta, Maciej Sarbiewski [4]). Dzieje pracy kaznodziejskiej tego kapłana-autora są najlepszym dowodem, że obowiązków religijnych ani król, ani jego otoczenie nie lekceważyło. Sarbiewski sam podaje w swoich listach, że nietylko słuchano go często i chętnie w Warszawie, ale nie obywano się bez jego kazań nawet w ciągu podróży i wycieczek myśliwskich. Poeta towarzyszył królowi do Cieplic wiedeńskich w roku 1638 i spieszył za nim na Litwę, w głąb puszcz grodzieńskich i mereckich, ile razy dwór się w nie zapuszczał między r. 1635 a 1640. Między jednem a drugiem polowaniem odbywały się nabożeństwa, czasem na otwartem polu, pod rozpiętym umyślnie w tym celu namiotem; a i wśród tego gorączkowego, bezładnego życia myśliwskiego nie zaniedbywano sposobności

[1]) A. wat. N. Pol. 55. [2]) Tamże t. 56.

[3]) *Michałowski:* Księga pamiętnicza, str. 10—16.

[4]) Porównaj gruntowną biografię Sarbiewskiego przez X. Badeniego w „Przeglądzie powszechnym" w 1894, t. IV, str. 208—232 i 376—395 i nadto bardzo interesujący artykuł Włodzimierza Piątkiewicza S. J. p. t. „Kaznodziejska działalność Sarbiewskiego". (Tamże, r. 1891, t. XXX. str. 360—383).

wysłuchania ujętych w świetną formę nauk naszego kaznodziei [1]). „Dziczejemy prawie wśród tych ciągłych polowań, — pisał Sarbiewski z Grodna 13 grudnia r. 1636 [2]), — ja zwłaszcza, który nieraz w myśliwskim, na wiatry i deszcze wystawionym namiocie, ledwie zdołam obmyśleć i napisać to, co w święto przed królem mam mówić na kazaniu". W r. 1639, właśnie za pobytu w Mereczu, zwykłem ognisku wycieczek łowieckich Władysława, donosił też poeta przyjacielowi swemu, biskupowi Łubieńskiemu, iż „nikt chyba inny nie miewa kazań tak ustawicznie i z takiem natężeniem", jak on [3]). Jest rzeczą uwagi godną, że kazania te były wygłaszane często w języku polskim, nie w łacińskim; z tego powodu tłómaczył się nawet Sarbiewski w jednym ze swoich listów z r. 1636, że „studya, jakie z konieczności odbywa teraz nad ojczystym językiem" wysuszyły w nim „źródła łacińskiej wymowy" [4]). Że sam król przywiązywał do kazań Sarbiewskiego wielką wagę i wysoko cenił swego nadwornego kaznodzieję, a z drugiej strony umiał wzbudzić dla siebie jego przywiązanie i podziw, na to także nie brak dowodów w korespondencyi i pismach Sarbiewskiego. Jest dźwięk szczerości i serdecznego uczucia w tych pochwalnych słowach, które poeta poświęca Władysławowi w liście z 16 listopada r. 1637, podnosząc „peracre ipsius ac divinum plane ingenium" [5]), a poetyczne „Silviludia" przenika także przyjazne uczucie pobłażliwości dla rycerskich upodobań Władysława. Nawzajem król dał publiczny wyraz uznaniu przymiotów i zdolności Sarbiewskiego za pobytu w Wilnie w r. 1636, gdy umyślnie podniósł uroczysty nastrój aktu jego promocyi

[1]) Por. w artykule X. Piątkiewicza ustępy na str. 373—380.

[2]) Wedle cytatu X. Piątkiewicza na str. 373.

[3]) Por. w artykule tegoż ustęp na str. 378.

[4]) Tamże, str. 367.

[5]) *Sarbiewski:* Opera posthuma, wyd. Bohomolca z roku 1769 str. 108—9.

na doktora teologii, wziąwszy osobiście udział w całym obrzędzie z królową i licznym dworem [1]).

W zwyczajnych warunkach obecność na mszy w kościele, udział w jakimś pochodzie czy obrzędzie religijnym — to były prawie jedyne publiczne wystąpienia króla. Nie znajdujemy zresztą na dworze polskim ani śladu takich ceremonii, jakiemi był skrępowany każdy nieledwie krok monarchów francuskich i hiszpańskich od chwili wstawania z łóżka aż do chwili udawania się na spoczynek. Król i królowa wstawali, ubierali się i jadali zazwyczaj prywatnie, bez asystencyi licznego dworu, używając pomocy pokojowej służby, a nie w oczach tłumów publiczności (jak to bywało we Francyi, gdzie każdy obiad królewski był jakby publicznem widowiskiem, a „le lever" i „le coucher" króla miało charakter wielce ceremonialnych obrzędów). Przestrzegano i u nas pewnego ściśle określonego ceremoniału, ale tylko podczas publicznych wystąpień i w wypadkach uroczystych. Jedyna formalność, o której zachowanie dbano, polegała na tem, iż, jak wszędzie na dworach, tak i w Polsce, dostęp wolny do króla miała tylko pewna liczba osób, należących do najbliższego otoczenia, a wszystkie inne z reguły musiały prosić o posłuchanie. Zgłaszano się w tym celu do marszałka nadwornego, który pośredniczył między królem a publicznością. Przy audyencyach ceremoniał był nadzwyczaj prosty: Władysław IV, chorowity, zwykle przyjmował zgłaszających się siedzący, a często nawet leżąc w łóżku. Tylko posłowie państw obcych mieli prawo do zajęcia miejsca na krześle wobec króla; mógł jednak, oczywiście, król zaprosić do siadania także i swoich poddanych. Nie znalazłem dowodu, iżby posłuchania takie odbywały się regularnie w pewnych oznaczonych dniach czy godzinach: wogóle wszystko, co wiemy o życiu Władysława IV, zdaje się wskazywać na to,

[1]) Por. w biografii Sarbiewskiego przez XX (l. s. cit.) art. na str. 376—8.

że w toku codziennych zajęć jego, nie było żadnego regularnego rozkładu. Z jednej zapiski Radziwiłła wnoszę, że obiady jadano na dworze nie pod wieczór, lecz w godzinach południowych: kanclerz bowiem litewski wspomina pod datą 8 grudnia r. 1639 jako o wypadku nadzwyczajnym, iż „ledwie około południa drzewo i mięso przyniesiono do kuchni i służba do 4-ej popołudniu czekała o głodzie...“ [1]). Zresztą wszystko odbywało się w takim porządku, albo raczej nieładzie, w jakim podobało się królowi plan zajęć i rozrywek codziennych ułożyć. „W każdej chwili, — opowiada Visconti o Władysławie IV, — gotów jest zasiąść do roboty, nawet w godzinach, które inni na spoczynek przeznaczają. Mając wyjść lub wyjechać, nie zważa na to, czy pogoda, czy słota, czy ma lub niema kogo do posługi w podróży. Zaraz po obiedzie jedzie na polowanie... albo li też zasiada do sądzenia spraw, lub się zajmuje innymi interesami publicznymi...“

Przy zajęciach obowiązkowych niemało czasu zabierały rozrywki; ale trzeba przyznać, że prócz cielesnych i fizycznych, takich, jak przejażdżki i myśliwstwo, Władysław IV uprawiał z wielkiem upodobaniem także i wyższe, estetyczne, takie, jak muzykę, sztukę teatralną i lekturę.

Wiemy od Jarzemskiego [2]), że na dworze zabawiano się rozmaitemi grami: grą w piłki, w rodzaj bilardu i wreszcie w karty. „Gra w piłki“ była odmienną od dzisiejszej, zwyczajnej: Jarzemski powiada, że na długiej ławie kładziono ciężarki żelazne, które, zapomocą rzucanych zdaleka piłek, strącano; ten, co strącił ostatni ciężarek, wygrywał. Zauważył też Jarzemski w pałacu królewskim na Krakowskiem Przedmieściu jakiś „stół z okienkami,“ po którym „gałkami grywano“. Zapewne więc był to bilard, albo, jak się domyśla Niemcewicz: „Trou-Madame“ [3]). O grze w karty

[1]) Por. „Memoriale“ pod wskazaną wyżej datą.
[2]) Opisanie Warszawy z roku 1643.
[3]) *Niemcewicz*: „Zbiór pamiętników,“ III, str. 127.

jedyną wzmiankę znalazłem w Pamiętniku Radziwiłła: pod dniem 15 czerwca 1643 roku wspomina on o partyi, w której brał udział, dotrzymując towarzystwa królowi i królewiczowi, Janowi Kazimierzowi.

Sam Władysław IV przenosił ponad wszystkie rozrywki — myśliwstwo. To była, rzec można, jego wielka namiętność. Już w listach królewicza z roku 1615 są ślady tego upodobania; w znanej korespondencyi z Krzysztofem Radziwiłłem spotykamy nieraz wzmianki to o chartach, to o innych psach, to znowu o niedźwiedziach, które mu hetman przysyłał, lub wyrazy ubolewania, że w jakichś łowach nie mógł wziąć udziału [1]). „Po objęciu korony — powiada Visconti [2]) — czas, pozostały od zatrudnień rządowych, nie przestaje łożyć na polowania i wycieczki w pobliższe okolice, nie tak dla rozerwania myśli, jak raczej dla powstrzymania coraz bardziej wzmagającej się otyłości". Toż samo spostrzeżenie mogli byli powtórzyć wszyscy inni nuncyusze z czasów Władysława IV. Ostatni z nich, de Torres, wspomina w jednej ze swoich depesz z roku 1647, że na prośbę kilku senatorów musiał czynić królowi przedstawienia, aby, ze względu na stan swego zdrowia, nie oddawał się zbyt często wytężającym rozrywkom myśliwskim. Król łaskawie przyjął tę przestrogę: ale nuncyusz sam wyrażał powątpiewanie, aby przyzwyczajenie, od tak dawna zakorzenione, dało się przezwyciężyć [3]).

W istocie, w źródłach i pamiętnikach współczesnych pełno wzmianek o łowach królewskich. Nie było roku, żeby Władysław nie poświęcił im przynajmniej paru tygodni. Ulubioną widownią tych „silviludiów" (jak je nazywa Sarbiewski) były rozległe puszcze nadniemeńskie w obrębie województwa trockiego. Gdy się król wybierał na Litwę, to

[1]) *Muchliński:* „Listy Władysława IV." str. 20, 52—3, 96—7.

[2]) Relacye nunc. Apost., II, str. 195.

[3]) Depesza nuncyusza z 20 kwietnia 1647. (Arch. Wat. N. Pol. 55).

zwykła droga prowadziła na Grodno, Troki i Wilno. Między Grodnem a Trokami, mniej więcej w połowie drogi, leżał Merecz, główne właśnie ognisko wycieczek łowieckich. Stąd to zapuszczał się Władysław IV w rozległe lasy okoliczne, a niekiedy i w dalsze strony, na wschód, aż do Lejpun i Soleczników, na północ, aż do Rymszan i Kowna. Nawet potrzeba wojenna nie była zdolna osłabić w królu tętna żyłki myśliwskiej. Podróż pod oblężony Smoleńsk odbywał powolnie, urozmaicając ją sobie częstymi łowami. Jadąc na Okuniew, Zawiszyn, Ostrów, zatrzymał się 12 maja w lasach pod Zambrowem, i tu odbyło się jedno polowanie; następnego dnia, 13-go, w drodze z Zambrowa do Mężynina, ubił trzydzieści zajęcy; przebywszy Knyszyn i Sokółkę, polował znowuż przez dwa dni między Kuźnicą a Grodnem, a pobyt w tem ostatniem mieście kilkotygodniowy „strawił — jak powiada Radziwiłł — na leczeniu się i łowach“ na przemiany. Wyruszył dopiero 12 czerwca z Grodna w dalszą drogę, ale wnet zatrzymały go bagniste puszcze bersztańskie. Nie porzucił ich, póki nie ubił w dwóch dniach po dwa łosie; a w Mereczu, gdy nie starczyło czasu na dalszą wycieczkę w lasy, nie mogło się obejść bez improwizowanych przynajmniej łowów, za których przedmiot posłużył niedźwiedź, wypuszczony z klatki [1]). Podobnież w roku 1636 podróż z Wilna do Grodna zabrała półtora miesiąca, bo ją przerywały dłuższe „intervalla“ myśliwskie [2]). W roku 1637, w ciągu lata i jesieni, puszcze nadniemeńskie znowu rozbrzmiewają wrzawą łowiecką: całe tygodnie trawi Władysław w lasach, nawiedzając po kolei Berszty, Soleczniki, Kotrę, Merecz, Metele i Lejpuny [3]). Był świadkiem zabaw królewskich niestru-

[1]) „Memoriale“ *Radziwiłła*; ustępy od 9 maja do 24 czerwca 1633.

[2]) Tamże, September — October, 1636.

[3]) Por. listy Sarbiewskiego do biskupa Lubieńskiego z 6 lipca i z grudnia 1637 („Opera posthuma“, wyd. Bohomolca z r. 1769, str. 98—9 i 113—14), i list Sarbiewskiego do Lubieńskiego z datą: „Pridie Nonas Decembris 1637.“ (Tamże, str. 112—113). Nadto tytuły pojedyńczych

dzony Sarbiewski: okoliczności tej zawdzięczamy właśnie „Silviludia,“ które, wedle zapewnienia samego poety, powstały, w „nędznej i niskiej chacie“, między jednem a drugiem polowaniem[1]). Surowy kaznodzieja mięknie wobec swego pana i dobroczyńcy, i pobłażliwem, pełnem miłości spojrzeniem śledzi bieg hucznych jego rozrywek; sam zresztą i tutaj, wśród huku samopałów i psów ujadania, zatopiony w poważnych rozmyślaniach i oddany przygotowaniom do czynności kapłańskich. Tęsknota za ciszą i spokojem, i nawet lekka pogarda marności światowych przebija też i w tych pieśniach, poświęconych „zabawom leśnym“ [2]). Rozmowę z dworzaninem, która stanowi osnowę pieśni trzeciej, kończy poeta temi oto słowy:

„Pod drzewem, w cieni wybornej,
Słuchając ptaszęce pienie,
Śmieję się z próżności dwornej,
Z honorów, nikłych, jak cienie“.

I wkłada także i dworzaninowi w usta podobną refleksyę:

„Przebóg! Monarchów szkarłaty
Ostremi cierńmi podbite!
O, błogo mieszkańcom chaty,
O, życie spokojem syte!“

Ale zarazem cieszy się, że król znajduje wśród lasów wytchnienie i rozrywkę. Pierwsze słowa pierwszej pieśni, to odezwa poetyczna do bersztańskich borów:

Dosyć wam, dosyć drzemać uroczyście,
Pozdrówcie króla na szczęśliwe przyjście,

pieśni w poemacie Sarbiewskiego: „Silviludia“. („Poemata omnia“, wyd. z r. 1892, nakł. Jezuitów, str. 255—272).

[1]) Por. list Sarbiewskiego z grudnia, przytoczony w poprzednim przypisku.

[2]) Przytaczam ich ustępy wedle „Przekładów“ *Syrokomli*, (t. V, str. 171—197).

Niech spracowane myśli ukołysze!
Wioń, słodki wietrze; od pieszczoty twojej
Niech się królewska dusza uspokoi!“

Dla przypodobania się królowi, usiłuje nawet utrwalić opisami wspomnienie samychże scen myśliwskich:

„Wre szczera ochota,
Od szczekania brytanów rozlega się puszcza,
Ręka pociski wypuszcza,
Usta spaliła spiekota,
Serce bije — a po łanie
Myśliwy jak sarna bieży,
Zaledwie ciężkie dychanie
Pierś mu odświeży...

Pieszczotliwy, miękki wietrze,
Pochłoń w sobie wonne zioła,
Pój się kwiatów wonią:
Niech twe wianie pot obetrze,
Co królowi płynie z czoła —

On zmęczon pogonią
Wróci do nas wieczorem z wesołej podróży,
Kiedy noc swoje ciemne źrenice przymróży“.

W tytułach „Silviludiów“ spotykamy się też z nazwiskami tych wszystkich miejscowości, które były zwykłemi stacyami wycieczek królewskich. Pieśń pierwsza nosi napis: „Gdy Najjaśniejszy Władysław IV, król polski, przybył do Berszt na łowy“; pieśń druga — to śpiew pasterzy podczas bytności króla w Solecznikach; w pieśni trzeciej snuje się „rozmowa siedzących pod drzewem poety i dworzanina podczas łowów“; pieśń czwarta jest odezwą „do wiatru, aby w pracach i znoju orzeźwiał Władysława IV, polującego w Mereczu podczas południowych skwarów“; a pieśń ósma składa się ze śpiewów rybaków nad jeziorem Metelskiem, gdzie król urozmaicał sobie czas rybołówstwem.

W tych samych lasach nadniemeńskich, raz pod Ilgiem, to znowu koło Lejpun, Simna i Merecza, znajdujemy króla, bawiącego się myśliwstwem także w kwietniu i maju roku 1639. W lipcu udaje się na zaprosiny elektora do Prus książęcych, i tu, między Ortelsburgiem a Nidą, poluje znowu na jelenie i daniele. Jeszcze i w listopadzie tegoż roku zajmują Władysława łowy przez dni kilka [1]). I toż samo powtarza się mniej więcej co rok. Polował król zazwyczaj na grubego zwierza, wyjątkowo na powszednią zwierzynę, taką, jak wilki i zające. Dziwna rzecz, że w żadnych źródłach nie udało mi się znaleźć wzmianki o polowaniach na żubry i o bytności króla w puszczy Białowieskiej.

Wspominałem już w poprzednim rozdziale, że do posługi myśliwskiej utrzymywano na dworze stale dwadzieścia parę osób. W rachunkach Jana Kazimierza z roku 1652/3 znajdujemy wyliczonych 8 myśliwców, jednego strzelca, dwóch dojeżdżaczy i 12 innych ludzi o nieokreślonych bliżej czynnościach. Myśliwcy pobierali po 100 złp. (z wyjątkiem jednego), inni że służby po 72 złp. płacy na kwartał [2]). Wszyscy pozostawali pod rządem dwóch łowczych nadwornych. Sama opłata służby myśliwskiej wymagała zazwyczaj wydatku kwartalnego 1.632 złp. (wyjątkowo mniej), czyli rocznego 6.528 złp. Nadto, na różne wydatki, z łowami połączone, pobierał każdy łowczy od 7.620 do 7.880 rocznie, czyli obadwaj około 15.000 złp. Razem więc w pierwszych latach rządów Jana Kazimierza myśliwstwo królewskie kosztowało przeciętnie około 22.000 złp. [3]).

---

[1]) „Memoriale“ *Radziwiłła:* Aprilis, Maius, Julius, November, 1639. Por. także listy *Sarbiewskiego* z 3 i 30 czerwca r. 1639 („Opera posthuma“, str. 168).

[2]) Ręk. bibl. Czartor., Nr. 1729 i 1739.

[3]) Porównaj dane w rachunkach J. Kazimierza (l. s. cit.). Wszystkie zestawione wyżej cyfry sumaryczne są także rezultatem zliczenia pojedyńczych pozycyj, zawartych w szczegółowych wykazach podskarbińskich.

Rozrywki więcej cielesne, fizyczne, nie zapełniały jednak w życiu króla nigdy wyłącznie chwil, wolnych od zajęć obowiązkowych. Zostało zawsze jeszcze dosyć czasu i na inne, wyższe, intellektualne, dla których światły umysł Władysława żywił głębszą i rzetelną predylekcyę. Że król ten posiadał wcale nieposlednie wykształcenie, że zajmował się literaturą, naukami i czytywał dużo, temu nie przeczy żaden z pośród codziennych świadków jego życia. Zwracało to uwagę Viscontego, że Władysław IV „ma wiele wiadomości, nabytych z czytania dzieł różnych i z obcowania z uczonymi, których miał przy sobie"; podnosił też z podziwem, że „oprócz po polsku, mówi doskonale po łacinie, po włosku, po niemiecku, i tak gruntowną posiada znajomość tych języków, że jednym czy drugim niemniej przyjemnie, jak dowcipnie żartować może" [1]. Na innem miejscu przypisuje nuncyusz oziębłość religijną króla tej właśnie okoliczności, iż czytywał bez różnicy wszystkie książki, i stąd „może dopadłszy jakiej, którą mu złośliwie podsunęli heretycy, mógł napoić się mylnemi wyobrażeniami..." [2]. W zestawieniu z temi pochwałami cudzoziemca, piszącego poufną relacyę dla kuryi rzymskiej, niema powodu podawać za zbyt korzystne uprzedzenie równie chlubnych wyrazów, zawartych w jednym z listów Sarbiewskiego z roku 1637. „Ja dopiero niedawno — powiada uczony poeta [3]) — podziwiałem przebystry jego i prawie boski umysł, gdy chwalił naszego Famiana Stradę, autora belgijskiej historyi, i o sposobie pisania historyi wogóle rozwijał przedemną świetne i wyborne poglądy". Z tegoż samego listu dowiadujemy się, że król poznał właśnie wtedy także dzieło Lubieńskiego: „De bello civili", i podnosząc jego zalety, mienił autora polskim Cyceronem. Czytając więc Famiana Stradę, nie zapominał i o historykach krajowych.

[1]) „Relacye nunc. Apost.", II. str. 190—2.
[2]) Tamże, str. 195.
[3]) *Sarbiewski*: „Opera posthuma" (wyd. z r. 1769), str. 108—9.

Korespondencya Władysława z Ciampolim dowodzi, że zajmował się także zbieraniem materyałów do dziejów swoich czasów, że kazał spisywać dyaryusze i relacye wojen, w których brał udział, i sam pisma te sprawdzał i poprawiał, sam przesyłał o nich wiadomości poecie i historykowi włoskiemu. Wiadomo jest także, że interesował się żywo naukami przyrodniczemi, i w szczególności fizycznemi. Pomiędzy rękopisami Galileusza, w prywatnej bibliotece wielkiego księcia toskańskiego, Leopolda II, znaleziono dwa listy, świadczące, że Władysław IV utrzymywał z tym uczonym stosunki: w jednym z listów mieści się zamówienie na dwie lub trzy pary szkieł do teleskopu [1]. To zamiłowanie do nauk przyrodniczych było jednym z powodów, dla których chętnie przyjmował na dworze swoim O. Waleryana Magniego, i ulegał jego wpływowi. Kapucyn ten był bowiem nietylko zakonnikiem i dyplomatą, ale także autorem kilku dzieł z zakresu fizyki i filozofii. Przypisywał on sobie nawet wykrycie praw hydrostatycznych, których rozpoznanie i wykazanie wedle powszechnej dziś opinii jest zasługą Torricellego. W jednem dziełek Magniego znajdujemy wzmiankę, że świadkiem jego eksperymentów z rtęcią (t. j. wytwarzania próżni), był w roku 1647 Władysław IV w otoczeniu dworu [2].

Poza lekturą i doświadczeniami naukowemi szukał król nadto rozrywki w muzyce (jako amator, bo sam nie grał na żadnym instrumencie), i w przedstawieniach teatralnych. Nietylko dbał o utrzymanie dobrej orkiestry i wyborowych śpiewaków na dworze, ale sam nieraz czuwał nad urządzeniem przedstawień oper i baletów.

Takie artystyczne rozrywki, jak komedye, opery i balety, to była właściwie w zwyczajnych warunkach jedyna

[1] Porównaj artykuł *Feldmanowskiego*: „Władysława IV stosunki literackie i naukowe z Włochami". (Biblioteka Ossolińskich, tom XI, str. 141 — 172).

[2] Porównaj dziełko *Waleryana Magniego* p. t: „Demonstratio ocularis loci sine locato" etc. Varsoviae, 1647.

rzecz, przez którą dwór królewski wyróżniał się od innych magnackich. Zresztą bowiem — jak słusznie zauważył Visconti — dwór ten nie nastręczał wcale tak świetnych i teatralnych widoków, jak monarsze dwory zagraniczne: życie Władysława IV i jego otoczenie było urządzone i płynęło w takim mniej więcej sposobie, jak życie w prywatnych pałacach polskich panów.

Wszystko to się jednak zmieniało, nabierało niebywałego blasku i świetności w chwilach wyjątkowych, w dniach uroczystych. Jak wyglądał dwór w takich chwilach, o tem można sobie wyrobić pewne pojęcie na podstawie licznych relacyj, z których zaczerpnęliśmy sporo szczegółów, zestawionych w następnym, ostatnim rozdziale niniejszego studyum.

V.

Uroczystości i zabawy.

Gdy trzeba było wystąpić, umiał dom Wazów wystąpić tak wspaniale, że wprawiał nawet przybyszów z Francyi w zdumienie. „Polacy bowiem lubią się pokazać z wielkim przepychem — powiada Visconti — i są z niemałem uszanowaniem dla króla, którego sobie sami obrali". W istocie, sami to panowie polscy przyczyniali się w takich nadzwyczajnych wypadkach najwięcej do uświetnienia dworskich uroczystości. Zjeżdżali do boku króla z tłumami własnych dworzan i służby, i jedni drugich starali się olśnić i zaćmić bogactwem i zbytkownością swoich orszaków. Dość przeczytać opis wjazdu królowej Ludwiki-Maryi do Warszawy z marca 1646 roku, aby się przekonać, że pojazdowi jej asystowało co najmniej równie dużo dworzan i wojsk magnatów polskich, jak i królewskich. Książę Janusz Radziwiłł przyprowadził 150 kozaków, 250 hajduków i 26 dworzan; książę Stanisław Albrecht Radziwiłł, kanclerz W. Litewski, 100 kozaków i 150 hajduków; marszałek W. koronny Opaliński 100 kozaków i t. d. Ogółem w orszaku królowej zebrało się około 2.500 ludzi [1]).

Naturalnie, cały ten tłum, w którego skład wchodziła obok dygnitarzy Rzeczypospolitej cała młodzież polska lepszych rodów, skupiał się dokoła tronu, brał udział we

---

[1]) *Laboureur:* „Rélation du voyage", tom I, str. 184—186.

wszystkich wystąpieniach i zabawach dworskich. To też życie u dworu przybierało wówczas całkiem inną postać. Było się na co napatrzyć, jak powiada jeden z nuncyuszów. Ludwika-Marya, która dopiero co opuściła Paryż i pałace Ludwika XIV, zaraz po wstąpieniu na ziemię polską czuła się olśniona przyjęciem, jakiego doznała. „Przepych jest nadzwyczajny — pisała już z Gdańska do Mazariniego [1]) — wjazd ambasadorów (polskich do Paryża) jest niczem, a to, co tu widzę, nie zbliża się do tego, co mówią o wystąpieniach podczas sejmu. Słowem, nie miałam nawet o tem pojęcia, mimo najkorzystniej uprzedzonych myśli, jakie sobie tworzyłam, aby nabrać otuchy w ciągu podróży. Wszystko przeszło moje oczekiwania, a wobec tego, nie będziesz WPan wątpił, że jestem bardzo zadowoloną“...

Opisów takich wjazdów lub festynów nie brak nam, ale opisy są martwe i bezbarwne, i nie dają nigdy dokładnego pojęcia o rzeczywistości, nie wyjaśniają wszystkiego, o czem chcielibyśmy się dowiedzieć... Żadna relacya, żadna opowieść, żaden utwór poetyczny — chociaż treść niejednego z nich osnuta na kanwie życia dworskiego, nie odbija wiernie ani jednej z tych scen wspaniałych, których widownią była Warszawa podczas wjazdów monarchów, ich uroczystości weselnych lub inauguracyjnych posiedzeń sejmowych. Wiemy, ile było ludzi przy tym lub owym obrzędzie, jak każdy z nich był odziany, jakie spełniał obowiązki i jak się zachowywał: ale są to przeważnie szczegóły formalne, zewnętrzne. Darowalibyśmy je wszystkie, byle nam kto opowiedział, co któryś z młodych dworzan króla szeptał do uszka wykwintnej damie z fraucymeru królowej... O czem ci ludzie z sobą mówili? Jak wyrażali swoje uczucia i myśli? Domyślamy się, odgadujemy po trosze, czytając Morsztyna, Starowolskiego lub Opalińskiego; ale czujemy zarazem, że

[1]) List z datą: „Danzic le 15 Février 1646“, znany mi z odpisu w tece Łukasa, tom III, strona 130 (rękopis biblioteki Ossolińskich).

dalecy jesteśmy bardzo od sensacyi minionej niepowrotnie przeszłości.

Oryginalnym musiał być widok dworu polskiego, szczególniej w czasach Władysława IV, kiedy to żywioł polski miał w otoczeniu króla jeszcze przewagę, ale wchodził już coraz częściej w styczność z żywiołami obcymi, i stopniowo coraz więcej ich wpływowi ulegał. Zwłaszcza moda obca w strojach przyjmowała się szybko, od czasu, kiedy Ludwika-Marya zasiadła na polskim tronie. Laboureur powiada, że wielu ze szlachty ubrało się po francusku na przyjęcie królowej: a co do kobiet, te wszystkie odrazu przyjęły strój francuski [1]). Moda ta cudzoziemska musiała panować wśród dam polskich sfer wyższych już przed przyjazdem Ludwiki-Maryi, bo w jednym z pierwszych jej listów, pisanych z Polski, znajdujemy zabawne uwagi na ten właśnie temat. „Damy polskie — donosiła królowa Mazariniemu [2]) — są ubrane, jak we Francyi ubierano się przed piętnastu laty: suknie uszyte pospiesznie, o stanach bardzo krótkich i bardzo szerokich rękawach. Wszystkie śpieszą się, jak mogą, aby naśladować nasze ubrania. Materye ich są nadzwyczaj kosztowne i całe drogimi kamieniami pokryte. Synowa kanclerza W. koronnego zmienia strój codziennie“. W istocie kobiety nasze używały do strojów swoich najczęściej materyi ciężkich, pokrytych haftami; wykonywania ich podejmowały się zazwyczaj żeńskie klasztory. Jedna z francuskich zakonnic Nawiedzenia Panny Maryi, która bawiła w Polsce w roku 1654, opowiada, że widziała „w kilku klasztorach przecudne hafty srebrne, złote i jedwabne, jak najdoskonalej wykończone, ozdobione klejnotami z wielkim przepychem, niekiedy nawet ze zbytkiem“. „Aleź magnatki tutejsze — są dalsze jej słowa — bardzo lubią wystawę w ubiorach: zamawiają więc rozmaite delikatne roboty u zakonnic i dobrze

[1]) *Laboureur:* „Rélation du voyage“, tom I, str. 52.
[2]) Porównaj przytoczony wyżej list królowej do Mazariniego.

im płacą" [1]). Przykład dam ze sfer wyższych musiał działać i na niższe sfery, i szybko zdobywać wśród nich naśladowczynie: wiadomo, że nic niema zaraźliwszego, nad modę... Starowolski w swojej „Reformacyi obyczajów", w wydaniu trzecim z roku 1648, ubolewa, że „wszystka już prawie Polska sfrancuziała"... „By mąż nie miał mieć i szeląga w kalecie — dodaje — by mu na majętność, dom, kamienicę albo na szyję przyszło się zadłużyć, tedy druga koniecznie chce takie mieć szaty, jakie widziała u drugiej wielmożnej pani nowym krojem, zawicie nową fozą, opasanie, czapkę, łańcuch, kanak, wstęgi, manele, nową robotą" [2]). Nie były też Polkom z XVII wieku obcemi i sztuczne środki upiększania się; jeśli wierzyć niedyskretnym poetom i satyrykom, nietylko używały ich nasze panie niemało, ale niekiedy i nadużywały aż do śmieszności. Kochowski, chociaż w ogóle sędzia mniej surowy, niż bezlitośny i zgryźliwy Opaliński, nie mógł się powstrzymać, żeby nie ośmieszyć w „Lirykach" swoich [3]) tych przesadnych „strojów i bielideł białogłowskich":

„Jeśliś szpetna, wierzcie mi, iż niewiele
Przydadzą kształtu manele:
Niech się błyszczy na płocie szata od złota,
Nie ozdobi ona płota,
Ani ciebie zalecą tylety drogie,
Kiedy lice niechędogie.
Więc posłać dla nabycia gładkości fantu,
Dla kamfory, dla dragantu,
Lubo po mleko ośle, lubo do Nyla
Po ł... krokodyla.

[1]) Porównaj „List okólny Zgromadzenia zakonnic Nawiedzenia Panny Maryi" z dnia 9-go sierpnia 1654 roku. „Portofolio Maryi Ludwiki", tom I, strona 175.

[2]) Ustęp na stronie 12.

[3]) Porównaj w wydaniu Turowskiego z roku 1859 poemat XVII na stronie 157—158.

Żeby bielić murzyna i z okopciałej
Białą barwę skronie miały.
Pal migdały na węgiel, ażeby brwiczki
Czarnej nabyły barwiczki,
Krusz korale i z morską pomieszaj pianą,
Żeby stąd była rumianą...
. . . .
Darmo te kunszty, które gdy ludzie widzą,
Jak się śmieją, jako szydzą:
Ktoś prędko gwoździk zgryzlszy, chuchnąwszy snadnie,
Aż ta krasa z ciebie spadnie,
Lub ciepła izba lubo w tańcu się spocisz,
Z tych ozdób się ogołocisz".

Od Wacława Potockiego dowiadujemy się nadto, że gdy „czarne" posługiwały się kosmetykami i bielidłami, „to białe" natomiast:

„ . . . . na przepych naturze
Z czarnych płatków w rozlicznej nastrzygłszy figurze
Muchy, osy, pająki, podobno i żaby,
Jaszczurki, węże — lepią po gębie...

Autor „Wojny chocimskiej" kończy swoją fraszkę na temat „strojów białogłowskich" sentencyonalnym zwrotem:

„Kto, mając własne — cudze ma włosy na czole,
Kto twarz farbą maluje, uszy sobie kole,
I ci, którzy tę fozę na świat polski wnieśli,
Grzeszą; szkoda po dobrym pociesować cieśli![1]).

Z ostatnich słów poety wnosić można, że i on także uważał te sztuczne sposoby upiększania się za nabytek, do Polski z obcych stron przyniesiony, za skutek naśladownictwa mody zagranicznej. Naśladownictwo francuszczyzny

[1] „Jovialitates", wydanie z roku 1747, strona 11—12.

było niezawodnie regułą, zwłaszcza u dworu: ale zdarzało się przecież niekiedy, że cudzoziemki przyjmowały nawzajem coś z mody polskiej. Marya Kazimiera Zamoyska, z domu, jak wiadomo, d'Arquien, Francuzka, zwierzała się naprzykład w jednym ze swoich listów Sobieskiemu, że już nie nosi koafiury z samych włosów *à la française,* lecz używa czepków (zwyczaj polski); i że już jej się sprzykrzył stanik, jaki dotychczas nosiła, a kazała sobie zrobić nowy: „*il est un peu* z krymska zapięty na bakier“ — są jej słowa [1]); a użycie wyrazów polskich w liście francuskim dowodzi, że to noszenie stanika, zapiętego odmiennie, było jedną z form mody polskiej (co prawda, nie czysto polskiej, bo wyraz „z krymska“ wskazuje zarazem na pierwotny wzór tatarski).

Nie będę się tu wdawać w szczegółowe opisy obrzędów i uroczystych przyjęć dworskich. Obrzędy wesel i pogrzebów królewskich są znane z wielu relacyi; śluby Władysława IV z Ludwiką-Maryą były już nawet przedmiotem osobnych opracowań. Wystarczy, jeżeli podam parę ogólnych, charakterystycznych rysów, właściwych wszystkim tym publicznym wystąpieniom zarówno. Rozumie się, że w takich uroczystych wypadkach trzymano się, ze względu na majestat królewski i gości zagranicznych, pewnego, ściśle określonego, ceremoniału. Bywał oznaczany z góry porządek pochodów, następstwo osób, mających towarzyszyć królowi, lub innym członkom rodziny monarszej; i tak samo bywał oznaczany także porządek zasiadania przy stole: szczególnie bowiem posłowie cudzoziemscy czuwali pilnie nad tem, aby im zapewniono siedzenie w miejscu, odpowiadającem stanowisku monarchy, którego reprezentowali, i żeby nie dano przed żadnym z nich pierwszeństwa komuś, co nie był z mocy zwyczaju i obopólnej ugody uprawniony do zajęcia przedniejszego miejsca. A że niektóre dwory spierały się ustawicznie z sobą o przywilej preeminencyi, i nawzajem odmawiały sobie prawa do

[1]) *Kluczycki:* „Pisma do wieku Sobieskiego“, tom I, str. 157.

wyższej rangi w hierarchii monarchów, więc nie obywało się i na dworze polskim bez nieporozumień i sporów, które król musiał rozstrzygać nieraz przed samym obchodem publicznym, lub w jego toku.

Po koronacyi, ślubach i aktach homagialnych, wydawał król zazwyczaj wielkie uczty. W takich wypadkach ustawiano najczęściej w jednej sali trzy, albo cztery stoły: jeden dla króla i jego współbiesiadników, drugi dla senatorów, trzeci dla dam, czwarty dla urzędników dworskich i innych gości. Stół królewski umieszczano w głębi sali, pod ścianą węższą, na wzniesieniu takiej wysokości, iż wstępowało się na nie po czterech stopniach; trzy inne stoły stały wzdłuż sali, jeden w pośrodku, dwa w pobliżu ścian dłuższych [1]. Przy stole królewskim mogli zasiadać obok pary królewskiej tylko książęta krwi, monarchowie i książęta obcy, jako też ich przedstawiciele, czyli posłowie; wyjątkowo tylko, w dowód szczególnej łaski, dopuszczał król i innych gości do swego towarzystwa. Z polskich dygnitarzy miał zapewnione stałe miejsce przy stole tylko arcybiskup gnieźnieński, jako *legatus natus*. Król sam zawsze siadywał w pośrodku. Oto porządek siedzących podczas uczty po ślubie Władysława IV z Cecylią Renatą: po prawej ręce króla królewicz Jan Kazimierz, potem poseł duński, dalej poseł brandenburski i w rogu stołu poseł siedmiogrodzki; po lewej ręce królowa, dalej arcyksiężna austryacka Klaudya, siostra króla Anna Katarzyna i królewicz Karol Ferdynand: przy tym królewiczu przygotowane było miejsce dla prymasa, który jednak z powodu słabości nie przybył. Podczas uczty weselnej po ślubie z Ludwiką-Maryą została dopuszczona do stołu królewskiego pani de Guébriant, jako honorowa towarzyszka Ludwiki-Maryi, i z tego samego tytułu biskup orański, jakkolwiek charakteru posła nie posiadał. Porządek siedzenia

[1] Porównaj w „Memoriale“ *Radziwiłła* ustęp z dnia 13. września 1637 roku i *Laboureura* „Relation du voyage“ ustęp w części I na stronie 193 – 196.

był taki, jak zwykle: w pośrodku król, po prawej jego ręce królewicz Karol, dalej poseł francuski de Brégy, i wreszcie biskup poznański, jako mianowany przedstawicielem Filipa-Wilhelma, księcia najburskiego; po lewej ręce królowa, pani de Guébriant, nuncyusz papieski, poseł wenecki, i wspomniany już wyżej biskup orański [1]). Podczas żadnej z tych uczt nie obeszło się bez sporów o szczegóły ceremoniału. Przed ucztą po koronacyi Cecylii Renaty miał król kłopot z posłem brandenburskim, który podczas pochodu do sali chciał towarzyszyć królowej po prawej jej ręce. Prawo do tego miejsca należało się królewiczowi Karolowi, i król rozstrzygnął też spór na jego korzyść. Panie senatorowe znowuż, dla których ustawiono wzdłuż sali stół osobny, nie chciały przyznać ochmistrzyni dworu królewny Anny-Katarzyny miejsca wśród siebie *alternata vice*, to jest dopuścić jej do zajęcia siedzenia przedniejszego bez uwagi na dosyć podrzędne stanowisko jej męża, jako kuchmistrza W. koronnego (mimo, że król sam tego sobie życzył): zgodziły się jedynie na wyszczególnienie ochmistrzyni królowej, a pani kuchmistrzyni koronna, mimo że sprawująca takąż funkcyę pierwszej damy dworskiej przy boku królewny, musiała się zadowolnić miejscem zwykłem po senatorowych wyższego rzędu [2]). W roku 1646, podczas uczty weselnej po ślubie z Ludwiką-Maryą, nie wahał się poseł francuski, de Brégy, wszcząć w obecności króla sporu z posłem weneckim; wydawało mu się bowiem, że poseł ten zajmuje lepsze miejsce od niego, i dlatego głośno wzywał nuncyusza, aby ustąpił mu swego miejsca. Nuncyusz grzecznie odpowiedział, że gotów w każdym razie zastosować się do woli króla, — a król zbył rzecz milczeniem, nie chcąc żadnemu ze spierających się ubliżyć [3]).

[1]) Porówn. przytocz. wyżej relacye na tychże samych stronicach.
[2]) Porównaj w „Memoriale“ *Radziwiłła* ustęp z dnia 13. września 1637 roku.
[3]) Porównaj w „Memoriale“ *Radziwiłła* ustęp z marca 1646.

Przy stole królewskim obsługę spełniali w takich uroczystych wypadkach krajczowie i podczaszowie tej części państwa, w której się uczta odbywała, to jest w Koronie koronni, w Wielkiem Księstwie litewscy. Przed ucztą, w dniu koronacyi Cecylii Renaty, dopraszał się podczaszy W. litewski, Tyszkiewicz, zaszczytu asystowania królowi przy stole, wraz z podczaszym koronnym; ale król nie śmiał na to pozwolić [1]). Potrawy wnosili dworzanie i ustawiali na stole, stojącym w pośrodku sali: stąd dopiero zanosili je do stołu królewskiego, przed którym krajczowie odbierali z rąk ich półmiski. Obowiązkiem krajczych było kosztować każdej potrawy. Podczas uczt przygrywała kapela nadworna, umieszczona na estradzie w głębi sali [2]).

Jaka była przy takich i tym podobnych obchodach wystawność, można wnosić stąd, że naprzykład, wedle spisu długów Władysława IV, „na potrzeby pogrzebowe“ króla Zygmunta III wydano 468.758 złp., na „weselny akt króla JMci“ w roku 1637 — 321.879 złp. Dowiadujemy się z tegoż spisu, że „za wina włoskie, francuskie, węgierskie z Wiednia *in annis* 1636, 1637, 1638, 1639 do piwnicy K. JMci przez p. Bilelfelda posłane“, należało się 39.412 złp. [3]). Radziwiłł znowuż podaje, że na ugoszczenie gości w ciągu wspomnianego wyżej „weselnego aktu“ użyto 40.000 kurcząt i kapłonów, 20.000 gęsi, paręset wołów i niezliczonej ilości wszelkiego rodzaju zwierzyny i dzikiego ptactwa. Mimo to jednak zauważył kanclerz, że podczas uczty weselnej przy stole senatorskim dawał się czuć brak obfitej zastawy i porządku: „ledwie dziesięć potraw, i to nie wykwintnych przyniesiono“ — powiada — „słowem, majestat królewski objawił się

[1]) Porównaj przytoczony wyżej ustęp „Memoriale“ *Radziwiłła* (z dnia 13. września 1637 roku).

[2]) *Laboureur:* „Rélation du voyage“, tom I, str. 193—196.

[3]) Spis powyższy ogłosiłem niedawno w „Kwartalniku historycznym“ (zeszyt III z roku 1897). Porównaj dane na str. 548.

w przepychu srebra, złota, dworskiej świty, ale w sposobie traktowania nie tyle ubóstwo, ile zła obsługa wstyd przynosiła" [1]). I pod datą późniejszą, 1641 roku, podnosi Radziwiłł przy podobnej sposobności, że „półmiski były rzadkie", i że podawano potrawy wyziębłe, tak, iż z tego powodu nawet król nie mógł ukryć swego niezadowolenia [2]).

Był na dworze polskim piękny zwyczaj, że królowe starały się o wydanie za mąż swoich panien dworskich i przyczyniały się do ich wyposażenia, a często brały także osobisty udział w ich weselach. Podobnież i królowie przyjmowali chętnie zaprosiny na obrzędy i zabawy weselne dworzan i senatorów. Wesela córek senatorskich odbywały się niekiedy na samym zamku. Zapisuje naprzykład Radziwiłł pod dniem 27. maja 1640 roku, że ślub Maksymilianny Ossolińskiej, córki podskarbiego W. koronnego, z Janem Albrechtem Lipskim, chorążym sochaczowskim, odbył się na zamku w obecności królowej. Królewna Anna Katarzyna wydaje w roku 1639 swoją pannę dworską, Guldenstern, za Jana Grzybowskiego, starostę warszawskiego, w roku 1640 drugą pannę, Eisenreich, za Biegańskiego: podobnież królowa Cecylia Renata w roku 1642 — Włoszkę Serolli za Kazimierza Lwa Sapiehę, marszałka W. litewskiego, w roku 1644 pannę dworską, Izabellę Malińską, za dworzanina, Adama Krasickiego, miecznika przemyskiego: królowa Ludwika Marya w roku 1646 Annę Opacką, wojewodziankę derpską, za Marcina Noskowskiego, i wnet potem pannę Eckemberg za Michała ks. Czartoryskiego, starostę krzemienieckiego. Ślub Krasickiego z Malińską odbywał się na dworze królewskim; król nietylko brał udział w zabawie weselnej, ale był także na przenosinach, i „tam (jak opowiada Radziwiłł), młodzieńczą ochotą zapalony, spijał kielichy, które wnet sen nań

[1]) „Memoriale", pod datą 14. września 1637 r.

[2]) „Memoriale", pod datą 7. października 1641 roku.

sprowadziły. Ale następnego dnia, trzeźwy, ubolewał nad tem i sam się obwiniał o lekkomyślność“ [1]).

Przy uroczystościach weselnych, a zresztą i w każdym czasie karnawałowym, nie obywało się, oczywiście, bez zabaw tanecznych. Król sam lubił taniec, i nawet w starszych latach nieraz się nim zabawiał. Tańce zaczynały się zwykle około godziny dziewiątej wieczorem, a czasem i znacznie wcześniej. Były w użyciu zarówno tańce polskie, jak i francuskie. Jeden z polskich, widocznie polonez, opisuje Laboureur w relacyi z roku 1646 temi słowy: „Polonez *(une courante)* tańczy się w 20 i 30 osób równocześnie; trzymają się one zwykle za ręce parami, i obchodzą salę dokoła miarowym krokiem: pierwszy pochód kołowy mężczyzn, stąpających jeden za drugim — to szereg ukłonów, które powtarzają po każdym kroku, trzymając czapkę w ręku dla powitania towarzystwa. Bardzo to zrazu poważne: ale gdy się rozochocą ruchem, mieszają się mężczyźni z kobietami i tańczą razem“ [2]).

Po ślubie króla z Cecylią Renatą bawiono się w zamku przez dwa wieczory: w roku 1639, w ostatnich dniach karnawału przez trzy noce, dzień po dniu i t. d. [3]). Musiała być nieraz ochota wielka, skoro naprzykład w lutym 1640 roku, podczas zapust, zdarzyło się jednego dnia, iż niejaki Poniatowski wśród tańców złamał nogę, pewna dama poroniła, a król sam nabawił się takich boleści kałkulu, że musiał potem pokutować w łóżku aż do następnego miesiąca [4]).

---

[1]) Porównaj w „Memoriale“ *Radziwiłła* ustępy pod datami 9. października 1639, 27. maja i 3—5. czerwca 1640 i października 1642, stycznia 1644, października 1645 i czerwca 1646. (Do nazwisk, wymienionych u Radziwiłła, pododawałem imiona i inne objaśnienia, wedle wskazówek, zaczerpniętych z „Herbarza“ *Niesieckiego*).

[2]) „Rélation du voyage“, część II, str. 51.

[3]) „Memoriale“, pod odpowiedniemi datami.

[4]) „Memoriale“, pod datą lutego 1640 roku.

Urządzano także zabawy w przebraniach, czyli tak zwane maszkarady. Z roku 1619 już mamy wiadomość, iż królewicz Władysław wystąpił w otoczeniu młodzieży w strojach tureckich [1]). Dosyć powszechnie używaną formą zabaw maskowych była tak zwana „Gospoda“, czyli — jak dodaje Radziwiłł — „Wirtschaft“. Właściwość odrębna tej zabawy, (której nauczono się widocznie od Niemców), polegała na tem, że ciągniono losy, zaopatrzone wskazówką, w jaki strój kto ma się przebrać. Przypadek skazywał czasem króla na odgrywanie roli podrzędnej, a któregoś z dworzan mianował jego panem: w niespodzianych wynikach losowania był główny urok rozrywki. I tak naprzykład w lutym 1642 roku, podczas karnawału, kasztelanowi krakowskiemu wypadło się przebrać za gospodarza, wojewodzie ruskiemu za kupca; króla los uczynił Maurytaninem, królewnę Annę Katarzynę żoną kupca, królowę Cecylię Renatę służącą, kanclerza Albrechta Radziwiłła pastorem, a jego małżonkę żoną żołnierza. Ten, kto zostawał gospodarzem, wychodził najgorzej na losowaniu, bo musiał swoim kosztem podejmować całe towarzystwo, należące do zabawy. Dzielił z nim koszta także i kupiec, jego bowiem powinnością było sprzedawać towary, a raczej rozdawać gościom pod pozorem sprzedaży hojne podarunki [2]). W styczniu 1644 roku przy losowaniu na „Gospodę“ król znowu został Maurytaninem, królowa natomiast Turczynką, Albrecht Radziwiłł odźwiernym, a jego żona Wenecyanką. Tym razem rola gospodarza przypadła w udziale bogatemu marszałkowi W. litewskiemu, Sapieże, który też wywiązał się świetnie z obowiązku pana „gospody“. W parę dni potem urządzono znowu „gospodę wiejską“: król wyciągnął kartkę na francuskiego wieśniaka, królowa na jego małżonkę; Radziwiłła los skazał na podrzędną rolę sługi, jego żonę uczynił wieśniaczką węgierską i dał jej za męża

---

[1]) *Kobierzycki*: „Historia Vladislai Principis“, strona 622.

[2]) „Memoriale“, pod datą lutego 1642 roku.

marszałka nadwornego koronnego; a Sapieha, marszałek W. litewski, po raz drugi zostawszy gospodarzem, musiał podejmować u siebie ponownie całą tę wesołą kompanię. Uraczył ją — jak dodaje Radziwiłł — „nie wieśniaczą, lecz dworską i królewską ucztą“ [1]).

Do uświetnienia uroczystych przyjęć, obchodów, a zwłaszcza ślubów królewskich i odwiedzin obcych książąt, przyczyniały się także inne, więcej rycerskie i nawet krwawe zabawy, a raczej igrzyska, takie, jak popisy jeźdźców z bronią w ręku i walki dzikich zwierząt. Radziwiłł wspomina, że za bytności króla u elektora brandenburskiego, w Ortelsburgu, piętnastu kawalerów za przewodem syna elektora zabawiało się w oczach dostojnego gościa gonitwą do pierścienia i próbami zręczności w używaniu spisy. Chodziło o to, aby w pełnym pędzie trafić spisą w kółko zawieszonego w powietrzu pierścienia, albo też uderzeniem tej broni zrzucić głowę manekina, i drugim ruchem podjąć ją z ziemi [2]). Zapewne takież same popisy odbywały się i na dworze polskim; świadkiem bowiem podobnych był Laboureur w roku 1646. Dla przyjemności dam francuskich, które wówczas przybyły z Ludwiką Maryą do Polski, wyjechali pewnego dnia książę Janusz Radziwiłł i Słuszka, podskarbi W. litewski, w otoczeniu grona młodzieży, naprzeciw paniom, wracającym z polowania, i na otwartem polu zaimprowizowali rycerskie igrzyska. Odbył się najpierw tak zwany bieg o kapelusz. Na żerdzi, trzymanej przez służącego, zakładano nakrycie głowy: rzeczą jeźdźców było zrzucić je w pędzie za pomocą lancy. Słuszka popisywał się jeszcze innym rodzajem zręczności: jadąc galopem, rzucał przed siebie w górę ostrą halabardę i chwytał ją następnie w powietrzu [3]).

Nie mniejsze upodobanie musiano mieć w walkach dzikich zwierząt: bo o tego rodzaju igrzyskach znajdują się

---

[1]) „Memoriale“, Januarius 1644. [2]) Tamże, 20 Julii 1639.

[3]) „Rélation du voyage“, część I, strona 206—207.

w źródłach z czasów Władysławowych wzmianki dosyć liczne. Było to powszednią rzeczą, jeśli na jakiegoś, w klatce chowanego, zwierza, wypuszczano psy myśliwskie [1]); nierzadko zdarzało się, że wyprowadzano na ogrodzoną przestrzeń naraz parę dzikich zwierząt i zniewalano je do użerania się z sobą. Tak naprzykład w roku 1639, pod koniec karnawału, urządzono w Warszawie walkę konia i tura z niedźwiedziem; takie samo widowisko przedstawił elektor królowi tegoż roku, za jego bytności w Ortelsburgu (wtenczas wypuszczano trzy razy po jednym koniu, turze i niedźwiedziu na arenę). Podczas uroczystości weselnych, po ślubie króla z Cecylią Renatą w roku 1637, odbyły się także igrzyska niedźwiedzi, koni, dzików i turów. Nie obchodziło się przy takich widowiskach bez zabawnych epizodów: w czerwcu 1633 roku, w Merecczu niedźwiedź, rozjuszony, popędził wprost ku miejscu, gdzie siedział król w otoczeniu gości i dworzan, i wdarłszy się na podwyższenie, po głowach i plecach widzów przedostał się po za baryerę, poczem zniknął nietknięty w gęstwinie leśnej [2]). Ze znanych rachunków Jana Kazimierza dowiadujemy się, że w zwierzyńcu królewskim chowano, prócz niedźwiedzi, tygrysa, lamparta, rysie, sępy, kuropatwy, zięby, sroki i papugi. Prowizya „dla tygrysa, lamparta i sępów" od 20. marca 1653 roku, przez miesięcy 10 kosztowała 400 zlp. Jest w tychże rachunkach także pozycya „za uczenie psów" na sumę 60 zlr. [3]).

Nie potrzebuję dodawać, że przyjęcia i zabawy uroczyste uświetniano także widowiskami dla tłumów: urządzano popisy większych oddziałów wojska, palono ognie sztuczne i t. d. Po koronacyi Cecylii Renaty wzniesiono całą budowlę nakształt zamku ze sztucznych ogni i palnych materyałów.

[1]) „Memoriale" 19. czerwca 1633, 19. września 1637, 5. marca, 20. i 21. lipca 1639, 29. lutego 1644.

[2]) „Memoriale" pod oznaczoną wyżej datą.

[3]) Z przytaczanego niejednokrotnie rękopisu biblioteki książąt Czartoryskich.

Było to widowisko, obliczone na parę godzin: ale przypadek popsuł widzom uciechę, bo jakaś iskra dostała się przedwcześnie do dolnych części improwizowanego gmachu i sprawiła, że płomień ogarnął go odrazu w całości, wbrew planowi pirotechnika, który miał regulować powolne spalanie się pojedyńczych części od góry ku dołowi. Innym razem, za bytności elektora brandenburskiego w Warszawie, po złożeniu przysięgi homagialnej, palono ognie sztuczne na jednej z wysp wiślanych [1]).

Gdy tłumy zabawiano ogniami sztucznymi, dla wybrańców dawano w samym zamku widowiska, które dla wielu były nadzwyczajną nowością. Mam na myśli przedstawienia oper i baletów. Władysław IV wprowadził, jak wiadomo, operę do Polski, i utrzymywał na dworze swoim doskonałą orkiestrę i stałą trupę teatralną i śpiewacką. Nad tą jednak stroną życia dworskiego nie będę się zatrzymywał, gdyż została ona już tak wyczerpująco i wybornie omówioną w jednej z niedawno ogłoszonych prac gruntownego znawcy dziejów naszego teatru, d-ra Windakiewicza, — że po jego wyjaśnieniach i opisach nic mi już o tym przedmiocie nie pozostaje do powiedzenia [2]).

[1]) Porównaj w *Wassenberga* dziele: „Gestorum Vladislai IV pars II“, ustęp na stronie 249—250, i „Memoriale“ pod dniem 1. października 1641 roku.

[2]) Porównaj studyum p. t.: „Teatr Władysława IV“, Kraków, 1893, i artykuł tegoż autora pod takimże tytułem w felietonie „Czasu“ z dnia 11. grudnia 1895 roku (Nr 285).

Młodość Jerzego Lubomirskiego

1616—1636.

I.

„Ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli, urosłem“ — zwykł był mawiać Czarniecki o sobie, a innym przymawiać. Kogo miał na myśli, rozumiano dobrze w XVII wieku, a i my wiemy na pewno. Krył się w pierwszych wyrazach tego osobistego przysłowia przytyk do Lubomirskich, którzy w istocie wzbogacili się na soli i przez bogactwa doszli szybko do znaczenia, a zasłużyli się głównie przez to, że umieli zręcznie i rozumnie, a — trzeba dodać — często i szlachetnie tych bogactw używać.

Na wybitnem stanowisku w Rzeczypospolitej widzi się jednego z przedstawicieli tej familii, Sebastyana, po raz pierwszy dopiero pod koniec XVI wieku; wszystko, co słychać o Lubomirskich z wcześniejszych czasów, da się pomieścić w ich kronice rodzinnej, a w tej kronice nie będzie dużo materyału do przeniesienia na karty dziejów Polski [1]. Prawda, że później dla magnatów Lubomirskich znaleźli się przodkowie w X wieku, ba nawet w rzymskiem cesarstwie. Sypały się świadectwa, mnożyły dokumenty na dowód, że Lubomirscy (herbu Śreniawa) byli odroślą starożytnego rodu Śreniawitów, którego jeden członek miał być wojewodą krakowskim już za Bolesława Chrobrego, a wywodzić się

[1] Dzieje rodu Lubomirskich nie zostały dotychczas źródłowo opracowane (Porównaj Finkla Bibliogr. histor. Część I, str 17—19). Nie posiadamy ani jednej osobnej monografii, poświęconej któremukolwiek z przodków Jerzego. Najlepszy względnie szkic ogólny historyi, a raczej tylko genealogii, tej rodziny podał Kossakowski w tomie II

wprost — od Druzusa, cesarza rzymskiego [1]). Autorowie panegiryków w XVII wieku podawali za rzecz pewną, że wnukowie onego wojewody pisali się za Władysława Hermana *de Lubomierz*, i że w tem gnieździe lubomierskiem legły się pokolenia po pokoleniach aż do Piotra, pradziada Sebastyana — tego Piotra, od którego historya może rozpocząć wywód genealogiczny Lubomirskich, nie schodząc z gruntu źródeł na bujne flukta fantastycznej heraldyki XVII wieku, służącej nie prawdzie, lecz ludzkim słabostkom, a zwłaszcza wielkopańskim ambicyom.

Nie chcąc sięgać niepewną ręką w głębszą przeszłość, zaczynamy i my od tego Piotra, aby stwierdzić, że żył on w drugiej połowie XV wieku i był dziedzicem na Pasiebiczu i Wołowej Górze, ale nie na Lubomierzu, bo Lubomierz trzymał w roku 1480 — zastawnem tylko prawem [2]). I oto twardy szkopuł, o który rozbić się mogą panegiryczne rodowody najzręczniejszych pochlebców. Bo jeśli Lubomierz przeszedł w ręce rodziny Lubomirskich dopiero w XV wieku drogą zastawu, to wolno powątpiewać, aby był dziedziczną jej własnością i rodowem gniazdem od XI wieku. Prawda, że mógł ongi należeć do Śreniawitów, później dostać się w cudze ręce, a wskutek zabiegów Piotra wrócić do rodziny, ale o tem trudno coś pewnego powiedzieć wobec braku autentycznych dowodów. Na razie musimy się zadowolić stwier-

---

swoich Monografij historyczno-genealogicznych (Warszawa, 1860). Jest to robota, ogólnie biorąc, dosyć sumienna, na znajomości niektórych przynajmniej źródeł oparta. — W kilku znanych mi, rozwlekłych a płytkich co do treści, panegirykach z XVII i XVIII wieku (Chronicz: Panegyricus D. Georgio Lubomirski... consecratus, 1661 — Gemma Poloniae ex nativo Lubomirsciorum Srzeniawa etc. 1730, i t. d.) nie masz ani jednej pewniejszej danej o Lubomirskich, sięgającej poprzed wiek XVII.

[1]) Porównaj *Kossak*. u. s. str. 17—23. Autor przytacza wyciągi z czterech dokumentów, oznaczonych datami roku 1088, 1113, 1146 i 1206, stwierdzając słusznie, że wszystkie są podejrzanej autentyczności.

[2]) *Kossakowski*, II str. 22—23.

dzeniem faktu, że w drugiej połowie XV wieku jeden z Lubomirskich siedział już na Lubomierzu: faktu, który powtarzamy dlatego, że jest on właściwie prawie jedynym znanym z dziejów życia tego historycznego protoplasty rodu. Wiemy zresztą tylko tyle, że z żony Doroty *de antiqua Rybie* wydał jednę córkę i pięciu synów; wiemy nadto o jednym z jego synów, Feliksie, że się pisał ze „Sławczyc i Zabłucza“, a umierając w roku 1535, zostawił znowuż pięcioro dzieci, między niemi syna Stanisława, pradziada naszego Jerzego [1]).

Ten Stanisław, także osobistość, w dziejach żadnym głośniejszym czynem nie zapisana, spłodził z żoną Barbarą Hussoy de Zablath, syna, nazwanego Sebastyanem [2]), który miał stanąć w rzędzie senatorów Rzeczypospolitej, a przez to i przez swoje zdolności i zasługi wprowadzić rodzinę Lubomirskich na pierwsze tory historycznego znaczenia. Z nazwiskiem Sebastyana spotykamy się w źródłach częściej dopiero w ostatnim dziesiątku XVI wieku; datą urodzenia należy on jednak jeszcze do czasów Zygmunta Starego (urodzony w ostatnim roku życia ojca albo wnet po jego śmierci [3]). Wykształcony w Lipsku, gdzie przebywał w latach 1550 i 1560 [4]), musiał sobie zasłużyć na szczególne łaski u Zygmunta Wazy, skoro od roku 1590 sypią się nań zaszczyty i starostwa jedne za drugiemi w niewielkich odstępach czasu. W roku 1590 delegowany do lustracyi starostwa spiskiego, w następnym jest już sam starostą spiskim [5]); a w roku 1592 staje w rzędzie senatorów jako kasztelan małogoski, aby odtąd stale zasiadać w senacie ze zmienionemi jeszcze dwakroć dziedzinami swojej godności:

---

[1]) *Kossakowski*, II str. 24. [2]) Tamże, str. 26. [3]) Tamże, str. 27.

[4]) Archiw. dla dziejów literat. i ośw. w Polsce, tom II str. 131 (*Tomkowicz:* Metrica Univers. Lipsiensis).

[5]) Porównaj w artykule Maur. Dieduszyckiego o Spiżu (Przewod. naukowy i literacki z roku 1876) ustęp na str. 934, gdzie sprostowane niektóre fałszywe szczegóły, podane w monografii Kossakowskiego i w Herbarzu *Niesieckiego* (tom VI, strona 130).

od roku 1598 jako kasztelan biecki, od roku 1603 do końca życia jako kasztelan wojnicki. Z tytułami przybywają i starostwa: w r. 1598 dobczyckie, w r. 1610 sandomirskie [1]). Ma nadto powierzone sobie (niewiadomo dokładnie, od kiedy) burgrabstwo i żupnictwo krakowskie. Brał nieraz udział w obradach sejmowych, skoro widzimy go od czasu do czasu uczestnikiem delegacyj, wyznaczanych przez Stany, już to, jak w roku 1590, do lustracyi jakiegoś starostwa, już też, jak w roku 1609, do układów „między państwy pogranicznemi“ [2]). Służył sprawie publicznej także swoją szczodrobliwością: dla obrony granic podczas bezkrólewia po Stefanie Batorym dostarczył Rzeczypospolitej 200 żołnierza; pod Byczyną walczyło przeciw Maksymilianowi Austryakowi 500 ludzi, utrzymywanych jego kosztem; tyleż posłał wraz z synami Zygmuntowi III w roku 1610 pod Smoleńsk. Zapisał się też w dziejach kilku klasztorów i kościołów jako łaskawy fundator [3]).

Występował więc już, jak magnat, — bo też dorobił się magnackiej fortuny. Odziedziczył niezawodnie po rodzicach dosyć znaczny majątek, skoro dziad i ojciec jego mienili się panami na kilku wioskach; a przybyć musiało sporo mienia z dwiema żonami, pierwszą Anną Odrowąż Pieniążkówną, sędzianką krakowską, i potem drugą Anną Branicką herbu Gryf, córką łowczego krakowskiego i starosty niepołomickiego. Dochody zwiększyły się znakomicie z chwilą objęcia żupnictwa krakowskiego i starostwa spiskiego. „Z soli“

[1]) Wszystkie powyższe dane przytoczone i dostatecznie poparte przez Kossakowskiego (str. 26—27). Mylne u niego tylko twierdzenie, jakoby Sebastyan starostą sandomirskim był już w roku 1609. (Został nim dopiero o rok później: dowód w Pamiętniku Zbigniewa Ossolińskiego, Lwów 1879, wyd. Kętrzyńskiego na stronie 32 pod d. 2 sierpnia roku 1610).

[2]) Vol. leg. II str. 1672.

[3]) *Niesiecki* w „Herbarzu“ (VI, strona 149—150) na podstawie wcześniejszych źródeł.

i „z roli“ napływały snać szybko fundusze, skoro już przed rokiem 1598 ma nasz Sebastyan za co nabyć od Kmitów Wiśnicz i rozległe dobra, doń przynależne — i uchodzi odtąd za osobistość w Rżeczypospolitej tyle znaczącą, że w r. 1598 cesarz niemiecki obdarza go tytułem hrabiego [1]. Wiśnicz staje się nowem gniazdem i główną rezydencyą Lubomirskich. Nowy hrabia cesarstwa nie zmniejsza zabiegliwości około rozszerzenia majątku. W roku 1607 otwiera w dobrach swoich lednickich pod Wieliczką szyb solny: i Rzeczpospolita widzi się zniewoloną do wykupienia tych dóbr dla korony drogą zamiany na inne, pewnie rozleglejsze i bardziej intratne (Poręby i Niedźwiedzice) [2].

Przy korzyściach dobrobytu i powodzenia w interesach materyalnych, miał Sebastyan jeszcze to szczęście, że w drugiej żonie swojej, wymienionej już wyżej Annie z domu Branickiej, posiadał kobietę rzadkich cnót i przymiotów: skromną, łagodną, pobożną, a miłosierną. Niesiecki przytacza za wcześniejszemi źródłami cały szereg jej humanitarnych uczynków, które wszystkie świadczą, że babka Jerzego była jedną z najszlachetniejszych postaci tych naszych matron polskich: godnych matek bohaterów z pod Chocimia, Smoleńska, Cudnowa i Wiednia [3].

Takim to rodzicom zawdzięczał życie Stanisław Lubomirski, urodzony w r. 1583, — z dzieci Sebastyana, których było sześcioro, o ile wiadomo, najstarszy. Młodszy jego brat, Joachim, późniejszy starosta dobczycki i tymbarski, umarł wcześnie, bo w 22-gim roku życia, w obozie pod Smoleńskiem (1610); cztery siostry żyły dłużej i znalazły później mężów w znakomitych dygnitarzach Rzeczypospolitej [4].

---

[1]) *Kossakowski*, tom II str. 27—28.

[2]) Vol. leg. Konstytucya sejmu z roku 1607.

[3]) Herbarz, tom II str. 278—280.

[4]) Ani Niesiecki, ani Kossakowski, nie podają dat urodzin żadnego z dzieci Sebastyana Lubomirskiego prócz jedynego Stanisława.

Główny dziedzic fortuny ojcowskiej i od roku 1610 jedyny męski przedstawiciel tej gałęzi rodu Lubomirskich, która się pisała z Wiśnicza i nosiła tytuł hrabiowski, Stanisław, nie zmarnował szacownej spuścizny dobrego imienia i znacznego majątku, lecz owszem pierwsze umiał uświetnić jeszcze większemi zasługami, drugi powiększyć nowymi nabytkami, a podnieść i wzbogacić rozumnem gospodarstwem. Ojciec był znanym w kraju — on nabył sławy europejskiej; ojciec uchodził za magnata — jego mieniono później „królikiem“ i jedną z trzech fundamentalnych podpór Rzeczypospolitej obok króla Władysława i hetmana Koniecpolskiego[1]).

Dokształcony, jak większość bogatych paniczów polskich, w Padwie, gdzie był z pewnością w roku 1598, już

W rękopisie biblioteki Ossolińskich, nr. 120 (str. 481—482) jest notatka genealogiczna o Lubomirskich, w której jednak więcej danych, niż w tamtych dziełach, nie ma. Co do Joachima można stwierdzić, że, skoro umarł w roku 1610 a żył lat 22, więc urodził się około roku 1588 i był przeto o parę lat młodszym od Stanisława. (Porównaj notatkę w przytoczonym wyżej rękopisie: „Alter Joachimus .. vixit annos 22, mortuus die 16 Julii anno 1610. .“). Córki Sebastyana: Katarzyna, która wyszła za Janusza księcia Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego, Zofia, poślubiona przez Mikołaja Oleśnickiego, wojewodę lubelskiego, Barbara, wydana za Jana Zebrzydowskiego, miecznika koronnego, Krystyna — za Stanisława Koniecpolskiego hetmana W. i kasztelana krakowskiego, — były wszystkie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa młodszemi od Sebastyana. Przypuszczenie to opieramy na następujących faktach: Pierwsza żona Sebastyana, Anna z Pieniążków, umarła bezdzietnie. Kiedy Sebastyan zaślubił Annę Branicką, nie wiadomo; ale wiadomo, że ta druga żona umarła jako wdowa w roku 1639 po 77 latach życia (Nies. Herb. II str. 280). Znaczy to, że urodzona gdzieś około roku 1562. Przypuściwszy, że wyszła zamąż między 18 a 20 rokiem życia, możemy przyjąć jako datę jej zaślubin rok 1580, 1581 lub 1582; a ponieważ wiemy skądinąd, że syn Stanisław urodził się w roku 1583, więc może nie omylimy się grubo, jeśli uznamy prawie za pewne, że Stanisław był jej synem pierworodnym.

[1]) Stanisław Lubomirski, mimo wybitnej roli, jaką w dziejach polskich odegrał, nie znalazł jeszcze godnego siebie biografa. Nie znamy ani jednej pracy historycznej, poświęconej umyślnie jego życio-

jako uczeń tej akademii pisał się starostą sandeckim[1]). W 30 roku życia straciwszy ojca[2]), a wcześniej jeszcze brata Joachima, objął w roku 1613 dobra dziedziczne z Wiśniczem i starostwo spiskie, które dzięki zabiegom Lubomirskich miało odtąd pozostawać w rękach rodziny, niby własność stała, przez niespełna półtora wieku. Między rokiem 1613 a 1616 otrzymuje Stanisław podczaszowstwo W. koronne[3]), i w tym samym czasie przybywa mu jeszcze jedno starostwo, mianowicie sandomirskie. I jakkolwiek z nazwiskiem Stanisława nie spotykamy się zbyt często w źródłach z przed roku 1620, musiała być osobistość jego już wtedy wielce poważaną i znaczącą, skoro w ciągu walnej potrzeby chocimskiej (1621) widzimy podczaszego od razu na stanowisku pierwszorzędnem, naprzód na czele prawego skrzydła armii, jako poddowódcę Chodkiewicza, potem, po śmierci hetmana W. litewskiego, doczesnym regimentarzem wszystkich wojsk Rzeczypospolitej. Pomógł zapewne młodemu jeszcze podczaszemu do tak wczesnego wyniesienia się na widownię powszechno-dziejową zbieg wyjątkowy wypadków: śmierci hetmana W. kor., Żółkiewskiego, pod Cecorą i przedłużonej niewoli uprowadzonego w tej samej bitwie przez Tatarów hetmana polnego Koniecpolskiego, a wreszcie i zgonu Chodkiewicza pod Chocimem; ale że pierwszeństwo między pozostałymi przy życiu i obecnymi w obozie senatorami i żołnierzami

rysowi. Tu i owdzie rozrzucone są szczegóły o nim w kilku nowszych studyach, dotyczących czasów Zygmunta III i Władysława IV, jak w *Tretiaka* Historyi wojny chocimskiej, w dziele *Szajnochy* „Dwa lata dziejów naszych“; w monografii Jerzego Ossolińskiego pióra Kubali i t. d.

[1]) *Windakiewicz* „Księgi nacyi polskiej w Padwie“. (Arch. dla historyi literatury i oświaty, VI str. 32).

[2]) Sebastyan Lubomirski zmarł dnia 20 lipca roku 1613

[3]) W konstytucyi sejmu z roku 1613 (Vol. leg. III strona 171) jeszcze tytułu podczaszego przy jego nazwisku niema. Pierwszy znany nam akt, gdzie występuje jako Pocillator Regni, nosi datę roku 1616. (Porównaj rękopis biblioteki Ossolińskich nr. 546, strona 346).

do regimentarstwa przyznano Stanisławowi Lubomirskiemu, to już znak, że wybitne jego zdolności, doświadczenie i biegłość w rzeczach wojny zwróciły na siebie uwagę króla i jego doradców. Oczekiwań zresztą nie zawiódł: jak spełniał dobrze obowiązki podwładnego Chodkiewicza, jako dowódzca prawego skrzydła po 24-ty września, a więc przez pierwszy miesiąc walk chocimskich (rozpoczętych około 20 sierpnia), tak po zejściu hetmana W. litewskiego, jako wódz naczelny (z tytułu regimentarza, nie hetmana) umiał podtrzymać korzyści, zdobyte przez zmarłego, i powiększyć je dzielnem odparciem walnego ataku Turków z 28 września, któreto powodzenie oręża polskiego skłoniło właśnie Solimana ku pokojowym układom. Pomyślne zakończenie wojny i przywrócenie pokoju, na honorowych zawartego warunkach z nieprzyjacielem groźnym i potężnym (9 października), uczyniło imię Lubomirskiego głośnem w Europie i związało je na zawsze w dziejach odwiecznych zapasów Polski z nawałą pogańską ze wspomnieniem najbardziej doniosłego i świetnego tych walk epizodu [1]). Żadnej z buław mimo to nie dostał, bo mieli do nich Koniecpolski lepsze, inni starsze prawa; ale stanął w roku 1625 w rzędzie pierwszych senatorów, mianowany wojewodą ruskim [2]). Jako taki brał jeszcze udział w kilku późniejszych wyprawach, np. w roku 1629 przeciw Tatarom pod Kantymirem, w roku 1634 jako komisarz przy boku hetmanów przeciw Turkom [3]). W dalszych latach rządów Władysławowych, przy ciągle podupadającem zdrowiu, trapiony częstemi chorobami, więc sam niezdolny do czynnej służby rycerskiej, służy Rzeczypospolitej w potrzebach wojennych pośrednio, przysparzając armii koronnej pułków, wystawionych i utrzymywanych własnym kosztem. Odtąd też jest jego działalność publiczna zwrócona przewa-

[1]) *Tretiak,* „Historya wojny chocimskiej", str. 113—114 i 169—193.

[2]) *Kossakowski,* II strona 28.

[3]) *Piasecki.* Annal. strona 409. Vol. leg. Konstytucya sejmu z roku 1634.

żnie ku sprawom pokojowym, wewnętrznym; działalność prywatna ku podniesieniu domowej potęgi i fortuny. Więc jako senator strzeże zazdrośnie praw doradcy i współrządcy króla, nietylko służąc radą, ale pilnując, żeby bez tej wspólnej rady i pomocy nic się w królestwie nie działo, nic zwłaszcza przez dwór samowładnie podejmowanem nie było: sam jednak przytem przykłada chętnie i często rękę do pospolitej sprawy i z własnej szkatuły czyni niejako skarb publiczny. Jako magnat dba nadewszystko o świetność swego domu i klejnot swego herbu stawia nad wszelkie tytuły i zaszczyty, a wystawnością życia usiłuje zaćmić dwór królewski; ale szuka rozgłosu przez czyny szlachetnej szczodrobliwości, przyjaciół przez materyalne i moralne ich wspieranie, sławy u potomności przez stawianie wieczyście trwałych pomników: w kościołach, zamkach i twierdzach. Jako właściciel wielkiego majątku i pan domu, z pośpiechem dorobkiewicza pomnaża źródła swoich dochodów: ale umie być dobrym gospodarzem, troskliwym opiekunem podwładnych i najlepszym ojcem. W ciągu całych rządów Władysława IV, którego o rok tylko przeżył, jedyną godność wojewody krakowskiego przyjmuje od króla w r. 1638, i przy tym tytule zostaje do końca życia. Dawał mu Władysław w roku 1646 kasztelanią krakowską po Koniecpolskim, a podobno i buławę hetmańską gotów był powierzyć, ale Lubomirski wszystkiemi temi odznaczeniami pogardził [1]). Prawda, że dźwigał już wtedy siódmy krzyżyk na barkach i był mocno schorowany, ale ambicya mieszka często w ciele bezsilnem i zamierającem. Takiej ambicyi nie żywił jednak wojewoda krakowski, bo miał inną, jeszcze górniejszą i bardziej butną: czuł się takim panem przy królu, że żadnej odeń łaski nie pragnął i nie potrzebował, — powiedzmy więcej — czuł się nawet panem nad królem. Czuł się nim szczególniej wtedy, w roku 1646, gdy na czele pa-

[1]) *Szajnocha* „Dwa lata dziejów naszych“, (wydanie z roku 1865) I, str. 176—177.

nów małopolskich przeciwstawiał swoją wolę królewskiej i przypominał Władysławowi zobowiązania, zaprzysiężone w paktach, a wedle rozumienia Stanów niedotrzymane, — i kiedy doznał tego tryumfu, że król przed jego i szlachty wolą się ugiął i ustąpić musiał. Nie nadarmo nazywano go wówczas królikiem i kamieniem węgielnym Rzeczypospolitej: był jednym i drugim, bo miał majątek i dwór, podobny królewskiemu, i zastęp stronników taki, że przezeń stanowił potęgę, która mogła dyktować prawa tronowi, sama praw tronu nie uznając.

Jaką drogą doszedł do tej potęgi, to już tłómaczy po części ten krótki zarys życia, jakiśmy wyżej poznali. Jako jeden z pierwszorzędnych senatorów i jako wódz, wsławiony swego czasu świetnem powodzeniem wojennem, zdobył sobie znaczenie i powagę w Rzeczypospolitej, a do pomnożenia tych moralnych zdobyczy pomogły mu znakomicie dostatki ogromnego mienia. Wziął magnacki majątek po ojcu; powiększył go przez poślubienie Zofii Ostrogskiej, wojewodzianki wołyńskiej, znacznej fortuny dziedziczki: a zasoby materyalne wzrastały z przybytkiem starostw, któremi go obaj pierwsi Wazowie niejednokrotnie darzyli. Około roku 1641 ma wojewoda krakowski w rękach nie mniej jak siedm starostw, mianowicie: sądeckie, spiskie, sandomirskie, białocerkiewskie, niepołomickie, zatorskie i krakowskie, z których pierwsze trzyma już od roku 1599, drugie od roku 1613, trzecie co najmniej od roku 1616, a dalsze dostały mu się między rokiem 1620 a 1640. W roku 1629 rozporządzał już takiemi funduszami, że nabył od Stadnickich Łańcut z rozległemi dobrami okolicznemi. Klucz łańcucki składał się wówczas z Głuchowa, Soniny, Krzemienicy Czarnej, Kolków, Żołyni, Dąbrówki z Rudą i Woli Świętosławowej [1]). Do źródła jeszcze większych dochodów doszedł Stanisław Lubomirski

[1]) Porównaj w „Słowniku geograficznym“ (V, strona 581) źródłowo napisany artykuł o Łańcucie.

tym samym sposobem, jakiego niegdyś próbował jego ojciec: a to przez otworzenie we wsi Świerczy pod Wieliczką szybu solnego. Szyb ten był przedmiotem sporu między wojewodą a królem, który sprawił w roku 1635, że sejm wysadził komisyą dla przeprowadzenia układów o wykupno tych dóbr, na rzecz korony [1]); ale sprawa przewlekała się — niezawodnie wskutek zabiegów Lubomirskich — z roku na rok i w roku 1644 dopiero została załatwiona pozornie czasową zgodą między obiema stronami, dzięki której wojewoda krakowski eksploatował sól z szybu świerczowskiego spokojnie dalej, po koniec życia [2]). Jeśli więc o kim, to o nim można było powiedzieć, że urósł poniekąd „z soli i z roli“, choć krzywdę by się wyrządziło jego pamięci, gdyby się powiedziało, że urósł z samej soli i roli. Bo kto umiał tak rozumnie, jak on, owoców dobrobytu używać, ten musiał być czemś lepszem, niż dorobkiewiczem, — choćby nie miał, jak on, za sobą licznych innych zasług żołnierskich i obywatelskich. Był owszem Stanisław Lubomirski jednym z tych mecenasów wyższego pokroju, dla których pieniądz był środkiem, nie celem, i których kiesa była zawsze dla sprawy publicznej otwarta; co, jeśli miewali fantazye, to fantazye najczęściej szlachetne, zrodzone z uczuć religijnych, patryotycznych lub z zamiłowania w sztuce, z wytwornego smaku do rzeczy światła i piękna. Z nazwiskiem jego wiąże się w dziejach naszego Kościoła i naszego budownictwa zarazem, cały szereg wspaniałych i kosztownych fundacyj i cały szereg budowli o wyższej artystycznej wartości. Wedle napisu na nagrobku nie mniej jak dwadzieścia kościołów częścią postawił swoim nakładem, częścią przebudował, upiększył i wzbogacił.

„Przy takich rozchodach“ — mówi o wojewodzie Lubomirskim jego były dworzanin, Stanisław Czarnecki, opisawszy dostatki i porządek dworskiego życia w Wiśniczu [3]), — „które

[1]) Vol. leg. III strona 871—872.

[2]) *Szajnocha*, Dwa lata, I strona 174—175.

[3]) „Nowy pamiętnik warszawski“, r. 1801, t. XVI str. 310—317.

były ordynaryjne u ś. p. JO. pana, wystawił z fundamentu i ufundował klasztor OO. Karmelitów na Wiśniczu z nadaniem wsi dobrych, aparatów szczerozłotych, wielu ornatów szczerozłotych. Portyer złotem haftowany; dzwon, któremu równego niemasz; na dowód czego niech każdy zobaczy oczyma swemi, jakie są dostatki w tym klasztorze. Ciało swoje w tymże kościele złożyć rozkazał tamże na Wiśniczu w klasztorze.

„Farny kościół z fundamentu tamże wymurował, wielkie dochody naznaczył, wsi kilka na proboszcza i czterech księży, aparaty złote do kościoła, kielichy, monstrancye, lichtarze srebrne i innych wspaniałych rzeczy hojnie nadał.

„Obaczyć proszę Podoleniec na węgierskiej granicy, kędy była kloaka wszystkich herezyj, jakim kosztem klasztor księży Pijarów *Scholarum* i szkoły dla ćwiczenia młodzi wymurował, ufundował, aparatami złotemi i srebrnemi ubogacił, intratami pewnemi opatrzył, nauki postanowił, skąd prawdziwa przeciw Bogu i bliźniemu wyniknęła miłość, kiedy z tych pobożnych szkół tyle zacnych, świątobliwych zakonników wyszło i wychodzi. *Pauperes mendicantes* swojemi prowiantami uczących się żywił, a tak z herezyi owo miasto i insze pobliższe uwolnił i oczyścil, że jednego heretyka w tym powiecie nie masz. Trudno wypisać, co ten pan węgierskiej ziemi przez te szkoły za dobrodziejstwa uczynił.

„Kościołów różnych to w Krakowie na Żłobku, to OO. Karmelitów, OO. Bernardynów, u św. Michała, na Grodku Panny zakonne, w Lublinie OO. Karmelitów, w Łańcucie OO. Dominikanów, w Połonnym kościół farny i innych tak wiele fabryk kościelnych wymurował, nadał i ufundował“ [1]).

[1]) Wszystkie te szczegóły znajdują potwierdzenie w innych współczesnych relacyach ludzi rozmaitych stanowisk i przekonań. Nader chlubne wspomnienie pośmiertne poświęca zmarłemu teściowi Albrecht Radziwiłł w swojem „Memoriale“ (Rękopis biblioteki Ossolińskich, nr. 117, k. 142). Z równem uznaniem wogóle, (choć nie bez drobnych przytyków w szczegółach) pisze o Stanisławie Lubomirskim.

Wiemy nadto skądinąd, że założył klasztor Kapucynów w Lubartowie czyli Lubarze na pograniczu Wołynia i Podola, i kilka kaplic przy kościołach, jak np. w Niepołomicach i w Lubowli na Spiżu, powystawiał [1]).

Słynniejsze jeszcze są budowle świeckie, które wzniósł lub podniósł własnym kosztem, przeważnie w swoich dobrach. Zbudował pięć zamków, dwa inne przebudował i odnowił. Najsłynniejszem dziełem budowniczem, przywiązanem do jego nazwiska, jest zamek i twierdza w Wiśniczu. Stary budynek, zakupiony od Kmitów, został staraniem nowego dziedzica Stanisława, (w roku 1621) z gruntu przerobiony i znacznie, rozszerzony, fortyfikacye przekształcone i wzmocnione wedle fortecznego systemu włosko-francuskiego, odpowiednio do wymagań nowożytnej sztuki wojennej [2]). W kilkanaście lat potem, w r. 1629, począł się wznosić w pośród innego klucza dóbr, w nabytym właśnie od Stadnickich Łańcucie, drugi pałac zamkowy, którego budowa trwała do roku 1641, a skończona przysporzyła Rzeczypospolitej świetnego punktu obrony, wypróbowanego nieraz później, w ciągu wojen z Kozakami i Rakoczym [3]). Także twierdze w Połonnem na Wołyniu, w Łabuniu, zamki w Niepołomicach i w Zatorze, powstały nakładem

Temberski, profesor akademii krakowskiej w Annales z lat 1647—1657, mimo że żywił niechęć do wojewody z powodu jego zatargów z akademią („Scriptores rerum Polonicarum, tom XVI, strona 143—144). Porównaj nadto *Kochowskiego* Annales Clim. I, strona 163. Wreszcie w *Starowolskiego* dziele „Monumenta Sarmatarum“ (Cracoviae 1655 na stronie 653 powtórzony napis grobowcowy Stanisława Lubomirskiego (słowa końcowe).

[1]) *Dzieduszycki:* „Spiż“ (Przewodnik naukowy i literacki 1876 strona 937. *Niesiecki:* Herbarz VI, strona 151—152.

[2]) Porównaj prócz przytoczonych wyżej ralacyj Czerneckiego Temberskiego i Radziwiłła, ustęp w dziele *Łuszczkiewicza* pod tyt. „Zabytki, dawnego budownictwa w Krakowskiem (zeszyt IV) „O zamku wiśnickim“.

[3]) Porównaj w „Słowniku geograficznym“ tom V, artykuł „O Łańcucie“, strona 581.

Stanisława Lubomirskiego[1]). „A cóż dalej? — woła w uniesieniu Czarnecki, wyliczywszy te wszystkie fundacye — lepiejby milczeć, niżeli wspominać, bo więcej było i jest, niżeli ludzkiej wiadomości i pamięci dojść mogło“ — chcąc zapewne wyrazić temi słowy, że były pan jego świadczył nadto wiele dobrego w ukryciu, bez rozgłosu.

Nie był jednak wojewoda krakowski jednym z tych, co rozgłosu stale unikają i kochają się w odosobnionej prostocie i zacisznem życiu. Lubiał przepych i zbytek: czując się półkrólem, chciał też żyć po królewsku. Dwór jego słynął z wystawności i świetności nietylko w kraju, ale i za granicą. Na zamku wiśnickim gwarno było i rojno od dworzan, służby i zawsze licznych gości. Rezydowali przy wojewodzie nawet synowie magnatów, książąt, i brali roczne jurgielty, niby dworzanie. Gdy Lubomirski miał gdzie wyjeżdżać, już na parę dni naprzód wyruszały w drogę częściami zastępy jego zwyczajnego orszaku: najpierw piechota, potem służba stajenna z końmi, dalej słynna kapela, tłum łowców z przyborami myśliwskimi i dopiero sam pan w otoczeniu wyborowej świty szlachetnych panów i paniąt. Gdy jakiś koronat lub książę krwi zagościł do Wiśnicza, długo potem opowiadano o świetności przyjęcia, jakiego doznał. Tradycya odwiedzin Władysława IV z r. 1646 zachowała się w licznych relacyach współczesnych — widać, że utkwiła mocno w pamięci świadków[2]). Imponowała ta potęga domowa wiśnickiego pana nawet cudzoziemskim monarchom, którzy, przewidując korzyści zbliżenia się do tego „królika“, starali się o jego przychylność. Wedle Temberskiego utrzymywał Lubomirski stosunki „z Węgrami, Siedmiogrodzianami, Multańczykami, Mołdawianami, Tatarami, Turkami, Persami i z Moskwą“, t. j. niezawodnie z panującymi i magnatami tych narodo-

[1]) Porównaj relacye Czerneckiego, Temberskiego i Radziwiłła (l. s. cit.).

[2]) *Szajnocha*: „Dwa lata dziejów naszych“, (wydanie z roku 1865) tom I, strona 174—7, 214—220.

wości; także z domem austryackim, elektorami Rzeszy i książętami włoskimi [1]). Cesarze niemieccy próbowali go dla siebie pozyskać dwukrotnem nadaniem książęcego tytułu: dumny pan pierwszy raz łaskę odrzucił, drugi raz (w roku 1647) przyjął wprawdzie od Ferdynanda III tytuł ze względu na dzieci, ale sam nigdy go nie używał [2]).

Bogaty — więc dla bogactw otoczony zawsze służalcami i pochlebcami; senator pierwszego rzędu — więc dla wysokiej godności w Rzeczypospolitej wielmożny; dobrodziej duchowieństwa i szlachty — więc dzięki szczodrobliwości i uczynności wielce wpływowy, i dla tej powagi i potęgi przez książąt udzielnych traktowany jakby równy — musiał wojewoda poczuć w sobie tę dumę, wyniosłą nad wszelką władzę, dumę człowieka, co może rozkazywać, ale rozkazów uznawać nie potrzebuje, co ustąpi, jeśli zechce, ale jeśli nie chce, ustąpić nie musi. A czując ją w sobie, miał też chwile, w których dawał się jej unosić. Bo było już dużo małostkowej dumy, nie licującej z charakterem bezinteresownego człowieka, w tym uporze, z jakim trzymał się Świerczy z niekorzyścią skarbu królewskiego, aby króla ostatecznie zniewolić do ustępstwa; było jej jeszcze więcej w tem dyktowaniu łasce pańskiej warunków, gdy kasztelanii krakowskiej przyjąć nie chciał inaczej, jak ze starostwem krakowskiem dla syna; było wreszcie najwięcej w tym akcie opozycyi przeciwko projektom wojny tureckiej, opozycyi, motywowanej jawnie tem, że król rady jego i innych senatorów lekceważy i cudzoziemcami chętnie się posługuje, — z usunięciem na bok zasadniczej kwestyi, czy wykonanie samego projektu nie byłoby w owej chwili zbawiennem dla Rzeczypospolitej i czy nie należało do tego dzieła przyłożyć ręki, zapomniawszy w obliczu wielkiego przedsięwzięcia o nieporozumieniach domowych i wzajemnych urazach.

[1]) *Temberski:* Annales, strona 144.

[2]) *Kossakowski:* II, strona 28. Porównaj nadto napis grobowca Lubomirskiego w przytoczonem wyżej dziele Starowolskiego.

Ale mimo to wszystko trzeba przyznać, że Stanisław Lubomirski należy do tej wyborowej, zacniejszej plejady panów polskich XVII wieku, co mając wysokie rozumienie o swem osobistem znaczeniu, mieli też wysokie pojęcie o podniosłem powołaniu swego stanowiska, którzy pamiętali ciągle, że szlachectwo nakłada obowiązki, i przeświadczenie o tem popierali czynami całego życia. Więc gdy żąda dla siebie przeważnego udziału w rządach Rzeczypospolitej, to, nie powołując się na konstytucye, musimy uznać, że miał do tych rządów prawo, kto służył krajowi wiernie w pokoju i na wojnie, i krwi i mienia dla niego nie szczędził; gdy się czuje panem przy królu i łaski przyjmuje jakby dług powinny, to łatwiej o wyrozumiałość dla obywatela, przed którym tysiące uchylały czoła z szacunkiem lub żywiły dlań uczucia wdzięczności; a jeśli da się unieść dumie za daleko, mniej to razi w człowieku, który w ludziach widząc tylko równych, umiał się przecież ukorzyć przed Bogiem, był szczerze pobożnym i religię prawowiernie praktykował. Jeden z najczynniejszych obywateli królestwa w pierwszej połowie XVII wieku, jeden z najbardziej szczodrych mecenasów sztuki i oświaty, nie wolny od wad, które przecież nad zaletami nie wzięły tej potwornej przewagi, co oszpeca wiele późniejszych postaci polskiej arystokracyi rodowej, — zasługuje Stanisław Lubomirski z pewnością na to, aby go postawić w tej grupie naszego historycznego panteonu, gdzie miejsca zajęte przez Zamojskich, Chodkiewiczów, Koniecpolskich i Sobieskich.

Z piękniejszych rysów tej postaci najbardziej ujmujący — Stanisława Lubomirskiego, jako ojca — mamy właśnie poznać bliżej w dziejach młodości jego drugiego z rzędu syna, Jerzego.

II.

A więc trzeba nam się cofnąć wstecz o trzy lat dziesiątki z okładem od owej doby, w której ojciec naszego

bohatera, jako wojewoda krakowski i „królik“ Rzeczypospolitej, już za Jana Kazimierza wśród burz wojen kozackich kładł głowę do wiecznego spoczynku (zmarły 17 czerwca roku 1649).

W chwili, kiedy Jerzy miał przyjść na świat [1]), był Stanisław Lubomirski jeszcze człowiekiem młodym, bo liczył

---

[1]) Przystępując do dziejów młodości samegoż Jerzego Lubomirskiego, muszę zaznaczyć, że i jego biografia nie była dotąd przedmiotem żadnego osobnego obszerniejszego opracowania. Jedyny uwagi godny szkic biograficzny, napisany jeszcze trzydzieści lat temu — krótki i pobieżny, ale na źródłach oparty, ukazał się w „Tygodniku illustrowanym“ z roku 1863 (tom VIII, nr. 206—208). W artykule tym dziejom młodości Jerzego (po rok 20 życia) poświęcono jednak zaledwie parę wierszy. Nie znam zresztą żadnej monografii historycznej, dotyczącej czasów Zygmunta III i Władysława IV (z przed roku 1636), w którejby się jakaś wzmianka ważniejsza o pierwszym okresie życia Jerzego, t. j. z lat 1616—1636, znajdowała.

Źródła do dziejów młodości Jerzego są, ogólnie biorąc, bardzo nieliczne i małomowne. Z pomiędzy wyliczonych już powyżej kilku panegiryków przydać się może biografowi tylko jedyny p. t. „Panegyricus Ill-mo et Exc-mo D-no D. Georgio Lubomirski etc. etc... per Bernardum Bernardinum Chronicz, in Alma Academia Cracoviensi philosophiae doctorem et inter collegas minores eiusdem profesorem... conscriptus et consecratus. Cracoviae 1661“. Autor, piszący w chwili, kiedy Jerzy Lubomirski, jako marszałek W. i hetman polny kor., po zwycięstwie cudnowskiem, był u szczytu potęgi i rozgłosu, wygłasza oczywiście na cześć jego hymn pochwalny — na 26 kartach in folio; ponieważ jednak przebiega całe życie bohatera, sięgając aż do lat dziecięcych (dat, co prawda, prawie żadnych nie podając), przeto tu i owdzie da się z osłon panegirycznych komplementów i przesadnych pochlebstw wyłuszczyć jakieś ziarno prawdy i wydobyć jakiś fakt autentyczny. Ta część, która dotyczy młodości Jerzego (po rok 1636), jest najbardziej pobieżna i zajmuje zaledwie parę stronic, pełnych ogólników i retorycznych frazesów, ale skąpych w pewne wiadomości.

Potocki Paweł, pisarz czynny w drugiej połowie XVII wieku, poświęcił w swojem dziele: „Saeculum bellatorum et togatarum seu centuria clarissimorum virorum“ (Cracoviae, 1702 wydanie 2-gie) osobny niewielki rozdział (strona 69—71) także Jerzemu Lubomirskiemu; ale i w tej biografii o czasach dziecięcych niema żadnej wzmianki, o latach

lat 33 życia — ale już samodzielnym panem na Wiśniczu i starostą sądeckim, spiskim, sandomirskim, a nadto od niedawna podczaszym W. koronnym. Ojciec jego już nie żył, ale żyła jeszcze matka, z domu Branicka, ta matrona wielkich cnót i nieskazitelnego charakteru, o której z uwielbieniem wspominają współcześni. Kiedy syn jej, od roku 1610 jedynak, wszedł w związki małżeńskie, w braku danych źródłowych dokładnie oznaczyć nie sposób. Nie znamy daty jego ślubu, jak nie znamy daty urodzin żadnego z dzieci prócz Jerzego: ale że Jerzy był synem między trzema co do wieku średnim, a urodził się w roku 1616 i miał brata nie o wiele od siebie starszego, że nadto i sam Stanisław dopiero około roku 1607 doszedł do pełnoletności, więc wnosić wolno, że ożenił się zapewne nie prędzej jak między rokiem 1610 a 1615, może w roku 1613, gdy właśnie ojca zabrakło, a osamotnionemu, nowemu panu Wiśnicza narzucała się potrzeba obrania sobie towarzyszki życia i gospodyni domu. Towarzyszką tą i gospodynią została Zofia, córka Aleksandra Ostrogskiego, wojewody wołyńskiego (zmarłego jeszcze w r. 1603), i Anny z Sztembergów Kostczanki (matki dwóch synów: Adama Konstantyna i Janusza, którzy pomarli młodo, nieco więcej nad dwa lat dziesiątki przeżywszy, — i trzech córek: wymienionej wyżej Zofii, jakoteż Katarzyny i Anny Alojzyi [1]).

Pierwsze dziecię Stanisława i Zofii Lubomirskich, Aleksander Michał, musiał ujrzeć światło dzienne najpóźniej

młodości po rok 1636 tylko krótka wiadomość, że podróżował jakiś czas po obcych krajach — i nic ponadto (strona 69—70).

Sam Jerzy L. wylicza w swoim Manifeście jawnej niewinności, wydanym w roku 1666, główne fakta własnego życia: autobiografia ta nie sięga jednak w przeszłość poza rok 1636, która to data właśnie jest kresem niniejszego studyum.

Najważniejszy materyał do dziejów młodości Jerzego mieści się w listach ojca Stanisława Lubomirskiego, z lat 1632—1634, o których będzie mowa poniżej.

[1]) *Niesiecki:* Herbarz, VI strona 152 i 189.

w początkach roku 1615 [1]), bo dzięki zapisce w liście des Noyers'a (z roku 1658) wiemy na pewno, że drugi syn Stanisława, nasz Jerzy Sebastyan „urodził się w roku 1616, dnia 20 stycznia, na pół godziny przed wschodem słońca, (więc około g. 7 zrana) pod Krakowem“ [2]). Miejsca urodzin

---

[1]) *Kossakowski* (II, strona 30) i autor panegiryku: Archipelagus titulorum Sreniawa in D-no Georgio Lumomirski etc. adornatum anno 1730 (Fortunam orbi Lechico genuisse creditus proavus tuus, Princeps Celsissime, cum *secundum filium Alexandrum* protulit...) mienią Aleksandra mylnie drugim synem Stanisława, stawiając go między Jerzym a najmłodszym Konstantym. Daty urodzin Aleksandra nie mamy; ale zarówno Albrecht Radziwiłł (Memoriale w rękopisie biblioteki Ossolińskich nr. 117, k. 142), jako też nieznany autor genealogii rękopiśmiennej rodziny Lubomirskich (Rękopis biblioteki Ossolińskich, nr. 120, strona 481—482) wymieniają dzieci Stanisława w tym porządku, że Aleksander stoi na czele, po nim Jerzy i wreszcie Konstanty. — Wątpliwości wszelkie usuwa prawie zupełnie treść listów Stanisława Lubomirskiego do synów Aleksandra i Jerzego z lat 1632—1633 (o których później). Zaczynają się one stale od nagłówka: „Moim najmilszym synom, Aleksandrowi i Jerzemu... wojewodzicom ruskim“. Imię Aleksandra z a w s z e przed imieniem Jerzego. W samychże listach niema wprawdzie ani jednego ustępu, gdzieby przy imieniu Aleksandra było powiedziane wyraźnie, że jest starszym od Jerzego; ale w pięciu ostatnich listach tegoż zbiorku korespondencyi, pisanych do samego Aleksandra, są napomknienia, z których wnioskować można, że ten syn musiał być najstarszym. W jednym naprzykład przypomina mu, że w nim upatruje głównego dziedzica i niejako moralnego spadkobiercę swej godności i sławy — a przedmiotem takich nadziei nie mógł być nikt inny jeno syn pierworodny („...staraj się o to... abyś n i e t y l k o m n i e i m i e j s c e m o j e z g o d n o ś c i i osoby mojej i twojej powinności przystojnie zastąpił...“) Różnica wieku między Aleksandrem a Jerzym była w każdym razie niewielka, skoro obaj wyprawieni zostali (jak się dowiemy później) r ó w n o c z e ś n i e do Kolonii dla uzupełnienia edukacyi

[2]) Lettres de Pierre des Noyers. Berlin, 1859, strona 410 (25 mai, Boguniov). Des Noyers, amator przepowiedni astrologicznych, pisząc o horoskopie innej osoby, dla porównania przytacza datę urodzin Jerzego Lubomirskiego, którego musiał znać dobrze jako sekretarz Maryi Ludwiki: „Mais puisque je suis sur les nativités, j'en ajouterai encore une d'un homme qui n'a pas des pensées rampantes, mais trés-élevées“ etc..

nie wymienia, niestety, des Noyers ani żadne inne zródło. Określenie „pod Krakowem“ nie na wiele może się przydać, skoro nie posiadamy dokładnego wykazu posiadłości ówczesnego podczaszego W. koronnego ani nie jesteśmy w stanie złożyć itinerarium tego ostatniego z roku 1616. Znamy nazwiska paru miejscowości, niezbyt odległych od Krakowa, ale też nie bardzo bliskich, o jednej z których można się domyślać, że była miejscem rodzinnem Jerzego: że wymienimy naprzód sam Wiśnicz, główną rezydencyę Lubomirskich, położoną o milę od Bochni; dalej Lubomierz, wioskę, znajdującą się także w powiecie bocheńskim nad rzeczką Śreniawą przy drodze z Gdowa do Lipnicy (co do tej wsi nie mamy pewności, czy ją trzymali jeszcze w rękach Lubomirscy, ale też nie słychać, aby należała do kogo innego); Kolbuszowę, miasteczko powiatowe w Tarnowskiem, (o którem wiadomo, że należało do Ostrogskich, więc matka Jerzego, Ostrogska z domu, mogła w niem wypadkowo przebywać); lub wreszcie Niepołomice, gdzie być może przemieszkiwała jeszcze matka podczaszego Stanisława, a babka Jerzego, z domu Branicka, córka starosty niepołomickiego, jako wdowa.

Jeżeli Jerzy nie urodził się w Wiśniczu, to w zamku wiśnickim najpewniej spędził swoje dzieciństwo. Tak mało mamy danych o pierwszych latach jego życia, że nie możemy wiele więcej nadto powiedzieć. Trudno też na podstawie dosyć nielicznych wzmianek w źródłach o ojcu Stanisławie z przed roku 1620 stwierdzić dokładnie, gdzie najczęściej po ten rok przebywał: ale skoro wiemy, że był starostą sandeckim i sandomirskim, więc urzędnikiem na dziedzinach, nieodległych od Wiśnicza, i że w Wiśniczu prowadzono właśnie w ciągu drugiego dziesiątka lat XVII wieku roboty, mające na celu przekształcenie, rozszerzenie i ufortyfikowanie starego zamku, kupionego od Kmitów [1]), więc trzeba rozumieć, że

[1]) Na tablicy marmurowej w bramie zamkowej znajduje się napis oznajmiający, że zamek został z gruntu przebudowany w roku 1621. Jest to oczywiście data ukończenia budowy: przekształcanie i rozsze-

w tym właśnie czasie musiał ojciec Jerzego częściej, niż w późniejszych czasach, przebywać w głównej rezydencyi i środkowym punkcie swych posiadłości (Łańcut i okoliczne dobra nabył dopiero w roku 1629), i zwłaszcza po wojnie chocimskiej, od roku 1622, t. j. od kiedy pałac, z gruntu odnowiony, dogadzał niewątpliwie pod każdym względem upodobaniom właściciela.

Jeżeli domysł nasz nieochybny, to życie młodociane Jerzego miało tło tak piękne i wspaniałe, jak rzadko czyje w Rzeczypospolitej [1]). Zamek wiśnicki, którego dosyć dobrze zachowane mury zdobią dotychczas okolicę Bochni (Wiśnicz leży — przypominamy — o milę od tej ostatniej miejscowości, przy drodze do Sącza), osiadł na jednem z dwojga wyniosłych wzgórzy, zasłaniających miasto, zabudowane w kotlinie, od zachodu. Na drugiem wzgórzu stanął klasztor Karmelitów — także z fundacyi Stanisława Lubomirskiego. Dawne dworzyszcze Kmitów, sięgające datą powstania w XV wiek, spłynęło się z resztą gmachu po gruntownej przebudowie, dokonanej przez Lubomirskiego w 1621 roku, tak dokładnie, że jakkolwiek część zamku nosi miano Kmitówki, tylko w dolnych jej murach dopatrują się znawcy nienaruszonego zabytku starożytnego budynku, uznając resztę za z gruntu przekształconą lub świeżo dodaną. To więc, co dziś

rzanie tak potężnego gmachu musiało trwać co najmniej lat parę: dosyć przypomnieć, że nad wzniesieniem pałacu łańcuckiego (także nakładem Lubomirskiego) pracowano lat 12, mianowicie od roku 1629 do 1641. „Słownik geograficzny“ tom V, strona 581.

[1]) Idziemy w poniższym opisie za dwoma cennymi artykułami ś. p. Wł. Łuszczkiewicza, pierwszym p. t.: Zamek Kmitów, następnie Lubomirskich w Wiśniczu, zawartym w dziele: „Zabytki dawnego budownictwa w Krakowskiem“ (zeszyt IV, do którego dołączone są dwie tabele, podające plan zamku i fortyfikacyi, jakoteż rysunek gmachu w przekroju i widok całego obwodu pałacowego, i drugim p. tyt.: „Portal forteczny w zamku wiśnickim“, umieszczonym: w Sprawozdaniach komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, tom V, zeszyt II, strona XXI—XXIII (tamże na końcu, tabl. III, rysunek tejże bramy).

możemy oglądać i co daje wyobrażenie (prawda, że nieco spaczone widokiem częściowej ruiny) o stanie rezydencyi Lubomirskich za czasów Zygmunta III, należy też uważać prawie w całości za owoc nakładów podczaszego W. koronnego, Stanisława, i zarazem za wytwór sztuki budowniczej XVII wieku. A trzeba dodać, że był to wytwór jeden ze szlachetniejszych i najbardziej stylowych między tymi, jakie widziała ówczesna Polska. Zdolny inżynier, niezawodnie cudzoziemiec, którego nazwiska nie znamy (cudzoziemców używano u nas zwykle w XVII wieku do przeprowadzenia większych robót artystycznych tego rodzaju), umiał połączyć zalety wygodnej magnackiej rezydencyi z warunkami siły i obronności. Zamek wzniósł na przestronnym placu u szczytu wzgórza, które prawdopodobnie sztucznie splantował, a plac sam ujął w mocny pięciokąt forteczny. Aby się dostać do wewnątrz stojącego gmachu, trzeba było przebyć drogę, wijącą się od miasteczka w kierunku od zachodu ku północy wzdłuż murów i bastyonów twierdzy, a dziś ślicznie ozdobioną aleją lipową. U wstępu, za fosą, przez którą przerzucony most kamienny, wita przybysza poważna brama wjazdowa „w zepsutym stylu doryckim", dzieło (wedle słów Wład. Łuszczkiewicza) monumentalne w duchu XVII wieku, mające wyraz siły i prostoty, odpowiedni przeznaczeniu wojennemu. Brama ta roztwiera ścianę szkarpowo pochylonych murów fortecznych, które w formie pięciokąta otaczają pałac. W każdym rogu wieloboku wznoszą się występujące na zewnątrz, czworokątne bastyony, obmurowane jako kurtyny (z tych trzy na wysokości piętra); a łącznikami między nimi są podziemne kazamaty i kurytarze, z których najwspanialszy, przeprowadzony przez wnętrze zachodniego boku murów, a ozdobiony zachowanymi dotychczas dwoma dużymi kominami z marmuru, mógł objąć kilkaset ludzi i służył widocznie do pomieszczenia załogi. Ś. p. Łuszczkiewicz dowodził, że tak ten gmach forteczny, jak i łańcucki zamek, zerwały po raz pierwszy z systemem średniowiecznym utwier-

dzania zamków, jakiego się u nas trzymano powszechnie jeszcze w XVI wieku, i stoją co do konstrukcyi na wysokości tych współczesnych zagranicznych budowli fortyfikacyjnych, których wzory utorowały drogę późniejszym udoskonaleniom słynnego Vauban'a.

Przebywszy bramę forteczną, wchodziło się na rozległy dziedziniec z wznoszącym się w pośrodku pałacem o kształcie czworobocznym, oszkarpowanym, z tarasami i basztami po rogach. Wejście główne do gmachu znajdowało się w stronie północnej; można było przez nie wkroczyć na dziedziniec wewnętrzny o poziomie znacznie podwyższonym. Od strony południowej było drugie, boczne wejście. Wstąpiwszy w progi pałacu tamtem pierwszem, głównem wejściem, przebywało się naprzód wspaniałą sklepioną sień. Schody, oparte o jednę ze ścian wewnętrznego dziedzińca, ozdobione piękną galeryą, wyprowadzały na pierwsze i drugie piątro. Przy dzisiejszym, na pół zrujnowanym, stanie gmachu trudno wyrozumieć przeznaczenie pojedyńczych komnat: można w każdym razie rozpoznać, że była w pałacu kaplica z piękną lożą i że nawet w narożnych basztach znajdowały się mieszkania. Murów fortecznych broniło — wedle świadka naocznego, Czerneckiego — „80 dział z puszkarzami i amunicyami, w której prowiantu zawsze na lat trzy bywało i piechoty wybranej z włości czterystu".

Te to mury obronnej twierdzy i wykwintnego pałacu zarazem, które wspaniale musiały się przedstawiać w odnowionej szacie od 1621 roku, w chwili, kiedy mały Jerzy, sześcioletni, przechodził z okresu dziecięctwa w okres dojrzalszego chłopięctwa, a więc bliższego poznawania i rozważania otaczających go rzeczy, w czas pierwszych nauk i trudów. Jeżeli wierzyć zapewnieniom Chronicza, autora panegiryku, pisanego na cześć Jerzego Lubomirskiego, już jako marszałka W. i hetmana polnego koronnego w roku 1661, po potrzebie cudnowskiej — to był ten chłopak, drobnego wzrostu, nad wiek poważnym i rozumnym. Nie miał pociągu

do rozrywek dziecinnych, ale chętnie zabawiał się łukiem, strzałą i ćwiczeniami gimnastycznemi. Lubiał się wciskać do komnat ojcowskich, gdy w nich gościli senatorowie i odbywali z podczaszym W. koronnym, a od roku 1625 wojewodą ruskim, narady prywatne nad sprawami Rzeczypospolitej: miał się przysłuchiwać tym rozmowom starszych z ciekawością i uwagą — a wróciwszy do rówieśników, powtarzać, co usłyszał, i naśladować z uroczystą miną przebieg rozprawy [1]).

Rozpoczął i odbywał pierwsze nauki, jak można wnosić poniekąd z opowiadania Chronicza, w domu, przy pomocy dobranych umyślnie nauczycieli [2]). Kierownictwo jego wychowania miał sobie powierzone niezawodnie już wtedy ów ksiądz Dominikanin Jan Charzewski z Łowicza, o którym znajdujemy w księdze promocyjnej akademii krakowskiej dwukrotne wzmianki, naprzód pod rokiem 1620 jako wliczonym właśnie w poczet bakałarzy, następnie pod rokiem 1622, gdy złożył egzamin na magistra i doktora filozofii, — i przy pierwszej wzmiance wyjaśnienie, że był to „pedagog p. Konstantego Lubomirskiego, wojewodzica krakowskiego (najmłodszego syna Stanisława) i pana Jerzego Lubomirskiego“ [3]). To wyjaśnienie jest oczywiście dodatkiem późniejszym (w księdze promocyjnej pełno takich dodatków, określających pokrótce dalsze dzieje promowanych uczniów akademii): Charzewski nie zostałby pewnie wyszczególnionym przez Stanisława Lubomirskiego wyborem na mistrza dzieci, gdyby sam nauk nie skończył i nie posiadał tytułu

[1]) Panegyricus, f. B, 2.

[2]) Panegyricus, f. C.: „interea prudentissimus pater totam aulam ad virtutem, ad modestiam conformabat: eos aetatis tuae custodes, eos etiam ministros dabat, in quibus illa videres, illa notares, quae te digna forent. Equidem indoles tua tantum iam sui documentum dederat, ut custode non egeret... datum id tamen seu consuetudini, seu quia principem non aliter educari decebat“. (I tu następuje opis życia na dworze Stanisława Lubomirskiego: dwór ten uważał więc Chronicz za otoczenie Jerzego podczas jego nauki).

[3]) *Muczkowski:* Liber promot., strona 285 i 287.

doktora. A więc dopiero po roku 1622-gim objął obowiązki w Wiśniczu, gdy Jerzy skończył siódmy rok życia, a brat jego Konstanty, nie o wiele młodszy, mógł także wkrótce rozpocząć nauki (przypuszczamy, że starszy Aleksander Michał miał innego nauczyciela, skoro Charzewski nazwany jest w księdze promocyjnej akademii pedagogiem dwóch tylko młodszych Lubomirskich). O przebiegu i rezultatach tego domowego wychowania i kształcenia nie wiele wiemy: domyślamy się więcej, niż twierdzimy, że w zakres studyów wchodziły te przedmioty, które przerabiano w ówczesnych pięcioklasowych kolegiach klasztornych, i nadto nowożytne języki. Jerzy miał wedle panegiryku Chronicza (a więc niepewnego świadectwa) zdradzać wielkie zamiłowanie do nauk i posiadać dar nader łatwej pamięci, a ze szczególnem upodobaniem zajmować się nauką wymowy i historyą [1]).

Ponad to, co podaje Chronicz, o dziecięctwie i młodości Jerzego po koniec 15-tego roku życia (1616—1631) wobec milczenia innych źródeł nic więcej powiedzieć nie umiemy. Na zaciemnionem tle tego pierwszego okresu tem jaśniej za to widnieje promień światła, jaki pada na dalsze dzieje bohatera naszego opowiadania z zachowanej szczęśliwie, acz niewielkiej, wiązanki listów ojca Stanisława, pisanych do bawiących już za granicą dla dokończenia nauk synów w latach 1632—1635.

III.

Było to już wtedy prawie powszechnie przyjętym na polskich dworach magnackich zwyczajem, że się paniczów starszych, gdy odbyli początkowe nauki w domu czy w jakiemś kolegium klasztornem, lub nawet przeszli akademię krakowską, wysyłało dla dopełnienia edukacyi i „wypolerowania obyczajów“ — za granicę. Wyższe zakłady naukowe

[1]) Panegyricus, f. C.

krajowe przyzwyczajono się uważać za rodzaj szkół średnich, po ukończeniu których, chcąc osiągnąć wyższy stopień wiedzy, nic nie pozostawało, jak udać się za nim na jakiś uniwersytet cudzoziemski [1]).

Rozpoczęła się ta emigracya młodzieży polskiej za nauką już u schyłku XV wieku; ale przybrała szersze rozmiary dopiero w drugiej połowie XVI, aby dojść do swego *maximum* w pierwszej połowie XVII. Metryki uniwersytetów zagranicznych, niemieckich zwłaszcza i włoskich, w częściach, pochodzących z XVI i XVII wieku, roją się od nazwisk polskich, a księgi nacyj polskich coraz dłuższe wykazują listy

[1]) W rozdziale niniejszym odbiegam cokolwiek od zasadniczego tematu szkicu, pragnąc dzieje „lat szkolnych“ Jerzego oprzeć na szerszem tle dziejów wychowania w Polsce. Jakkolwiek ustęp, poświęcony temu przedmiotowi, zajmuje w niniejszym artykule stosunkowo dosyć sporo miejsca, czuję dobrze, że daleko mu jeszcze bardzo do znaczenia studyum wyczerpującego. Wielki brak materyałów, wydanych drukiem, a posłużyć mogących do objaśnienia historyi wychowania publicznego w Polsce XVII wieku, z jednej strony, a z drugiej potrzeba przystosowania szczegółów zebranych do zasadniczego tematu biograficznego, nie pozwoliły na razie na opracowanie szersze i bardziej szczegółowe.

Z opracowań istniejących przydał mi się najwięcej pełen trafnych uwag artykuł prof. Sokołowskiego Augusta pod tyt.: „Karta z dziejów wychowania w Polsce XVII i XVIII wieku (Muzeum, rok 1886). Wiele wiadomości zawdzięczam także referatowi prof. Morawskiego pod tyt.: „Wskazówki dla poszukiwania źródeł humanizmu polskiego“ (Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce, tom V, strona 74—82), studyum dra Windakiewicza o Padwie i Nacyi polskiej w Padwie, i artykułowi Bobowskiego: „Wychowanie młodego panicza polskiego za granicą“ (Biblioteka warszawska 1886 r., tom III, strona 28—48, 195—212).

Główny materyał źródłowy, którym się posługuję, leży w kilku wyciągach z metryk uniwersytetów zagranicznych, ogłoszonych drukiem, jako też w wiązance instrukcyj, wydawanych przez ojców dla synów, wyjeżdżających do obcych krajów po naukę; wreszcie w kilku zbiorkach korespondencyi między rodzicami a kształcącemi się w kraju lub za granicą dziećmi. — Bliższe szczegóły o tych źródłach znajdą się niżej.

swoich członków. Był czas, że nie krakowska, lecz padewska akademia mogła uchodzić za właściwą najwyższą szkołę koronną, i były lata, w któych ogólna liczba kształcących się za granicą Polaków przewyższała o wiele liczbę scholarów Jagiellońskiej wszechnicy.

Zastanawiano się u nas nieraz nad przyczynami tej anomalii w systemie wychowania polskiej młodzieży, ale nie zbadano dotąd całej kwestyi w sposób wszechstronny i wyczerpujący. To pewna, że w rzędzie zasadniczych przyczyn najważniejszą była okoliczność, iż ani rząd Rzeczypospolitej ani akademia krakowska — dwa ciała przedewszystkiem powołane do pobudzającego działania w tej sprawie — nie poczuły się w czas do obowiązku poprawy wychowania publicznego i doniosłe to zadanie w XVI właśnie wieku, kiedy na innych polach ruch reformacyjny i humanizm wywoływały przewroty, prawie zupełnie zaniedbały. Akademia, zajmująca stanowisko przez pół odporne wobec świeżych prądów humanistycznych, rząd, trawiący swe siły w walce z prądami reformatorskimi i o praw egzekucyą — nie miały dosyć swobody, energii i dosyć ducha inicyatywy w sobie, aby ująć sprawę edukacyi w swoje ręce i wprowadzić ją na lepsze tory [1]). Akademia, pozostająca (mimo ożywczych usiłowań zdolniejszych jednostek) na zacofanem stanowisku średniowiecznego scholastycyzmu, traci stopniowo w ciągu XVI wieku tytuły dobrej sławy i ubożeje w słuchaczy. Odwracają się od niej naprzód zwolennicy „nowinek", akatolicy, dlatego, że pozostała katolicką, i poczynają garnąć się do zwyciężonych przez reformacyę uniwersytetów zagranicznych: odwracają się dalej tacy, na których wionęło z południa i zachodu świeże tchnienie odrodzenia w literaturze i sztuce i wabić musiało ku źródłom nowych kierunków duchowych: odwracają się wreszcie i ci także, którzy przez wysokie urodzenie z góry czując się przeznaczonymi do wyższych zawo-

[1]) *Sokołowski*: „Karta z dziejów wychow. l. c. str. 121—126.

dów, do kierowania polityką Rzeczypospolitej, do zajęć dyplomatycznych, widzieli pożytek i potrzebę wczesnego wżycia się w świat obcy, wejścia w bezpośredni kontakt z cudzemi społeczeństwami i wybitnemi jednostkami, zapoznania się ze stosunkami i językami postronnych krajów. To oswojenie się z obczyzną stawało się prawie koniecznością dla tych ostatnich, dzieci magnatów polskich, mających widoki na stanowiska u dworu, od czasu, kiedy tron polski osierociał po Jagiellonach i stał się elekcyjnym, kiedy więc na nim częściej zasiadać mogli i mieli cudzoziemcy i cudzoziemki. Po Walezym Francuzie przyszedł Batory Siedmiogrodzianin; przy Zygmuncie III, który sam chętniej mówił po niemiecku, niż po polsku, królowały jako żony same Niemki z rodziny habsburskiej, a pierwsza żona Władysława IV także z austryackiego pochodziła domu. Anna, pierwsza małżonka Zygmunta III, przebywała w Polsce lat ośm (1591—1598); Konstancya, druga żona tegoż króla, lat 25 z okładem (1605—1631); Cecylia Renata przeżyła przy Władysławie znowuż lat siedm (1637—1644): razem więc na półwiecze przez lat blisko czterdzieści niemczyzna przeważała, a więc i popłacać musiała na dworze polskim, jak po roku 1645 z Maryą Ludwiką zawitała i rozgościła się francuszczyzna, aby panować trwale po sam prawie koniec XVII wieku.

Na jednych więc siła przekonań religijnych, na drugich żądza głębszej wiedzy, na trzecich popędy ambicyi, na innych ten właściwy bujniejszym naturom polskim pociąg do włóczęgi po szerokim świecie, upodobanie w odmianie, predylekcya dla wszystkiego, co nieswojskie, mania wielojęzyczności, a na niektórych poprostu utarty zwyczaj, moda, — słowem, szereg różnorodnych czynników działał na większość młodzieży polskiej zgodnie w ten sposób, że omijając coraz częściej akademię krakowską, coraz liczniej zapełniać poczęła wyższe szkoły zagraniczne. Gdy w roku 1500 ogół słuchaczów akademii krakowskiej dawał pokaźną cyfrę 508,

a w roku 1517 jeszcze 476, to w drugiej połowie XVI wieku liczba ta przeważnie nie dosięga cyfry dwustu, a przekracza ją tylko wyjątkowo (jak w latach 1560, 1573, 1581); zdarzają się natomiast kilkakroć lata, w których nie dopełnia półtorej setki i raz spada nawet do stu (1564 r.), raz do 93 (w roku 1552). Przed końcem wieku liczba ta podnosi się, co prawda, znowu aż do 300; ale na tej wysokości bynajmniej nie pozostaje [1]). Ogółem biorąc, widoczna, że akademia krakowska w XVII wieku zwolna podupada; a jakkolwiek dziejów jej z XVII wieku opracowanych nie mamy i dalszych dat frekwencyi dotąd nie ogłoszono, to, co o niej z późniejszych czasów wiemy, nie świadczy za tem, żeby za czasów Wazów z tej drogi pochyłej zeszła i ze stanu upadku podźwignąć się usiłowała.

W miarę, jak w Krakowie akademików krakowskich ubywa, przybywa ich coraz więcej na uniwersytetach niemieckich i włoskich. Bo to była zwykła wówczas kolej studyów zagranicznych naszej młodzieży, zwłaszcza majętniejszej, że udawała się albo wprost na jednę z akademii Włoch północnych, albo też przedtem zatrzymywała się jakiś czas na którymś z uniwersytetów w Niemczech, o wiele rzadziej w Szwajcaryi lub we Francyi. Do Francyi, Belgii, Holandyi, Anglii i Hiszpanii zaglądano wprawdzie także, lecz rzadko dla nauki, a najczęściej jedynie dla zwiedzenia tych krajów. Odpływ ku Niemcom zwiększa się zwłaszcza pod koniec XVI wieku i w pierwszej połowie XVII; odpływ do Włoch trwa jednak równorzędnie i zmniejsza się dopiero w drugiej połowie XVII stulecia. Między niemieckimi najwięcej były uczęszczane przez Polaków uniwersytety w Wittenberdze, Lipsku i Frankfurcie nad Odrą; mniej, ale także prawie stale, Heidelberga, najmniej (względnie) Kolonia i Ingolsztadt. Między szwajcarskimi o jednej Bazylei wiemy, że kształciło się w niej w XVI wieku dużo Polaków. Jakaś liczba przy

[1] *Morawski*: „Wskazówki", strona 71.

pada niezawodnie także na akademie w Pradze, Lowanium i Paryżu; ale będzie ona z pewnością niestosunkowo drobną w porównaniu z tłumnym zastępem tych, co wędrowali do Włoch, przedewszystkiem do Padwy i Bolonii [1]).

Do Wittenbergii napływa najwięcej Polaków w okresie ożywionego krzewienia się reformacyi na naszym gruncie — między latami 1534 a 1543. W tym czasie bawi tam liczniejsza gromada polskich scholarów, niż w Lipsku [2]). Na Lipsk przychodzi kolej w drugiej połowie XVI wieku: cyfra uczniów Polaków, wpisanych do tamtejszego uniwersytetu dochodzi *maximum* (40) w roku 1563, ale od roku 1570 stopniowo maleje (posiadamy jednak daty tylko z XVI wieku). Ogólna suma Polaków, w Lipsku immatrykulowanych, wynosi w XV wieku 108, w XVI 580, czyli razem w dwóch wiekach 688 [3]). Metryka uniwersytetu w Frankfurcie nad Odrą roi się współcześnie także od nazwisk polskich (po koniec XVI wieku [4]). Dosyć znaczną była również frekwencya uczniów polskich w Bazylei, gdyż w czasie od roku 1551 do 1599 kształciło się ich w akademii tego miasta ogółem 145 [5]). Najniższą cyfrę (ze znanych) wykazuje metryka uniwersytetu kolońskiego, gdyż z dwóch wieków z okładem (1388 do 1600) tylko siedmiu [6]).

O wiele mniej, niestety, posiadamy dat z XVII wieku. Na podstawie nielicznych danych, które mamy pod ręką, stwierdzić można w każdym razie, że ruch ku uniwersytetom

[1]) *Morawski*, tamże strona 75—79. *Sokołowki*, „Karta z dziejów wychowania", strona 126—130.

[2]) *Morawski*, tamże strona 76—77.

[3]) *Tomkowicz Stanisław*, „Metrica nec non liber nat. Polonor. univers. Lips. 1409—1600. („Archiw. do dziejów literatury i oświaty" tom II, str. 409—420. Porównaj zwłaszcza przedmowę wydawcy).

[4]) *Friedländer*, „Matrikeln der Univers. Frankfurt an d. Oder" (Publicat. aus den preussischen Staatsarchiven, Leipzig, 1887).

[5]) *Kallenbach*, „Polacy w Bazylei w XVI wieku". („Archiwum do dziejów oświaty", tom VI, strona 1—9).

[6]) Tamże, strona 333—339.

niemieckim nie ustaje, lecz zwraca się ku innym centrom nauki; podczas gdy w odwiedzanym pierwej bardzo licznie Frankfurcie nad Odrą nie uczy się przez całą pierwszą połowę XVII wieku więcej niż 30 Polaków [1]), to natomiast w ośmdziesięciu kilku latach, między latami 1600 a 1685, wykształciło się w Heidelberdze polskich scholarów około półtora setki [2]), a w katolickiej Kolonii także pojawiać się zaczynają przybysze z Polski częściej, niż w ciągu poprzednich dwóch wieków [3]). Nie posiadając dat szczegółowych, możemy zaznaczyć nadto przynajmniej ogólnie, że w tym samym czasie młodzież polska zaczyna zaglądać chętniej do omijanych dawniej Gracu, Ingolsztadu i Lowanium [4]).

Zarówno jednak w XVI, jak i w XVII wieku, największą siłę atrakcyjną mają wobec żywiołu polskiego uniwersytety włoskie: Bolonia i przedewszystkiem Padwa. Przez przeciąg półtrzecia niespełna wieku (1500—1741) przepłynęło przez Padwę wedle obliczenia dra Windakiewicza scholarów polskich co najmniej cztery tysiące, z których około 1800 w XVI wieku, a w latach od roku 1592—1741 dokładnie 2.260. Najliczniejszą była frekwencya w pierwszej połowie XVII wieku, bo na czas od roku 1592—1641 przypada immatrykulowanych w Padwie Polaków aż 1.360, podczas gdy w następnem pięćdziesięcioleciu (1642—1691) spada ta liczba do 700, w trzecim (od roku 1692—1741) do 200 [5]). O Bolonii wiemy, że i tam istniała osobna nacya polska: dat

---

[1]) *Friedländer*, l. cit. (przejrzawszy dokładnie wykazy z lat 1600—1650, nie znalazłem więcej jak 30 nazwisk z dodatk.: Polonus).

[2]) *Karłowicz Jan*, „Polacy na wszechnicy heidelberskiej w wiekach XV do XVII". Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, tom XV, strona 313—328.

[3]) *Kallenbach*, „Polacy w Kolonii" (l. cit.).

[4]) Jak wnosić można z biografii znamienitych Polaków, żyjących w pierwszej połowie XVII wieku.

[5]) *Windakiewicz*, „Padwa" Przegląd polski, 1891 r., tom III, str. 265. Tegoż, „Nacya polska w Padwie" tamże rok 1887 tom III, strona 166—167.

szczegółowych o frekwencyi Polaków w akademii bolońskiej nie posiadamy, bo akta odnośne zginęły w pożarze.

Rozgląd w znanych i ogłoszonych drukiem metrykach i księgach nacyi tych obcych uniwersytetów okazuje, że najliczniejszego kontyngensu polskich słuchaczy dostarczała tym instytacyom — z łatwo zrozumiałych powodów — młodzież majętniejsza, pochodząca z wyższych sfer szlacheckich, przedewszystkiem dzieci magnatów i senatorów. Tak w metryce lipskiej, jak i padewskiej (dwóch metryk, z których mamy najdokładniejsze wyciągi), spotykamy się z nazwiskami prawie wszystkich zamożniejszych i świetniejszych rodów polskich. W Lipsku kształcą się Radziwiłłowie, Sapiehowie, Firleje, Fredrowie, Tarnowscy, Zebrzydowscy, Opalińscy, Myszkowscy, Lanckorońscy, Koniecpolscy, — w Padwie w pierwszej połowie XVII wieku Leszczyńscy (najliczniej), Ossolińscy, Ostrogscy, Sobiescy, Pacowie, Tarłowie, Potoccy i także Firleje, Opalińscy i Sapiehowie — i t. d. Przeglądając biografie znamienitszych ludzi Polski XVI i XVII wieku znajdzie się prawie zawsze wiadomość, że każdy z nich kształcił się za granicą lub przynajmniej dla dopełnienia wykształcenia podróż po obcych krajach musiał odbyć. Dość przerzucić zbiór biografij Radziwiłłów pióra Kotłubaja, lub Paców pióra Wolffa, aby się o tem przekonać. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka kształci się dwa lata w Strasburgu i potem zwiedza Francyę, a synom swoim przypisuje w *Admonitorium* studya w Dylindze i podróż po Włoszech, Hiszpanii i Francyi [1]); Janusz Radziwiłł, późniejszy podczaszy W. litewski (1579—1621), uczy się także w wyższych akademiach niemieckich i spędza lat kilka na wojażach; Albrecht Stanisław, głośny później kanclerz W. litewski i autor pamiętników, zwiedza Niemcy, Belgię, Holandyę i Włochy; Janusz (w latach 1654—1655 hetman W. litewski) kończy edukacyę w akademii lipskiej, Bogusław, późniejszy koniu-

[1]) *Sokołowski* A. „Karta z dziejów wychow.“, str. 230—232.

szy W. litewski, objeżdża całą prawie Europę i t. d. [1]. Tak samo rzecz się miała z innemi znakomitościami XVII wieku. Jan Zamojski, wielki kanclerz, już od 13. roku życia uczył się we Francyi, a dalsze wykształcenie wziął z Padwy: jego syn, Tomasz, odbywał studya w Paryżu [2]; Jakób Sobieski sześć lat młodości strawił za granicą; jego synowie, Marek i Jan, poznali gruntownie pół Europy, a w Paryżu i Holandyi pobierali jakiś czas nauki [3]; Jerzy Ossoliński czerpał wiedzę w różnych stronach: naprzód w Gracu, potem w Lowanium, Paryżu i we Włoszech [4]; Krzysztof Opaliński, zwiedziwszy Włochy i Niemcy, przepędził dłuższy czas na studyach także w Lowanium i t. d. [5]. Możnaby ten wykaz jeszcze bardzo znacznie przedłużyć, gdyby chodziło o przegląd wyczerpujący.

Ale już i to, co zestawiono powyżej, wystarczy, jak sądzę, do poparcia tego ogólnego zdania, którem rozpoczęty został niniejszy rozdział: że w istocie było u nas w XVI i XVII wieku regułą, przynajmniej wśród polskiej arystokracyi, dopełniać wykształcenia przez studya zagraniczne lub podróż po obcych krajach.

Czego się ta młodzież lepszych domów, która potrzebowała wykształcenia nie dla chleba, lecz dla ułatwienia sobie karyery politycznej, uczyła w kraju, a czego szukała za granicą, to można wyrozumieć poniekąd z tych nielicznych, ale uzupełniających się dobrze nawzajem instrukcyj, wydawanych przez rodziców dzieciom, wysyłanym z domu na na-

[1] *Kotłubaj*, „Galerya portretów Radziwiłł.“, strona 154, 155 do 156, 163—165, 265—266 i t. d.

[2] *Sokołowski August*, „Karta z dziejów wychowawnia“, strona 128—129 i 196.

[3] *Sobieski Jakób*, „Dwie podróże“, (wydanie Raczyńskiego). Nadto: *Kluczycki*, „Pisma do w. i spr. Sobieskiego“, tom I, strona 38 do 133.

[4] *Kubala*, „Jerzy Ossoliński“, tom I, strona 8—12.

[5] *Szajnocha*, „Krzysztof Opaliński“ (Dzieła III), str. 70—71.

uke, które się zachowały po dzień dzisiejszy i których część została wydana drukiem [1]).

Szczególny nacisk kładą te instrukcye prawie wszystkie na potrzebę poznawania obcych języków. Łacina natu-

[1]) Tu muszę zaznaczyć z naciskiem, że w poniższym ustępie nie dochodzę, czego w ogóle i najwięcej uczyła się cała większość młodzieży polskiej, bawiącej za granicą, lecz badam tylko kierunek i zakres edukacyi tej części młodzieży, która należała do najwyższych sfer społecznych w Polsce XVII wieku: t. j. dzieci magnatów, z urodzenia rówieśników Jerzego Lubomirskiego.

I co do tej kwestyi trudno na razie posuwać się do jakichś szerszych, stanowczo wypowiedzianych uogólnień: rozporządzam bowiem materyałem niezupełnym, całkiem dorywczym i dosyć jednostronnym.

Szereg ważnych szczegółów zebrał już profesor A. Sokołowski w przytoczonym wyżej artykule (porównaj strona 195—196, 229—233). Co do mnie, posługuję się głównie kilkoma instrukcyami z rodzaju określonego w tekscie, które wyliczam dokładnie w porządku chronologicznym (aby w dalszych cytatach móc się ograniczyć na skróceniach):

a) Admonitoryum Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (Sierotki). Pisano w Nieświeżu, dnia 14. lipca 1603 r. (Script. rer. Polonic. t. VIII, strona 58—59).

b) Instrukcya, wydana przez opiekunów Tomasza Zamoyskiego dla Szymonowicza i całego dworu małoletniego. W Turobinie, dnia 11. Maii 1607. (Pamiętnik Akademii Umiejętności, tom II, strona 205 do 207).

c) Instrukcya Jerzemu Ossolińskiemu dana od ojca jego w Zgórsku na wyjezdnem do Lowanium, dnia 14. Maii a. D. 1613. (Jerzy Ossoliński Autobiografia. Lwów, 1876, strona 20—23).

d) Instrukcya Jakóba Sobieskiego... dana P. Orzechowskiemu do Krakowa z r. 1640 (*Kluczycki.* Pisma do w. i spr. Sobieskiego, tom I, strona 19—23).

e) Instrukcya (Jakóba Sobieskiego) synom moim do Paryża z roku 1645 (*Kluczycki.* Pisma do w. i spr. Sobiesk., t. I, str. 29—37).

f) *Andreae Maxim. Fredro:* „Methodus lectionum Georgio Boguslao et Joanni Petro Paulo filiis suis instruendis praescripta“ („Scriptorum seu togae et belli notationum fragmenta“. Dantisci, 1660, strona 192—213).

Poza temi instrukcyami, jako materyał najcenniejszy i najrzadszy przydały mi się wielce trzy zbiorki listów ojcowskich, pisanych do dzieci, kształcących się za granicą:

ralnie idzie zawsze przed innymi: ale po łacinie koniecznie jeden albo i więcej nowożytnych. „Peregrynacyi między innymi owocami ten jest pierwszorzędny“ — uprzedza synów Jakób Sobieski [1]) — „uczenie się języków cudzoziemskich. To ozdoba każdego szlachcica polskiego i pochwała między przedniemi ozdobami i pochwałami: umieć języki. A nietylko każdego szlachcica polskiego, ale każdego człowieka oddanego polityce: przyda się i na dworze pańskim, przyda i w Rzeczypospolitej na różne legacye, na różne pańskie i Rzeczypospolitej usługi: — a choćby nie było nic więcej jeno to: między cudzoziemcami, których pełna Polska, siedzieć a nie być niemym, nie trącać drugiego, pytając się ustawicznie: Mości Panie, co to ten człowiek mówi? Umieć zaś różne cudzoziemskie języki, a każdego dobrze nie umieć, lepiej żadnego nie uczyć się“. Podobne zdanie znajdujemy w całkiem współczesnym liście Aleksandra Ługowskiego, starosty lelowskiego, pisanym do syna, bawiącego za granicą, — zdanie szlachcica polskiego ze sfery podrzędnej, które warto odczytać po słowach tamtego znakomitego senatora: „... Potrzebuję też i tego bardzo po tobie, żebyś

a) Znany z obszernych cytatów i streszczeń zbiór listów Aleksandra Ługowskiego, starosty lelowskiego, do syna Jana i ks. Naruszowicza, dyrektora (*Bobowski*, „Wychowanie panicza polskiego za granicą. 1639—1641“. Biblioteka warszawska 1886 r., tom III, str. 28—48 i 195—212). Ługowski wprawdzie magnatem nie był, ale miał tę ambicyę, aby synowi dać edukacyę wielkopańską, marząc o jego karyerze na dworze królewskim.

b) Listy Jana Karola Chodkiewicza do żony i syna Hieronima z lat 1606—1611 (Biblioteka ordyn. Krasińskich, t. I, str. 31—97).

c) Listy Stanisława Lubomirskiego do synów Aleksandra i Jerzego z lat 1632—1635, nieogłoszone drukiem, z którymi w dalszym ciągu opowiadania poznamy się bliżej.

Zwracam uwagę na fakt, że wszystkie te źródła pochodzą z okresu czasu, ograniczonego datami lat 1600 i 1660, a więc do charakterystyki pojęć edukacyjnych w Polsce XVII wieku bez uchybienia ścisłości historycznej użyte być mogą.

[1]) Instrukcya do Paryża (*Kluczycki*, tom I, strona 32).

mi języka niemieckiego lekce sobie nie ważył, ten albowiem nietylko potrzebny jest do krajów cudzych, ale też i w domu, przy dworze króla pana naszego: żadną miarą bez niego ten obejść się nie może, kto się dworem bawi, a ja też — da Pan Bóg — po zwróceniu się twoim z krajów tamtych będę cię chciał wyprawić do króla JMci. Tam dopiero doznasz, co za pożytek, gdyż ten łaskę królewską ma, co król sam po niemiecku różne sekreta z nim rozmawia" [1]). Naukę języka niemieckiego przedewszystkiem, a nadto włoskiego zaleca także dzieciom swoim Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka [2]); a tylko jeden Andrzej Maksymilian Fredro, zdeklarowany nieprzyjaciel cudzoziemczyzny, ten punkt omija, nie przepisując synom w instrukcyi, wydanej w roku 1690, potrzeby poznania jakiegokolwiek języka prócz łaciny i ćwiczenia się w polszczyźnie [3]).

Drugim przedmiotem, najbardziej zalecanym przez ojców dzieciom, jest ćwiczenie się w stylu i w wymowie. „Jako najczęściej *stilum exercere* ma *scribendo* i *perorando*" Jerzy Ossoliński wedle nakazu, otrzymanego od ojca Zbigniewa na wyjezdnem do Lowanium [4]); *„stilus* codzienny *oratorius"* ma być „jako cynosura zabaw i nauk" obydwu Sobieskich wedle instrukcyi wojewody Jakóba, który w temże piśmie dodaje, że „dyalektyki życzy, aby tylko tak słuchali, aby im do retoryki pomocną była" [5]); — a i Ługowski, starosta lelowski, wyraża w listach do dyrektora domowego, księdza Naruszowicza, życzenie, aby syn jego przedewszystkiem zajmował się „humaniorami i retoryką" i „żeby się zaś Jaś podczas egzercytował w przemowach polskich krótkich, jak to na pogrzebie dziękować, *pro et contra* na weselu i na innych zjazdach, jako zwyczaj u nas jest, a to dlatego, żeby zawczasu mógł się na obfitość słów i na obszerność

[1]) *Bobowski*, strona 32—33. [2]) „Admonitoryum", str. 58—59.

[3]) „Methodus lectionum", strona 209—210.

[4]) Instrukcya do Lowanium, strona 21.

[5]) „Instrukcya do Krakowa", strona 19—20.

przemów zdobywać" [1]. *Oratorium studium* mieści się też w rzędzie nauk, zaleconych przez Andrzeja Maksymiliana Fredrę [2].

Dla nabycia wprawy w wymowie, oczywiście głównie łacińskiej, i rozszerzenia wiedzy uznają też wszyscy prawie jednozgodnie za najbardziej przydatną lekturę dzieł historycznych. Ten nacisk, położony na studyum historyi, jest tak silnie i często zaznaczany, że trzeba rozumieć, iż do tej nauki przywiązywano szczególną wagę. *Historicos elegantes* ma czytywać stale Jerzy Ossoliński [3]; Sobieski wskazuje autorów, których dzieła chciałby widzieć w rękach swoich synów, jako to: Tacyta, Sallustyusza, Liwiusza i Suetoniusza [4], a u Fredry pierwszy oddział przepisanych dzieciom nauk stanowi *Historia geographica*, przez którą rozumie nietylko geografię historyczną, ale i samą historyę, zalecając do czytania Historyę Justyna, Ennaeusa Florusa, dzieła Curtiusa, Juliusza Cezara, Sallustyusza, Liwiusza, Polybiusa, Filipa Comines, Famiana Strady *De bello Belgico;* z polskich Długosza, Kromera, Orzechowskiego i wreszcie swoje dzieło *De gestis Polonorum sub Henrico Valesio* [5].

Dalsze miejsce zajmuje fizyka, etyka i prawo [6]. Edukacya kończy się zazwyczaj na studyowaniu nauk militar-

[1] *Bobowski,* strona 32—33.

[2] „Methodus lectionum", strona 109—110.

[3] „Instrukcya do Lowanium", strona 21.

[4] „Instrukcya do Paryża", strona 32—34.

[5] „Methodus lectionum", str. 192—194. Porównaj także w korespondencyi Chodkiewicza list do syna Hieronima z dnia 9. lipca 1612 („Historyków nie zaniechaj czytać, a nie wadziłoby Kromera").

[6] „Instrukcya dla Ossolińskiego", str. 21. „Instrukcya Sobieskiego do Krakowa", strona 19—20. („Potrzebną im potym będzie i iurisprudentia, potrzebna i mathesis, ale o tym szersza się instrukcya da za ich laty i za ich progressem tegorocznym w naukach"...). — *Bobowski*, str. 33: Młody Lugowski ma się dopiero „przez drugi rok" uczyć fizyki i prawa we Włoszech. U Fredry („Methodus lectionum", strona 210—213) wymienione „Ethices studium" i „Philosophicum studium" na końcu, jako kres nauk.

nych: „fortyfikacyi“ i „delineacyi fortec“ (jak je określa nasz Stanisław Lubomirski i Sobieski — Fredro wyjątkowo kładzie naukę „architektury wojskowej“ przed nauką wymowy, etyki i filozofii), jako też szermierki i „kawalkaty“ czyli jazdy konnej. Zalecone są też w niektórych instrukcyach wszelkie inne ćwiczenia ciała, a jako dodatek zbytkowny dozwalana gra na jednym i tym samym zawsze instrumencie, mianowicie na lutni [1]).

Jeżeli wolno na podstawie tak nielicznych danych o edukacyi zamożniejszej młodzieży polskiej w XVII wieku posunąć się do jakiegoś sądu, to sąd ten nie wypadnie na korzyść systemu wychowawczego, przedstawionego powyżej w zarysie.

Jest rzeczą niezawodną, że uzupełnianie wykształcenia, nabytego w kraju, przez studya zagraniczne, miało zawsze swoje ważne strony dodatnie, wprowadzając przyszłych obywateli i rządców Rzeczypospolitej w kontakt z oświatą i w ogóle z całym postępem cywilizacyjnym Zachodu, umożliwiając rozgląd w stosunkach politycznych, obyczajowych i t. d. krajów postronnych i ułatwiając naukę języków: ale czy ta młodzież, która szła po naukę za granicę, była dostatecznie dojrzałą i przysposobioną do tego, aby te wszystkie korzyści z pobytu na cudzych ziemiach wyciągnąć? Wysyłało się z Polski młodych ludzi zazwyczaj w latach bardzo wczesnych: nierzadko już w 13-tym roku życia, a z reguły między 14-tym a 18-tym. Jan Zamojski jako 13-letni chłopak jedzie do Francyi; w tychże latach uczy się już w Gracu Ossoliński; Krzysztof Radziwiłł Sierotka zaleca w swem *Admonitoryum*, aby dzieci jego, gdy dojdą do lat 12, oddano na naukę do Dylingi; Sobieski Jan ma lat $16\frac{1}{2}$, Jerzy Lu-

[1]) „Instrukcya dla Ossolińskiego“, l. s. cit. *Kluczycki*, tom I, strona 34—37 („Instrukcya Sobieskiego do Paryża“) i str. 62 i 122, ustępy z Dyaryusza *Gawareckiego*, „Droga do Paryża“. *Bobowski*, strona 33 (Program nauk Lugowskiego). Nadto ustępy z przytoczonego poniżej (rozdział IV) listów St. Lubomirskiego.

bomirski niespełna 16, gdy wyjeżdżają za granicę; Krzysztof Opaliński, w roku 1631 mało co więcej nad lat 20 licząc, wraca już do kraju po kilkoletnim pobycie na obczyźnie. I tak samo miała się rzecz z wielu innymi. Jeżeli nauka języków, udzielana właśnie w tak młodym wieku, wydaje zazwyczaj rezultaty bardzo pomyślne, to natomiast wątpić trzeba, aby młodzież między 13-tym a 18-tym rokiem życia mogła słuchać z pożytkiem trudnych i ścisłych wykładów, wygłaszanych z katedr w obcych językach (choćby nawet w łacińskim), których dopiero się uczyła; wątpić też trzeba, aby mogła przedsiębrać głębsze, samodzielne studya nad cudzoziemskimi stosunkami, urządzeniami społecznemi i t. d., skoro do ich zrozumienia i oceniania nie była należycie przygotowana. Niekorzystnem, sądząc ze stanowiska pedagogicznego, wydaje nam się i to za wczesne usuwanie nieletnich dzieci z pod bezpośredniego wpływu rodziców, a oddawanie ich pod opiekę i kierunek „dyrektorów", w których interesie leżało zapewne częściej pobłażanie i folgowanie samowoli wychowańców (jako przyszłych dziedziców i łaskawców), aniżeli surowość i ścisłość w spełnianiu przyjętych na siebie obowiązków, a kontrola postępowania jednych i drugich była wówczas przy powolności komunikacyi o wiele bardziej, niż obecnie, utrudnioną. Szkodliwość takich warunków wykształcenia musiała się odbić na późniejszej publicznej tej młodzieży działalności: spędziwszy najlepsze lata na obcym gruncie, wyczerpawszy świeże siły na studyowaniu cudzych języków i spraw cudzoziemskich, wracało się do domu i przystępowało często odrazu do praktycznych zajęć, do służby obywatelskiej — bez znajomości stosunków i potrzeb krajowych, bez zasobu wiadomości, niezbędnych każdemu, kto szczerze pragnął być Rzeczypospolitej pożytecznym. Cały wreszcie skład nauk, o których nabycie przedewszystkiem się starano, nie zalecał się szczęśliwym doborem. Ten silny nacisk, kładziony na naukę języków i na ćwiczenie się w obfitej wymowie, w pisaniu ogładzonym sty

lem, szczególnie po łacinie i wedle modły pisarzy starożytnych, więc w sposób do wzorów starożytnych naciągnięty, naśladowniczy, — sprawiał, że trawiono najwięcej czasu na nauce wyłącznie pamięciowej, na wyrabianiu formy, na poszukiwaniu poloru zewnętrznego, a za mało uwagi wytężano i starania łożono na wzbogacenie wiedzy realnemi wiadomościami [1]. Wszystkie zresztą nauki, jakie nabywano za granicą, miały tę fatalną stronę ujemną, że nie były oparte o grunt swojski i najmniej o rzeczach swojskich informowały. Najwięcej względnie pożytku zdolne były przynieść studya nauk militarnych, między innemi tej tak zwanej „fortyfikacyi“ i „delineacyi fortec“; bo gdy ustrój rządów i potrzeby społeczne ówczesnej Rzeczypospolitej były poniekąd odrębne, to natomiast znaczna część naszej wojskowości, zwłaszcza piechota i artylerya, kształtowała się niewolniczo wedle wzorów zagranicznych: w tym więc zakresie rezultaty zmian i postępów, spostrzeżonych na zachodzie, najłatwiej dawały się przenieść na grunt ojczysty i w tym też zakresie jak najszybsze wyrównanie różnic między stanem rzeczy u nas a na zachodzie mogło Rzeczypospolitej wyjść jedynie na korzyść.

Jakiekolwiek były drogi, które doprowadziły do takiego właśnie systemu edukacyjnego, i jakiekolwiek przyczyny złożyły się na utarcie takiej właśnie, z wielu względów ułomnej rutyny wychowawczej, nie godzi się w żadnym razie wad tego systemu i tej rutyny kłaść na karb braku tkliwych uczuć przywiązania do dzieci w rodzicach, ani braku troskliwości o najlepsze rozwinięcie umysłowe tych dzieci, ani wreszcie braku wysokiego wyobrażenia o potrzebie i doniosłości jak najstaranniejszego wychowania i wykształcenia. Te bowiem utrwalone wyrazy poglądów ludzi sfer wyższych na sposób i kierunek edukacyi młodzieży, jakie się przechowały

[1]) Porównaj trafne uwagi w końcowym ustępie artykułu A. Sokołowskiego, strona 132—133.

w instrukcyach ojców, wydawanych na piśmie nauczycielom, jakoteż w listach, pisanych do tych wychowawców i samych dzieci, są zarazem świadectwami, że właśnie te cnoty miłości i troskliwości rodzicielskiej, zakorzenione od wieków, krzewiły się w domach polskich jeszcze bujnie i gęsto w XVII wieku. Z wszystkich tych artykułów przykazań ojcowskich i korespondencyj między rodzicami a dziećmi, jakie mamy pod ręką, tchnie tyle ciepła, tyle rzetelnej troskliwości o dobro potomstwa, i jest w nich zarazem tyle surowej powagi i głębokiego przeświadczenia o ważności zadania, któremu mają służyć, — słowem, tyle serca i tyle dobrej woli, że nie wahamy się nazwać tych nielicznych zabytków najpiękniejszymi i najbardziej ujmującymi pomnikami lepszych stron życia społecznego w Polsce okresu Wazów.

IV.

Jerzy kończył 16-ty rok, Aleksander Michał, brat jego, co najmniej 17-ty życia, gdy ojciec, Stanisław Lubomirski, pomyślał o wyprawieniu obydwu, po zwyczaju, dla dopełnienia edukacyi za granicę. Chodziło o to całe tak zwane wykształcenie wyższe, o studya akademickie, bo nie mamy żadnej danej na dowód, aby przed rokiem 1631 którykolwiek z synów wojewody uczęszczał do jakiego publicznego zakładu, a zwłaszcza, aby był wpisany w poczet uczniów akademii krakowskiej. Wiemy od jednego z profesorów, Temberskiego, że wojewoda w ostatnich latach życia zajmował stanowisko względem wszechnicy Jagiellońskiej wprost nienieprzyjazne [1]; być może, że początki tej niechęci sięgały w dawniejsze czasy, i stąd poszło, że gdy wypadło wysyłać dorastających chłopców w świat po wyższą wiedzę, zwierzchnia szkoła krajowa została pominiętą, a uwaga ojca zwró-

[1] „Annales“ w wydaniu Akademii Umiejętności w Krakowie, porównaj cały rocznik 1647.

ciła się odrazu ku jednemu z uniwersytetów zagranicznych. Jak pod tym względem, tak i co do kierunku i porządku wewnętrznego, dalsza edukacya wojewodziców miała pójść utartym od wieku torem. Więc, jak zwykle, naprzód Niemcy, potem Włochy; i, jak zwykle, po to głównie, aby wyuczyć się języków, ćwiczyć dalej w wymowie i gładkim stylu, a wreszcie lepiej zgruntować *„militaria omnia negotia“*: przedewszystkiem systemy budowania fortec, obsługę dział i całą w ogóle „puszkarską sztukę“.

Jeżeli chodziło naprzód o naukę w Niemczech, to wybór miejsca nie był w owej dobie, w jesieni 1631 roku, bynajmniej łatwym. Lubomirski, prawowierny katolik, chciał widzieć synów w otoczeniu współwyznawców; dobry ojciec, musiał dbać o to także, aby dzieciom, pozbawionym jego bezpośredniej opieki, znaleść pomieszczenie, najbardziej, ile możności, spokojne i bezpieczne. A tymczasem właśnie wówczas środkowa Europa była zawichrzona wielką wojną. Od roku z okładem gospodarował na ziemi niemieckiej Gustaw Adolf: zająwszy Pomorze, zniewoliwszy sobie przemocą elektora brandeburskiego, we wrześniu 1631 roku wskutek zwycięstwa pod Lipskiem (względnie Breitenfeldem) stał się nadto panem całej Saksonii. Ale głównych przeciwników miał na południowym wschodzie, w Bawaryi i w krajach austryackich; a z tymi jeszcze się nie rozprawił. Tam musiał zwrócić się przedewszystkiem, jeśli chciał cele swej wyprawy osiągnąć. Jakby pragnąc odosobnić i osaczyć zewsząd tych nieprzyjaciół, nie poszedł wprost na nich po zgnieceniu Saksonii, lecz obrócił się naprzód ku zachodowi: pod jesień wkroczył do Turyngii, stąd w październiku do Frankonii. Dnia 17. tego miesiąca miał już Würzburg w swoim ręku i stąd posuwał się w listopadzie dalej ku Renowi, po linii Menu. Ciągle zwycięski, zatrzymał się nieco dłużej pod Frankfurtem, który mu miał ulec w pierwszych dniach grudnia; a po Frankfurcie przyszła takaż kolej na Moguncyę, Spirę, Wormacyę i Weimar.

Lecz chociaż Turyngia i Frankonia były w jesieni i początkach zimy 1631 roku główną widownią walki, przewidywano ciągle, że lada chwila przeniesie się ona na wschód, w dorzecze Dunaju. Gdy więc północno-wschodnią część Niemiec trzymali Szwedzi, w południowo-zachodniej gościła wojna, a południowo-wschodnia część czuła się najbardziej, właśnie wówczas, takimże samym losem zagrożoną, — to względny pokój mieszkał, po koniec 1631 roku, tylko w północno-zachodnich krajach Rzeszy, szeroko po obu stronach środkowego i dolnego Renu ponad linią Moguncyi.

Lubomirski, który prawdopodobnie nie wcześniej, jak w październiku, a z pewnością nie później, jak w listopadzie lub w początkach grudnia miał wyprawiać synów z domu, musiał się oczywiście liczyć z temi wyjątkowemi okolicznościami: i one to głównie zniewoliły wojewodę niewątpliwie do wyboru tak odległego miasta, jak Kolonia, na cel pierwszej podróży i grunt pierwszych studyów dla Aleksandra i Jerzego.

Kolonia należała, jak wiadomo, do związku wolnych miast hanzeatyckich, ale była zarazem siedzibą arcybiskupa-elektora. Ten charakter duchowny wysokiego dostojnika, rezydującego w mieście, odbił się na niem samem odpowiedniem piętnem: Kolończycy słynęli z przywiązania do Kościoła katolickiego i na tem prawowiernem stanowisku przetrwali niewzruszenie całą burzę reformacyi. Rada miejska, wrogo usposobiona dla protestantów, broniła im jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku dostępu do miasta; a chociaż później ujrzała się zniewoloną do zniesienia tego zakazu, przecież po same czasy wielkiej rewolucyi francuskiej nie umiała zdobyć się na przyznanie akatolikom równouprawnienia z katolikami. Tym samym duchem był przeniknięty uniwersytet koloński, istniejący od roku 1388. Prądy reformacyjne nie wniknęły weń, lecz przepłynęły mimo: pozostał on, jak był przedtem, (że użyjemy słów prof. Kallenbacha) „stróżem, nauczycielem i obrońcą starego obyczaju i po-

rządku, starej wiary i tradycyjnej umiejętności". Wytrwał przy dawnych zasadach — ale i przy starej dyscyplinie; to też, gdy inne szkoły wyższe pod świeżem tchnieniem humanizmu przeradzały się i odnawiały w sobie, ten zwolna podupadał, ubożejąc i w siły naukowe i w środki materyalne; wierny przestarzałej rutynie szkolnej, nie podniósł się też nigdy do dawnej świetności [1]).

Polacy omijali szkołę kolońską, odległą, a tem mniej pociągającą, że nie było w niej podziału na nacye, gdy gdzieindziej, zwłaszcza przy dwóch wielkich uniwersytetach włoskich, osobne polskie istniały i należały do pierwszorzędnych. Księgi matrykuł kolońskich z lat 1388—1628, a więc z półtrzecia wieku niespełna, przejrzane przez prof. Kallenbacha, nie wykazują więcej jak siedmnaście nazwisk polskich: z tych siedm przypada na cały okres dwuwiekowy po koniec XVI, dziesięć na 28 pierwszych lat XVII wieku. Dowodzi to, że frekwencya Polaków, choć w ogóle bardzo słaba, w XVII wieku nieco się powiększyła, a powiększyła się niezawodnie dlatego, że katolicyzm za Zygmunta III powracał do dawnej w Polsce przewagi, a więc i młodzież polską wiódł częściej do szkół, duchem katolickim na wskróś przeniknietych. Pomiędzy Polakami, którzy przed Lubomirskimi za czasów pierwszego Wazy uczyli się w Kolonii, spotykamy tylko dwóch o nazwiskach głośniejszych: pod rokiem 1597 Łukasza z Bnina Opalińskiego, późniejszego marszałka W. koronnego; pod rokiem 1612 Łukasza Żółkiewskiego, późniejszego wojewodę bracławskiego [2]). Wiemy skądinąd, że Karol Chodkiewicz, gdy szukał dla syna za granicą miejsca na studya odpowiedniego (1611 roku), miał zrazu na oku Kolonię, bo, jak pisał, „katolickie miasto i nauka jest"; ale w wyciągu z matrykuł kolońskich nazwiska tego nie

---

[1]) *Kallenbach*, „Polacy w Kolonii" (Archiw. do dziejów oświaty i literatury, t. VI, porówn. zwł. przedmowę wydawcy, str. 333—335).

[2]) Tamże, wyciąg z matrykuł kolońskich, na stronie 337.

znajdujemy. Znać, że zamiar pierwotny doznał później odmiany [1]).

Też same względy, które usposabiały przychylnie dla Kolonii Chodkiewicza, przemawiać musiały także do równie religijnego Lubomirskiego. Przemawiała za tem miastem nadto (powtarzamy) i jego czasowa bezpieczniejsza względnie sytuacya poza obrębem widowni wojennej. Kolonia stała wprawdzie we wrogim Szwedom obozie; ale w tym czasie (w r. 1631 i w najbliższych następnych latach) wojną dotkniętą bezpośrednio nie była [2]).

Kiedy Aleksander i Jerzy puścili się w podróż, dokładnie oznaczyć nie umiemy [3]). Nie stało się to zapewne wcześniej,

---

[1]) Biblioteka ordynacyi Krasińskich. I, nr 50: List Karola Chodkiewicza do żony Zofii — Z obozu, dnia 15. Oktobra a. 1611.

[2]) Wiadomość o studyach zagranicznych obu Lubomirskich zawdzięczam, jak o tem już była mowa, cennemu zbiorkowi listów wojewody Stanisława, pisanych do synów w latach 1632—1635. Autografy w liczbie 9 znajdują się w bibliotece willanowskiej. Mnie są one znane ze starannych odpisów, sporządzonych przez Stanisława Przyłęckiego, a przechowywanych w Bibliotece Ossolińskich. Odpisy te zebrane są w osobnym zeszyciku, wchodzącym w skład rękopisu nr. 1856 (strona 37—57) i noszącym napis: „Napominania Stanisława Lubomirskiego, wojewody naonczas ruskiego, dane synom Aleksandrowi i Jerzemu, na naukach w cudzych krajach będącym... z autografów biblioteki willanowskiej wydał Stanisław Przyłęcki. Zbiorek cały jest w istocie przygotowany zupełnie do druku: kopie czyste i opatrzone przypiskami, w których podano przekłady łacińskich wyrazów, wplecionych tu i owdzie w teksty polskich listów. Nie mamy jednak wiadomości, aby do zamierzonego wydania listów kiedykolwiek przyszło. W bibliografii historycznej Finkla niema o nich wzmianki. Będę się przeto w odsyłaczach odwoływać do tekstu rękopisów biblioteki Ossolińskich, przyjmując za Przyłęckim (odmienione tu i owdzie) przekłady nielicznych makaronizmów.

[3]) W czterech pierwszych listach wojewody niema, rzecz dziwna, — prócz jedynej wskazówki na czele najwcześniejszego — żadnej wyraźnej wzmianki ani nawet napomknienia o tem, że dzieci bawią za granicą. Ale ta pierwsza wzmianka w liście z 7 stycznia 1632 wystarcza, aby stwierdzić, że w istocie Lubomirscy wyjechali za granicę i to

jak w październiku, ani później, jak w listopadzie lub w początkach grudnia roku 1631, skoro z 7 stycznia 1632 mamy już pierwszy list ojca Stanisława, pisany (z Łańcuta) do dzieci w odpowiedzi na pierwsze doniesienie o ich przybyciu, do Kolonii [1]). „Cieszę się z tego — zaczyna wojewoda — Panu Bogu dziękując, że was przez te niebezpieczeństwa zdrowo do Kolna i cało zaprowadził. Jegoż świętego Majestatu proszę, aby nad wami opatrzność swoją mając, im dalej, tym więcej was pomnażać raczył w naukach i wszelkiej przystojności ku chwale swej świętej, ojczyzny powinności, żądości i ekspektacyej mojej napełnieniu i wszelkiej pociechy“. A więc musieli młodzi Lubomirscy dopiero niedawno wyjechać z domu i niedawno dojechać do celu podróży, skoro ojciec pisze o drodze, jako co dopiero przebytej. Z tegoż sa-

---

naprzód do Kolonii „Cieszę się z tego — pisze wojewoda — Panu Bogu dziękując, że was przez te niebezpieczeństwa zdrowo do Kolna i cało zaprowadził“. Fakt, że ojciec pisze do dzieci, jako bawiących daleko od domu, że mówi o przebytych niebezpieczeństwach (oczywiście o podróży przez zawichrzone wojną Niemcy) i przybyciu do Kolna, daje pewność, że „Kolno“ to nie oznacza innego miasta, jeno Kolonię. Że tak u nas nazywano w XVII wieku Kolonią, dowód i w liście Karola Chodkiewicza, nr. 50 z dnia 15 października roku 1611. (L. s. cit.), pisanego do żony („...a jeśli się odiszczą pieniądze, tedy zostawić nań pięć tysięcy, aby go (t. j. syna Hieronima) wyprawić jako w marcu z domu... ja miejsca innego nie widzę jeno Kolno, bo i katolickie miasto i nauka jest...“). Nie ulega wątpliwości, że ani L. ani Ch. pisząc przytoczone słowa, nie mieli na myśli jedynego polskiego Kolna, małego miasteczka mazowieckiego, które żadnych szkół wyższych nie posiadało i do którego podróż w pokojowym roku 1631 z żadnem niebespieczeństwem połączoną nie była.

W innych bardzo lakonicznych źródłach niema wprawdzie wyraźnej wzmianki, żeby Lubomirscy byli w Kolonii, ale są niezawodne wskazówki, że kształcili się za granicą. Por. Annales Temberskiego pod r. 1650: „Haec singulariter notandum in isto viro (Stanislao Lubomirski), quod impensas incredibiles ad victum admovebat, etiam tribus filiis magnifice extra Regnum sustentatis...“ Nadto: *Potocki Paweł*, Saecul. bellat. Cracov. 1702, strona 69—70. *Chroniez*, Panegyricus, f. C—C2.

[1]) Rękopis przytoczony, strona 39—40.

mego listu dowiemy się zarazem, że towarzyszył chłopcom jako opiekun i mentor niejaki ksiądz Piotrowicki, i że od tego to księdza, a nie od dzieci, doszła wojewodę pierwsza listowna wiadomość z Kolonii. Lubomirski uczuł się widać tem dotkniętym, że przy piśmie dyrektora nie było żadnego słówka od synów; to też po owym uroczyście serdecznym wstępie jego listu następuje zaraz surowa ojcowska admonicya: „Dziwno mi temu, żeście tak niedbali: gdy do mnie starsi piszą, wy swojej zaniedbywacie powinności. Azaż nie możecie mieć jednej i drugiej wolnej w miesiącu godziny, żebyście mi profekt swój w naukach i smyśle pismem wyrazili? A przynajmniej ten tego pożytek, że stąd polskiego stylu mieć możecie potrzebną bardzo egzercytacyą. Osobliwie tobie starszemu (t. j. Aleksandrowi) to przystoi, abyś się też już do rzeczy miał owym latom należących nie tylko w pisaniu, ale i w inszych naukach: jużci trzeba odzyskiwać czas i tak go szanować, żeby moment jeden, prędszy lotu strzały, nie uciekał próżno. Prędkoście zaprawdę mojej ustnej świeżo do was zapomnieli admonicyej, którą za najdroższy skarb u siebie miecieście powinni. Surowo napominam, abyście się brali chętnie i rześko do nauk, a stale i ustawicznie ich pilnując, do tego celu, jako i wola i napominanie, oczekiwanie moje i skutek ich po was wyciąga, zmierzając, mnie na błogosławieństwo ojcowskie i łaskę, sobie na przyjemny potym użytek zarobili, we wszystkim tymczasem, jako mnie samemu, posłuszni będąc X. Piotrowickiemu".

Jakiego kierunku i rodzaju miały być te tak zalecane nauki, o tem dosyć szczegółową wiadomość poweźmiemy z dalszych listów wojewody; ale wedle treści żadnego z nich nie zdołamy wyjaśnić jednej ważnej kwestyi: czy mianowicie młodzi Lubomirscy byli z całą pewnością wpisani na uniwersytet koloński, czy i na jakie uczęszczali wykłady. Rzecz dziwna, ani w pierwszym ani w dalszych listach niema o tem nawet najmniejszej wzmianki: mowa jest ciągle o po

trzebie i znaczeniu nauki, mowa o przedmiotach, którymi się chłopcy najwięcej winni zajmować, ale nigdzie nie powiedziano, czy ta nauka ma się odbywać w domu, prywatnie, czy też pobieraną być w publicznym zakładzie. A przecież trudno przypuścić, aby Lubomirski wysyłał synów tak daleko, gdyby mu chodziło tylko o ich pobyt w jakiemkolwiek niemieckiem mieście (dla nauki języka); trudno też przypuścić, aby wojewodzice, bawiąc w mieście, posiadającem uniwersytet, nie korzystali z możności kształcenia się w jego murach. Nie znaczy to, aby lekcye prywatne były wyłączone: bo jeśli historyę, naukę wymowy, matematykę, geometryą, o których mowa w listach, wykładano niezawodnie z publicznych katedr, to natomiast nauki „fortyfikacyi i delineacyi fortec“ udzielać musieli jacyś mistrze-praktycy, żołnierze w czynnej służbie lub wysłużeni wojskowi (w uniwersytecie, rzecz prosta, katedry nauk wojskowych nie było).

Jakkolwiek w listach wojewody niema także żadnych wyjaśnień co do miejsca ich przeznaczenia, można przyjąć prawie za pewne, że trzy dalsze z 18 lutego, 16 sierpnia roku 1632 i z 16 stycznia roku 1633, zwrócone do obydwu synów, pisane były jeszcze i wysyłane do Kolonii. Gdyby przed styczniem roku 1633 przyszło do zmiany miejsca pobytu, musiałby przynajmniej ślad jakiś po tem w listach pozostać, jak pozostał ślad w pierwszym o podróży do Kolonii, jak później w piątym z rzędu o wyjeździe Aleksandra do Rzymu. Pewna ciągłość i jednolitość treści, obracającej się zawsze około tematu trwającej widocznie nieprzerwanie nauki, utwierdza nas także w przeświadczeniu, że obaj Lubomirscy przynajmniej rok jeden cały spędzili w Kolonii. „Pisałem do was niedawno, — powtarza wojewoda zaraz pod dniem 18 lutego (z Kolbuszowej), nawiązując oczywiście do treści poprzedniego listu z dnia 7 stycznia [1]) — nie tylko w waszej powinności, że do mnie nie pisujecie często (skąd

[1]) W rękopisie, strona 41.

i ćwiczenie stylu i zmyślność rodzi się materyi), obudzając, ale i do ochoty, rzeźwości i wszelkiego, ile może być z was, usiłowania na pojęcie nauk wszystkich potrzebnych napominając. Toż i teraz z powinności mej ojcowskiej czynię: nietylko jako synów posłusznych łagodnie przychęcam, ale pod łaską i błogosławieństwem moim ojcowskim napominam, abyście tak coraz to bardziej w naukach postępowali i w nich się jedynie kochali, jakoby i moja tak wielka speza nie była daremna, ekspektacya moja i ojczyzny nie próżna, i wy sami czasu marnie utraconego nie żałowali (którego lotu odwołać trudno), raczej z dobrze zażytego za młodu, potym, da Pan Bóg, tryumfowali. Bo o prostaki wszędy nie trudno; mądry będzie panować nad gwiazdami i mąż roztropny posiędzie ziemię, który i Panu Bogu przyjemny i ludziom..."

Po dacie 18 lutego na przeciąg całego półrocza zachodzi w zachowanej korespondencyi Stanisława Lubomirskiego przerwa (może część zbiorku zginęła, ale to niepewne): jeśli coś w istocie zginęło, to niewiele, bo wymiana listów między ojcem a dziećmi nie musiała być zbyt ożywioną, skoro, zabierając się do pisania, dnia 16 sierpnia roku 1632, zaczyna wojewoda znowu od wyrzutu i nagany, że młodzieńcy do pióra ciężcy i rzadko znać o sobie dają. „Dawnoście już do mnie nie pisali: strofować was muszę albo z niedbalstwa albo z lenistwa, bobyście i wy mogli, kiedy starsi piszą do mnie, kilka słów napisać, i swoją powinność i moją godność uważając". Po tych słowach łagodnieje zaraz ton listu: mars schodzi z twarzy i odzywa się kochające serce, ujęte dobremi wiadomościami o dzieciach: „Atoli cieszę się i Panu Bogu dziękuję, słysząc o dobrym zdrowiu waszym, niemniej i z tego (jako mi piszą, jeśli to tak jest), że w naukach im dalej, tym więcej chętnie postępujecie". I w końcu raz jeszcze poważne napomnienia i przykazania na przyszłość: „A iż mało na tym, dobrze począwszy, utkwić w przedsionku nauk albo dosiągszy gałązki bezowocnej wiedzy drzewa, ustać, a nie wspinać się do samego ich owocu, który dopiero

smak wdzięczny uczyni i trwałą rozkosz wspaniałym animuszom waszego urodzenia przyniesie, z mojej ojcowskiej powinności obydwu was, ale osobliwie ciebie starszego przez miłość moję i ojczyzny napominam, abyś wszystkę chęć i wszystkie siły ciała i duszy, już z łaski Bożej mocniej utwierdzone, do nauk obrócił, nagradzając to i pościgając, cośkolwiek kiedy lub to dozorców pobłażaniem lub to niechceniem upuścił, gdyż w teraźniejszym czasie więcej za miesiąc postąpić możesz, niżeli potym za rok, kiedy do tego całą chęć i ochotę przyłożysz, strzegąc się przedewszystkiem próżnowania, które zawsze, ale osobliwie w tym wieku kwitnącym szkodzi przymiotom ciała i duszy. A nakoniec z tym ci się ojcowsko deklaruję, że ja ciebie do wyższych godności dopóty pomykać nie mogę, póki tego, co jest fundamentem wszystkich rzeczy, które da Pan Bóg przed tobą będą, gruntownie nie pojmiesz i nie odprawisz [1])".

Słowa te przestrogi i rady nie przyniosły jednak na razie pożądanego owocu, bo pod koniec tegoż samego roku czy w początkach następnego (1633) miały wojewodę dojść niezbyt miłe i pocieszające wiadomości. Księdzu Piotrowickiemu wypadło się uskarżać, że chłopcy od niejakiego czasu popadają w lenistwo i nauki coraz więcej zaniedbują. Niezadowolenie i smutek, spowodowane tem doniesieniem, podyktowały ojcu wyrazy o tonie bardziej gniewnym i surowym, niż zwykle. List z 16 stycznia roku 1633, pisany z Wiśnicza, (czwarty z rzędu między zachowanymi) jest dłuższy od poprzednich i należy do najpiękniejszych w tym całym zbiorku [2]).

„Jako mi miło słyszeć — zaczyna wojewoda — kiedy chętnie, pilnie i uprzejmie w naukach postępujecie i w nich się kochacie, tak zaś na odwrót niepomału mię smęcicie, kiedy sobie w tych leciech (których już wiecie, co na tym należy) i najmniej pozwalacie, niechętnie nauki traktujecie, i miasto tego, coby starszy młodszemu ochoczością umysłu

[1]) W rękopisie, strona 43—44. [2]) Tamże, strona 45—46.

do nauk przykład dać miał, młodszy starszego starał się dorównać wiedzy, — to obaj w próżnowaniu i gnuśności tępiejecie i nieco sobie pobłażacie?“ I po tym wyrzucie zaraz nagana i gorąca odezwa do ambicyi i do rozumu: „Abo nie wiecie, że to już jednemu minęły, drugiemu mijają dziecinne lata wasze? Już ten wiek, im dalej większy z wolej Bożej idzie, tem więcej pracej dni i lata wasze po was wymagają: już godziny pilnością, miesiące pracą, lata przemyślnością albo dościgać albo, coście upuścili, doganiać potrzeba, chcecieli wysoki osiągnąć stopień mądrości. Już czas uzbroić umysł i przyzwyczaić ciało do przyszłych prac dla ojczyzny, której gnuśni obywatele pożytecznymi być nie mogą! Ganię tedy w każdym z was to, co godne reprehenzyej, i napominam przez miłość moję, ojczyzny i samych siebie, abyście pilnie i ochotnie już też nareszcie do nauk serce przyłożyli i usiłowali dogonić tego, co albo tak częste powłoki albo niedbalstwo wasze z rąk wam wytraciło“. Mając wzgląd na lata starszego Aleksandra, robi dlań ojciec, mimo że także zostającego pod zarzutem lenistwa, pewne ustępstwo na rzecz zajęć więcej fizycznej natury: pozwala mianowicie „ćwiczyć ciało pewnych godzin to jeżdżeniem na koniach, to inszymi przystojnymi ćwiczeniami“. Ale zaraz zastrzega się, że ustępstwo to dotyczy tylko starszego: „a tobie młodszemu — dodaje — niech się jeszcze tego nie chce, ale w nauki włóż duszę i serce jako najbarziej: nie pożałujesz pracej za dni młodości twojej i owego potym dogonisz w przyszłym czasie. kiedy zdolniejszy da Pan Bóg nastąpi, a do nauk później sposobność kusa“. Zbierając raz jeszcze krótko słowa admonicyi, kładzie nacisk na to, aby „przedewszystkiem bojaźń Bożą pilnie przed oczyma“ mieli; a nadto w dopisku poleca szczególnej uwadze Aleksandra naukę „geometryej i delineacyej fortyfikacyj“, żeby „to zaś da Pan Bóg umiał w praktykę przywodzić“.

Na tym liście z 16 stycznia 1633 kończy się ta część korespondencyi wojewody Stanisława, która była zwrócona

do obydwu synów zarazem i przesyłana pod ich adresem prawdopodobnie ciągle do Kolonii. Pozostałych pięć listów tego zbiorku z czasu od września 1633 do listopada 1635 odnosi się wyłącznie do starszego syna, bawiącego już osobno, bez młodszego brata, we Włoszech. W przerwie między styczniem a wrześniem roku 1633 musiała więc nastąpić rozłąka braci i wyjazd Aleksandra do Rzymu. Zanim zajmiemy się dalszemi kolejami młodych Lubomirskich, wypada nam raz jeszcze rzucić okiem na ten pierwszy okres ich studyów, rozpoczętych i prowadzonych przez rok w mieście niemieckiem, o ileśmy go poznali z jedynych śladów, zachowanych w czterech przytoczonych wyżej prawie w całości listach.

Najwięcej zaszczytu przynoszą te listy z pewnością ich autorowi, bo świadczą, że wojewoda kochał dzieci szczerze, dbał o nie serdecznie i obowiązki ojcowskie pojmował i pełnił poważnie i rozważnie. Uderza w tych jednostajnie powtarzanych upomnieniach nacisk, kładziony na nauki, na potrzebę rozwijania i kształcenia przedewszystkiem umysłu: nacisk, przez który Lubomirski wpajał w synów ciągłe przeświadczenie, że nie urodzenie ani przymioty ciała, lecz jedynie ustawiczna praca ducha i gruntowna wiedza może uzdolnić do działania dla dobra kraju i utorować drogę do wyższych godności. I uderza także ta rozsądna trzeźwość, która nigdy nie spuszcza z oka celów praktycznych, realnych, o patryotycznej tendencyi: służba publiczna, obywatelska, rycerska — oto zadania, do których mają dzieci naginać swoje zdolności, do których pełnienia mają się przysposabiać. Sam tęgi żołnierz i wódz znakomity, chciałby ojciec dać i synom należyte przygotowanie do tych wojskowych zawodów: więc do *militaria omnia negotia* osobliwą przywiązuje wagę i szczególnej pilności Aleksandra wcześnie je zaleca. Natomiast od fizycznych ćwiczeń i rozrywek każe się długo wstrzymywać: naprzód książka, a potem dopiero koń i szabla. Toż Jerzemu 17-letniemu nie pozwala jeszcze jeździć na koniu, a star-

szego syna dopiero po rocznym jego pobycie w Kolonii upoważnia do „zabawiania się różnemi ćwiczeniami ciała", „jednak bez zaniedbania nauk ani na chwilę", jak zaraz dodaje. Mimo że treść tych listów obraca się ciągle około przedmiotów i korzyści nauki, nie brak w nich także wynurzeń, wyjętych z pod serca kochającego rodzica: czy tam, gdzie cieszy się zdrowiem dzieci i ich bezpieczeństwem, czy gdy chwali za dobre postępy, czy gdy mniej pocieszające wiadomości dyktują mu słowa pełne smutku i surowej powagi. Słowem, kto takie listy napisał, musiał być i ojcem dobrym i dzielnym obywatelem Rzeczypospolitej; co więcej, musiał być prawym w gruncie i bardzo rozumnym człowiekiem. Wrażenie to pozostawia po sobie już ta mniejsza część korespondencyi, którąśmy poznali; a dalsza reszta (którą poznać mamy niżej) w niczem go nie osłabia, lecz owszem, wzmacnia je jeszcze i utwierdza.

Ale to, co dotyczy synów wojewody, Aleksandra i Jerzego, w treści powyższych listów, co nas informuje o ich zachowaniu się i prowadzeniu na obczyźnie w pierwszym roku po wyjeździe z kraju, — korzystnego wrażenia, ogólnie biorąc, nie robi. Przejrzeliśmy dotąd cztery tylko urywki z obszerniejszej zapewne korespondencyi między ojcem a dziećmi, a w każdym z nich spotykamy się z jakiemiś słowami wyrzutu i nagany. Od początku uderza i razi zarzut jeden: opieszałość w utrzymywaniu korespondencyi z rodzicem. Dwa razy w ciągu roku musi ojciec przypominać im ten prosty, najzwyklejszy obowiązek serca. Ale staje się rzecz gorsza: chłopcy, zrazu dosyć pilni, zaczynają po niejakim czasie zaniedbywać także obowiązki pracy i nauki. I znowu zgryzota dla ojca, i znowu potrzeba wytknięcia błędu i skarcenia, a wszystko to, powtarzamy, zaraz w pierwszym roku po wystąpieniu z progów rodzinnego domu. Rzecz to charakterystyczna i pełna znaczenia, że pierwsze świadectwo ojcowskie o Jerzym, jakie się zachowało między świadectwami o jego życiu, zaczyna się od wyrzutu: „że swojej zaniedbywa

powinności". Jest w tem coś złowróżbnego, co odrazu niedobrze uprzedza do przyszłości młodzieńca: a wrażenie niekorzystne narzuca się tem silniej, że brak szczegółów odmiennej treści, któreby je zatrzeć zdołały.

Niemasz takich przyjaznych świadectw i w dalszych dziejach młodości naszego Jerzego, bo ich w ogóle po styczniu r. 1633 znowu mocno ubywa. Dalsze listy Stanisława Lubomirskiego (a jest ich jeszcze pięć: jeden z roku 1633, trzy z roku 1634 i jeden z roku 1635) adresowane są do samego Aleksandra; o Jerzym niema w nich żadnej wzmianki. Z listów tych dowiadujemy się, a względnie wywnioskować możemy, że Aleksander najdłużej do lata roku 1633 przebywał w Kolonii, a w ciągu lata wyjechał do Włoch i we wrześniu był już z pewnością w Rzymie, gdzie spędził i resztę tegoż roku i prawdopodobnie cały następny pod opieką Sebastyana Kokwińskiego, podczaszego bracławskiego, „dawnego sługi i przyjaciela" domu. Opuścił jednak wieczne miasto najpóźniej w marcu r. 1635, bo pod datą 2 kwietnia tego roku spotykamy się z nazwiskami obydwu: wojewodzica i jego mentora w księdze nacyi polskiej padewskiej [1]). Jeżeli nie tu, to w każdym razie gdzieś na ziemi włoskiej musiał Aleksander pozostawać do samego prawie końca roku 1635, skoro 22 listopada t. r. pisze wojewoda znowu do syna, jako bawiącego jeszcze widocznie we Włoszech [2]). Z tym dniem tracimy ślad dalszej drogi: obecność Aleksandra w Polsce da się stwierdzić dopiero pod rokiem 1637 [3]).

Co się działo przez ten czas z Jerzym? Mamy co do niego parę tylko ogólnikowych wskazówek, które dają prze-

[1]) Archiwum do dziejów literatury i oświaty, VI, strona 51 (Windak. Ks. nacyi pol. padew.). Przy nazwisku Aleksandra podany tytuł: „Russiae Palatinides", przy nazwisku Kokwińskiego: „maistre de Kastelle de M. le Conte in Wiśnicz".

[2]) Rękopis cytowany, strona 55—56.

[3]) W rękopiśmiennym Memoriale Albrechta Radziwiłła (rękopis biblioteki Ossolińskich nr. 116, k. 197) jest wzmianka pod datą listo-

cież pewność, że i on podróżował dosyć długo, niezawodnie co najmniej do roku 1636, i że także zwiedzał Włochy a nawet pobierał tam nauki. We Włoszech mianowicie, może w Rzymie, miał się zapoznać — wedle Chronicza — z „zasadami sztuki wojennej“ [1]). Niema, rzecz dziwna, wzmianki w wyciągu z księgi nacyi polskiej, aby był w Padwie. Dziwną wydaje nam się ta luka dlatego, bo i starszy (jak już stwierdziliśmy) i młodszy brat Jerzego, Konstanty, kształcili się w szkole padewskiej, a co więcej, pod r. 1636 między członkami polskiej nacyi spotykamy Jana Charzewskiego, byłego nauczyciela domowego Lubomirskich, teraz już tytułującego się doktorem filozofii i profesorem krakowskiej akademii [2]). Narzuca się sam przez się domysł, czy wraz z tym Charzewskim nie przybył do Padwy i nasz Jerzy, a nazwisko jego, znajdujące się może w oryginalnej księdze nacyi, zostało przy sporządzaniu wyciągu w pośpiechu przeoczone. Trudno bowiem zrozumieć, dlaczegoby wojewoda żałował średniemu

---

padową roku 1638, że w tym miesiącu był król na chrzcinach dziecięcia Aleksandra Lubomirskiego i Heleny z Ossolińskich; niezawodnie więc co najmniej o rok wcześniej (więc w ciągu roku 1637) musiał Aleksander powrócić do kraju i ożenić się.

[1]) *Potocki Paweł* w dziele: „Saeculum bellatorum“ (Cracoviae 1702), strona 70, tylko krótko napomyka, że Jerzy Lubomirski podróżował po obcych krajach („...sed peragrato cultiori orbe, nihil externum adtulit, quod domui noceret...“. Chronicz w znanym Panegiryku (f. C—C2) dosyć szeroko rozwodzi się nad zagranicznemi podróżami Jerzego, ale także nie wymienia krajów, które zwiedził. Z ogólnikowych i dosyć mętnych i zawiłych frazesów wyrozumieć można tyle że Jerzy był z pewnością we Włoszech. Mówiąc o pobycie Jerzego na południu, dodaje Chronicz: „Ibi tu primum victor extitisti, ubi tot victores sunt praecipitati: ibi militiae tuae rudimenta posuisti, ubi tot veteranorum palmae et laureae emacuerunt...“ Czy ta wzmianka o „pierwszem zwycięstwie“ dowodzić ma, że Jerzy brał udział w jakichś walkach, wobec braku wszelkich innych danych wyjaśnić nie sposób (może to tylko przesadna przenośnia na określenie zwycięskiego zwalczenia trudności naukowych?).

[2]) *Windakiewicz*: „Księga nacyi polskiej“ (l. cit.) strona 53 i 57.

synowi światła z tej szkoły, do którego nawet najmłodszego w swoim czasie posłać nie omieszkał. Jeżeli zarówno Aleksander, jak i Jerzy uczyli się razem w Kolonii, a Aleksander i Konstanty obydwaj w Padwie, to wniosek stąd prosty, że Stanisław Lubomirski wyjątków wśród dzieci nie robił i wszystkim starał się dać wykształcenie jednakowe, jeden ten sam system do wszystkich stosując. Zasad i poglądów pedagogicznych, dla każdego z dzieci odmiennych, w żadnym razie nie miał: to też treść listów, pisanych do Aleksandra, powinna nam dostarczyć pośrednich wskazówek, jaką mniej więcej drogą postąpiła naprzód dalsza edukacya Jerzego.

Ogólny program — zasady moralne i cele tej dalszej edukacyi zagranicznej — określa wojewoda dobitnie zaraz na czele pierwszego listu, wyprawionego pod adresem najstarszego syna, do Rzymu. „Rozumiem, — pisze dnia 22 września roku 1633 z Krakowa [1]), — „że cię to moje pisanie w Rzymie już zastanie. Wprzód na cię kładę ojcowskie błogosławieństwo moje i pod tymże rozkazuję i napominam, abyś w bojaźni Bożej żyjąc, przystojnie, skromnie we wszystkim postępując, w trzeźwości i inszych cnotach, młodości twej należących, się kochając, wszystkiego się chętnie uczył, cokolwiek do instytucyi dobrej, do wypolerowania dowcipu i animuszu dobrego i pojęcia wszelkiej mądrości i przystojności należy“. Ta dbałość o religijne wychowanie dzieci, o wpojenie w nich zasad wiary, pobożności, przebija i w całej korespondencyi: podobnej treści napomnienia, jak powyższe, powtarzają się w listach z 18 marca i 6 sierpnia 1634 r. Obok tych ogólnych przykazań znajdujemy już w tym samym liście z września przepisany także dosyć szczegółowo program dalszych nauk: „Księga z rąk niech nigdy nie wychodzi. Najawszy sobie profesora prywatnego, ćwicz się pilno w historyej, oratoryej, egzercytuj się w stylu d w o r s k i m; m a t e m a t y k i, g e o m e t r y e j nie opuszczaj; f o r t y f i k a c y i

[1]) Rękopis cytowany, strona 47—48.

i delineacyi ich koniecznie uczyć ci się bardzo potrzeba, także rodzaje dział, kul do nich ilości i wszelkich inszych tej sztuki tajemnic, proszę cię, akuratnie ucz się znać, bo na tym sieła należy, chceszli być wziętym i przygodnym w ojczyźnie człowiekiem: miłoć będzie potym wspomnieć na prace młodości twojej, kiedy to będziesz — da Pan Bóg — w wielkich rzeczach do wykonania przywodził, i wysoce się tym udelektujesz, kiedy przy moich robotach na sławę i swoje urobki sadzić będziesz. Inszych wszelakich ćwiczeń przystojnych, zwłaszcza kawalkaty ucz się z zawodu; ostatek ustnie zlecam Panu Podczaszemu bracławskiemu, dawnemu słudze i przyjacielowi memu..."

W słowach tych jest wskazany prawie cały zakres nauk, których znajomość uważał wojewoda Stanisław za nieodzowną dla syna. Wylicza on je nieraz i później w tym samym mniej więcej porządku, kładąc zawsze szczególny nacisk na naukę historyi i sztuki wojennej. Napomyka nadto dwakroć o nauce języków (łacińskiego i włoskiego) — i to już wszystko. Więc nie wchodząc już w dalsze szczegóły analogicznej do tamtych treści, przegląd tej zajmującej korespondencyi między ojcem a dziećmi — rzadkiego nader zabytku wśród licznych zresztą innego rodzaju piśmiennych świadectw o XVII wieku — zakończymy przytoczeniem ustępów z przedostatniego listu, pisanego — rzecz uwagi godna — z obozu na Oryninie podczas wyprawy tureckiej dnia 5 sierpnia 1634, a zawierającego najbardziej zupełny wyraz poglądów edukacyjnych wojewody, i pozwalającego zarazem wniknąć najgłębiej w umysł i serce autora. Jest w nim zesumowanie wszystkiego, co było powiedziane w poprzednich listach, i jakby szkic ostatniej — można powiedzieć — poniekąd testamentowej przestrogi: boć wojewoda pisze w drodze u wstępu do wyprawy wojennej na Turka, której bezkrwawego zakończenia dla Rzeczypospolitej, a więc i dla siebie, jeszcze wtedy (w początkach sierpnia) znać ani nawet przewidywać nie mógł. Oto jego słowa:

„Mój najmilszy synu. Stanąwszy tu obozem na tej Jego królewskiej Mości i Rzeczypospolitej przeciwko poganom usłudze, i stąd cię kilką słów nie zapominam; żebyś i ty nie zapominał powinności swojej tak w częstym do mnie pisaniu, jako i w ustawicznym ćwiczeniu się około rzeczy, i latom i twemu służących stanowi. Napominam cię i proszę przez siebie i ciebie samego, abyś malutki ten czas tam twego pomieszkania tak do końca strawił, żebyś tego potym, kiedy cię odbieży, barzo nie żałował. Bierz ze mnie wzór i przykład, że oto w tej dobie i w tym wieku, służywszy lat kilka trzydzieści ustawicznie królom panom swoim i Rzeczypospolitej, nie pozostaję mojej powinności; miły mi niewczas, miła przy odwagach praca i czujność, równie i spokojnie znoszę wszystkie niepogody, zarabiając na dobrą potomności sławę: dla was to wszystko, żebyście przykład mój naśladując, na godnych i Panu i ojczyźnie ludzi, da Pan Bóg, wyjść mogli.

„A osobliwie ty, który lata masz już doskonale, staraj się o to, żebyś się tak preparował we wszystkie stanowi twemu ćwiczenia i sztuki wszelakie, które jużci sama ma w duchu przedstawić imaginacya, żebyś nietylko mnie i miejsce moje po godności i osoby mojej i twojej powinności przystojnie zastąpił, nie tylko na moje zarobki sławy i zasługi w Rzeczypospolitej tej godnie nastąpił, umiał je ochraniać i zachowywać, ale i nowymi urobkami swymi znacznie przyczynić sobie i domowi swemu starał się sławy i wszelkiej dzielności, jak się zacnemu i przystojnemu godzi szlachcicowi. A tak już dzień i noc czuwaj, wytrwaj i ochotnie dołóż usilności i woli, żebyś i swojej wygodził powinności i mojemu dosyć uczynił życzeniu, a nadto wszystko i Pana i ojczyzny i tak wielu wielkich swoich oczekiwaniu, na wielką w zeszłym wieku Ich Mości, jako i moję pociechę“.

Jeżeli ten pierwszy ustęp dotyczy głównie Aleksandra, jako najstarszego syna, w którym ojciec musiał upatrywać główny filar rodziny i jej dobrej sławy po sobie, w przyszłości, — to natomiast dalszą część listu, zawierającą prze-

gląd najpotrzebniejszych nauk i wiadomości, możemy bez uchybienia ścisłości historycznej odnieść także i do Jerzego, przyjmując za niezawodne, że i jemu później, z kolei, wypadło się przykładać do tych samych przedmiotów.

„A inaczej się preparować nie możesz", — czytamy w tej części — „jedno kiedy będziesz ustawicznie a pilno pilnował ćwiczeń, ksiąg historyków, języków, geometryej, fortyfikacyej; około armaty żebyś to umiał doskonale nie tylko w myśli stosować, ale i rzeczywiście sam ręką swą wyrazić, kiedy i kędy będzie tego potrzeba".

„Dopisując listu tego, wziąłem dwoje pisanie twoje. Cieszę się z tego i Panu Bogu dziękuję, że cię tam w dobrym zdrowiu chowa; Jegoż świętego Majestatu proszę, abyć był zawsze przytomnym łaską i błogosławieństwem swoim, we wszystkiem profekt dając, co doskonałemu należy człowiekowi. A niewątpliwie to z miłosierdzia Jego otrzymasz, kiedy bojaźń Boża będzie zawsze w sercu twoim. Podobasz mi się, że i we włoskim i w łacińskim (jako widać z listów) profekt dobry bierzesz. Proszęż cię, ćwiczże mi się we wszystkim sam dla siebie samego, żebyś się zasię owdzie nie sromał; a siła do tego potrzeba, żeby być mądrym, grzecznym, umiejętnym rzeczywiście. Ksiąg historyków przednich z rąk nie wypuszczaj; geometryej, fortyfikacyej, około armaty i puszkarskiej nauki pilno, proszę cię, ucz się i głęboko inwestyguj: miłoć to będzie na potym, kiedy do praktyki będziesz tu przystępował, żebyś tak i godnym i potrzebnym był w ojczyźnie swej człowiekiem. Zatym cię Panu Bogu i Jego świętej poruczam opiece i opatrzności" [1]).

Ten list, pełen serdecznego ciepła i rozumu, zakończony błogosławieństwem ojcowskiem, zamyka zarazem sobą, jako ostatni wyraźniejszy ślad podróży młodych Lubomirskich po obcych krajach, najpierwszy okres ich życia: okres systematycznej nauki, „lata szkolne". Po listopadzie roku 1635,

[1]) W rękopisie, strona 53—54.

na dłuższy przeciąg czasu, Aleksander i Jerzy znikają nam z oczu; po kilku latach odnajdujemy ich wspólnie i współcześnie czynnych na jednej i tej samej widowni Izby sejmowej, już jako starostów z urzędu i przedstawicieli szlachty, stawiających pierwsze kroki na arenie życia publicznego.

Nie wiemy na pewno, kiedy obaj bracia stanęli z powrotem na ojczystej ziemi: wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przyszło do tego nie później, jak pod koniec roku 1636. Data ta ma znaczenie granicznej, rozdziałowej między okresami młodości uczącej się i młodości zaciągniętej w służbę Rzeczypospolitej, przynajmniej w życiu bohatera naszego opowiadania: bo sam Jerzy, gdy podawał po dwudziestu latach w *Manifeście jawnej niewinności* zarys swojej działalności publicznej, początki jej odnosił do wymienionego co dopiero roku [1]).

[1]) „Manifest jawnej niewinności“ z roku 1666, strona 6: „Jam zaś sam tak za łaską Bożą od młodości mojej żył, żebym pospolitemu Ojczyzny mojej dobru wedle możności mojej pożytecznym był, osobnie zaś każdemu szlachcicowi bratu usługą i pomocą. Niech od roku 1636, jako mi tylko lata jąć się Rzeczypospolitej pozwoliły, weźmie kto pod uwagę i najostrzejszym chociaż badaniem roztrzęsie postępki moje i t. d.“.

Wojna smoleńska z roku 1633—1634

w świetle nowych źródeł.

I.

Ktokolwiek rozczytywał się pilniej w drukach i rękopisach prozaicznych z późniejszej doby naszych dziejów (mianowicie z XVII i z pierwszej połowy XVIII wieku), tego musiała zastanowić ta szczególna, a nieraz wprost uderzająca różnica, jaka zachodzi między rozmaitemi pismami jednych i tych samych często osób albo i kilku jednostek, żyjących współcześnie i stojących na jednakowym poziomie inteligencyi i wiedzy, — stosownie do celów, jakie piszący mieli na oku, i stosownie do rozmaitych tych pism przeznaczenia: różnica, polegająca na zupełnej odmienności w ujęciu rzeczy i na oczywistej odrębności stylu, posuniętej czasem tak daleko, że ma się niekiedy wątpliwości, czy dwa pisma dwóch różnych typów mogły wyjść z pod tego samego pióra, choćby pod oboma były widoczne podpisy tej samej ręki. Kiedy w książkach i w ogóle w pismach, do druku przeznaczonych, w mowach publicznych, w aktach i nawet w listach oficyalnych, a zwłaszcza w broszurach okolicznościowych i panegirykach, bierze coraz większą przewagę jakiś nastrój sztuczny, patetyczny i jakaś dziwaczna napuszystość, kiedy w nich razi i nuży coraz bardziej rozwlekłość, gadulstwo, niesmaczna frazeologia, napiętrzenie i powikłanie utartych ogólników i zwłaszcza nadmiar nieunikniononych makaronizmów, — to w pismach, przeznaczonych do użytku prywatnego, w notatkach i zapiskach więcej osobistych, robionych dla siebie samych, chociaż kreślonych często pospiesznie, z dnia na dzień, a więc mianowicie w pa-

miętniczkach familijnych i dyaryuszach, chowa się jeszcze długo prostota słowa, ton szczery i naturalny, żywość i dosadność potocznego języka, a przytem nieraz jest w nich na dnie stały grunt wcale jasnej i zdrowej myśli. Co do nas przynajmniej, przyznamy się, że po pismach poetów takich, jak Potocki (którego wolimy od dworaka Morsztyna), po kazaniach Skargi, po pamiętnikach Paska — najchętniej bierzemy do ręki dyaryusze wojenne Żółkiewskiego i Sapiehy, a choćby zapiski takich Maszkiewiczów, Oświęcimów i Cedrowskich, i wykrywamy w nich z przyjemnością te zalety treściwości i prostoty, jakich brak we współczesnych pismach publicznych coraz większy. Znajdujemy, że bywają w tych dorywczych zapiskach niekiedy ustępy, w których przy ciętym, dobitnym i jędrnym — po żołniersku — stylu jest o wiele więcej trzeźwości i jasnego na rzeczy poglądu, anińeli w wielu traktatach politycznych, ogłoszonych drukiem i pozujących na produkty głębokiej uczoności: jak gdyby ogień dział i pożogi wojennej rozświecał głowy i klarował umysły, a może głównie dlatego, że duch rycerski narodu, wchodząc w sferę spraw wojennych, czuł się w swojskim, odpowiadającym mu najlepiej żywiole, a więc obracał się w nim o wiele swobodniej i sprawniej, niż w sferach polityki i parlamentaryzmu.

Uderzającem jest także, że interes dla tych spraw rycerskich, wojennych zdaje się u nas rosnąć w miarę, jak bezład, anarchia rozwielmożnia się coraz bardziej w stosunkach wewnętrznych Rzeczypospolitej, a skutki rozstroju stają się coraz lepiej widocznymi i więcej dotkliwymi dla tych, w których miłość ojczyzny nie zagasła, choć nie była dość silną, aby podnieść i podtrzymać jakiekolwiek przedsięwzięcie reformy. I tu znowuż ma się wrażenie, jakby te nasze proste, nieumiejętne natury żołnierskie, widząc złe w domu, a niezdolne go usunąć, szukały oparcia dla swych myśli najchętniej poza domem i poza obrębem spraw domowych, i dlatego najchętniej zwracały się też wspomnieniami do wy-

darzeń wojennych — tem bardziej ochoczo, że nie brakło w późniejszych naszych dziejach wojen świetnych i chlubnych dla naszego oręża, wówczas, kiedy w stosunkach wewnętrznych już nie było z czego naprawdę chlubić się ani cieszyć... W istocie, jeżeli w XVI wieku góruje jeszcze bezsprzecznie literatura polityczna nad innymi działami prozaicznej literatury, to w XVII wieku — jak mi się zdaje — wyprzedza ją stanowczo literatura wojenna. Każda prawie wojna XVII wieku ma już swoją całą literaturę w obrębie tego wieku — a czyż można toż samo powiedzieć o każdej sprawie wewnętrznej, naprzykład o dziejach każdego sejmu? Każdy, kto pracując nad tymi czasami, sięgał do rękopisów, przyzna mi też pewnie, że łatwiej w nich o wiele o kilka dyaryuszów wojennych, niż o kilka dyaryuszów sejmowych, odnoszących się do jednego i tego samego przedmiotu. Stosunek ten zmienia się jeszcze później, ale dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, gdy kwestya reformy wewnętrznej wysuwa się coraz bardziej na pierwszy plan dyskusyi publicznych: za sejmu czteroletniego literatura polityczna powraca na stanowisko dominujące.

Co do wieku XVII nie trzeba długo szukać za przykładami. Zwróćmy się odrazu do czasów, do których należy przedmiot niniejszego artykułu. W latach 1632—1634 zaszły dwa wypadki pierwszorzędnego znaczenia w naszych dziejach: śmierć Zygmunta III i elekcya Władysława IV z jednej strony — wojna smoleńska z drugiej. Otóż dotychczas nie mamy — o ile mi wiadomo — ani jednego drukowanego dyaryusza sejmu elekcyjnego, prócz tej relacyi, jaką o nim podaje Radziwiłł w swoich Pamiętnikach; a o wojnie smoleńskiej świadczy tyle ogłoszonych drukiem opisów, że gdyby zebrać je razem, dałoby się nimi zapełnić książkę o kilkuset stronicach. Kotłubaj streścił oryginalny dyaryusz Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego; znanym jest dalej w całości drugi dyaryusz, wydany przez Schmidta, trzeci, wydany przez Przyłęckiego, czwarty Weinbeera, rozłożony

na listy, ale o ciągłości dziennika, wydany przez ś. p. prof. Liskego, piąty ogłoszony w *Ruskiej historycznej bibliotece;* są mi znanymi nadto trzy obszerne dyaryusze rękopiśmienne; jest znaną wreszcie cała serya sztychów, objaśniających dzieje oblężenia Smoleńska i obozu Szehina, — a oto niedawno pojawiła się znowu dosyć spora książka, zapełniona prawie w całości spółczesnym *Dyaryuszem wojny moskiewskiej z roku 1634* jako nowy tom (XIII) *Biblioteki ordynacyi Krasińskich* (Warszawa 1895) pod naukową redakcyą p. Aleksandra Rembowskiego.

Ostatnie wydawnictwo zawiera właściwie nie jeden dyaryusz, jakby można wnosić z tytułu, lecz raczej zbiór listów, relacyi i dyaryuszów, pochodzących, co prawda, przeważnie od jednej i tej samej osoby, odnoszących się treścią wyłącznie do dziejów wojny moskiewskiej z r. 1633—1634 i składających się razem na całość ściśle zamkniętą i skończoną w sobie a dosyć jednolitą. Trzy czwarte książki — to utwór jednego autora, Jana Moskorzowskiego; z pod jego pióra wyszedł prawie cały bardzo obszerny dyaryusz wojny, rozdzielonej na 10 listów i 6 relacyi w formie dziennika. Reszta — kilkanaście sztuk — to listy innych osób, względnie akty, włączone widocznie do zbioru także przez Moskorzowskiego jako dopełnienia jego własnych opowiadań. W tym drugim dziale znajdujemy mianowicie pięć listów towarzysza pancernego Przypkowskiego, dalej parę listów bezimiennych, a raczej tylko niezaopatrzonych podpisami (ale których autorowie musieli być znanymi Moskorzowskiemu), pisanych z obozu; trzy listy, pisane ze Smoleńska, i wreszcie trzy akty, jako to: uniwersał Władysława IV z dnia 8. października 1633 roku, artykuły kapitulacyi Szehina i „Kondycye pokoju wiecznego z Moskwą".

Za zasługę rzetelną poczytujemy wydawcy sporządzenie dokładnego indeksu i wypracowanie dłuższej przedmowy, która zawiera szczegóły nowe i bardzo pouczające. Pan Rembowski podaje bowiem przegląd wszystkich źródeł, wy-

danych drukiem a odnoszących się do dziejów wojny moskiewskiej, i co więcej, przedmiotową i trafną ocenę tych źródeł. Wykaz ich jest wyczerpujący: na wyróżnienie zasługuje sumienne zestawienie wiadomości o wspaniałych sztychach Hondiusa, przedstawiających główne fazy wojny w rysunkach i planach: między temi wiadomościami znaleźliśmy dla siebie nową o pochodzących z XVII wieku, a ogłoszonych przez Schmidta szczegółowych objaśnieniach planów Hondiusa, z których treści wynika, że albo napisane zostały przez samego hetmana polnego, Krzysztofa Radziwiłła, albo ułożone za jego wskazówką i pod jego okiem. Objaśnień tych nie znaliśmy, jak nie znał ich żaden z dawniejszych polskich dziejopisarzy wyprawy smoleńskiej.

Nie udało się panu Rembowskiemu odszukać tego obszerniejszego dyaryusza Krzysztofa Radziwiłła, na którym oparł prawie wyłącznie cały swój (wyżej przytoczony) artykuł Kotłubaj, nie podawszy żadnej wskazówki, w jakich zbiorach ów dyaryusz znajduje się. I nam także nie zdarzyło się w ciągu studyów nad rękopisami z XVII wieku natrafić na żadną relacyę, któraby odpowiadała treścią dokładnie opowiadaniu Kotłubaja. Dzięki natomiast pilności i pracowitości przedwcześnie zmarłego kolegi naszego, ś. p. Antoniego Świątkiewicza, który nam zostawił w spuściźnie spory zbiór wypisów i wyciągów z rękopisów bibliotek i archiwów galicyjskich, odnoszących się prawie wyłącznie do dziejów tej właśnie wojny smoleńskiej z roku 1633–1634 [1], — jesteśmy w możności skonstatować, że lwowska biblioteka Ossolińskich posiada w swoich zbiorach (w rękopisach nr 231, 236 i 401) trzy odpisy: „Relacyi wojny moskiewskiej, którą IM. Krzy-

[1] Pozostał po ś. p. Świątkiewiczu także rękopis monografii wojny smoleńskiej, niedokończony, mianowicie opracowanie jej dziejów od początku aż do kapitulacyi Szehina. Rękopis ten mamy w ręku; jest to praca seminaryjna, pisana przed kilkunastu laty, która w obecnej swej postaci nie nadaje się do druku: wymagałaby gruntownego przerobienia, rozszerzenia i dokończenia.

sztof Radziwiłł w Warszawie, na sejmie dwuniedzielnym czynił a. 1634" (18 stronic folio pisma). Lecz „relacya" ta — o ile można sądzić z porównania z artykułem Kotłubaja — nie będzie z pewnością identyczną z relacyą, jaką miał pod ręką ten autor, ani też nie pokrewną jej streszczeniu, ogłoszonemu przez Schmidta w roku 1829. Ś. p. Świątkiewicz znalazł natomiast w rękopisie biblioteki Jagiellońskiej nr 849 tekst włoski tych samych objaśnień sztychów Hondiusa, których tekst niemiecki wyszedł w Gdańsku w roku 1640, a przedrukowany został przez wymienionego co dopiero Schmidta. Fakt, że objaśnienia sztychów Hondiusa uznano za potrzebne przełożyć i na język włoski, może pozostawać, jak sądzę, w jakimś bliższym związku z okolicznością, że właśnie w czasie od roku 1638 do 1642 toczyła się między Władysławem IV i jego sekretarzem Puccitellim a poetą i uczonym włoskim, Janem Ciampolim, dosyć ożywiona korespondencya, którą spowodował podjęty przez Ciampolego projekt opracowania dziejów naszego króla, a w szczególności dziejów wojny smoleńskiej. Treść bowiem tej korespondencyi obraca się głównie około kwestyi materyałów do tychże dziejów, dostarczanych przyszłemu historyografowi za pośrednictwem samegoż Władysława IV. Z korespondencyi tej, wydanej w części drukiem niedługo po śmierci Ciampolego [1]), czerpiemy wiadomość, że Władysław IV udawał się do Aleksandra Gosiewskiego, wojewody smoleńskiego, u którego — wedle słów króla — znajdowały się pamiętniki wojny smoleńskiej, z prośbą, aby mu je nadesłał i nadto także „różne inne dyaryusze ostatniej wyprawy", że powierzył ich uporządkowanie i opatrzenie wstępem objaśniającym O. Maryanowi Wituskiemu, że dalej sam wziął na siebie przejrzenie i poprawienie wszystkich relacyj, — i wreszcie, że w istocie

[1]) „Lettere di Monsignor Giovanni Ciampoli" etc. Venetia, 1657. Porównaj nadto w artykule *Feldmanowskiego* p. t. „Władysława IV stosunki literackie i naukowe z Włochami". (Czasopismo p. t. Biblioteka Ossolińskich, poczet nowy tom XI, ustępy na stronie 148—162).

cały przysposobiony należycie materyał posłał przed upływem 1642 roku Ciampolemu. Ciampoli źródeł tych nie zdołał już zużytkować, bo w tymże samym roku zapadł na zdrowiu, a w następnym (8. września 1643 r.) życie zakończył. Są jednak wskazówki, że materyały, jakie otrzymał był z Polski, zostały za wpływem kardynała Savellego, protektora królestwa polskiego, zwrócone Władysławowi IV. Otóż, gdy zważymy, że właśnie w grudniu 1640 r. król donosił Ciampolemu o dokonaniu ostatecznej rewizyi przeznaczonej dlań relacyi z wojny smoleńskiej, a przypomnimy zarazem, że w tym samym także roku wyszedł w Gdańsku tekst niemiecki objaśnień sztychów Hondiusa, — to nabierze prawdopodobieństwa nasz domysł, że przekład włoski tych objaśnień, który się przechował w rękopisie nr 849 biblioteki Jagiellońskiej, został wykonany pod okiem króla, z przeznaczeniem dla Ciampolego. Tą samą okolicznością możnaby też wytłumaczyć ten dosyć znaczny dostatek relacyj o wojnie moskiewskiej, które dochowały się do naszych czasów. Pisano je zapewne z popędu króla: między innymi niezawodnie i Radziwiłł za wpływem króla zabrał się do ułożenia swego własnego dyaryusza; a kto wie, czy temuż samemu wpływowi nie zawdzięczamy także i dyaryuszów Moskorzowskiego?

Inicyatywa króla pobudzała do pracy nietylko literatów, ale także rysowników, bo trzeba wiedzieć, że prócz wspaniałych sztychów Hondiusa, o których podał wiadomość p. Rembowski, istnieje także druga, o wiele mniej znana illustracya dziejów wojny smoleńskiej, (o której w przedmowie naszego wydawcy niema wzmianki), a to w przepysznym czteroarkuszowym sztychu Adolfa Boya, wydanym w roku 1634 w Amsterdamie i Gdańsku p. t. *Expugnatio exercitus Moschovitici obsidione prementis urbem Smolenscensem ductu Vladislai Poloniae et Sueciae Regis.* Jedyne, o ile wiadomo, dwa egzemplarze tego sztychu posiadają biblioteka książąt Czartoryskich w Krakowie i biblioteka imienia Konopków w Mogilanach.

Mimo dosyć znacznej obfitości i rozmaitości źródeł do dziejów wojny moskiewskiej, nie wahamy się przyznać, że wydawnictwo p. Rembowskiego przyniosło nam materyał pierwszorzędnej wartości, że ogłoszony niedawno dyaryusz wojny smoleńskiej jest najobszerniejszym i najlepszym z przechowanych do naszych czasów. Większa część relacyj tego zbioru jest właściwie wspólną robotą dwóch braci Moskorzowskich: materyału w zapiskach, dokumentach i t. d. dostarczył Jan, a Andrzej układał na podstawie tego materyału dyaryusze, które Jan następnie jeszcze przejrzał i poprawił. Sama osobistość autora stanowi dla nas w tym wypadku poniekąd rękojmię, że mamy do czynienia ze świadectwem historycznem wyższej wartości. Moskorzowski służył bowiem pod rozkazami głównego wodza, Krzysztofa Radziwiłła, i co więcej, cieszył się szczególnymi względami hetmana litewskiego, który go trzymał przy swoim boku, cenił wysoko i używał do ważnych czynności. Dowiadujemy się naprzykład z dyaryusza, że gdy Radziwiłłowi wypadło z powodu choroby na jakiś czas wyjechać z obozu, „regimentarzowi wojskowemu przydał w niebytności swej pana Jana Moskorzowskiego, przez którego szły wszystkie instrukcye wojskowe, consilia hetmańskie: ten sejmom wszystkim i *rebus gerendis intererat*, wiadomości dzienne księciu JMci listami odmiennemi i rączymi przesyłając, w dalszym progresie wojennym od książęcia JMci pana Hetmana gruntownej *in absentia* jego rady zasięgając coraz“. Rozumie się, że taki, rzec można, sekretarz i adjutant przyboczny hetmana, mógł wszystko obserwować najlepiej, a o tem, czego sam naocznie nie zbadał, miał możność zasięgać informacyi z najpewniejszych źródeł. Dyaryusz jego przewyższa w istocie wszystkie dotychczas znane relacye dokładnością i szczegółowością zawartych w nim danych: a dane te nabierają tem większego znaczenia, że oświetlone są poglądami fachowego znawcy rzeczy wojskowych i wojennych i jego trzeźwymi, często nawet bardzo surowymi sądami. Bo Moskorzowski nie jest

bynajmniej oschłym referentem, ani też nie jest entuzyastą, ślepym chwalcą świetnych popisów polskiego oręża; owszem widzi on jasno i podnosi nieraz z naciskiem ujemne strony naszych urządzeń wojskowych i działań wojennych własnych towarzyszy broni, jak z drugiej strony nie szczędzi wyrazów uznania męstwu czy biegłości nieprzyjaciół, gdy sądzi, że na nie zasłużyli. „Szczerość i naturalność żołnierska" — podnosi słusznie p. Rembowski — „panują w całym toku opowieści. W imię owej szczerości, zahartowanej w licznych bojach, Moskorzowski nie umie skrywać prawdy, choćby ona dlań gorżką była, i wytyka błędy wodzów, niesubordynacyę lub niedbalstwo podwładnych z tą samą otwartością, z jaką opisuje waleczność nieprzyjaciół i ich dzielną obronę zamku bialskiego. Styl dyaryusza, pozbawiony wszelkich ozdób, a tem bardziej wszelakiej napuszystości, nosi na sobie wyraziste piętno twardego obozowego żywota". Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że Moskorzowski, jako podwładny Radziwiłła, a więc współdziałający z wojskiem litewskiem, głównie czynności litewskiego wojska i swego hetmana ma na oku i wyszczególnia; ale w tym wypadku wiedza nasza o dziejach wojny smoleńskiej niewiele na tem traci, gdyż wszystkie w ogóle znane relacye stwierdzają zgodnie, że najświetniejsze powodzenia tej wojny są zasługą Litwinów i że wśród Litwinów głównym sprawcą tej zasługi był Radziwiłł.

II.

Relacye i listy, pisane przeważnie z obozu i przez wojskowych, są oczywiście głównie materyałem do dziejów wojennych, do historyi przebiegu samejże wyprawy smoleńskiej. Wiadomo, że w wojnie tej dają się rozróżnić cztery fazy. Pierwsza faza: oblężenie Smoleńska przez przeważne wojska moskiewskie i walka podjazdowa trzechtysięcznej dywizyi Radziwiłła z oblegającymi (okres ten trwa od listopada 1632 roku do sierpnia 1633); druga faza: to właściwa

wojna o Smoleńsk, po przybyciu z odsieczą wojsk koronnych i litewskich pod dwoma hetmanami polnymi i pod naczelnem dowództwem samegoż króla: wojna, której rezultatem było wyzwolenie Smoleńska od oblężenia, opanowanie dominujących pozycyi w najbliższej okolicy miasta, spędzenie wszystkich wojsk moskiewskich do jednego obozu i szczelne osaczenie tego obozu przez wojska litewsko-polskie na otwartem polu (okres ten przypada na miesiąc sierpień, wrzesień i październik 1633 roku); trzecia faza: to czteromiesięczne obleganie obozu moskiewskiego, zakończone haniebną kapitulacyą Szehina (od ostatnich dni października 1633 roku do końca lutego 1634 roku); i wreszcie czwarta faza: obleganie zamku bialskiego przez wojska polsko-litewskie, nie uwieńczone pomyślnym rezultatem, a przerwane ułożonym 27. maja 1634 roku w Polanowie „wiecznym pokojem" (który ostatecznie przyjętym i potwierdzonym został przez obie strony dopiero 13. czerwca t. r.).

Dyaryusz i inne relacye zbioru Moskorzowskiego rozciągają się na wszystkie cztery fazy wojny, ale pierwszej nie obejmują całej, bo nie sięgają poprzed styczeń 1633 r. Wychodząc jednak od tej daty, trzymają się prawie nieprzerwanie biegu wypadków, rozszerzają się i rosną w miarę, jak rośnie rozmaitość i ważność tych wydarzeń; w odniesieniu do dziejów drugiej i trzeciej fazy stają się bardzo szczegółowymi i doprowadzają historyę wojny aż do ostatecznego jej kresu.

Nowy materyał do dziejów ośmiomiesięcznego oblężenia Smoleńska i działań dywizyi Radziwiłła z przed sierpnia 1633 roku jest stosunkowo najszczuplejszy, bo zajmuje w książce tylko kilkanaście stronic druku. Dokładniejsze wiadomości odnoszą się dopiero do epizodów z miesięcy wiosennych (od marca począwszy). Relacye Moskorzowskiego stwierdzają jeszcze dobitniej to, co wynika z treści dawniej znanych źródeł, że obrona Smoleńska, obsadzonego co najwyżej 3 tysiącami ludzi przeciw 60 tysiącom co najmniej

wojska oblegającego, była bądź co bądź faktem wyjątkowym, niebywałym w naszych dziejach wojennych. Jakkolwiek nie można odmówić Sokolnickiemu i Wojewódzkiemu tej zasługi, że z wielkiem męstwem, przezornością i wytrwałością wywiązywali się ze swych zadań jako dowódzcy załogi, — to przecież zdaje się niezawodnem, że utrzymanie miasta w rękach polskich trzeba uważać głównie za skutek tej szczęśliwej dla nas okoliczności, iż wodzowie moskiewscy, Szehin i Prozorowski, prowadzili oblężenie dziwnie niedbale i nieudolnie. Bo tylko na karb najwyższego niedbalstwa i nieudolności można złożyć takie naprzykład fakty, jak te dwa najbardziej uderzające, iż w marcu udało się trzystu ludziom pod Jurzycem przedrzeć do miasta poprzez kordon 60-tysięcznej armii moskiewskiej; że, co więcej, w początkach kwietnia zdołali Litwini w obliczu tejże armii wzmocnić załogę po raz drugi o kilkaset ludzi i zaopatrzyć ją w świeże zapasy amunicyi! Na karb niedbalstwa i nieudolności można złożyć i całą przewlekłą akcyę oblężniczą, zwłaszcza wobec stwierdzonej dowodnie źródłami okoliczności, że mury i szańce miasta znajdowały się w opłakanym stanie, a bardzo szczupła załoga nie była po kwiecień należycie opatrzoną ani w amunicyę ani w żywność, owszem cierpiała wielki niedostatek tak pod jednym, jak i pod drugim względem. Zaraz w pierwszej relacyi Moskorzowskiego znajduje się streszczenie listu, pisanego ze Smoleńska, w którym oblężeńcy się skarżą, że „wielkie się defekty w zamku znajdują i w rządzie, i w żywności, i w prochach, czego obojga już za inkuryą tych, których zamek smoleński od Rzeczypospolitej jest polecony, nie staje, — pieniędzy też, choć je z skarbu dano, omal, bo ich wcześnie nie wprowadzono". „Wał w przełomie", — czytamy dalej w tejże relacyi — „który w murze, gdy król nieboszczyk sławnej pamięci Smoleńska dobywał, naszy czynili, bardzo źle zrobiony, że choć i z muszkietu do niego nie strzelono, sam się wali i już go w tych dniach na sążni 12 upadło, a piszą oblężeńcy, że się boją, aby za tą

roztoczą do końca się nie obalił. Co spostrzegłszy nieprzyjaciel, snać zamyśla i tam szańc rzucić i działa zatoczyć. Owo zgoła przez te lat 14 trzeba było pilniej o Smoleńsku radzić i myślić tym, którzy się prowentami siewierskiemi opiekali". Te ostatnie szczegóły rzucają niekorzystne światło na zapobiegliwość władz litewskich, bo okazują, że po rok 1633 nie zdobyto się na naprawienie w murach miasta szkód, poczynionych jeszcze w roku 1611. A trzeba dodać, że to nie była jedyna trudność, z którą mieli do walczenia oblężeni. Większa polegała na tem, że, jak już wspominaliśmy, nie starczyło środków na podtrzymanie sił fizycznych załogi i ludności. „Pospólstwa głównego siła" — donosił ktoś z miasta w liście cyfrowanym 7. marca — „chleba omal mającego, zwłaszcza chłopiąt i niewiast, których *in praedam* nieprzyjacielowi podawać nie godzi się. Kozaków włocznych trzecia część niemal chleba niema; prochu, ołowiu wszyscy i kupić nie mają zaco, a nie dostanie w kramach. Szlachty chudej siela, chleba na wątku, prochu, ołowu wtąż. Piechota, ani chleba, ani pieniędzy nie mająca, zdradzać zaczyna". Takie i tym podobne szczegóły znajdują się i w późniejszych doniesieniach ze Smoleńska z kwietnia, i nawet jeszcze z ostatnich dni oblężenia, z 10. września (strona 15—16 i 30). Rozumie się, że w takich warunkach wzmocnienie załogi i zaopatrzenie jej w zapasy żywności, dokonane za sprawą Radziwiłła, było bardzo na czasie i przyczyniło się znakomicie do uratowania miasta. Moskorzowski podnosi ze słusznym podziwem powodzenie tych dwóch manewrów wojennych. „Bez pochyby" — powiada — „kiedyby to w cudzych krajach ludziom w dziele rycerskiem biegłym powiedziano, iż fortecy, od 60.000 wojska oblężonej, drugie wojsko, nie mając w sobie nad 3.000, dodało 500 człowieka z tak małą jakturą swoich... tedyby temu albo nie wierzono albo się srodze dziwiono".

Najważniejsza część książki, największa rozmiarami i obfitością szczegółów ilość relacyi Moskorzowskiego i jego

towarzyszy odnosi się do tego głównego, najbardziej czynnego i krwawego okresu wojny smoleńskiej, który się rozpoczął z przybyciem wojsk litewskich z Radziwiłłem i koronnych z królem i hetmanem polnym koronnym, Kazanowskim, pod Smoleńsk pod koniec sierpnia i w pierwszych dniach września, a skończył zupełnem osaczeniem obozu moskiewskiego na otwartem miejscu opodal miasta pod koniec października. W ciągu tych dwóch miesięcy jesiennych nietylko ważyły się ustawicznie losy walki, lecz faktycznie stanowczo już zostały rozstrzygnięte na korzyść polskiego oręża. Haniebna kapitulacya Szehina, na którą trzeba było jeszcze czekać całą nieledwie zimę, była prawie że nieuniknionem następstwem tych niepowodzeń, jakich armia moskiewska doznała przed upływem października.

Pamiętny ten okres jesienny możnaby jeszcze rozłożyć na dwa epizody podrzędne, tem łatwiej, że każdy z nich da się ująć dosyć ściśle w chronologiczne granice jednego miesiąca: to jest na epizody wrześniowy i październikowy. Zarówno bowiem walka w ciągu września, jak i dalsza z października, znalazła — każda z osobna — jakby uwieńczenie i zamknięcie w pewnym stanowczym wyniku: wrzesień skończył się po zdobyciu ważnych stanowisk moskiewskich na górze Pokrowskiej i opróżnieniu obozu Prozorowskiego zupełnem wyzwoleniem Smoleńska od oblężenia; październik — opanowaniem dominującej nad obozem Szehina pozycyi na górze Skowronkowej i ścisłem osaczeniem tegoż obozu na otwartem polu.

Dzieje tych walk dwumiesięcznych opowiedziane są szczegółowo i żywo w całym szeregu relacyi nietylko pióra samegoż Moskorzowskiego, ale i innych świadków naocznych, które razem składają się na pierwszorzędny materyał do historyi wojny smoleńskiej, żadna bowiem z innych znanych nam relacyi drukowanych czy rękopiśmiennych nie przewyższa wydanych przez Rembowskiego dokładnością ani barwnością szczegółów. Do okresu z września i października odno-

szą się prócz trzech listów Moskorzowskiego i dwóch jego dyaryuszów także dwa listy Przypkowskiego i krótsze relacye Kuroszowego i ks. Kołudzkiego. List Moskorzowskiego, umieszczony na str. 33—43, i jego dyaryusz na str. 48—58 należą do najbardziej zajmujących i uwagi godnych w książce.

Połączenie wojsk koronnych z litewskiemi w obozie na Hłuszycy niedaleko Smoleńska nastąpiło 3. września. Z wojskami koronnemi przybył i sam Władysław IV. Relacye zbioru Moskorzowskiego nie zawierają dokładnego wyliczenia sił wojennych polskich, jak się to często zdarza w ogóle w najlepszych nawet relacyach, współczesnych wypadkom: wydawało się autorom po prostu zbędnem informować adresatów swoich o tem, co musiało być wszystkim dobrze wiadomem. Można jednak wyrozumieć z kilku wzmianek, że nie było przy królu we wrześniu więcej niż 16 tysięcy regularnego wojska i nadto co najwyżej 15 tysięcy Kozaków (Dyaryusz, strona 16, 20 i 30). Litewskie wojsko stanowiło wedle Moskorzowskiego mniejszość; w dyaryuszach jest mowa kilkakrotnie tylko o 3.000; być może jednak, że autor w niejasno stylizowanych wzmiankach o stanie armii litewskiej, podając tak niską cyfrę, miał na myśli tylko piechotę (Dyaryusz, str. 59). Bądź co bądź, dane, zawarte w relacyach niniejszego wydawnictwa, zdają się wskazywać na to, że wojsk polskich było pod Smoleńskiem mniej, niż dotychczas obliczano (Kotłubaj np. liczy z Kozakami aż 40.000, kiedy wedle powyższych danych należałoby tę cyfrę zmniejszyć o jakichś 9.000). Co do ilości wojsk moskiewskich dane w zbiorze niniejszym są dosyć między sobą sprzeczne, gdyż wahają się między cyframi 60 a 127 tysięcy. Liczbę 60.000, powtarzającą się w kilku najlepszych relacyach, należy uważać za najpewniejszą: i trzeba nadto przyjąć, że piechoty regularnej nie było po stronie moskiewskiej więcej niż 10 tysięcy (strony 9, 12, 29, 30 i 59). Ilość dział nieprzyjacielskich oblicza Moskorzowski w jednej z relacyi wrześniowych na 200 (str. 18), co prawda, przy kapitulacyi Szehina, we-

dle spisu, podanego w załączeniu do dyaryusza, dostało się w ręce polskie dział 110 (str. 111); ale trzeba uwzględnić, że wiele dział zdobyto na Moskalach przed kapitulacyą Szehina, zwłaszcza w ciągu walk z września i października. To w żadnym razie nie może ulegać wątpliwości, że artylerya moskiewska szczególnie co do rozmiarów niektórych armat i obfitości amunicyi bardzo znacznie przewyższała naszą (strona 1—3 i 64).

W chwili, kiedy wojska litewsko-polskie podsunęły się pod sam Smoleńsk, miasto było osaczone armią nieprzyjacielską, rozłożoną w trzech obozach, z których główny, po obu stronach Dniepru, na górze Dziewiczej i naprzeciw tej góry znajdował się pod rozkazami Szehina, drugi na lewym brzegu Dniepru, na północny zachód od Smoleńska, pod Prozorowskim, trzeci, na prawym brzegu Dniepru, naprost mostu miejskiego, na górze Pokrowskiej, pod jenerałem Matissonem. Moskorzowski kilkakrotnie wyraża się z uznaniem i nawet z podziwem o rozległości i mocy fortyfikacyi moskiewskich i o doskonałem ich zaopatrzeniu. „Nieprzyjaciel zaś srodze się ufortyfikował“ — pisał naprzykład około połowy września — „i coraz to bardziej się fortyfikuje: samych blokauzów koło Smoleńska ma szesnaście oprócz ostrogów i ostrożków, których jest sześć, jeśli nie więcej. A blokauzy takie, że z nich wszędzie nam *aditum* do zamku *intercluserunt* tak, że żadnego dobyć bez dużej dziury i krwi rozlania nie możemy. Dział 200, kul, prochów, knotów i wszystkich aparatów wojennych dosyć i nadto mają. W żywność tak się fundują, że ich i za lat kilka nie wygłodzimy. Pola żadną miarą stawić nie chcą i nie myślą, ale tylko pod armatą przy fortelach swoich stoją, a wyciągnąć się dalej nie dadzą, jeno póki ich armata zasłania: zgoła z nimi trzeba po inderlandzku wojować i aprosze robić, i kopać, i ryć, jako Gustaw czynił. A my, jakośmy do tego *dispositi*, chociećmy taki koszt na tę piechotę polsko-niemiecką ważyli, chyba ten nie wie, który naszych krajów nie wiadomy“...

Taki był stan rzeczy jeszcze w pierwszej połowie września i tak pessymistyczne o tym czasie przewidywania jednego z lepszych wojskowych w obozie litewskim. Pessymizm ten ustąpił zdumieniu i radości, gdy w dwa tygodnie później ten sam świadek klasyczny próbował zreasumować i zmierzyć rezultat walk wrześniowych, z których najważniejsze zaszły w dniach 7., 21. i 22., i wreszcie 28. września. Rezultat był ten, że z trzech obozów moskiewskich utrzymał się tylko jeden — Szehina, bo oba pozostałe stanowiska nieprzyjacielskie, t. j. szańce Matissona na górze Pokrowskiej i obóz Prozorowskiego dostały się w ręce naszych, a tem samem Smoleńsk został uwolniony od oblężenia. Górę Pokrowską zdobyły wojska polsko-litewskie już 7. września, potem ją utraciły i odzyskały stanowczo 22. tego miesiąca; a Prozorowski, wytrzymawszy jednorazowy szturm 28., w nocy najbliższej, korzystając z pory deszczowej, zaczął ustępować i w ciągu następnych dwóch dni z całem swojem wojskiem przeniósł się do obozu Szehina. Jakkolwiek wojska królewskie, zwłaszcza litewskie, dzielnie się spisywały, zwłaszcza przy atakach na górę Pokrowską z 7. i 22. września, i jakkolwiek także Kozacy, którzy przybyli pod Smoleńsk 18., doskonałe oddawali usługi, szczególnie w walce podjazdowej, to jednak Moskorzowski nie przypisuje powyższego wyniku jednomiesięcznej wojny wyłącznie zasłudze swoich towarzyszy broni; przeciwnie, nie może się dosyć wydziwić, że Prozorowski tak prędko i łatwo dał się zniewolić do opuszczenia tak świetnie utwierdzonego stanowiska, jakie posiadał w swoim obozie. Fortyfikacye bowiem tego obozu miały się znajdować w najlepszym stanie i przedstawiać w ogóle dzieło obronne „zdumiewającej roboty“. „Godne podziwienia były“ — powiada autor dyaryusza — „bateryę ledwo nie równe z murem nakształt wież wysoko ziemią podniesione, także *capacitas* i *firmitudo* i *artificium* szańców *immenso labore* przez długi przeciąg miejsca zrzuconych, w których tak się byli pobudowali i ufortyfikowali, że le-

dwie nie tak długo musielibyśmy byli ich tam dobywać, jako oni Smoleńska, albo, jeślibyśmy byli chcieli *accelerare*, tedybyśmy musieli byli wszystko wojsko na to ważyć“... „Czego wszystkiego że nieprzyjaciel, żadnego na się gwałtu nie mając, dobytej prawie na się szable naszej nie widząc, (bo szturm na jeden blokauz tego obozu, wykonany 28. września, był bezowocny), *solo perculsus metu* odbiegł, rozumiem i nie zawiodę się na tym, że to może *inter miracula stupenda huius saeculi* poczytać, i jestto dowodem dotkliwym, że Pan Najwyższy chce teraźniejszego pana naszego *palpabiter* błogosławić i wynieść“. Obóz był tak obficie zaopatrzony w żywność i w ogóle we wszelkie zapasy, że kilkanaście tysięcy ludzi, przez cały dzień wożąc, nie zdołało wszystkiego przewieźć do obozu Szehina.

Właściwe pole do popisu dla swego męstwa i sprawności znalazły wojska polskie dopiero w ciągu października: ten miesiąc mieści w sobie okres najgoretszej walki i największych zarazem powodzeń oręża polskiego. Nie brakło jednak już i w ciągu września epizodów chlubnych: nasz Moskorzowski umniejsza trochę niesłusznie zasługę swych rodaków, jeśli korzystne rezultaty, osiągnięte przed końcem tego miesiąca, kładzie w przeważnej części na karb jakiejś niewytłómaczonej trwogi nieprzyjaciół. Dwukrotne zdobycie góry Pokrowskiej, zwycięska walka Polaków na terenie ze wszech miar niekorzystnym, uniemożebniającym użycie sił polskiej jazdy, musiała wzbudzać w Prozorowskim obawę, że łatwo może zostać zupełnie odciętym od obozu Szehina i że w takim razie trudniej mu będzie samemu sprostać naporowi wojsk litewsko-polskich, a wojskom tym o wiele łatwiej przemódz dwa oddzielone od siebie obozy.

Zanim przejdziemy do walk październikowych, godzi nam się zatrzymać chociaż nad kilkoma bardziej charakterystycznymi epizodami z dziejów pierwszego miesiąca. Uwagi godne są zwłaszcza wyborne szczegóły, jakie ks. Koludzki podaje w relacyi z 27. września o Kozakach. Kiedy w po-

łowie miesiąca przybywali oni do obozu, czynili — jak zwykle zresztą na pierwszy rzut oka — wrażenie jakiegoś bezładnego tłumu: „wlekli się po kilkunastu chorągwi w kupie *sine lege et ordine*, w tym tylko wszystek porządek, że chorągwie podle siebie pospołu, *nec in bellis reputanda turba:* raczej na *satyros*, niż na *cultos homines* poszli, chłopi podobni wszyscy, *cinericio habitu*, rzadko w modrzy albo w czerwieni, skóra na ciele ich jak kork na drzewie, *contemptus vitae maximus, maior cura cremati, quam vitae*"... Ale gdy przyszło do walki, wnet się okazało, jakie to zuchy. Ledwie stanęli w obozie, zaraz ich skorciło „podejść pod nieprzyjaciela". I przywiedli też zaraz jeńców — trzech przednich oficerów. „Oracyi nie było" — powiada ksiądz Koludzki — „tylko: Korolu, oś majesz Niemców (a Francuzowie byli). Dano im dwa cebry miodu i 20 talerów twardych i kontentowali się". W parę dni później, 22. września, dali pierwszą i świetną próbę swojej brawury i wytrzymałości. Już pod bokiem obozu Prozorowskiego, pod rzęsistym ogniem strzelby nieprzyjacielskiej, rzuciło się ich kilkudziesięciu nago, z szablami w zębach w wody Dniepru i przeprawiło się szczęśliwie przez rzekę: a tam, na drugiej stronie „nasiekli siła Moskwy" i zmusili muszkieterów, strzelających u brzegów, do ustąpienia, a budynek, który im służył za osłonę, rozrzucili. „Jeden także z nich taką odwagę uczynił, że gdy trzeba było na drugiej stronie dostać języka, puścił się wpław przez rzekę i leżał w wodzie przy brzegu, aż przyjdzie do wody jeden Moskwicin: alić go on za włosy porwał i wrzucił w wodę i tak z nim przepłynął nazad... Śmiesznie bardzo powiedał tę tragedyą ten Kozak królowi JMci, jako nań czuwał i jako z nim płynął; kontentował go (król) za pracą kilką ortów. Zaprawdę, nie każdemu chce się o tym czasie kąpać, jako tym dobrym ludziom". Kozacy oddawali w istocie wielkie usługi, zwłaszcza w podjazdowej walce: „nie bardzo na czoło nacierają, bo też goły lud: ale z rowów, chróstów często się Moskwie przykrzą: mają też

swój szanc przeciwko Moskwie". Podnosimy te szczegóły z naciskiem, jak podnosiliśmy podobne zawsze, ilekolwiek razy zdarzyło nam się pisać o jakiejkolwiek wojnie z przed roku 1648: bo dzieje wszystkich tych wojen wykazują, że Kozacy był to materyał wojenny pierwszej próby, świetnie zwłaszcza sposobny i uzdolniony do służby pieszej. Zapełniali oni w naszych armiach brak licznej i dobrej piechoty: i tem się tłumaczy, dlaczego, gdy ich nie stało, gdy Polakom wypadło stanąć przeciw nim samym do walki, już nie tak często i nie tak szczęśliwie wiodło się naszym na polach bitew, jak przed rokiem 1648. W bitwie piławieckiej objawiła się cała przewaga tych nieokrzesanych, ale dzielnych piechurów nad jazdą polską: i czyniłby krzywdę zarówno Kozakom, jak i zwyciężonym z pod Piławiec, ktoby chciał lekceważyć tę okoliczność, że nie stawał tam bynajmniej tłum jakiegoś bezładnego chłopstwa przeciw zastępom rycerstwa polskiego, lecz że przeciwnie, po jednej stronie walczyła nieregularna, ale liczna i doskonale przysposobiona do użyciu broni palnej armia piechotna, — po drugiej zaś głównie tłum szlachty na koniach, odzwyczajonej od służby wojskowej i wprawnej do szermierki na biały tylko oręż. To też zwycięstwo piławieckie było nie tyle tryumfem męstwa Kozaków nad rzekomem niedołęstwem Polaków, ile rezultatem naturalnej przewagi dobrze użytych muszkietów nad bezsilnemi wobec nich szablami. Tak uważana „hańba piławiecka" może utracić, bądź co bądź, wiele z niechlubnego swego dla naszej sławy wojennej znaczenia.

Kulminacyjnym faktem w dziejach wojny smoleńskiej z roku 1633 była walka o górę Skowronową, pozycyę niesłychanie ważną dlatego, że położeniem swojem dominowała ona nad całym obozem Szehina. Moskwa zaniechała zabezpieczenia sobie tej pozycyi wojskami, mimo że obóz przylegał nieledwie do góry: skorzystali z tego nasi hetmani i 18. października obsadzili ją kilkoma pułkami piechoty. Dopiero gdy stanowisko znalazło się w rękach wojsk litewsko-pol

skich, zrozumiał Szehin, co stracił, i wytężył wszystkie siły, aby błąd naprawić. Stąd wywiązała się zajzaciętsza w całej wojnie bitwa z 19. października.

Epizod ten przedstawił wyśmienicie sam Moskorzowski w osobnym dyaryuszu (strona 49—58). Jest to może najlepsza relacya w książce. Znać w opisie wojskowego, który rozumie doskonale znaczenie terenu w obrotach bitwy i dlatego też właściwości tego terenu szczegółowo opisuje. Widownią najgorętszej walki była „ciasna szyja", leżąca między górami Dziewiczą i Skowronkową, zamknięta z trzeciej strony szańcami Szehinowego obozu — a więc tylko z jednej strony dostępna. Na górze Skowronkowej walczyły ze sobą wojska piesze, a do góry najłatwiejszy dostęp dawała owa „ciasna szyja", „skąd" — jak powiada Moskorzowski — „najsnadniejszy nieprzyjaciel wstręt i piechota nasza posiłek mieć mogła". „I tam był nieprzyjaciel przedniejsze fortele swoje i siły obrócił, wyrychtowawszy w przeciwnej górze na kilku bateryach przeciwko tej ciasnej szyi działa, skąd gęstą i straszliwą strzelbę bez przestanku puszczano, a w bok tego ciasnego placu, pod brzegiem Dnieprowym, za błotem, muszkieterów blisko potężny regiment zasadzono". W tę to szyję wdarł się regiment pieszy Wajera i nadto chorągwie konne pod wodzą samych hetmanów, z sukkursem dla walczącej na samej górze piechoty, której już amunicyi niedostawało. „Tam dopiero" — są słowa Moskorzowskiego — „straszliwa z dział i z ręcznej strzelby igraszka powstała, kiedy nieprzyjaciel, aby nas był z onej szyi wyparł, gęste z przyległej góry w jedno a ciasne miejsce ciskał pioruny, i kiedy do onego jednego celu wypuszczone ze trzech stron razy się roiły, bo i z lewej od Dniepru i z prawej strony do góry i od czoła, gdzie się ona przestrona (pełna pułków moskiewskich zasadzkami obstawionych) równia otwierała, kule jako grad leciały, ogromne ze wszystkich stron trzaskania *imperia ducum* zagłuszały, a prospekt gęstym dymem i kurzawą odjęty same tylko prawie nieustające ognie czy-

niły"... „Trwała bowiem ta łaźnia *circiter* przez cztery godziny do głębokiego mroku, a była tak gorąca, że się w niej i wodzom samym z inszymi równo pocić przyszło". Wojska litewsko-polskie wytrzymały jednak dzielnie i ten ogień i atak na górę Skowronkową, która też pozostała w ich mocy: Moskwa po nieudałych wysiłkach z 19. już się nie kusiła drugi raz o odzyskanie tej pozycyi, mimo że odtąd najwięcej szkody cierpiała od ustawionych na niej dwóch litewskich bateryi.

Dzień 19. października zapisał się najgłębiej w pamięci wszystkich uczestników wojny smoleńskiej, jako najgoretszy i najbardziej krwawy. Kilkakrotnie powraca do dziejów tego dnia Moskorzowski w swoich relacyach. Powołuje się na świadectwo samego króla, który miał napisać w liście do królewny, „iż starszy pułkownicy powiedają, że nigdy w gęstszym i dłużej trwającym ogniu nie byli". I sam nasz autor dyaryusza dodaje od siebie: „*Constat* między tymi, którzy wszystkich przypadków ostatniej wojny świadomi, że i razu jednego jeszcze ten nieprzyjaciel z takim impetem i z taką rezolucyą na wojsko J. kr. Mci nie natarł jako na ten czas, skąd znać, że mu szło o wielką". „Z samych dział nieprzyjacielskich przez te godzin kilka najmniej razy sto uderzył, bo z trzech bateryj bez przestanku bito, a razem czasem z dziesięciu dział. A z muszkietów tak bardzo, że właśnie zdało się, że się piekło otworzyło". Na samą piechotę polską i litewską miał król wydać gotowych kul muszkietowych aż 70.000 — a przed zmierzchem mimo to amunicyi zabrakło! Strat przecież po stronie naszej wedle zapewnienia Moskorzowskiego poniesiono tak mało, że aż dziwno, bo zginęło zaledwie czterech z towarzystwa: co prawda, było „postrzelonych bardzo siła, a koni pewno z kilkaset".

Trzeba to uznać, że wojska polskie dały w istocie w ciągu tej dwumiesięcznej walki pod Smoleńskiem niezwykłe dowody swojej sprawności i wytrzymałości. Trudno bo-

wiem znaleźć w dziejach wojen polskich z XVII wieku wypadek, w któryinby sytuacya naszych była pod względem strategicznym bardziej niekorzystną, niż w niniejszym. Siła wojsk polskich leżała w jeździe: a jazda potrzebowała szerokich i równych terenów. Polak szukał walki na otwartem polu, gdzie mógł rozwinąć w całej pełni swoją biegłość w używaniu konia i białej broni. W murach i szańcach umiał się także, gdy było potrzeba, bronić znakomicie, ale nie miał zmysłu do pracy oblężniczej, do tej walki powolnej, wytrwałej i upartej o każdy kawałek ziemi, o każdy szaniec, w której główną rolę gra nie brawura, lecz rozwaga i cierpliwość. Nawet w dalszym toku tejże samej wojny, którą się zajmujemy, okazało się, jak mało posiadali Polacy zdolności do akcyi oblężniczej, a to mianowicie pod zamkiem Białą. Ten ostatni epizod wojny nie umniejsza jednak zasługi wojsk polsko-litewskich z czasu walk wrześniowych i październikowych: zasługi poniekąd wyjątkowej, właśnie dlatego, że pod Smoleńskiem nie było pola do popisu dla naturalnych zdolności naszego żołnierza. Dosyć przypomnieć, że 19. października — w braku dostatecznej ilości piechoty — jazda musiała iść z pomocą regimentom pieszym, czynnym na górze Skowronkowej i zapuściła się w ową ciasną szyję między górami, i to mimo że właściwości terenu uniemożebniały tam po prostu swobodne ruchy wojska konnego. Przeważna część działań wojennych z tego czasu, to walki o szańce, doskonale zbudowane i bronione, a więc znowu walki, do których Polacy najmniej byli usposobieni. Jeżeli mimo to wyszli z nich zwycięsko, to niezawodnie dowód znacznego u nas postępu w sprawie wojennej: to zapewne owoc doświadczeń, nabytych zwłaszcza w ciągu wojen szwedzkich z ostatniego trzydziestolecia. Nietylko Moskorzowski, ale i wielu innych świadków wyprawy smoleńskiej przyznaje dosyć zgodnie, że wojska litewskie spisywały się w tej wojnie dzielniej, aniżeli koronne. Bardzo trafnie tłómaczy fakt ten Kotłubaj okolicznością, że w naturze Litwina było da-

leko więcej biernej uległości dla zwierzchników, aniżeli u Polaków. Radziwiłł znajdował w nich daleko bardziej powolnych podwładnych aniżeli król i hetman koronny w Koroniarzach. Wynikało to po części ze stanowiska rodziny Radziwiłłów na Litwie — tej rodziny magnackiej, która miała w swem posiadaniu ogromne obszary ziemi litewskiej, a więc i znaczną część tamtejszej ludności ciągnęła za sobą niby klientów. Litwini słuchali Radziwiłła, bo go potrzebowali, bo się nań musieli oglądać, bo osobiste interesa wiązały doń po prostu całe tłumy. A szczęśliwym wypadkiem ten właśnie Radziwiłł, który stał na czele wojsk litewskich w roku 1633 i 1634, należał do ludzi nietylko zdolnych, ale i fachowo wykształconych w rzeczach wojennych. Doświadczenia z wojen szwedzkich, w których nieraz bywał czynny za Zygmunta III, przydały mu się wyśmienicie pod Smoleńskiem. On też był duszą całej sprawy — nawet mimo obecności w obozie króla, któremu także nie zbywało na odpowiednich zdolnościach i wiedzy. Król zdawał często dowództwo na Radziwiłła, ale i sam chętnie stawał na czele wojsk swoich i nie unikał walki ani niebezpieczeństw. Naprzykład 18. października, mimo że „z góry za Dnieprem przyległej gęsto strzelano, z których podczas kule blisko miejsca, gdzie był stanął J. kr. Mość, padały“. — przecież „całą noc na dżdżu *ad radices* tejże góry trwał“ (strona 52). Później, 24. października, „sam osobą swoją robocie mostowej na Dnieprze w wielkim *alias* niedostatku gwastatorów i potrzeb do tego należących przynaglał, nie leniąc się i sam *exemplo suo* dworowi i towarzystwu, którzy byli *praesentes*, ochoty dodawać“... Moskorzowski, który w ogóle w rozdzielaniu pochwał jest umiarkowanym, a w sądach swoich zazwyczaj nawet bardzo surowym, później, w styczniu 1634 roku, zdobywa się, wspominając o królu, wyjątkowo nawet na słowa gorącego entuzyazmu. „Król Jegomość“ — czytamy w jednym z jego listów — „*perseveranter* z nami *incurias coeli perfert* i odjechać nie myśli *ante belli exitum:* Pan, którego

iure nazwać możesz *delicies generis Poloni*, tak *affabilis*, tak skłonny, tak nieradby, aby kto z smętną od niego odszedł twarzą“ (strona 74—75). Dostają się wyrazy uznania także Radziwiłłowi, które, mimo że wypowiedziane przez sekretarza hetmana, nie brzmią jak panegiryk, taki w nich akcent szczerego przekonania i takie umiarkowanie. Podnosi to zresztą nietylko Moskorzowski, ale i Przypkowski, że zwłaszcza w dniu 19. października dał Radziwiłł przykład nieustraszonej przytomności umysłu i lekceważenia śmierci, gdy przez kilka godzin „na najgorszych raziech i na samych i od dział i od muszkietów celach z gołemi piersiami“ dotrwał do głębokiego mroku, „odważywszy się na wszystkie *species* ran i śmierci“... (strona 55—56 i 64—65).

Ale już i w tym najświetniejszym epizodzie wojny smoleńskiej, który się skończył w październiku, nie brak również i stron ciemnych, ujemnych. Smutne światło na stan rzeczy w obozie polskim zaraz w pierwszych dwóch tygodniach rzuca treść listu Moskorzowskiego z połowy września 1633 roku (strona 16—17). Jest tam wiadomość o tem, że zaraz „za przyściem króla JMci“... „nastąpiły między hetmany naszym i koronnym emulacye“ i wskutek tego „taki srogi w obozie naszym nierząd, że to cud“. I nie był to wypadek sporadyczny: bo w późniejszej relacyi, pod datą 4. października, znowuż jest mowa o „naszym nierządzie i emulacyach, jakie się między hetmany zawijają i które się tak zawzięły, że jeden drugiego radby na taki raz naraził, żeby go i o sławę i o żywot oraz przyprawić mógł“.

Uwagi godna, że Moskorzowski nie waha się użyć słów tak surowych, chociaż mówi o swoim panu, hetmanie Radziwille: snać musiał mieć do tego ważne powody. Obraz obozu, jaki kreśli w liście z połowy września, jest bardzo niepocieszający. Wojsko w części nieopłacone i do obozu zagląda widmo głodu. „Zdechła szkapa“ uchodziła już za „największą zwierzynę“, zdarzały się wypadki, że ludzie, przyciśnięci głodem, poprzedawali się do Moskwy. Niektóre

chorągwie potraciły tyle koni, że po prostu służyć nie chcą. Do dział brak amunicyi.

A zatem — znowu taż sama historya, która się wyjawia przy bliższem rozpatrywaniu dziejów każdej prawie wojny polskiej z XVII wieku. Jest męstwo nieustraszone, są zdolności świetne, jest znajomość sztuki wojennej wcale biegła: tylko niema zgody, niema ładu, niema dostatecznych zasobów. Jak zwykle, wojsko musi służyć przez pół za darmo; jak zwykle, musi cierpieć niewygody i brak żywności — i to zaraz u wstępu do wyprawy, w chwili, kiedy kraj dokoła otwarty i komunikacya z ziemiami Rzeczypospolitej nieprzerwana; jak często wreszcie, prócz wojny z nieprzyjacielem, jest w obozie wojna domowa, rozbrat między wodzami, rozstrój między zwierzchnikami a podwładnymi...

Tak było już w początkach wojny: jeszcze gorzej później, w dalszych jej fazach.

III.

Bezpośredniem następstwem walk październikowych było zupełne osaczenie obozu Prozorowskiego i Szehina przez wojska litewsko-polskie opodal Smoleńska. Pod dniem 27 października konstatuje Moskorzowski, że „nieprzyjaciel, rzekę, brzegi jej z dołu i z góry straciwszy, naszymi wojski zawarty, nietylko w samym gnieździe swoim spokojnego wyspania niema, ale i wszystkie gościńce zajechane mając za pobudowaniem *locis oportunis* ostrożków, którego ciaśniej codzień ściskać będą“... Od ostatnich dni października zaczyna się też to oblężenie obozu moskiewskiego, które miało potrwać jeszcze całe cztery miesiące. Król postanowił sobie widocznie ogłodzić nieprzyjaciela: bo w ciągu tych czterech miesięcy ograniczano się przeważnie na ostrzeliwaniu obozu, wyjątkowo tylko puszczano się na harce i utarczki: żadnego walnego ataku na szańce oblężonych nawet nie próbowano. Prawda, że z drugiej strony i Moskwa unikała walki i trzy-

mała się uporczywie poza ostrożkami; zaledwie parę razy, jako to 23. i 27. listopada, 2. i 13. grudnia i wreszcie 7. stycznia, wyprowadzał Szehin część wojsk w pole — ale wnet albo je cofał, nie wszczynając wcale walki, albo też dawał się wpędzić za szańce, nie podtrzymując oporu. Zdarzały się całe tygodnie, w ciągu których nie było żadnych utarczek, nawet z podjazdami; ważniejsze starcia miały miejsce 27. listopada, w którym to dniu dwa podjazdy zostały rozgromione, 12. grudnia, kiedy książę Radziwiłł w kilkanaście chorągwi rozgromił i zagarnął kilkuset Moskwy, 14. grudnia, kiedy oddział ze 150 rajtarów i kilkudziesięciu strzelców złożony, także uległ rozbiciu; i wreszcie 7. stycznia, w którym to dniu ostatni raz przed kapitulacyą Szehina Moskwa wystąpiła liczniej w pole, ale na to tylko, aby ponieść znaczne szkody i zostać wnet zapędzoną napowrót do swego obozu. Dopiero około połowy stycznia sprowadził król kilka cięższych dział ze Smoleńska na górę Skowronkową, skąd odtąd wytrwale i z pomyślnym skutkiem ostrzeliwano nieprzyjaciela. Już w drugim tygodniu stycznia zaczęły się zarazem układy, przerywane jeszcze kilkakrotnie, ale ostatecznie, pod koniec lutego, zakończone szczęśliwie dla naszych, haniebnie dla Szehina i jego armii.

Czy oblężenie obozu Szehina nie trwało za długo? Czy nie można go było skrócić przedsięwzięciem kilku walnych ataków? Czy straty, jakie wojsko polsko-litewskie poniosło podczas czteromiesięcznego obozowania na polu, w najprzykrzejszej porze jesiennej i zimowej, wśród niedostatku i chorób, nie były znaczniejsze od tych, na jakieby się ewentualnie narażono w razie podjęcia bardziej energicznej akcyi wojennej? Opierając się na wszystkiem, co o tym epizodzie dziejów wojny smoleńskiej mówi Moskorzowski, trzebaby powiedzieć, że tak: że oblężenie nie było prowadzone tak energicznie, jak być mogło; że nie uczyniono wszystkiego, co uczynić należało i było można, dla przyspieszenia fatalnego dla Moskwy wyniku, który był dla niej już od grudnia

nieuniknionym; że w ogóle ten epizod wojny obfituje już więcej w strony ujemne, niż w dodatnie. W liście Moskorzowskiego z 22. stycznia 1634 roku, znajdujemy bardzo surową krytykę działań armii litewsko-polskiej z miesięcy zimowych: „Boże się pożal sławy narodu naszego, że tak *misere prostituitur!* Jeszcze też podobno *vix in historia nostrae nationis extat*, iżby król polski *cum robore exercitus* pod tak błazeńskim ostrogiem, w którym głód i choroby różne połowicę wojska (a niemasz go nad 10.000 wszystkiego) nieprzyjacielskiego *ad arma tractanda inhabilem* uczyniły, tak długo kiedy leżeć miał. Żadnych municyi oprócz tych biednych kijów koło Szehinowego stanowiska niemasz; a my przecie wolemy tego czekać, aż oni *ultro* nas *invadent* kiedy, a nie uważając, że *confectum esset bellum* i otwarta do stolicy droga, gdybyśmy tych tu znieśli, wolimy sami *nihil agendo* ginąć, niż nieprzyjaciela w jego legowisku atakować“...

Przyczyn tej rozwlekłości działań wojennych, biernego więcej stanowiska wojsk naszych pod obozem Szehina doszukać się jednak dosyć łatwo przy bliższym rozglądzie w stosunkach, jakie wówczas — od listopada do marca — panowały w obozie polskim. Przedstawiają je zarówno Moskorzowski, jak i Przypkowski, w bardzo posępnych kolorach. Bezład rośnie z dnia na dzień; niezgody nie ustają, owszem, także się mnożą; niedostatek paszy i żywności coraz dotkliwszy; co gorsza, zaczyna się zbiegostwo na wielką skalę. Listy Moskorzowskiego z 31. października i 22. listopada i relacya jego z 22. stycznia, listy Przypkowskiego z 29. października i 3. grudnia, pełne są uwagi godnych, ale nie wesołych szczegółów o sytuacyi, w jakiej się to wojsko znajdowało. Wedle listu Moskorzowskiego z 31. grudnia w obozie polskim panował już nietylko niedostatek, ale po prostu głód i nędza. Piechota żyła własnym przemysłem: „tylko za jeden miesiąc dotąd, jak w zaciągu są, zapłacono“. „O siano tak bardzo trudno, że nasze konie wrzosem a chrostem karmimy, a owies srodze drogo płacimy“. Żoł-

nierz stracił ochotę do walki i upada coraz bardziej na duchu: „straże bardzo ledajako odprawują“; zdarzyło się też naprzykład, że kilku bojarów dotarło konno od Szehina poprzez obóz polski, aż pod budę królewską — i dopiero wtedy ich spostrzeżono! Podobne szczegóły mieści list Przypkowskiego z 3. grudnia: „Jużci to owe sławne regimenty nasze“ — powiada — „do tego przyszły, że ledwie po stu, po półtorasta pod niektórymi, co było po 1.200. Przyczyna głód, niepłacenie, srogie uciekanie i *timiditas* naszych Polaczków — acz i z koronnego wojska pacholików większa połowica pouciekało. Chorągwie kuse, szkapy u nas wszystkich pomarniały, głód, niedostatek, praca, niewczas, pluty, a teraz już śniegi i mrozy srodze nam w polu dokuczają“. Z pierwszego listu Moskorzowskiego dowiadujemy się, że 17. grudnia upłynęła druga ćwierć borgowa dla wojska litewskiego — a pieniądze zaledwie za pierwszą ćwierć przywieziono: „siełą hałasu, który kilka dni trwał, zażyć hetman musiał, nim ich w służbie dalszej zatrzymał i do brania pieniędzy za ćwierć jedną przywiódł“ (strona 71). Nie brak też analogicznych danych w następnej relacyi tegoż świadka naocznego z 22. stycznia.

Rozumie się, że jeśli w obozie polskim działo się źle, o wiele gorzej działo się w obozie moskiewskim, zewsząd ściśle osaczonym. Już w drugiej połowie listopada jeńcy donosili o nędzy, tam panującej, i o padaniu koni, których tylko ośmset miało pozostać. „Choroby też jakieś zaraźliwe i puchliny zagęściły się; rzadko który dzień, żeby kilku nie pochowano“ (strona 62). „O wielkich chorobach i powietrzu w taborze moskiewskim“ czytamy też i później, w streszczonych zeznaniach przedawczyków ze stycznia 1634 roku (strona 74). Położenie Szehina było od stycznia rozpaczliwe: zwlekał z poddaniem się tylko dlatego, że ciągle wyglądał odsieczy, nie wiedząc, iż jeszcze w listopadzie poszła pod Drohobuż część wojska polskiego i powstrzymała nadciągające posiłki moskiewskie, zająwszy to miasto. W oczekiwaniu

pomocy zrywał też Szehin kilkakroć nawiązane w styczniu układy: to też wlokły się z przerwami blisko dwa miesiące. Już pod koniec stycznia oświadczyli wysłańcy polscy moskiewskim stanowczo: „aby nasze kondycye przyjąwszy, swoich ani wzmianki nie czynili, ani nie ukazowali, *alias* ze wszystkiego nic nie będzie“. Musiał się Szehin odwołać do łaski króla, aby „jako pan krześcijański i kawalerów dobrych patron chciał się po krześcijańsku z nimi obejść“. Wówczas dopiero zaczęły się targi na dobre: król poczynił dosyć znaczne od pierwotnych żądań ustępstwa. Układy zostały ukończone 25. lutego. Warunki kapitulacyi Szehina, jakkolwiek niezgodne dosłownie ze znanymi dotychczas, nie różnią się od nich zasadniczo: powtarzać ich więc nie będziemy. Dnia 26. lutego nastąpiło zaprzysiężenie ugody przez wodzów moskiewskich i spisywanie zapasów broni; 27. odbieranie dział i amunicyi. Wreszcie 1. marca odbyła się ceremonia składania chorągwi u stóp króla. „Piękneż to było *spectaculum*“ — opowiada świadek naoczny, Moskorzowski — „gdy wybornego wojska nieprzyjacielskiego 8 tysięcy w pośrodek naszego, w ogromnym szyku po obu stronach stojącego, wszedszy, bez bębnów, bez muzyki, z pogaszonymi knotami ozdobne chorągwie swoje pod nogi *victoris* miotali, tak długo na nie na ziemi leżące patrząc, póki rozkazanie króla JMci, aby je podnieśli, nie nastąpiło“. Było tych chorągwi 122. „Wdzięcznaż to była obozowa zabawa nasza, gdy owi sędziwi starcowie, Szehin, Prozorowski, Izmailów, Białosielski z pułkownikami, obersztrami i ze wszystką starszyzną wojskową, z koni pozsiadawszy i przed Kr. JMcią, który na koniu dzielnym i świetno przybranym siedział, przyszedszy, w samą ziemię czołem bili. Strzymać się człowiek od łez nie mógł, patrząc na taką *vicissitudinem rerum*, gdy to wojsko, które niedawno wszystkiemu Księstwu litewskiemu straszne było, między hufcami nieprzyjaciół swoich tak cicho, tak smutno, że żaden z nich i bąknąć nie śmiał, iść musiało“. Działa i amunicya przeszły w ręce polskie. Było

tam 110 armat, 7 moździerzy, muszkietów ze szpadami na osiem tysięcy ludzi, prochu fas ośmdziesiąt. Wartość samych dział szacowano na trzykroć sto tysięcy talarów.

Wojsko moskiewskie, rozbrojone, zaraz następnego dnia wyruszyło w pochód ku Moskwie pod konwojem polskich oddziałów. Wojsko królewskie pozostało jeszcze przez osiem dni na miejscu. „Zaczym to było *intentum* J. Kr. Mci“ — powiada Moskorzowski — „wojsko wszystko tak konne, jak i piesze pod zamkiem w szyku ukazawszy, nazad się do stanowiska wrócić, a jaki pułk pod Białą zostawiwszy, iść w głąb w ziemię moskiewską z ostatkiem wojska, przebierając się ku Zubcowu i ku Robewilej nad rzekę Wołgę, gdzie o żyznym kraju i obfitości żywności powiedano“. Myśl była z pewnością szczęśliwa — i gdyby nie brakło sił i wytrwałości do jej wykonania, mogłaby była przynieść rezultaty wiekopomnego znaczenia. Dopiero 8. marca część wojska wyruszyła ku Drohobużowi, 10. druga część ku Białej; a za tą drugą częścią reszta wraz z królem 11. marca. W dwa tygodnie później główna siła armii litewsko-polskiej zatrzymała się pod Białą, miasteczkiem, położonem nad rzeką Meżą na północny wschód od Smoleńska. W zamku bialskim stało załogą tylko jakichś 1.000 ludzi pod Fiedorem Wołkońskim. Król, jak widać z przytoczonych wyżej słów Moskorzowskiego, miał pierwotnie zamiar zostawić pod Białą tylko oddział wojska, ale „indżynierowie“ upewnili go, że przy użyciu wszystkich sił najpóźniej za dni pięć albo sześć stanie się panem zamku. Uwierzył im i „rezolwował się przez tydzień tu z wojskiem zostać“. Dnia 24. marca rozpoczyna się ten epizod bialski, który, jako zamykający wyprawę smoleńską, nie jest godnem jej poprzednich tryumfów zakończeniem. Nie tydzień, lecz prawie całe dwa miesiące strawiono pod dosyć nędznym zameczkiem, i to całkiem bezowocnie, bo w drugiej połowie maja wypadło odstąpić od oblężenia, nie zdobywszy zamku, ani uczyniwszy nawet żadnej bardziej znaczącej szkody murom zamkowym i siedzą-

cej w nich załodze. Wojskowa inżynierya polska raz jeszcze dała dowody swej nieudolności, i to tym razem dowody rażące. Podjęto roboty oblężnicze na wielką skalę: zabrano się do budowania min, próbowano odciąć dopływ wody, usiłowano spalić zamek i miasto ognistemi kulami. Ale, po prawdzie, nic z tego wszystkiego się nie udało; przeciwnie oblegający ponieśli większe szkody wskutek własnej nieostrożności, a obrotności i wytrwałości załogi moskiewskiej, niż ta załoga w zamku. Haniebnym wprost był dla wojska naszego wypadek z 6. kwietnia, kiedyto w biały dzień oddział wojska, wypadłszy z murów, wpadł bez przeszkody na szańce Wayhera i Morego, szyldwacha sprzątnął, dostał się do „laufgrabów", zabrał 8 chorągwi, dotarł nawet do kwatery samegoż Wayhera i stąd, prócz różnych rzeczy i szpady p. Morego, zagarnął żywcem kapitana i dwóch żołnierzy — i „to zrobiwszy — jak powiada Moskorzowski — nazad się wrócili, kilku tylko straciwszy". Pokarano potem winnych — ale wstyd został. Jeszcze gorzej spisywali się panowie „indżynierowie". Minę, budowaną przez niejakiego Hornka, trzeba było porzucić, „dlatego, że źle była zaczęta i walić się poczęła i nie wiedział, jako ją dalej prowadzić". Dopiero 9. maja postąpiły oblężnicze roboty tak daleko, że można było pomyśleć o walnym szturmie. Ale szturm nie udał się: co gorsza, dzieło kunsztowne minierów obróciło się na szkodę samegoż królewskiego wojska. Zapalono wprawdzie miny: ale „z tych jedna od p. Wajerowego stanowiska ku narożnej baszcie wiedziona, *per imprudentiam et pertinaciam* indzieniera p. Hornka... na p. Wajerowe stanowisko impet swój wszystek obróciła, a baszty nic nie ruszywszy, *magno strepitu erumpens*, do 200 części z jezdy, która z ochoty swej z koni zsiadła, częścią piechoty naszej, w szańcach pogotowiu do szturmu stojącej, jednych bryłami ziemie z ogniem zmieszanemi potłukła, drugich poopalała, trzecim nogi, ręce połamała, a wszystkich tam będących ziemia tak przysypała, że się ledwo z niej wygrzebli". „Ta zaś mina, od kwartyru

Książęcia JMci Podkomorzego, prowadzona pod zamek, uczyniłać wprawdzie effekt i róg baszty wywaliła, ale iż ziemie ledwie co ruszyła, a dyle i drzewa wszystko ku nam obaliła i *transitum penitus* zawaliła“... Smutny to był epizod i prawie aż śmieszny w swej fatalności: bo powodzenie szturmu zniweczyli sami oblęgający, zadawszy sobie samym szkody, podczas gdy Moskwa zachowywała się w zamku, jak się zdaje, całkiem biernie. Musiało być uczucie wstydu i zakłopotanie w wojsku a zwłaszcza u króla i wodzów wielkie, skoro po nadejściu (w tydzień później) listów od komisarzy polskich, którzy zanosili w imieniu komisarzy moskiewskich prośbę, aby król obleganiem Białej nie utrudniał układów, — chwycono się skwapliwie tego pretekstu i w nocy z 17. na 18. „cicho“ odstąpiono od zamku.

Prawda, że układy o „wieczny pokój“ były w istocie na ukończeniu: gdy król dotarł z wojskiem 26. pod Polanówkę, przybył tam już po to tylko, aby się dowiedzieć, że pokój zawarty. Układ stanął 27. maja: 13. zaś czerwca potwierdzili go obaj monarchowie. „Kondycye“ układu są dostatecznie znane z dawniejszych opracowań.

POLSKA

wobec wyniku wojny 30-letniej.

W całym[1]) przebiegu dziejów od Karola Wielkiego po czasy rewolucyi francuskiej trudnoby znaleźć sprawę wojenną większej rozległości i doniosłości, niż ta, którą się obejmuje nazwą wojny 30-letniej. Żadna inna nie poruszyła sobą tak wielkiego zastępu państw europejskich, i żadna inna nie wprowadziła w grę tak różnorodnych interesów; żadna też inna nie odbiła się następstwami swemi tak wydatnie i głęboko na stosunkach politycznych całej Europy i na stosunkach wewnętrznych każdego z głównych państw europejskich z osobna. Nie było w Europie państwa — z jednym może wyjątkiem Moskwy — któreby bezpośrednio lub pośrednio nie uczestniczyło, przez jakiś czas przynajmniej, w tej wojnie;

[1]) W artykule niniejszym rzucam parę ogólnych uwag i poglądów, dotyczących spraw polityki szwedzkiej i polskiej w XVII wieku. Nie są one wszystkie moją własnością: znaczna ich część będzie zapewne znaną tym przynajmniej, którzy są oczytani w literaturze historycznej niemieckiej, mianowicie w dziełach *Wintera*, *Philippsona*. *Erdmannsdoerfera*, *Pribrama* i t. p., odnoszących się właśnie przeważnie do dziejów XVII wieku. Ale właśnie z jednej strony ta okoliczność, że niektóre trafne poglądy, wyrażane niejednokrotnie przez obcych pisarzy a nas głównie obchodzące, u nas się jeszcze albo wcale nie przyjęły, albo uznane przez specyalistów, nie dotarły do wiadomości ogółu, a z drugiej strony wzgląd na przydatność skupienia rozrzuconych w różnych pracach dorywczych uwag i spostrzeżeń w jednolitym wywodzie — skłoniły mnie do zestawienia wyników obcych badań i opinij w niniejszym artykule, w którym zresztą nadarzyła mi się sposobność do sprostowania pewnych błędów, popełnionych przez cudzoziemców, jakoteż do wypowiedzenia moich samodzielnych na niektóre kwestye zapatrywań.

nie było zaś z pewnością żadnego, któreby nie odczuło pod jakimś względem jej następstw. Obok dwóch głównych grup mocarstw Zachodu i Północy: cesarstwa i Hiszpanii przeciw Francyi i Szwecyi, najdłużej czynnych w olbrzymim między sobą zatargu, złożyły na widowni tych długotrwałych zapasów ofiarę krwi: naprzód Dania w dwóch kilkoletnich okresach czasu, państewka włoskie, kilkakroć wciągane do walki przez Hiszpanię, to przez Francyę, jak Sabaudya, Piemont, Mantua w różnych latach, — dalej pośrednio Stany holenderskie, które w roku 1621 podjęły raz jeszcze krwawą rozprawę o niepodległość, Anglia, jako uczestniczka przymierza, zawartego w St. Germain w interesie protestantów niemieckich, a potem jako sprzymierzeńczyni hugenotów przeciw katolickiej Francyi: i wreszcie nawet Portugalia przez dywersyę, urządzoną Hiszpanii w roku 1640 pod hasłem niezawisłości od hiszpańskich Habsburgów. Najmniejsze względnie udziały przypadają na państwa wschodniej i południowej Europy: Polskę i Turcyę: udział Polski ograniczał się bowiem tem, że wstrzymywała do roku 1629 interwencyę Szwecyi w sprawach niemieckich, zatrudniając ją wojną na swoim gruncie, i zresztą tylko dostarczeniem cesarzowi zasiłków wojennych w 8-tysięcznym zastępie Lisowczyków, który wojował naprzód przeciw Węgrom, a potem i innym nieprzyjaciołom Austryi w czasie między rokiem 1619 a 1625; udział Turcyi był wyłącznie pośrednim, bo zaznaczał się co najwięcej dozwalanem przez nią, jako zwierzchniczkę lenną, dorywczem uczestnictwem książąt siedmiogrodzkich w walce przeciwko Austryi. Tak więc właściwie jedna tylko Moskwa wytrwała w ciągu całej wojny 30-letniej na stanowisku zamkniętem w sobie, obojętnem, podczas gdy zupełna bierność Polski przypada dopiero na drugi i trzeci dziesiątek wojennego trzydziestolecia: zupełna bierność Turcyi i jej wazalów — ściśle biorąc — tylko na ostatnie lata przed pokojem westfalskim.

Jeżeli z powodu tej biernej przeważnie roli trzech państw wymienionych w ciągu wojny tzydziestoletniej, zwłaszcza

Polski, niema dla nich wiele miejsca w dziejach tejże wojny, — to inaczej musi się mieć rzecz z chwilą, gdy przedsięweźmiemy sobie rozważyć i ocenić jej wynik i bezpośrednie następstwa.

Bo — rzecz prosta — każdy objaw bierności jest tak samo faktem historycznym, jak akt działania: każde usunięcie się od czynności, tam, gdzie dla niej było pole, to tem samem już spełnienie aktu, którego ujemne znaczenie przewyższać może niekiedy donioslością fakt najbardziej energicznego działania. Do wyznaczenia stopnia doniosłości takiego faktu, — że go tak nazwę — biernego nie sposób dojść inaczej, jak przez rozważenie względów, które go spowodowały, i następstw, jakie za sobą sprowadził. I oto jest właśnie zadanie, które chciałbym, o ile to możliwe, rozwiązać w celu należytego ocenienia faktu biernego przeważnie zachowania się państw wschodniej Europy, a w pierwszym rzędzie Polski wobec wojny trzydziestoletniej: zadanie, które podejmuję tem chętniej, że nastręczy mi sposobność do wypowiedzenia kilku uwag i spostrzeżeń, różniących się poniekąd od dotychczasowych poglądów, a dotyczących polityki Wazów szwedzkich i polskich i genezy wojny swedzkiej z lat 1655 do 1660: to jest — co podnoszę z naciskiem — do omówienia kwestyj nie ściśle lokalnego, polskiego, lecz szerszego, powszechno-dziejowego znaczenia.

Że wobec wielkiej wojny na widowni Niemiec Moskwa zachowała się całkiem, a Turcya prawie całkiem biernie, to wytłómaczyć względnie najłatwiej. Jedno schyzmatyckie, drugie mahometańskie, nie miało żadne z tych państw nijakiej pobudki religijnej do mieszania się w zatarg wojenny między obozem katolickim a protestanckim; a zatargi między mocarstwami Zachodu mogły owszem usłużyć interesom politycznym obojga: Moskwie przez to, że wroga jej Szwecya znajdowała zatrudnienie w innej stronie; Turcyi przez to, że Austrya, szarpana przez wielu naraz nieprzyjaciół, musiała strzedz pilnie pokoju z sąsiadem od południowego wschodu.

a zresztą i bez wysiłku wojsk sułtańskich upadała na siłach. Otwierała się wprawdzie w takich warunkach dla obu tych państw sposobność do wyzyskania trudnej sytuacyi sąsiadów w sposób samolubny: Moskwa jednak ze sposobności tej w stosunku do Szwecyi skorzystać nie miała ochoty, chciwa przedewszystkiem zaboru ruskich ziem Litwy i Kozaczyzny; a Turcya zwracała właśnie pożądliwość swoją ku Kandyi, posiadłości weneckiej, i w ten jedyny cel zapatrzona, inne na razie spuszczała z oczu.

Inaczej z Polską. Wyznanie religijne, kierunek oświaty, tradycye historyczne — wszystko wiązało ją do Zachodu; jako ciało polityczne należała stanowczo do tej grupy mocarstw, które główną odegrały rolę w ciągu wojny trzydziestoletniej.

Jeżeli mimo zwycięstwa reakcyi katolickiej za Zygmunta III. za mało było w niej fanatyzmu religijnego i za dużo ducha tolerancyi, aby zechciała się poczuć do misyi zwalczania herezyi na jakimkolwiek, nawet obcym gruncie, to pozostawały liczne względy na interesa materyalne, polityczne, w których mogły się znaleźć dosyć ważne pobudki do wystąpienia w szranki wojennego turnieju mocarstw północnej i zachodniej Europy. Był taki interes przedewszystkiem w zasadniczym antagonizmie Polski do Szwecyi. Mówię o antagonizmie zasadniczym — bo sądzę, że czasby raz nareszcie wyzbyć się tego nieścisłego poglądu, jakoby polityka antiszwedzka Wazów — była *par excellence* osobistą, domową, a nie polityką państwową, zgodną w swej zasadzie z potrzebami i interesami Rzeczypospolitej. Składało się u nas i składa prawie wyłącznie na karb uporczywych aspiracyj dynastycznych polskich Wazów długoletni rozbrat między Szwecyą a Polską i wielokrotne między niemi wojny, jak gdyby pretensye, podnoszone przez Zygmunta III i jego synów do korony szwedzkiej, były jedyną tego rozbratu przyczyną: a zapomina się aż nazbyt często o tem, że antagonizm ten miał swoje osobne, o wiele głębsze uzasadnienie w powodach,

leżących poza obrębem familijnych sporów sukcesyjnych. Wiadomo przecież, że położenie geograficzne Szwecyi, opartej całem rozległem wybrzeżem o morze Bałtyckie, wskazywało jej od wieków jako naturalne zadanie polityczne dążenie do wszechwładzy na tem morzu, do *dominium maris Baltici;* i wiadomo, że nad tem zadaniem głównie pracowali najzdolniejsi królowie i statyści szwedzcy XVII wieku. Zdobyć zaś tego *dominium* nie można było inaczej, jak przez opanowanie pomorzy Bałtyckich, przynajmniej na przestrzeni od Łaby do Dźwiny.

Taki program polityczny był oczywiście zasadniczo przeciwny interesom Rzeczypospolitej, w której mocy znajdowała się bardzo znaczna część tych pobrzeży na obszarze od granic Pomorza szczecińskiego do porzecza Dźwiny; i to część bardzo szacowna, bo mieszcząca w sobie trzy zatoki i jeden port pierwszorzędnego znaczenia. Z chwilą, kiedy Szwecya postanowiła rozpocząć działanie w myśl określonego powyżej programu, wybuch antagonizmu między nią a Polską był już tylko kwestyą czasu: przyjść doń prędzej czy później musiało bez względu na to, czyby Wazowie polscy wytrwali, czy nie, przy swych pretensyach dynastycznych. Karol IX. wykonałby prawdopodobnie najazd na Inflanty, nawet gdyby Zygmunt III. abdykował był z praw do korony szwedzkiej; pretensye króla polskiego posłużyły mu tylko za wygodny pretekst do zaczepki, w braku którego znalazłby był sobie inny bez wielkich trudności: bo wiadomo z dziejów wojen wszystkich czasów, że o nic nigdy nie było łatwiej, jak o pretekst do wojny, kiedy się ją chciało wywołać. To samo też trzeba rozumieć o Gustawie Adolfie i o późniejszym Karolu Gustawie.

Stąd zaś nasuwa się wniosek: że jak było dla Polski koniecznością ochranianie swoich obszarów od najazdów szwedzkich, tak było także w jej interesie uprzedzanie niebezpieczeństwa wszelkich takich najazdów, a więc współdziałanie przeciw każdej w ogóle akcyi zaborczej królów

szwedzkich, przedsięwziętej w celu rozszerzania własnej ich władzy nad morzem Bałtyckiem: słowem, ustawiczna praca nad tem, aby nie dopuszczać do dalszego rozrostu terytoryalnego i wzmagania się mocarstwowego Szwecyi.

W ciągu wojen szwedzkich za Zygmunta III straciła Polska faktycznie na rzecz Szwedów Inflanty po Dźwinę. To, co postanowił definitywnie dopiero pokój oliwski z roku 1660, było już w roku 1629 faktem dokonanym: bo i rozejm altmarski z tego roku i rozejm sztumsdorfski z roku 1635 zdobycz tę do czasu w rękach szwedzkich zostawiał. Rozejmem sztumsdorfskim zobowiązała się Rzeczpospolita nadto do przestrzegania pokoju przez lat 26 — jak wiadomo — wbrew intencyom króla Władysława IV, a, jak ja pozwolę sobie dodać, i na szkodę interesów własnych. Właśnie bowiem na czasy między rozejmem altmarskim a sztumsdorfskim przypada ten świetny peryod dziejów szwedzkich, w którym Gustaw Adolf, opanowawszy znaczną część Niemiec, podniósł królestwo swoje odrazu do znaczenia mocarstwa. Szwecya, podówczas pani Pomorza i Brandenburgii, zaczynała gospodarować w bezpośredniem sąsiedztwie Polski wszechwładnie. Jeżeli kiedy, to w owej chwili niebezpieczeństwo stawało się dla Polski nadzwyczaj groźnem: bo dalszy wzrost potęgi szwedzkiej zagrażał Prusom królewskim zaborem. Niebezpieczeństwo tego zaboru zmalało później wskutek śmierci Gustawa Adolfa i częściowych niepowodzeń oręża szwedzkiego, ale nie ustąpiło całkiem nigdy, po koniec wojny i po niej.

Zachodzi więc pytanie, czy Rzeczpospolita nie powinna była we własnym interesie wmięszać się czynnie w wojnę niemiecko-szwedzką po stronie Austryi przeciw Szwecyi; czy nie powinna była uznać, że wobec zbyt groźnego wzrostu potęgi szwedzkiej nie godzi się jej przyjmować więzów wieloletniego rozejmu, — jak tego pragnął gorąco Władysław IV i od czego Austrya usilnymi zabiegami dyplomatycznymi próbowała odprowadzić Rzeczpospolitą.

Od stanowczej na to pytanie odpowiedzi twierdzącej mógłby nas powstrzymać wzgląd na jedną tylko i to tę mianowicie okoliczność: że poparcie Austryi przeciw Szwecyi równałoby się przyczynieniu do ewentualnego wzmocnienia potęgi Austryi, a po części także i Brandenburgii, wzrost zaś potęgi tych dwóch bezpośrednich sąsiadek był tak samo przeciwnym interesom Polski, jak wzrost potęgi szwedzkiej. Nie myślę temu przeczyć; ale nadmienię zaraz, iż Austrya gotową była poparcie, udzielone jej przez Polskę, opłacić przyznaniem tejże pewnych bardzo znacznych nawet korzyści z własną, konieczną w takich razach stratą, a więc i z uszczerbkiem dla własnej potęgi. Polska przeto, stając po stronie Austryi, miała nietylko widoki na uszczuplenie potęgi szwedzkiej, ale i na pewne zdobycze terytoryalne, osłabić mające Austryę: udział zaś w wojnie szwedzko-niemieckiej przy takich widokach nie mógł być w żadnym razie sprzecznym z interesami Rzeczypospolitej. W istocie, jest to rzecz źródłowo stwierdzona, że Austrya, kilkakrotnie w rozpaczliwem położeniu, zwłaszcza w latach 1644—1645 wobec świetnych powodzeń Torstensona, narzucała się królowi polskiemu z ofiarą Szląska jako nagrody za walną pomoc przeciwko Szwecyi; a jakkolwiek mamy powody do przypuszczenia, iż złożenie tej ofiary uważano na dworze wiedeńskim za ostateczność, której wszystkimi siłami staranoby się w lepszych warunkach uniknąć, zobowiązanie, raz zaciągnięte względem króla polskiego choćby tylko na papierze, mogło go upoważnić do prawnego zaboru przynajmniej części Szląska, co dałoby się tem łatwiej wykonać, iż Austryi nie starczyłoby prawdopodobnie w ciągu wojny ze Szwecyą i Francyą siły na przeszkodzenie takiej prawnej (jak powtarzam) egzekucyi.

Dla tej jednej przyczyny wolno uważać za rzecz ubolewania godną i nieodżałowaną: że Rzeczpospolita polska nie skorzystała w czasie między rokiem 1640 a 1645 z dwóch pomyślnych dla niej sposobności: ze sposobności ograniczenia dalszego rozwoju potęgi szwedzkiej w chwili, kiedy tę po-

tęgę, podkopaną długoletnią wojną, najłatwiej było osłabić; i ze sposobności powiększenia w sposób całkiem prawny obszaru królestwa w stronie, gdzie brak było Polsce granic naturalnych, a gdzie takie granice posiąść mogła właśnie w linii rzeki Odry, przepływającej przez środek austryackiego Szląska.

Polska pozostała bierną mimo zabiegów Austryi i mimo woli własnego króla: nie dlatego z pewnością, aby jej nie dostawało siły do udziału w wojnie szwedzko-niemieckiej, i nie dlatego zapewnie, iżby zdolniejsi jej statyści nie pojmowali, co mogło wyjść na korzyść Rzeczypospolitej a co na jej szkodę; lecz dlatego poprostu, że większość szlachty była przeciwną z zasady wszelkiej wojnie, i w szczególności zwłaszcza wojnie ze Szwecyą, upatrując w niej jedynie środek, który mógł posłużyć Wazom polskim do odzyskania dziedzictwa szwedzkiego, a więc i do wzmocnienia ich domowej, osobistej potęgi, do czego żadną miarą z obawy o własne swobody możnowładcy polscy dopuścić nie chcieli.

Polska pozostała bierną i okazała swą niemoc wobec potęg, którym, jak wszystkim potęgom, tylko siłą imponować było można: to też doznała zwykłego losu biernych i niemocnych.

To bowiem, co przyniosła w rezultacie wojna trzydziestoletnia i co ustanowiły artykuły westfalskiego pokoju, wytwarzało układ stosunków, równających się ciężkiej klęsce nie tylko cesarstwa i Austryi, ale i Polski. Pokój westfalski był zwycięstwem polityki szwedzko-francuskiej. Francya i Szwecya wymusiły w nim dla siebie największe materyalne i moralne korzyści. Pokój westfalski usunął cesarstwo niemieckie ze stanowiska przodującego w Europie i utorował do tego stanowiska łatwy dostęp Francyi. Szwecya dostała w moc swoją nietylko to, czego pierwotnie pożądała: to jest Pomorze Przednie z Rugią i część Pomorza tylniego, ale także silne oparcie w kilku terytoryach w pobliżu morza Niemieckiego i nadto, jako przyjęta w skład Rzeszy niemieckiej,

zyskiwała stały wpływ na wewnętrzne sprawy tejże Rzeszy. Tak te zdobycze, jak i świeża tradycya wielu tryumfów wojennych — stawiała państwo szwedzkie w rzędzie mocarstw europejskich.

Każdy z tych tryumfów Szwecyi był jedną więcej klęską dla Polski. Szwecya-mocarstwo stawała się podwójnie groźną dla Rzeczypospolitej; Szwecya jako pani Pomorza tem groźniejszą, że osiadłą teraz w bezpośredniem prawie sąsiedztwie Prus królewskich; a najgroźniejszą przez to, że częściowe świetne urzeczywistnienie programu, którego celem było *dominium maris Baltici*, musiało rządców Szwecyi zachęcać i pobudzać do dalszej pracy nad jego całkowitem wykonaniem.

Nie ulega też zdaniem mojem wątpliwości, że to, co się stało w Polsce w pobliskich latach po westfalskim pokoju, a mianowicie najazd szwedzki z r. 1655 i pięcioletnia z Karolem Gustawem wojna, było w prostej linii następstwem powodzeń wojennych Szwecyi w ciągu wojny trzydziestoletniej, było tej ostatniej wojny prawie że nieuniknionym wynikiem.

I w tem miejscu raz jeszcze muszę to wytknąć z naciskiem, że przy rozważaniu genezy wojny szwedzko-polskiej z lat 1655—1660 zanadto wiele przywiązywało się i przywiązuje znaczenia do czynników osobistych takich, jak niezarzucone potąd aspiracye dynastyczne Jana Kazimierza, lub wojowniczy duch i awanturnicze usposobienie Karola Gustawa. Pretensye polskiego Wazy mogły dostarczyć pretekstu do wojny, wojowniczość Wazy szwedzkiego przyspieszyć jej wybuch: ale właściwe przyczyny, które ją wywołały, leżały poza zachciankami jednostek, spoczywały na rozleglejszej o wiele podstawie ogólnych interesów Szwecyi i zwłaszcza miały źródło w zbiegu wyjątkowych okoliczności, jakie zmiana w stanowisku politycznem Szwecyi na to państwo sprowadziła.

Przez wojnę trzydziestoletnią i pokój westfalski, dostała się Szwecya na stanowisko wyniosłe — ale wyśrubowane do tej wyniosłości więcej sztucznie, z wytężeniem, a raczej

z przetężeniem sił materyalnych królestwa. Szwecya była krajem ubogim, nie posiadającym wówczas kwitnącego handlu, ani przemysłu: a długoletnie podczas wielkiej wojny oderwanie sił roboczych od ziemi zatamowało w drugiej ćwierci XVII wieku prawidłowy rozwój rolnictwa i górnictwa, głównych podstaw względnego jej dobrobytu. Nieopatrzne rządy regencyi za małoletności Krystyny i jej własne rządy, przy uwadze statystów, zwróconej więcej na zewnątrz kraju, doprowadziły finanse państwa do nader krytycznego stanu. Skarb królewski zubożał ogromnie wskutek niesumiennej gospodarki w dobrach koronnych, rozdawanych lub zastawianych u szlachty z lekkomyślną rozrzutnością. Słowem, w chwili, kiedy czynniki polityczne wysuwały Szwecyę do rzędu mocarstw europejskich, w stosunkach jej wewnętrznych zanosiło się na finansową ruinę. Warunkiem wytrwania na stanowisku mocarstwowem, warunkiem zwłaszcza trwałego posiadania zdobytych w wojnie trzydziestoletniej terytoryów, było ustawiczne pogotowie wojenne. Potrzeba utrzymywania znacznych zastępów wojskowych pod bronią w pokoju spadała nowym ciężarem na Szwecyę, i tak już upadłą materyalnie: okazało się wkrótce, że ciężar był za wielki na jej wyczerpane siły.

Nie brak w źródłach szwedzkich z czasu po pokoju westfalskim świadectw, dowodzących, że powrót wojsk zaciężnych z Niemiec i rozmieszczenie ich w kraju wywołało wśród ludności wielkie niezadowolenie, napełniło królestwo całe żalami i skargami i naraziło rząd na ostre z podwładnymi zatargi. W niektórych okolicach przyszło do rozruchów; słowem, wytworzyła się sytuacya wprost nie do zniesienia: przekonano się ostatecznie, że innych wyjść z niej niema, jak albo wojska rozpuścić, albo dać im jakieś nowe zatrudnienie poza granicami państwa. Rozpuszczenie wojsk równałoby się abdykacyi z polityki mocarstwowej: a takiej abdykacyi sprzeciwiała się duma narodowa i zwłaszcza duma władców Szwecyi. Pozostawało więc tylko drugie wyjście:

wywołanie nowej wojny. Ku temu wyjściu zwrócono się po myśli Karola Gustawa.

Wojna dawała w istocie wyjście nie tylko łatwe, ale w gruncie rzeczy bardzo dogodne. Trzeba to bowiem ciągle mieć w pamięci, że prowadzenie wojny najezdniczej w owych czasach nie tylko nie było rzeczą zbyt kosztowną, lecz owszem mogło się stać nawet samo przez się, bez względu na rezultat, źródłem materyalnych korzyści. System wojowania polegał — w razie najazdu — na wszechstronnem eksploatowaniu kraju nieprzyjacielskiego; kraj, będący przedmiotem najazdu, musiał sam utrzymywać swego nieprzyjaciela, a mógł go nawet, jako ofiara bezwzględnego łupiestwa, wzbogacić. Wojna utrzymywała wojnę. Takiego systemu wojowania trzymali się wszyscy prawie wojownicy, czynni w wojnie trzydziestoletniej: a przedewszystkiem sama Szwecya zawsze, tak podczas tej wojny, jak niemniej przed nią i po niej. Mamy naprzykład świadectwo samego Karola Gustawa, który w lutym roku 1657 wyznawał, że nie brał po ten czas — po dwuletniej wojnie w Polsce — żadnych zasiłków z swego państwa: bo oczywiście, czego potrzebował, to wycisnął z ziemi polskiej. Jeden ze znamienitszych statystów szwedzkich, Adler Salvius, wyraził się też całkiem bez ogródek w roku 1652: „że inne państwa zaczynają wojnę, ponieważ są bogate, Szwecya — ponieważ jest uboga“. I nie był to paradoks, lecz w dosłownem znaczeniu szczera prawda. Szwecya, raz wszedłszy na drogę militaryzmu, środkami wojennymi żyć musiała. Wojna stała się dla niej na razie koniecznością; koniecznością przynajmniej o tyle, o ile chciała utrzymać swoje wojska pod bronią. Z tego względu na osobliwą zasługuje uwagę charakterystyczny szczegół, podany przez Puffendorfa za protokołami szwedzkiej rady państwa: że mianowicie rada ta najpierw zadecydowała w zasadzie konieczność rozpoczęcia jakiejś wojny, a potem dopiero zajmowała się kwestyą, przeciw komu zbrojno wystąpić: przeciw Polsce, Danii, czy przeciw Moskwie.

W świetle powyższych danych wojna szwedzko-polska z lat 1655—1660 przedstawia się w istocie jako bezpośrednie następstwo wojny trzydziestoletniej, jako prawie nieunikniony wytwór tego układu stosunków, który nastał w Europie i w szczególności w Szwecyi wskutek postanowień westfalskiego pokoju.

I tu zaraz wypada mi dodać, że nie było to jedyne następstwo wojny 30-letniej, fatalne dla Polski. Wojna 30-letnia przyniosła w rezultacie przy osłabieniu władzy cesarskiej rozszerzenie i wzmocnienie udzielnej władzy członków Rzeszy, a przedewszystkiem elektora brandeburskiego: a to wzmocnienie stanowiska politycznego Brandenburgii musiało jej ułatwić w najbliższych późniejszych latach akcyę, obliczoną na wyrobienie niezawisłości Prus książęcych; i w istocie, doprowadziło ją, jak wiadomo w r. 1657 do pożądanego celu.

Wojna trzydziestoletnia odbiła się na Polsce szkodliwie także i wskutek tego, że przyczyniła się do zaostrzenia i roznamiętnienia odwiecznego antagonizmu Austryi i Francyi. Coraz częstsze niepowodzenia Austryi w stosunku do mocarstw Zachodu i Północy oddziałały pobudzająco na jej dążenia polityczne, zwrócone ku wschodowi; od czasów pokoju westfalskiego datują się w istocie zdwojone przez Habsburgów usiłowania rozszerzenia swego wpływu na Rzeczpospolitą, usiłowania, których głównym celem było pozyskanie korony polskiej dla jednego z członków austryackiego domu, i datują się zarazem wznowione próby nawiązania ściślejszych stosunków z Moskwą. Przeciw tym zabiegom uważała za konieczne reagować dyplomacya francuska: i Polska stała się odtąd widownią o wiele bardziej zaciekłych, niż przedtem zapasów dyplomatycznych między Francyą i Austryą, — zapasów wielce niemoralnych, a więc i działających demoralizująco: bo wiadomo, że najzwyczajniejszym środkiem używanym przez obie strony, było rozbudzanie zawiści partyjnych między stanami, jakoteż podniecanie poziomych namiętności ambitnych jednostek.

Jak ten antagonizm francusko-niemiecki przyczynił się do powiększenia rozstroju i anarchii w całem wogóle społeczeństwie polskiem, tak znowuż system wojowania, upowszechniony w ciągu wojny trzydziestoletniej, przyczynił się — jak mniemam — poniekąd do demoralizacyi polskiego wojska. Wiadomo, że wszystkie prawie armie, jakie działały podówczas w Niemczech, powstawały na podstawie systemu werbunkowego. Przyjmowano do wojska każdego, ktokolwiek miał do tego ochotę i siły, bez względu na jego wyznanie religijne, narodowość i przekonania polityczne. Jestto rzecz, powtarzająca się ciągle w dziejach wojennego trzydziestolecia, że książęta i wodzowie katoliccy nie robią sobie żadnych skrupułów z przyjmowania innowierców i odstępców od nieprzyjaciela do wojsk swoich; nie brakło też protestantów, którzy stawali pod chorągwiami cesarskiemi, aby walczyć przeciw swoim współwyznawcom. Nawet wyższe dowództwa w wojsku cesarskiem dostawały się niekiedy w ręce protestantów. Jedynym węzłem, który łączył żołnierza z wodzem, był właściwie tylko węzeł materyalny: żołd i widoki na zyski w łupach; brakło zaś wszelkich wyższych, duchowych łączników, któreby zacieśniały i utrwalały ten więcej kupiecki stosunek i całej wojennej działalności żołnierzy szlachetniejsze nadawały piętno. Wojska takie, walczące nie dla idei patryotycznej, lecz dla zysku — przeistaczały się łatwo w straszne bandy łupieżcze. W samej też rzeczy większość wojsk, czynnych w wojnie trzydziestoletniej, żyła własnym przemysłem, a raczej rabunkiem. Nie było też wodza, któryby umiał długo utrzymać swych podwładnych w karbach karności; nawet najzdolniejsi, jak Wallenstein, mieli do walczenia z częstymi rozruchami i buntami.

A teraz dosyć przypomnieć, że w Polsce właśnie współcześnie z wojną trzydziestoletnią, za Władysława IV, rozpoczęła się systematyczna czynność rządu około zorganizowania wojsk cudzoziemskiego autoramentu; dosyć przypomnieć, że królowie i wodzowie polscy sprowadzali instruktorów dla

wojsk cudzoziemskich prawie wyłącznie z Niemiec; że wreszcie między latami 1630 a 1648 obce państwa robiły nawzajem ustawiczne zaciągi wojsk na ziemi polskiej, a część tych zaciężnych zapewne po wojnie powróciła do Polski: dosyć przypomnieć te wszystkie dane, aby uzasadnić przypuszczenie, że takie okoliczności mogły się bardzo łatwo przyczynić pośrednio do zdemoralizowania armii polskiej, do osłabienia w niej ducha karności, do rozpowszechnienia i u nas tej zasady, iż żołnierz nieopłacony jest uprawniony do zdobywania sobie gwałtem żołdu, którego mu na czas nie wydano. Jeżeli przpuszczenie to ma za sobą niejakie względy słuszności, to należałoby odnieść po części do wpływu wojny trzydziestoletniej to, co się działo w Polsce między r. 1659 a 1665, a więc owe już pod koniec wojny szwedzkiej występujące objawy buntów wojskowych i potem cały szereg związków i konfederacyj, które zamącały spokój Rzeczypospolitej przez lat kilka i ułatwiły Jerzemu Lubomirskiemu wywołanie rokoszu.

Kilka słów

o pamiętnikach polskich

XVII wieku.

W toku dłuższych studyów nad dziejami XVII wieku, a więc w szczególności nad źródłami, do tychże czasów się odnoszącemi, nasunęło mi się wiele spostrzeżeń i uwag krytycznych, których na razie nie podawałem do wiadomości publicznej ze względu na ich charakter luźny i dorywczy. Gdy mi się jednak z biegiem czasu nagromadziło takich danych tyle, że można je już podzielić na jakieś bardziej pokaźne grupy o pokrewnej treści, sądzę, że spełnię rzecz pożyteczną, jeśli z niektórymi wynikami moich dochodzeń podzielę się z szerszem kołem czytelników. Oczywiście, wywody moje przydadzą się głównie tym, którzy zamierzają sami przystąpić do samodzielnych badań źródłowych; niemniej przeto ogłaszam artykuł niniejszy w zbiorze szkiców, nie przeznaczonych wyłącznie dla specyalistów, właśnie dlatego, że chodzi mi o sprostowanie pewnych błędów i omyłek, popełnianych albo uznawanych przeważnie przez początkujących adeptów nauki historycznej, jakoteż badaczy-dyletantów.

Na razie wybieram ze zbioru moich zapisek dane, dotyczące pamiętników polskich z XVII wieku. Mamy tych pamiętników w ogóle bardzo niewiele: a i te, które mamy, prawie wszystkie znane są z jedynych wydań dawnych, niekrytycznych i opatrzonych przedmowami, najczęściej wcale nieodpowiadającemi dzisiejszym wymogom naukowym, niewolnemi tu i owdzie od rażących przeoczeń i niedokładności. Niemam bynajmniej zamiaru podawać tu wyczerpującego przeglądu całej naszej literatury pamiętniczej z XVII stulecia ani nawet ścisłego rozbioru krytycznego któregokolwiek

źródła historycznego z tego zakresu, lecz chciałbym jedynie zastanowić się nad kilku najważniejszemi w tym celu, aby sprostować to, co w przedmowach wydawców potrzebuje sprostowania, a wywody tychże nowemi szczegółami uzupełnić.

Pamiętniki nasze z XVII wieku, jak wszystkie w ogóle, dają się podzielić na dwie kategorye: mianowicie napisane bezpośrednio po spełnieniu przedstawionych w nich wypadków, albo niedługo po ich spełnieniu, dorywczo, od czasu do czasu, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, lub choćby z roku na rok, — to jest tak zwane dzienniki czyli dyaryusze; i na pamiętniki w szerszem, ale i powszedniejszem tego słowa znaczeniu — to jest wspomnienia z całego pewnego okresu życia, nakreślone w całości dopiero po upływie rzeczonego okresu.

Do pierwszej kategoryi należy z pewnością i zajmuje w niej pierwszorzędne miejsce Pamiętnik Albrechta Stanisława Radziwiłła (1632—1655), którego przekład polski wydał w Poznaniu 1839 r. Edward Raczyński. Nietylko słowa wstępne autora, ale cały układ dyaryusza, w którym niema żadnych aluzyi do czasów późniejszych, a wypadki są zwykle ściśle oznaczone datami dni lub miesięcy i przedstawione widocznie pod świeżem ich wrażeniem, — słowem, wszystkie cechy zewnętrzne i wewnętrzne przemawiają za tem, że Pamiętnik ten był pisany jako dyaryusz, postępował naprzód w ślad za wypadkami, często z dnia na dzień, niekiedy z miesiąca na miesiąc. Otóż o tym ważnym zabytku źródłowym wiadomo już od wydawcy, Raczyńskiego, że tekst polski, ogłoszony przezeń, to nie utwór pióra Albrechta Radziwiłła, lecz przekład Pamiętnika, spisanego przez autora w języku łacińskim, i to przekład, dokonany, zdaje się, dopiero w początkach XVIII wieku przez wnuka kanclerza, Hieronima. Raczyński nie wyjaśnił wcale, czy był mu znany oryginalny tekst łaciński Pamiętnika: znać go zapewne musiał, skoro jeden odpis tego tekstu znajduje się obecnie w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu, tam, gdzie znajduje się i tekst

przekładu, ogłoszonego przez hrabiego Edwarda. W każdym razie było to wiadome wielu badaczom czasów Władysława IV i Jana Kazimierza, że nietylko biblioteka Raczyńskich, ale i trzy inne, mianowicie książąt Czartoryskich w Krakowie, Ossolińskich we Lwowie i biblioteka cesarska w Petersburgu posiadają rękopisy, zawierające teksty łacińskie Pamiętnika Radziwiłłowskiego. Mało kto natomiast, jak uważałem, wie o tem, że na rękopisie biblioteki książąt Czartoryskich znajduje się napis: „orginał ręką ks. Albrychta Radziwiłła“. Szajnocha i prof. Kubala powołują się w swoich dziełach na manuskrypt biblioteki Ossolińskich: nikt z uczonych, o ile mi wiadomo, dotąd rękopisu biblioteki książąt Czartoryskich nie używał. Natomiast jeszcze dotychczas zdarza się, że niektórzy historycy posługują się jedynie ogłoszonym drukiem przekładem polskim, jak gdyby o istnieniu autentycznych tekstów nie wiedzieli. Ażeby raz na zawsze położyć koniec tej anomalii, uważam za potrzebne zwrócić uwagę wszystkich nieoczytanych w rękopisach Radziwiłła na okoliczność, że przekład, wydany przez Raczyńskiego, jest w wysokim stopniu niedokładny, bo nietylko tekst oryginalny w wielu miejscach został mylnie oddany, ale nadto tłumacz wiele ustępów oryginału wprost pominął, skracając dowolnie całe stronice. Przekład ten więc, jako nieścisłe, a niekiedy zupełnie spaczone odbicie myśli Radziwiłła, może niejednokrotnie w błąd wprowadzić czytelnika co do istotnych intencyi autora: a tem samem nigdy na tej przeróbce polegać nie można, nigdy nie wypada się na nią powoływać jako na wiarogodne świadectwo źródłowe. Z rzędu źródeł historycznych należy ją stanowczo wykluczyć: kto nie może dotrzeć do tekstów łacińskich, których jest aż cztery w różnych stronach, ten niech lepiej obchodzi się bez świadectwa Radziwiłła, aniżeli by miał składać na karb jego wyznań czy wspomnień niedokładności i przekręcenia, popełnione przez tłumacza. Do wydania łacińskiego tekstu Pamiętnika niebawem ma przystąpić krakowska Akademia Umiejętności i za

nim dzieło wyjdzie z druku, może niniejsze ostrzeżenie położy zaraz tamę wytkniętej dopiero co nieprawidłowości krytycznej, która już niejednokrotnie przyniosła szkodę prawdzie historycznej. Może się też przyda i wyjaśnienie, że Pamiętnik Radziwiłła oryginalny, nie urywa się bynajmniej na marcu 1653 roku, jakby wnosić można z ogłoszonego drukiem przekładu, lecz doprowadzony został przez autora do końca stycznia 1655 roku, i dopiero pod tym rokiem znajduje się w odpisie, przechowanym w bibliotece Ossolińskich, to zakończenie, które w przekładzie zamyka dyaryusz wypadków z marca 1653 roku. W rękopisie biblioteki Czartoryskich, niezupełnym, brak także kart końcowych, na których musiały się znajdować zapiski z lat 1653—1655; brak w nim także owego zakończenia, jakie się znajduje w rękopisie biblioteki Ossolińskich i w przekładzie. Rękopis biblioteki Czartoryskich ma na pierwszej karcie, jak wspomniałem, notatkę, objaśniającą, że jest autografem Radziwiłła. Notatka ta jednak wyszła z pod innej ręki, widocznie znacznie późniejszej aniżeli ręka pisarza całego zresztą manuskryptu: ponieważ nie znam dotychczas żadnego obszerniejszego autografu Albrechta Radziwiłła, lecz tylko jego podpisy, nie udało mi się dotychczas stwierdzić na pewno, czy mamy w tym wypadku w istocie do czynienia z własnoręcznym rękopisem autora. Rękopis pochodzi z pewnością z XVII wieku, a tekst jego zawiera dosyć liczne poprawki, poczynione tą samą ręką, którą jest pisany cały manuskrypt, co zdaje się potwierdzać treść umieszczonej na nim notatki. Po bliższem zbadaniu wszystkich znanych rękopisów Albrechta Radziwiłła będzie można niezawodnie kwestyę tę wyjaśnić stanowczo.

Po za tym pamiętnikiem — jednym z najcenniejszych, jakie się zachowały po XVII wieku — do najbardziej znanych i używanych należą Pamiętniki Paska, Łosia, Jemiołowskiego, Jerlicza, Chrapowickiego, Wydżgi i Odlanickiego. Z tych tylko dwa — Paska i Odlanickiego były przedmio-

tem bardziej szczegółowego rozbioru; o pozostałych wiedziało się właściwie tyle, ile o nich napisali sami wydawcy w przedmowach. Ale wydawcy ci wywiązywali się przeważnie dosyć niedbale ze swoich zadań. I tak co do Chrapowickiego i Jerlicza nie postarali się nawet stwierdzić, kiedy te pamiętniki powstały; co do Jemiołowskiego, Wydżgi i Łosia — zajmując się kwestyą ich powstania, albo nie wyjaśnili jej tak, jak było można, albo też nawet wprowadzili w błąd czytelników całkiem mylnemi twierdzeniami.

O dyaryuszu Chrapowickiego (1668—1672) można powiedzieć, że jest to dyaryusz w całem tego słowa znaczeniu, typowy. Czytając go, ma się pewność, że był prowadzony z dnia na dzień, że szedł ciągle za świeżym śladem wypadków. Pod datą każdego prawie dnia znajdujemy obok wiadomości o zajściach z życia autora i o sprawach publicznych, zapiski o stanie pogody, często bardzo jednostajne. Niepodobna, aby następstwo zmian atmosferycznych zdołał ktokolwiek zapamiętać tak dokładnie, iżby po roku przebieg ich potrafił opowiedzieć z pamięci, przechodząc od dnia do dnia po kolei. Chrapowicki był owszem widocznie tak skrupulatny, że gdy wyjeżdżał z domu, woził księgę dyaryusza ze sobą. Jeśli ją zabrać zapomniał, zostawała w dyaryuszu luka. Tak naprzykład w roczniku z 1672 roku, po relacyi z 14. marca brak wiadomości z całego tygodnia; ale też zaraz jest wyjaśnienie: „Dni kilka tu niema, bo dyaryusza nie miałem przy sobie“. W całej księdze niema też ani jednej wzmianki, któraby wskazywała, że autor kiedykolwiek się spóźnił z zapisaniem interesujących go szczegółów, żeby ogarniał odrazu w relacyi większe okresy czasu.

Pamiętniki Jana Poczobuta Odlanickiego opracował w sposób wyczerpujący p. Menda w artykule, ogłoszonym w „Albumie uczącej się młodzieży“ (Lwów, 1879 r.). Obok Odlanickiego tylko Pasek doznał tego wyszczególnienia, iż nowsza nauka historyczna interesowała się nim dosyć żywo i historyę jego życia i dzieła dosyć starannie wyjaśniła.

Inaczej ma się rzecz z innymi pamiętnikami z XVII wieku. Kwestya powstania Latopisca Jerlicza jest dotychczas otwarta. Wydawca K. Wł. Wójcicki (w przedmowie do jedynego wydania z roku 1853) wcale nie zajmował się tą kwestyą. Wiadomo, że *Latopisiec* albo *Kroniczka* obejmuje okres czasu od roku 1620 do 1673 i że niedbałym i nieudolnym w ogóle układem zbliża się więcej do formy dyaryusza, niż pamiętnika, pisanego dopiero po spełnieniu wszystkich opowiedzianych w nim wydarzeń. Poszczególne wypadki są w znacznej części Latopisca zszeregowane pod datami pewnych dni; co prawda, w następstwie dat niema nigdy takiej ciągłości, jak naprzykład w dyaryuszu Chrapowickiego; przeciwnie, między relacyami, zawartemi w ustępach, bezpośrednio obok siebie umieszczonych, zachodzą najczęściej dosyć znaczne luki chronologiczne. W części pierwszej Latopisca, odnoszącej się do rządów Zygmunta III i Władysława IV, brak nawet tu i owdzie wiadomości z całych kilkoletnich okresów; dopiero od roku 1646 zaczynają się zapiski bardziej szczegółowe i regularne, tak, że odtąd już luk całorocznych nie spotykamy; co więcej, począwszy od roku 1649 niema prawie rocznika, w którymby nie znalazły się wiadomości jeśli nie z wszystkich, to przynajmniej z większej części miesięcy. W roczniku naprzykład z roku 1651 relacya z sierpnia ma już typową postać dyaryusza, bo mieści po kolei wiadomości z dni 2 do 6, potem z 17., 19., 20., 24. i 25. tego miesiąca. Cała reszta Latopisca daje na pierwszy rzut oka to wrażenie, jakby autor wprawdzie nie regularnie, ale od czasu do czasu, w ciągu roku, więc wkrótce po dokonaniu interesujących go wypadków, dorywezo pamięć o nich utrwalał sobie w księdze. W całej tej reszcie, i nawet już w poprzednich ustępach, począwszy od roku 1649, nie znalazłem też żadnych aluzyi do późniejszych czasów, żadnych wzmianek ani uwag, wybiegających treścią swoją poza granice chronologiczne roku, pod którym odpowiednie ustępy są umieszczone.

Pierwsza atoli część Latopisca z czasu po rok 1646 niema tak wybitnych cech dyaryusza. Na pierwszych stronicach znajdujemy wprawdzie wcale dokładny „Dyaryusz wojny chocimskiej“, zawierający relacyę z czasu od 31. sierpnia do 8. października 1621 roku: ale rzecz ta stanowi odrębną, zamkniętą w sobie całość i wygląda na odpis czy streszczenie jakiegoś dyaryusza, spisanego całkiem osobno, który widocznie później dopiero został wciągnięty przez Jerlicza do Latopisca. Po dosyć dokładnej bowiem relacyi z dni jesiennych 1621 roku, (tom I, strona 7—31): rozpoczyna Jerlicz (na stronie 31) historyę swego życia, sięgając do lat dziecięcych, a więc do ostatnich lat XVI wieku, a potem, przeszedłszy do wypadków publicznych (strona 33), sięga do roku 1603 i podaje po kilka krótkich wiadomości z lat 1607, 1608, 1612, 1618 i t. d. Widocznie więc relacya o wojnie chocimskiej jest jakimś dodatkiem późniejszym albo też wyciągiem z dyaryusza, jaki może sam Jerlicz nakreślił wkrótce po wojnie, ale którego dalej nie kontynuował. Zapiski z lat 1603—1629, wszystkie tylko kilkuwierszowe, bardzo w ogóle pobieżne, mogły więc być nakreślone z pamięci, dopiero w późniejszych czasach, po roku 1630. Są w tych zapiskach obok kilku wspomnień osobistych Jerlicza, oznaczonych dokładnemi datami, niektóre inne, odnoszące się do spraw publicznych, a wśród nich pod rokiem 1607 wiadomość o śmierci Jana Zamoyskiego, hetmana i kanclerza. Tak gruba omyłka co do daty śmierci Zamoyskiego przemawia także za tem, że pierwsze ustępy Latopisca spisane zostały później odrazu, a nie narastały z roku na rok, w miarę rozwoju wydarzeń.

Popierają poniekąd ten domysł słowa Jerlicza, któremi rozpoczyna swoje opowiadanie: „Nie litując pracy, a wziąwszy Pana Boga na pomoc, który mnie raczył na tym świecie w dobrem zdrowiu chować, nie pomnąc na ciężkie występki i grzechy moje... umyśliłem to sobie ja, Joachim Jerlicz, wiadomość każdemu chcącemu wiedzieć napisać do

czytania“. Jest nad temi słowy u góry, na czele Latopisca, data: „roku Bożego 1620, miesiąca Augusta, dnia 26“. Daty tej nie należy odnosić do słów dopiero co przytoczonych, lecz do umieszczonej cokolwiek niżej relacyi o wojnie chocimskiej: gdyż w roku 1620 Jerlicz miał zaledwie lat 23 i wątpić można, aby już wtedy ciężar jakichś występków i grzechów zbytnio mu dolegał, wątpić wolno tem bardziej, że w opowiedzianej poniżej historyi życia z lat 1603—1620 niema żadnego wyznania jakiegokolwiek grzechu czy występku. Są natomiast liczne osobiste szczegóły z życia Jerlicza dopiero w dalszych opowiadaniach z czasu po roku 1640. Słowa więc początkowe Latopisca świadczą za tem, że Jerlicz dopiero w starszych nieco latach, po pewnym okresie życia, wedle jego własnego poczucia grzesznym i występnym, zabrał się do spisywania wspomnień, niby do publicznej spowiedzi.

Jeszcze silniej umacnia mnie w tem przypuszczeniu treść innego ustępu Latopisca, znajdującego się na stronach 75—93 tomu pierwszego, wśród historyi wypadków z lat 1648 do 1649. Ustęp ten ma napis: „Wypisanie przodków moich etc... przezemnie, Joachima Jerlicza, spisanych w roku 1648 dnia 3. sierpnia w te słowa“. I oto zarazem początkowe słowa tego „Wypisania“: „Zdało mi się za rzecz słuszną, przeżywszy po łasce Pana Boga mego lat 50 i rok jeden, gdyżem się rodził w roku 1598 dnia 19. maja w niedzielę zrana do dnia we wsi Kolenku pod Ostrogiem, a jako wiek mój prowadziłem w młodości lat swoich, wyszedłszy ze szkoły, aby potomkowie moi wiedzieli“. W ustępie tym podaje Jerlicz wiele szczegółów, które już poprzednio opowiedziane były w części pierwszej Latopisca z lat 1603—1648. Czyżby je tu powtarzał ponownie, gdyby był miał spisaną historyę tych lat, gotową, na poprzednich stronicach? Niezawodnie nie: ograniczyłby się w takim razie prawdopodobnie podaniem tych szczegółów, które w poprzednich ustępach pominął. Powstanie tej całej części Latopisca aż po stronicę 93

wyobrażam sobie tak: Jerlicz przystąpił naprzód do ułożenia owego „Wypisania“, to jest historyi swojej rodziny, całego pięćdziesięciolecia swego własnego życia — w roku 1648; a następnie powziął zamiar pisania dyaryusza wydarzeń publicznych. Wówczas dopiero dorobił całą pierwszą część Latopisca, przyczem mogło mu się zdarzać niekiedy (co już łatwiej sobie wytłumaczyć), że przy omawianiu wypadków, w których sam brał udział, powtórzył ten lub ów szczegół osobisty; a od roku 1649 prowadził już dyaryusz bardziej regularnie, z roku na rok, czasem z miesiąca na miesiąc, i nawet z dnia na dzień, kiedy była ochota i o ile bardziej interesujący temat pobudzał do utrwalenia pamięci o nim na piśmie. Przeciw spółczesności drugiej części Latopisca, z czasu od roku 1649 do 1673 mogłyby wprawdzie przemawiać bardzo liczne niedokładności, zwłaszcza co do cyfr, nazwisk i t. d., których pełno w opowiadaniach Jerlicza: ale niedokładności te zdarzają się równie często w ostatnich ustępach Latopisca z lat 1670—1673, jak i we wcześniejszych. Dlatego sądzę, iż nie można się niemi posługiwać jako dowodem, że Latopisiec musiał powstać w całości w późniejszych czasach, naprzykład dopiero po roku 1673, lecz trzeba je złożyć raczej na karb niedbalstwa, słabej inteligencyi, płytkiej wiedzy i łatwowierności Jerlicza, który zapisywał wszystko, co zasłyszał i tak, jak zasłyszał. Pisywał on często o sprawach i rzeczach, na które własnemi oczyma nie patrzał: a z usposobienia widocznie porywczy i zrzęda, nie liczył się zbytnio ze słowami, ani też z faktami. Błędy więc, jakie popełnia, a często nawet tendencyjne przekręcenia faktów, mogły powstać nawet bezpośrednio po wydarzeniach, do których się odnoszą. Słowem, wedle wszelkich danych, jakich dostarcza sam Latopisiec, do spisywania onego przystąpił Jerlicz najprawdopodobniej w roku 1648, to jest po pięćdziesiątym roku życia — i odtąd prowadził go już z roku na rok, jako dyaryusz doryweczy, uzupełniany tylko od czasu do czasu, co kilka tygodni lub miesięcy.

Przechodzę z kolei do małego pamiętniczka, przypisywanego Wydżdze. Stefan Wydżga — to, jak wiadomo, jedna z wybitniejszych postaci w czasach Jana Kazimierza i Sobieskiego. Sekretarz i referendarz koronny przed rokiem 1655, wstępuje w roku 1655 na katedrę łucką, w roku 1659 zostaje biskupem warmińskim, a wreszcie w roku 1678 osiąga najwyższą godność w Rzeczypospolitej, mianowany arcybiskupem gnieźnieńskim. Zaszczytem tym cieszył się przez lat ośm, zmarły w roku 1686. Sławny mowca i kaznodzieja, pisywał w ogóle niewiele. Zostawił nieco pism w manuskryptach: a tylko jedno, treści historycznej, miał ogłosić drukiem za swego życia. Bibliografowie przypisują mu mianowicie dziełko p. tyt. „Historya abo opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwedzkiej w Królestwie Polskiem od roku Pańskiego 1655 w miesiącu lipcu aż do roku 1660 w miesiącu maju trwającej, w sobie zamykające i do wiadomości potomnym wiekom podane". Druk ten wyszedł z pewnością w XVII wieku, ale bezimiennie i, o ile wiadomo, bez oznaczenia daty i miejsca wydania. Powiadam: o ile wiadomo: bo w jedynym znanym mi egzemplarzu pierwodruku, znajdującym się w bibliotece Akademii krakowskiej, niema w istocie ani osobnej kartki tytułowej, ani daty miejsca, ani wreszcie daty roku. Wójcicki, który się specyalnie tym drukiem zajmował, zapewnia, że broszura „Historyi" wyszła bez karty tytułowej i bez daty. Załuski natomiast w dziele swojem p. tyt. „Biblioteka historyków, prawników i polityków polskich", (Kraków, 1832) na stronie 69, wspominając o „Historyi" przy przytoczonym w tekście tytule, dodaje na marginesie: *„sine loco, 1660, 4-to"*, skąd wnosićby można, że widział jakiś egzemplarz, opatrzony datą roku 1660. Załuski powołuje się nadto na nieznaną nam także broszurę p. tyt. *Exercitatio ad Nicolai Chwalkovii Jus publicum Regni Poloniae* (bez daty), co do której nie mogłem nawet dojść, kiedy wyszła z druku, ale w której wedle Załuskiego znajduje się na stronie 10. wiadomość, że „Histo-

rya“ Wydżgi to broszura bardzo rzadka, „ponieważ tylko 80 egzemplarzy jej odbito i te rozdane zostały między magnatów polskich na cześć królowej Ludwiki Maryi“ [1].

„Historya“ zawiera wprawdzie ogólny przegląd dziejów wojny szwedzko-polskiej z lat 1655 do 1660, ale jest właściwie głównie biografią królowej Ludwiki Maryi, obejmującą cały okres jej pobytu w Polsce w czasie od roku 1646 do 1660, i to biografią o pokroju panegiryku, pełnego słów podziwu dla osoby tej monarchini i dla jej działalności publicznej. Autor nie wspomina o sobie nigdzie wyraźnie, nie zdradza się nawet żadnem bardziej przejrzystem napomknieniem. Raz jeden tylko mówi o sobie szerzej, ale ogólnikowo, a to w czwartym ustępie dziełka (strona 60, wydania Wójcickiego) temi słowy: „Imienia mojego przy tak małej mojej robocie nie kładę, bo wiem, że Konstantyn Wielki wielkiego *alias* człowieka, Izajasza, stąd urągał i ganił, że wszędzie na murach, na drzwiach, na bramach i choć na małych budynkach kłaść imię swe kazał, nazywał go Konstantyn *herbam parietariam.* Ba i do tego *tegi rolo, non legi*: bo dla siebiem to i dla dobrych przyjaciół *raptim* napisał, nie myśląc nigdy tak lichą moją pracą ani pras drukarskich, ani oczu ludzkich pofatygować“. Tłumaczy się następnie, dlaczego używa w piśmie polskiem łacińskich makaronizmów, i zapewnia w końcu, że pochlebstw nie pisze ani nie „ugania się za wiatrem ambicyi“, ale „żyje sobie *procul negotiis*, kochając kącik domowy, a prawdę po staropolsku“. Ze słów tych nie można, rzecz prosta, wyrozumieć, kto jest autorem „Historyi“, bo autor usiłuje właśnie zapomocą nich zatrzeć rysy własnej osobistości. Z całej zresztą treści dziełka wywnioskować można tylko tyle, że był nim jakiś świadek naoczny rządów Jana Kazimierza i Ludwiki Maryi, i to ktoś taki, co się tym rządom przyglądał z bliska i zwłaszcza

[1] Porównaj przypisek w przytoczonem wyżej dziele Załuskiego u dołu strona 62.

w ciągu wojny szwedzkiej przebywał niedaleko od dworu. Tyle, ale nie więcej. Na jakiej podstawie Janocki i Załuski przypisują „Historyę“ całkiem stanowczo Stefanowi Wydżdze, wyjaśnić nie umiem, bo żaden z nich dowodów, uzasadniających powyższe twierdzenie, nie podaje [1]). Być może, że sumienny Janocki znalazł w źródłach jakąś wzmiankę współczesną, wskazującą Wydżgę jako autora. Co do mnie, żadnych tego rodzaju niezbitych dowodów dotąd nie znalazłem: na podstawie zaś treści dziełka mogę stwierdzić to tylko, że w istocie niema w tej treści nic, coby autorstwo Wydżgi wykluczało, a przemawia za niem okoliczność, że Wydżga w istocie dłuższy czas bawił przy boku królowej jako jej sekretarz i należał do wielbicieli jej działalności politycznej, jak to widać z jego mowy, wygłoszonej na pogrzebie Ludwiki Maryi. Kwestya autorstwa „Historyi“ w oczach moich jest kwestyą jeszcze nierozstrzygniętą; to też zwracam na nią uwagę czytelników starszych druków w nadziei, że może w toku lektury uda im się natrafić na jakąś wskazówkę, przydatną do usunięcia wszelkich wątpliwości.

Niewyjaśnioną, a raczej błędnie zagmatwaną była także dotychczas kwestya czasu wydania „Historyi“. Jedyny znany mi egzemplarz pierwodruku niema, jak zaznaczyłem, daty wydania, ale brak w nim też karty tytułowej (egzemplarz oprawny); Wójcicki twierdzi, że broszura wyszła bez oznaczenia daty. Jedyny Załuski notuje datę roku 1660. Czy widział jaki egzemplarz, oznaczony wyraźnie taką datą, czy

[1]) Załuski w dziele wyżej przytoczonem. Janocki w dziele p. t. „Nachrichten von den raren polnischen Büchern“. Dresden, 1753, III Theil, stron 44, 8°. Leugnich w dziele p. t. „Geschichte preussischer Lande polnischen Antheils“, tom VIII, strona 266, wspomina tylko krótko o śmierci Wydżgi, a o dziełach jego wcale nic nie wie. Treter w obszernem dziele p. t. „De episcopatu et episcopis ecclesiae Varmiensis“, Cracoviae, 1685, a więc wydanej przed samą śmiercią Wydżgi, wie wprawdzie o mowie tego biskupa, wygłoszonej na pogrzebie Ludwiki Maryi, ale nic o jego autorstwie dziełka historycznego (porównaj biografię Wydżgi na stronie 163—172).

tylko z tytułu, przytoczonego wyżej, i z treści opowiadania, doprowadzonego tylko do roku 1660, wysnuł przypuszczenie, że książka powstała w tym ostatnim roku, — rozstrzygnąć trudno, bo Załuski żadnych wyjaśnień nie podaje: ten drugi domysł wydaje mi się najbliższym prawdy.

Wójcicki, który w przedmowie do ponownego wydania „Historyi" zajmował się bliżej tą kwestyą chronologiczną, uważa za niewątpliwe, że broszura wyszła z pod pióra autora za życia Ludwiki Maryi (t. j. przed 10. maja 1667 r.): ale usiłuje zarazem podtrzymać twierdzenie, że drukiem wydano ją znacznie później, co najmniej w dziesięć lat po śmierci Ludwiki Maryi, około roku 1678. Twierdzenie to opiera głównie na wzmiance, zawartej w „Historyi" (na stronie 122 jego wydania), następującej osnowy: „Ksiądz biskup warmiński, który dziś jest arcybiskupem gnieźnieńskim etc." Wójcickiemu wydawało się, że w ustępie tym Wydżga, uważany za autora, mówi o samym sobie: a że został on arcybiskupem gnieźnieńskim dopiero w roku 1678, więc rękopis „Historyi", istniejący oddawna, nie mógł się, zdaniem wydawcy, dostać pod prasę drukarską prędzej, niż w roku 1678. Otóż zaraz na tem miejscu muszę uprzedzić, że ten jedyny właściwie argument, którym Wójcicki umiał poprzeć swoje twierdzenie, jest z gruntu błędny, oparty na nieporozumieniu: bo owszem szczegół, dopiero co przytoczony, stanowi właśnie jeden z najsilniejszych dowodów, przemawiających za tem, iż broszura nie mogła być wydana ani około roku 1678, ani po tym roku, lecz wyszła z druku o kilkanaście lat wcześniej. Błędu, popełnionego przez Wójcickiego, dotychczas, o ile wiadomo, nikt nie sprostował: czas go raz wreszcie wykreślić z naszej literatury historyograficznej.

Wójcicki sam nie przeczy, jak wspomniałem wyżej, że „Historya" została napisaną jeszcze za życia Ludwiki Maryi. Autor mówi w istocie ciągle o obojgu królestwie jako o żyjących i panujących. W ostatnich ustępach „Historyi", na przykład, wyraża radość, że codzień przybywa chwalebnych

dziel, spraw i rad królowej, i dziękuje Bogu, „że nam właśnie naraz takie państwo z nieba obmyślono, bo kto inszy nie barzoby strzymał ster w takiej nawałności, aboby był zażył tego odmętu na swój połów“... Jeżeli tego rodzaju ustępy znajdują się w „Historyi“, to już wielce dziwićby się należało, żeby je był autor zostawił bez zmiany w broszurze, gdyby był rękopis swój oddał do druku już po śmierci obojga królestwa. Wójcicki usiluje wprawdzie usunąć tę sprzeczność między treścią opowiadania a swojem twierdzeniem, nasuwając domysł, że nie sam Wydżga ogłosił drukiem rękopis w roku 1678, lecz za życia Wydżgi któryś z jego przyjaciół. Możnaby uwierzyć w prawdopodobieństwo tego przypuszczenia, gdyby omówione wyżej ustępy zawierały jedyny ślad ścisłej współczesności broszury z czasami Jana Kazimierza. Ale tak nie jest: bo nie brak i innych tego rodzaju danych w licznych szczegółach. I tak, żeby zacząć od owej przytoczonej także wyżej wzmianki o „księdzu biskupie warmińskim, który dziś jest arcybiskupem gnieznieńskim“, odczytanie dokładne ustępu, zawierającego rzeczone słowa, daje pewność, że odnoszą się one bynajmniej nie do Wydżgi, lecz do całkiem innej osobistości, zmarłej jeszcze za czasów ostatniego Wazy. W ustępie na stronie 122 (wydania Wójcickiego) mówi autor o układach, nawiązanych między rządem Rzeczypospolitej a elektorem brandeburskim w roku 1657 o przymierze przeciw Szwedom, i wskazuje właśnie ówczesnego biskupa warmińskiego, jako prowadzącego układy. Ze znanej historyi tych układów wiadomo z pewnością, że przedstawicielem tym Rzeczypospolitej w istocie był biskup warmiński, — ale zarazem, że biskupem warmińskim w roku 1657 był nie Wydżga, lecz Wacław Leszczyński [1]). O tym Leszczyńskim wiadomo także dalej, że został on później, w roku 1659, arcybiskupem gnieznieńskim i go-

[1]) Porównaj *Walewskiego*: „Historyę wyzwolenia Rzeczypospolitej“, tom II, strona 152 i następne; nadto w wydaniu *Pribrama*: „Berichte Lisola's“, relacye z letnich miesięcy 1657 roku.

dność prymasa piastował do 1. kwietnia 1666 roku, w którym to czasie umarł. Czy podobna, aby ktokolwiek, wydając rękopis „Historyi" dopiero w roku 1678, nie spostrzegł się na tem, że w broszurze mowa jest o Wacławie Leszczyńskim, dawno zmarłym, jako o żyjącym jeszcze prymasie, i nie sprostował takiego błędu? Sprostowanie było w tym wypadku nader łatwe, bo nie wymagało przerabiania całego ustępu, lecz tylko przemienienia kilku wyrazów. Dziwić się należy, że taki erudyt, jak Wójcicki, mógł powyższą wzmiankę odnieść do Wydżgi zamiast do Leszczyńskiego i używać jej jako argumentu na poparcie twierdzenia, że broszura została wydaną — około roku 1678! Wzmianka ta dostarcza właśnie najsilniejszego dowodu, iż „Historya" powstała i wyszła z druku przed śmiercią Wacława Leszczyńskiego, to jest przed 1. kwietnia 1666 roku. Wzmianek, popierających ten ostatni wniosek, jest w broszurze jeszcze więcej. Na stronie 78, 82, 102 i 123, a więc czterokrotnie, wspomina autor o Janie Leszczyńskim jako o wojewodzie poznańskim a dzisiejszym podkanclerzym koronnym. Jan Leszczyński był podkanclerzym między rokiem 1660 a 1666; w roku 1667 objął już kanclerstwo wielkie koronne. I oto cztery dalsze dowody, że książka musiała wyjść z druku najpóźniej w roku 1666. Datę wydania można posunąć jeszcze dalej wstecz przy pomocy wzmianki, znajdującej się na stronie 87. W toku opowiadania dziejów wojny szwedzkiej napomyka autor o generale Wolffie, jako staroście dynaburskim i teraźniejszym magistrze artyleryi. Otóż Fromhold a Ludinghausen Wolff, o którym mowa, żył tylko do 17. listopada 1665 roku; jeżeli więc w powyższym ustępie jest mowa o nim, jako o żyjącym, broszura nie mogła być wydana później, jak w listopadzie 1665 roku. Ostatecznie zatem choćby się okazało nieprawdziwem, że istnieje jakiś drukowany egzemplarz „Historyi", opatrzony wyraźnie datą wydania 1660 roku, — to wedle mego przekonania nie może ulegać żadnej wątpliwości, że „Historya" została nietylko

napisaną, ale także i wydaną drukiem między rokiem 1660 a 1665. Domysł Wójcickiego co do rzekomego wydania broszury około roku 1678 jest pozbawiony wszelkiej podstawy. Wydawcy chodziło widocznie o to, aby przez wyrobienie uznania dla przypuszczenia, iż panegiryk na cześć królowej został wydany dopiero po jej śmierci, podnieść wartość źródłową „Historyi". Tendencya zamąciła równowagę zmysłu krytycznego. Jeśli Wydżga jest w istocie autorem panegiryku, to nie można go uwolnić od podejrzenia, iż pisał tendencyjnie, w celu przysłużenia się Ludwice Maryi: wskazuje to i szczegół, zawarty w anonimowym druku p. t. „*Exercitatio ad Nicolai Chwalcovii Jus publicum regni Poloniae*", którego autor, jak już przytaczałem, utrzymuje, że „Historya" wyszła tylko w 80 egzemplarzach i była rozdawana magnatom: „*ex gratia reginae Ludovicae*"...

Najwięcej znany i czytywany obok Pamiętników Paska jest Pamiętnik współczesnego mu Mikołaja Jemiołowskiego, obejmujący czasy od roku 1648 do 1679. Rękopis wykrył i ogłosił August Bielowski we Lwowie, w roku 1850. Nie było w rękopisie nazwiska autora: ale uczony wydawca bardzo zręcznym sposobem doszedł do pewności, że rzecz wyszła z pod pióra ziemianina województwa bełzkiego, Jemiołowskiego. Uznając, że wywód autorstwa jest trafny i ścisły, mam natomiast do zarzucenia wydawcy, że nie postarał się o dokładniejsze określenie czasu powstania Pamiętnika. Bielowski ogranicza się w przedmowie (strona IV) ogólnikowem twierdzeniem, że autor spisał swoje wspomnienia za panowania Jana III. Pamiętnik urywa się na roku 1679, Jemiołowski umarł zaś w roku 1693: od Bielowskiego można się zatem dowiedzieć tylko tyle, że Pamiętnik powstał między rokiem 1679 a 1693. Czy nie możnaby tych granic chronologicznych ścieśnić? Bliższy rozgląd w treści Pamiętnika okazuje, że można. Najbardziej pomocnemi będą nam wzmianki, znajdujące się na stronie 229, 266 i 283.

Na stronie 229, pod rokiem 1673, po wzmiance o śmierci prymasa Prażmowskiego, czytamy: „Arcybiskupstwo zaraz księciu Czartoryskiemu konferowano, a biskupstwo kujawskie Żegockiemu, ale on go ani skosztował, nominatem w tymże roku umarł, a Gębickiego sukcesorem zostawił. Ale i ten dla pewnych przyczyn sakry w Rzymie otrzymać nie mogąc, tegoż biskupstwa ani powąchał, ale prędko zmarłszy, Madalińskiego płockim, na którym sam był, a Sarnowskiego, biskupa przemyskiego, miał sukcesora. Znowu Madaliński po Sarnowskim na kujawskie nastąpił, a płockie Dolski (mylnie w rękopisie, faktycznie: Dąbski) po Żegockim chełmski, a po Lityńskim (mylnie w rękopisie, faktycznie: po Leżeńskim) łuckie otrzymał". W ustępie tym, niejasno wystylizowanym, mowa jest pod rokiem 1673 o zmianach, jakie zachodziły w rządach kilku dyecezyi o wiele później, po roku 1673, w czasach aż po rok 1680. Wymieniony naprzód Gębicki umarł jako biskup kujawski w roku 1675; po nim był biskupem kujawskim w istocie Sarnowski do roku 1680, po Sarnowskim do roku 1691 Bonawentura Madaliński. Biskupem łuckim był do roku 1675 Tomasz Leżeński, a po nim do roku 1681 Stanisław Dąbski. Biskupstwo płockie trzymał do roku 1674 Gębicki, po nim do roku 1680 Madaliński, a wreszcie od roku 1680—1691 Stanisław Dąbski [1]. W chwili więc, kiedy autor spisywał wspomnienia z roku 1673, wiedział już o zmianach, jakie zaszły dopiero w roku 1680. Stąd wniosek, że pisał swój pamiętnik, przynajmniej tę jego część, która odnosi się do czasów Sobieskiego, najwcześniej w roku 1680.

Na stronie 266 i 283 mówi autor znowuż o losach ordynacyi Ostrogskiej i jej dziedziców w czasie między rokiem 1673 a 1683. Wspominając w pierwszym ze wskazanych

[1] Szczegółowe i po części źródłowo uzasadnione tabele dygnitarzy duchownych z drugiej połowy XVII wieku sporządził Kluczycki i ogłosił je na końcu drugiej części I tomu wydawnictwa: „Aktów do czasów Sobieskiego", (wydanie krakowskiej Akademii Umiejętności).

ustępów o księciu Dymitrze Wiśniowieckim, wojewodzie krakowskim i hetmanie, dodaje takie szczegóły: „Więc i pustoszenie książę Wiśniowiecki dóbr swoich na Podolu, na Wołyniu alegował, i tak przy tych ordynackich dobrach imieniem małżonki swej został i aż do śmierci one trzymał, po którego zaś zejściu taż księżna Ostrowska za synowca tegoż kawalera maltańskiego za mąż poszła i dóbr tych onego społecznikiem uczyniła. Ale się to późniejszych działo czasów etc.“ Znajdujemy w tym ustępie rocznika z roku 1677 szczegóły o śmierci Dymitra Wiśniowieckiego i o małżeństwie wdowy po nim, Teofili z Zasławskich, z Józefem Karolem Lubomirskim. Otóż skądinąd wiadomo na pewno, że Dymitr Wiśniowiecki zmarł w roku 1682, a wdowa po nim zaślubiła marszałka wielkiego koronnego Lubomirskiego w roku 1683 [1]). Stąd znowuż wniosek, że rocznik z roku 1677 nie mógł powstać wcześniej, jak w roku 1683. A ponieważ całość ma formę jednolitą, robi wrażenie rzeczy napisanej jednym ciągiem, w krótkim przeciągu czasu, przeto nie popełnimy prawdopodobnie błędu, jeżeli powyższy wniosek, odnoszący się do rocznika z roku 1677, rozciągniemy na cały Pamiętnik. Dowody, przytoczone powyżej, przemawiają za tem, że Jemiołowski zabrał się do pisania swego Pamiętnika najwcześniej w roku 1683: a że umarł w roku 1693, przeto czas powstania Pamiętnika można ująć w granice chronologiczne lat 1683 i 1693.

Trzecim, więcej znanym i czytywanym pamiętnikiem z czasów Jana Kazimierza i Sobieskiego jest Pamiętnik tak zwany Losia, znacznie mniejszy od omówionego wyżej, ale cenny szczególniej dlatego, że autor był świadkiem wszystkich prawie tychsamych wydarzeń, które opisywał Pasek, a więc relacye jego doskonale się przydają do kontrolowania

[1]) Porównaj panegiryk weselny na cześć Józefa Lubomirskiego p. t. „Catena hellesponto Josephi Lubomirski etc.“, wydany w Warszawie 1683 roku.

i prostowania nieścisłych opowiadań tamtego. Pamiętnik tak zwany Losia obejmuje okres czasu od roku 1646 do 1667. Wydawca, Żegota Pauli, który znalazł i ogłosił w roku 1858 rękopis anonimowy, wyraził w przedmowie do tego wydania przypuszczenie, że autorstwo pamiętniczka „najprędzej jeszcze“ możnaby przypisać Władysławowi z Krzywonogi Losiowi, stolnikowi płockiemu za czasów Jana Kazimierza, a późniejszemu wojewodzie pomorskiemu i wreszcie malborskiemu. Przypuszczenia tego nie uzasadnił jednak Pauli żadnym innym argumentem, jak tylko ogólnikowem wskazaniem na fakt, że zarówno autor pamiętnika, jak Władysław Łoś brali udział w wojnie szwedzkiej i że obydwaj byli najwidoczniej gorliwymi stronnikami Jerzego Lubomirskiego. Po za temi danemi, wysnutemi z treści opowiadania, chce wydawca upatrywać dowód, popierający jego domysł, w tej jeszcze okoliczności, iż przy rękopisie Pamiętnika znalazły się notaty genealogiczne rodu Losiów, obejmujące okres czasu od roku 1695 po rok 1712, spisane ręką Jacka z Grotkowa Losia, podczaszego i sędziego belzkiego: wydało się Paulemu bardzo prawdopodobnem, że nietylko te notaty, ale cały rękopis należał do rodziny Losiów i wyszedł z pod pióra któregoś z jej członków.

Już pierwszy recenzent wydawnictwa, Julian Bartoszewicz, omawiając Pamiętnik [1], nie mógł się wstrzymać od zarzutu, że wydawca niedostatecznie uzasadnił swój domysł, a raczej nie uzasadnił go wcale. Bartoszewicz ograniczył się tem twierdzeniem negatywnem: sam kwestyą autorstwa pamiętniczka nie zajmował się wcale. Nie zajmował się tą kwestyą i żaden z późniejszych badaczy po czasy Szajnochy. Co do Szajnochy, wnoszę z umieszczonej w bibliografiach Estreichera i Finkla (przy tytule Pamiętnika t. zw. Losia) krótkiej notatki, iż historyk ten nie wierzył w autorstwo

[1] Porównaj artykuł w „Bibliotece Warszawskiej“ z roku 1859 tom II, strona 807—811.

Władysława Łosia. Widoczne to jest i w „Szkicach“ Szajnochy, że zawsze przytacza on omawiany właśnie Pamiętnik z dodatkiem słów: „tak zwany Łosia“. Niestety jednak ani od bibliografów naszych ani też z dzieł Szajnochy, uwzględnionych w zbiorowem wydaniu, nie udało mi się dowiedzieć, na jakich podstawach znakomity ten pisarz opierał swoje wątpliwości. W żadnym ze „Szkiców“ nie znalazłem nawet drobnego ekskursu, poświęconego tej kwestyi. Być może, że Szajnocha zajmował się nią w jakim artykule, ogłoszonym osobno, a nie objętym zbiorowem wydaniem; ale o istnieniu takiego artykułu nie mam żadnej wiadomości.

Nie mogąc korzystać z cudzych dochodzeń, próbowałem samodzielnie zbadać kwestyę. Oczywiście, wypadło przedewszystkiem oznaczyć, ile możności, jak najdokładniej czas powstania Pamiętnika. Żegota Pauli wystąpił w przedmowie (str. XV) z twierdzeniem, że autor „zajął się spisywaniem“ onego „około roku 1670“. Po bliższem rozpatrzeniu opowiadania okazało się, że określenie to jest mylnem. Dosyć liczne napomknienia o osobach i ich godnościach, znajdujące się w Pamiętniku, wskazują, że nie mógł on powstać tak wcześnie. Do ustalenia granic chronologicznych, wśród których został niezawodnie spisany Pamiętnik, przydać się mogą następujące dane. Na stronie 42—43 znajduje się najpierw wzmianka o Andrzeju Morsztynie jako o „dzisiejszym“ podskarbim koronnym (w roczniku z roku 1659); wiadomo zaś, że ten był podskarbim od roku 1668 do 1683. Dalej (strona 47) wspomina autor o Stanisławie Jabłonowskim jako „teraźniejszym“ hetmanie polnym (w tymże roczniku). Stanisław Jabłonowski dowodził wojskiem jako hetman polny od roku 1676 do 1682. Wreszcie na stronie 59 czytamy o Michale Pacu jako o hetmanie „dzisiejszym“ i wojewodzie wileńskim; a wiadomo z pracy Wolffa, że Pac był hetmanem od roku 1667 a 4-go kwietnia 1682 roku umarł. Jest w Pamiętniku i parę innych wzmianek o różnych osobistościach z ich tytułami późniejszymi; ale jedne z nich nie przydają się do

ściślejszego oznaczenia granicznych terminów, drugie na razie przydać się nie mogą wobec braku dokładnych dat z życia wspomnianych osób. Ale trzy zestawione wyżej dane wystarczają do stwierdzenia faktu, że Pamiętnik musiał powstać między rokiem 1676, (t. j. kiedy Jabłonowski został hetmanem polnym) a rokiem 1682 (t. j. kiedy Pac żyć przestał), — to jest w obrębie dokładnie oznaczonego sześciolecia w czasach Jana Sobieskiego, a zatem nie za Wiśniowieckiego, około roku 1670, jak utrzymywał Pauli.

Kwestya autorstwa nie łatwa jest do wyjaśnienia, gdyż autor, jak widać z jego opowiadań, wiódł wprawdzie życie czynne, ale nie odegrał żadnej wybitnej roli w dziejach: był tylko jakby zwyczajnym pionkiem na widowni historycznej. Brał udział w wojnie szwedzkiej, w wojnach moskiewskich i wreszcie w rokoszu Lubomirskiego po stronie rokoszanina, ale nie jako dowódca, jeno jako prosty towarzysz pancerny. O sobie wspomina wprawdzie dosyć często w Pamiętniku, ale zwykle tak ogólnikowo, że trudno z tych wzmianek wyłuszczyć indywidualność autora. Dwa tylko ustępy znajdują się w opowiadaniu jego, które mogą przy pomocy nowych źródeł historycznych doprowadzić do wykrycia nazwiska autora. W opisie bitwy pod Połonką z czerwca 1660 roku (strona 51) mianowicie opowiada nasz towarzysz pancerny, że przed samą walką przypadła na chorągiew rotmistrza jego, Wacława Leszczyńskiego, straż placowa, a w jej „fortropie“ dostała się jemu samemu komenda nad piętnastą towarzystwa. Otóż należałoby dojść przy pomocy innych relacyi o bitwie, jak się nazywał dowódca owego „fortropu“ z chorągwi Leszczyńskiego. Niestety, w żadnej ze znanych relacyi drukowanych ani rękopiśmiennych (których czytałem nie mało, gdym pisał monografię wojny z r. 1660), nie znalazłem żadnej dokładniejszej wzmianki ani o owym „fortropie“, ani tem mniej o nazwisku jego dowódcy. Łatwo jednak być może, że w niezliczonem mnóstwie niezbadanych jeszcze i przez nikogo nieużywanych rękopisów znajdzie się jakaś

tak wyczerpująca relacya, że dostarczy i wyjaśnienia owego szczegółu, o który nam chodzi. Drugie napomknienie, przydatne do rozwiązania kwestyi autorstwa, zawiera historya wydarzeń z roku 1663. Na stronie 77, mówiąc o związkach wojskowych i o układach związkowych z rządem Rzeczypospolitej, zaznacza autor, że był sam deputatem od chorągwi krajczego koronnego, Wacława Leszczyńskiego. Wystarczyłoby więc odnaleść nazwisko deputata wymienionej chorągwi, aby posiąść zarazem wiadomość, kto napisał nasz Pamiętnik. Ale i co do tego szczegółu poszukiwania były dotąd bezowocne. Przeszło przez moje ręce mnóstwo materyałów drukowanych i rękopiśmiennych, odnoszących się do dziejów związków wojskowych za Jana Kazimierza (przejrzałem między innymi szczegółowo rękopis biblioteki Czartoryskich nr 1655, w całości dotyczący wyłącznie tego przedmiotu); ale nie zdarzyło mi się dotychczas zauważyć nazwiska deputata od chorągwi Wacława Leszczyńskiego. Jednakże, co się dotychczas nie powiodło, może się powieść w przyszłości: bo w mnóstwie niezbadanych materyałów, o których mamy wiadomość, może się w toku dalszych poszukiwań znaleść łatwo pożądana wzmianka.

Poza dwoma powyższymi ustępami zresztą mówi autor o sobie tylko ogólnikowo. Dowiadujemy się odeń, że karyerę swoją wojenną rozpoczął gdzieś około czasów najazdu szwedzkiego; że służył w wojsku koronnem, zawsze jako towarzysz pancerny, do roku 1664; że jako taki brał udział w wyprawie duńskiej Czarnieckiego z lat 1658—1659 i następnie pod tymże Czarnieckim walczył na Litwie w roku 1660; że dalej w latach 1661—1664 należał do związków wojskowych i działał w toku układów z rządem jako deputat: że wreszcie w roku 1665 i 1666 stawał gorliwie po stronie rokoszanina Jerzego Lubomirskiego i walczył pod jego dowództwem przynajmniej w bitwie pod Częstochową. Na tem koniec wiadomości autobiograficznych; zresztą Pamiętnik urywa się właśnie na roku 1666, bo rocznik z roku

1667 zawiera zaledwie dwa krótkie zdania o pięciu wierszach druku. Z całego pamiętnika widać, jak powtarzam, że autor żadnej znaczącej roli nie odegrał; nie osiągnął w ciągu dłuższej służby wojskowej żadnej rangi, lecz zwykłym towarzyszem pozostał do końca, a największego względnie odznaczenia doznał w roku 1663, gdy go mianowano deputatem od chorągwi.

Gdy mamy na oku kwestyę autorstwa, narzuca się oczywiście naprzód pytanie, czy wszystkie powyższe dane autobiograficzne przystają do postaci Władysława Łosia, z którą je usiłował związać wydawca Pauli? Postać Władysława Łosia należy do bardziej wybitnych w czasach Jana Kazimierza i Sobieskiego. Spotyka go się w źródłach od roku 1662 już jako stolnika płockiego, którym był co najmniej do roku 1674. Za czasów Jana III osiągnął krzesło senatorskie: bo od roku 1681 występuje jako kasztelan chełmski, od roku 1683 jako wojewoda pomorski, w roku 1694 jako wojewoda malborski — już tylko bardzo krótko, bo w tym samym roku zakończył życie. Ze źródeł, odnoszących się do wcześniejszego okresu życia Władysława Łosia, dowiadujemy się, że w styczniu roku 1662 jako stolnik płocki marszałkował na sejmiku ziemi dobrzyńskiej w Lipnie, bo nazwisko jego znajdujemy umieszczone pod instrukcyą, daną posłom ziemi dobrzyńskiej na sejm walny warszawski z roku 1662 [1]; dowiadujemy się dalej, że został w roku 1665 (19. lutego) obrany przez obywateli tejże ziemi dobrzyńskiej, na sejmiku w Lipnie, posłem na sejm dwuniedzielny, zwołany na 12. marca 1665 [2]) roku; dowiadujemy się, co więcej, od świadków naocznych, że jako poseł oddziałał on decydująco na przebieg rzeczonego sejmu, gdyż zerwał jego obrady jako partyzant Lubomirskiego [3]); że

[1]) *Kluczycki*: „Lauda ziemi dobrzyńskiej“. strona 32—34.

[2]) Tamże, strona 42—44,

[3]) *Kochowski*: „Annal. Polon. Clim.“, tom III, str. 171. Porównaj nadto ralacyę Hoverbecka, posła brandeburskiego z datą: „War-

nadto później trzymał stronę tegoż Lubomirskiego w ciągu całego dwulecia rokoszowego, należał do najbardziej poważnych i cenionych przyjaciół politycznych marszałka-banity, który go używał jako zaufanego powiernika nawet do misyi dyplomatycznych, naprzykład w tajnem poselstwie do elektora brandeburskiego, jak to się zdarzyło mianowicie we wrześniu i październiku 1666 [1]) roku. Jednem słowem Władysław Łoś, późniejszy senator, już za czasów Jana Kazimierza zajmował stanowisko wpływowe w królestwie i jako stronnik Lubomirskiego zwłaszcza, należał do tych niewielu jednostek, z któremi się liczono i na które się oglądano jako na zdolne i wielmożne. Otóż jakkolwiek wskutek ogólnikowego sposobu wyrażania się o sobie autora Pamiętnika nie da się ani razu wykazać całkiem ściśle *alibi* Władysława Łosia w miejscach, gdzie przebywał autor tegoż Pamiętnika, a nawet są pewne podobieństwa między postaciami Władysława Łosia a tegoż autora, głównie z powodu, że oba należeli najwidoczniej do gorliwych stronników Lubomirskiego, — to jednak zestawienie znanych szczegółów z życia Władysława Łosia z treścią Pamiętnika narzuca przekonanie, że te dwie osobistości nie mogły być identycznemi. Niepodobna, aby ten Władysław Łoś, stolnik płocki już co najmniej

schau, d. 31. Martii 1665" (Król. tajne archiwum państwa pruskiego Rep. 6. nr 52, str. 482—485, oryg.), który dokładnie potwierdza opowiadanie Kochowskiego.

[1]) *Kochowski:* „Annal. Polon. Clim.", tom III, str. 171. Porównaj w liście Jerzego Lubomirskiego do Fryderyka Wilhelma, elekt. brandeburskiego z datą: „Vratislaviae, d. 14. Septembr. 1666" (Pruskie tajne archiwum państwa, Rep. 9, nr 16a, k. z rzędu 73) słowa: „Uti ex binis litteris meis constat iam Ser-ti V-rae destinatum meum propositum mittendi aliquem ad Ser-tem V-ram, ita mitto D-num Dapiferum Plocensem, per quem humillimum devotionis meae defero cultum etc." W tymże foliale archiwalnym znajduje się odpowiedź elektora na list Lubomirskiego z datą: „in arce Clivensi d. 17. Octobris 1666", w której Fryderyk Wilhelm poświadcza, że Łoś wywiązał się ze swojej misyi „copiose et dextre".

w roku 1662, marszałek sejmiku w tymże roku 1662, a potem poseł na sejm i wysłannik dyplomatyczny Lubomirskiego, mógł służyć w wojsku po rok 1665 jako prosty towarzysz pancerny, jakim był faktycznie do tego czasu autor Pamiętnika; niepodobna dalej, aby autor Pamiętnika, jeśliby był w istocie Władysławem Łosiem, nie wspomniał był ani słowem o roli politycznej, jaką odegrał w latach 1662—1666, niepodobna zwłaszcza, żeby był nie wspomniał o marszałkowaniu na sejmiku 1662 roku ani o spowodowanem przez się zerwaniu sejmu 1665 roku, fakcie bądź co bądź pierwszorzędnego znaczenia, który przecież w rozumieniu jego jako stronnika Lubomirskiego mógł uchodzić za wielką zasługę. Dziwnemby też było niesłychanie, żeby taki przyjaciel Lubomirskiego mógł służyć w wojsku onego jako zwyczajny towarzysz pancerny [1]). A tem samem niepodobna, aby autorem Pamiętnika mógł być Władysław Łoś, późniejszy kasztelan i wojewoda.

Na razie musimy się zadowolić tym rezultatem negatywnym. Kto jest autorem Pamiętnika, dotychczas wykryć mi się nie udało: do wykrycia nieznajomego mogą się przydać dane, które wyżej przytoczyłem. Jest możliwem i nawet bardzo prawdopodobnem, że Pamiętnik wyszedł z pod pióra

[1]) Że autor Pamiętnika był prostaczkiem, człowiekiem bez wybitnego stanowiska, wnosić można także ze sposobu jego wyrażenia się o własnych zwierzchnikach wojskowych. W Pamiętniku, napisanym, jak stwierdziłem, po roku 1683, wspominając fakt śmierci swego pierwszego rotmistrza pod rokiem 1658 (str. 33), wyraża się autor: „W tym roku rotmistrz mój jaśnie wielmożny jmp. Władysław na Mirowie, margrabia wojewoda krakowski, umarł w poście“. — Władysław Łoś w roku 1683 sam już był wojewodą: wątpić można, aby w Pamiętniku wspomniał swego rówieśnika co do stanowiska z taką rewerencyą w doborze tytułów. Wzmianka powyższa dowodzi owszem, że Pamiętnik pisał ktoś, stojący na tak niskiem stanowisku w hierarchii godności, że wojewoda był dlań „jaśnie wielmożnym“, — a więc ktoś, co w roku 1683 sam w senacie ani na żadnym wybitnym urzędzie nie zasiadał.

jakiegoś innego Łosia, może krewniaka Władysława, człowieka mniej znaczącego i głośnego, niż przyjaciel Lubomirskiego, — albo może jakiegoś sługi szlacheckiego w domu Łosiów: bo za tym domysłem przemawia poniekąd okoliczność, że przy rękopisie Pamiętnika znalazły się notaty genealogiczne rodu Łosiów. Zbyt mało mamy danych biograficznych z życia innych Łosiów — poza Władysławem — z drugiej połowy XVII wieku, abyśmy się mogli obecnie pokusić o poszukiwanie wśród innych przedstawicieli tej rodziny twórcy Pamiętnika; ale podobno w archiwach prywatnych przechowują się bardzo obfite materyały do dziejów rodu Łosiów: więc gdy powstanie z nich kiedyś wyczerpująca monografia familii, wówczas rozwiązanie tej także części zadania będzie znacznie ułatwione.

MIŁOSTKI KRÓLEWSKIE.

I.

Historycy czasów Jana Kazimierza, a zwłaszcza biografowie samego króla pomijali dotychczas zupełnem prawie milczeniem, albo pobieżnemi wzmiankami jedyne dla nas w swoim rodzaju dziełko francuskie z XVII wieku, poświęcone głównie dziejom miłostek ostatniego Wazy.

Mam na myśli książeczkę, wydaną w Paryżu 1679 roku w pierwszem, i 1680 roku w drugiem wydaniu, bezimiennie, pod tytułem: *Casimir, Roy de Pologne* (w dwóch tomikach małej ósemki i o łącznych przeszło 400 stronicach). Znali tę rzecz Plebański i Szajnocha; ale pierwszy napomknął o niej tylko mimochodem w jednym z dopisków do pracy o Maryi Ludwice, drugi zbył ją również krótko w nocie 49, przy szkicu o „Hieronimie i Elżbiecie Radziejowskich“ surowym wyrokiem, że zawiera podania „kłamliwe i niedorzeczne“. Niema o niej wreszcie żadnej wzmianki w „Szkicach“ prof. Kubali.

Większego miru zażywał nasz anonim u pisarzy obcych, zwłaszcza niemieckich. Powołują się nań historycy stosunków niemiecko-polskich w XVII wieku, np. Krebs i nawet uczony Droysen, który wprawdzie sądzi go dosyć surowo, ale przecie nie tak bezwzględnie, aby żałował dlań swej uwagi.

Powiedzieliśmy, że książeczka rzeczona poświęcona jest głównie dziejom miłostek Jana Kazimierza: głównie, ale nie wyłącznie, bo zawiera nadto zarys historyczny działalności publicznej, zwłaszcza wojowniczej króla przez cały przeciąg

jego rządów, to jest w okresie czasu od roku 1648—1668. Jako dzieło biograficzne z XVII wieku, datą wydania bardzo bliskie opisanym w niem wypadkom, przez to samo wchodzi ono w zakres źródeł, z któremi nauka musi się liczyć.

Gdy się zastanawiam, dlaczego mimo to wszystko rzecz o „Janie Kazimierzu" była pomijana prawie zupełnie przez naszych historyków, to nasuwa mi się jako taki wzgląd, odstręczający z jednej strony charakter anonimowy książki, a z drugiej pewien, że się tak wyrażę, romantyczny pokost opowiadania, który, nałożony gdzieniegdzie za silnie i dosyć nieudolnie, nadaje niektórym ustępom cechę czegoś sztucznie obmyślanego i uformowanego wedle utartej i nadużytej nieraz modły ówczesnych romansideł francuskich. Ale czy ta formalna więcej właściwość dziełka, która wskazuje co najwyżej na to, że autor materyał dany przerabiał i amplifikował pewnymi konwencyonalnymi dodatkami, wystarcza, aby zasadniczej treści, samemu jądru opowiadania odmówić można nieodzownego przymiotu prawdziwości lub, w gorszym wypadku, prawdopodobieństwa? Zdaniem mojem, niezawodnie nie wystarcza: co więcej, mam pewne dane, przynajmniej co do niektórych faktów, właśnie z dziejów miłostek królewskich, dowodzące, że nietylko w ogólnych zarysach nie są one pozbawione gruntu rzeczywistego, lecz owszem, nieraz i w szczegółach z prawdą się nie mijają.

W dziełku niniejszem przedstawia się nam Jan Kazimierz, jako człowiek odważny i waleczny, ale natury miękkiej, uczuciowej. „Miał umysł łagodny, a jego górującą namiętnością była miłość"... — powiada autor zaraz u wstępu. Dla stwierdzenia tych słów, kreśli w dalszym ciągu dzieje trzech romansów króla, które wypełniają czasy jego rządów: a to najpierw stosunku z Radziejowską, potem z niejaką panną Schanfeld, i wreszcie z podkomorzyną Denhofową.

Otóż, jakkolwiekbądź wypadnie w przyszłości, z postępem wiedzy historycznej, a zwłaszcza wydawnictwa źródeł, sąd o działalności publicznej i o życiu prywatnem króla, —

to najpewniej utrzyma się jako fakt niezbity, że Jan Kazimierz chętnie wpływowi otoczenia ulegał i ze szczególną łatwością zwłaszcza poddawał się silniejszej woli lub urokowi kobiet, do których okoliczności go zbliżyły. Zawisłość jego od żony Maryi Ludwiki (co prawda, nie w sprawach sercowych, lecz politycznych) znajduje w źródłach tak wielostronne, prawie jednogłośne stwierdzenie, że wątpić o niej niepodobna. Ale i o skłonności do życia rozwiązłego, do miłostek, dosyć dużo opowiadają relacye świadków współczesnych. Przytoczyłem je w moich „Studyach nad życiem i charakterem Jana Kazimierza", i tam odsyłam chętnych czytelników. Tu zaś, przechodząc wprost do szczegółów, wskażę na to, że z trzech owych miłostek, opowiedzianych w książce anonima, tylko romans z panną Schanfeld jest nieznany z innych źródeł; co do stosunku z Radziejowską, wiadomo, że głośno było o nim w Rzeczypospolitej, w latach 1651—1652, że sam Radziejowski i królowa, dwie osoby najbardziej w tym wypadku interesowane, uważały ją za fakt oczywisty; historya jednak stanowczych dowodów na jego sprawdzenie dotychczas przytoczyć nie umiała. Ale zato pożycie kilkoletnie króla z Denhofową, wpływ tej ostatniej panujący, zwłaszcza po śmierci Maryi Ludwiki, zaznaczony jest w listach i relacyach wielu wielce wiarogodnych świadków tak wyraźnie i dobitnie, że to, co w tym przedmiocie opowiada anonim, można uważać raczej za blade odbicie rzeczywistości, aniżeli za obraz o przesadnym, nazbyt jaskrawym kolorycie.

Nie myślę jednak przeczyć bynajmniej, że opowiadanie anonima w pewnej części słusznie obudziło niedowierzanie historyków, i mogło nawet dać powód do bardzo surowych sądów. Ale tylko w pewnej części; bo, rozczytując się w niem bliżej, zauważyłem, że właśnie początkowe rozdziały książki, któremi się u nas dotąd najwięcej zajmowano (dotyczące romansu z Radziejowską), są dziwnie pogmatwane i często sprzeczne z relacyami innych źródeł; ale w dal-

szym ciągu autor coraz bardziej się poprawia, coraz częściej schodzi na tory prawdy, a więc i coraz rzadziej kłóci się z historyą.

Dlatego sądzę, że nie godzi się wyklinać książki naszego anonima przedwcześnie z zakresu źródeł użytecznych; lecz owszem, obowiązkiem rzetelnego badacza jest zwrócić i na nią pilną uwagę i poddać ją szczegółowemu rozbiorowi. Ja, na tem miejscu i na razie, wypełniam pierwszą część tego obowiązku: podaję o dziełku bliższą wiadomość.

Nie przesądzam rezultatu drugiej części zadania, to jest, rozbioru krytycznego. Ale nawet, gdyby moje oczekiwania były wygórowane, gdyby się okazało, że historya z książki niniejszej dużo pożytku nie odniesie, — to i wówczas nie będę się wahał utrzymywać, że zasługiwała ona mimo licznych (ile ich tam będzie) braków, na szczególną uwagę, jeżeli już nie w pierwszym rzędzie historyków, to w każdym razie powieściopisarzy. Bo, skoro w naszej literaturze powieściowej nastał w ostatnich czasach zwrot ku tematom historycznym, i skoro w poszukiwaniu za tymi tematami pierwszeństwo wyboru z natury rzeczy przypaść musi w udziale takim zdarzeniom, w których kanwie historycznej barwna nić miłości przewija się w sposób najbardziej widoczny i nadaje zasadniczy koloryt całości, skoro wreszcie wartość opowiadania i interes, jaki ono budzi w czytelnikach, rośnie lub maleje w miarę większej lub mniejszej zgodności treści z minioną rzeczywistością lub przynajmniej z jej podobieństwem, — to dzieje miłostek królewskich, opowiedziane przez anonima i mające za sobą przynajmniej co do niektórych szczegółów ważne świadectwa wiarogodności, mogą się przydać niejednokrotnie powieściopisarzowi, właśnie owym obfitym materyałem sytuacyj romantycznych, którego książka dostarcza. Sądzę mianowicie, że romans króla z panną Schanfeld, przedstawiony przez autora najbardziej szczegółowo, mógłby posłużyć do wskazanego celu znakomicie: snując się bowiem współcześnie z tragicznymi wy-

padkami wojny szwedzkiej, wyprowadza na widownię w roli czynnej historyczne postaci Jana Zamojskiego, Sobieskiego, Podlodowskiego, królowej Maryi Ludwiki, dyplomaty austryackiego, Lisoli, Maryi Kazimiery d'Arquien, podówczas panny dworskiej i t. d. Intryga romansu spleciona jest tak ściśle z całym szeregiem innych, współrzędnych, politycznych i prywatnych komplotów, że, nie odbiegając od rzeczy, możnaby podłożyć pod opowieść najszersze tło historyczne. A że sprawa toczy się głównie na dworze i około dworu, to jeden wzgląd więcej, przemawiający za przydatnością tego tematu; bo źródła XVII wieku szczególniej wiele dostarczają materyału do objaśnienia życia dworskiego i obyczajów, panujących w wyższych sferach społeczeństwa; a więc byłaby możność nadania opowiadaniu ściślejszej wierności historycznej i dokładniejszego wykończenia szczegółów, wzorowanych na autentycznych faktach.

Nie wyjdzie to na chlubę naszego autora, jeśli powiem, że uprzedził on już po trochę powieściopisarzy, pozwoliwszy sobie w przedstawieniu miłostek królewskich tu i owdzie na pewien rodzaj amplifikacyi treści, którą w romansie lub poemacie składać się zwykło na karb „wolności poetyckiej", ale w dziele, bądź co bądź, historycznem razić musi i na wytknięcie zasługuje. Zauważyłem już powyżej, że opowiadanie, dotyczące stosunków miłosnych Jana Kazimierza, co do treści uwagi godne i zajmujące, odstręczało od siebie historyków jakimś konwencyonalnym, romantycznym pokostem, którego widocznie użyto na to, aby rzecz uczynić bardziej ponętną i poczytną. I tak, autor robi swoje bohaterki, jakby z zasady, znacznie młodszemi, niż były w istocie w danej chwili; wkłada osobistościom, grającym główne role, w usta długie tyrady, patetyczne lub sentymentalne z tą dokładnością, która odrazu naprowadza na myśl, że wyszły one z głowy samego autora; śledzi zresztą i opisuje dzieje miłosne swoich kochanków z jakiemś naiwnem, gorącem współczuciem i bezgraniczną pobłażliwością, na wzór Boc-

caccia, wychodząc widocznie z założenia, iż w sprawach sercowych „cel uświęca środki“, — pomija wreszcie jawne fakta, nieraz bardzo doniosłe, w obawie zapewne, że popsują dobre wrażenie całości. To są główne błędy, na które wskazać uważałem za potrzebne, mimo że piszę tylko sprawozdanie.

Muszę nadto dodać parę ogólnych wyjaśnień. Jakkolwiek na karcie tytułowej książki niema wymienionego autora, dziełko jest tylko na pół anonimowe. Znajdujemy bowiem zaraz na najbliższej stronicy dedykacyę: *A Monseigneur le Président de Mesmes, Commandeur des ordres du Roi* i przedmowę, podpisaną cyframi: D. L. V. R. Wedle Barbier'a *(Dictionnaire des anonymes. T. I,* str. 505) są to litery początkowe nazwiska: *De la Valette Rousseau.* Rozwiązanie to nie na wiele się przydało, gdyż o osobistości tego nazwiska źródła nam dostępne nie podają żadnej wiadomości. Że rodzina Rousseau istniała w XVII wieku, to rzecz pewna, jak i to, że za Ludwika XIV chlubiła się takimi członkami, jak Jakób, znakomity architekt, malarz i rytownik (ur. 1630 r.) i Jan Baptysta, znany poeta liryczny (ur. 1670 r., ale należący swoją działalnością literacką do XVIII wieku). Nie kończy się lista przedstawicieli tej rodziny na wskazanych dwóch imionach głośniejszej sławy; ale ilukolwiek ich było, napróżno szukamy w ich gronie osobistości, do którejby można ze względnem przynajmniej prawdopodobieństwem odnieść rzecz o Janie Kazimierzu, wydaną w roku 1679, a napisaną nie prędzej, jak po roku 1672.

Inaczej ma się rzecz z wymienionym na czele dedykacyi protektorem pisarza. Ów prezydent de Mesmes — to postać dosyć znana i z historyi politycznej Francyi i z listy „nieśmiertelnych“. Jakkolwiek imienia przy nazwisku nie podano, nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z Janem Jakóbem de Mesmes, hrabią d'Avaux, który właśnie podówczas (już od roku 1672) piastował godność jednego z prezydentów parlamentu *(Président à mortier)*, a w roku 1676 został mianowany członkiem Akademii francuskiej.

Że Rousseau, mimo, iż miał tak znakomitego mecenasa za sobą, uważał za potrzebne, ukryć swoje nazwisko, dziwić się nie będziemy; przedmiot jego opowiadania drażliwy i dotyczący wypadków bliskich, w których biorą udział czynny osobistości, żyjące jeszcze w roku 1679, mógł dać słuszny powód do tej przezorności. Jest zresztą jeszcze jedna okoliczność, która wobec tego faktu zasługuje na szczególną uwagę; mianowicie, że nasz Rousseau nigdy sam nie występuje, jako świadek czynny, ani bierny, i nawet za takiego wcale się nie podaje, a natomiast wszędzie, gdzie tylko snuje się nić miłosna, widzimy na pierwszym planie, w najwydatniejszej roli pośrednika między kochankami i powiernika króla — młodego Francuza, barona St. Cyr'a. Można powiedzieć, że ten kawaler jest obok Jana Kazimierza drugim bohaterem opowiadania. Co więcej, czytając dziełko, odnosi się ustawicznie takie wrażenie, jak żeby ten St. Cyr, a nie Rousseau był właściwym opowiadaczem całej historyi. Powyższy wzgląd i cały szereg innych, których tu nie przytaczam dla uniknięcia rozwlekłości, naprowadza na domysł, że jeżeli nie autorstwo książki, to poddanie całego materyału można z wielkiem prawdopodobieństwem przypisać St. Cyr'owi, a Rousseau'a uważać tylko za współpracownika czy referenta, który cudze wspomnienia z opowiadania ustnego lub jakichś zapisek zebrał, przerobił i w ogładzoną formę przyodział. Taki skład rzeczy tłumaczyłby też najlepiej, dlaczego Rousseau nie miał śmiałości wypisać na czele dzieła pełnego swego nazwiska.

Co do St. Cyr'a znowu brak nam, niestety, bliższych danych. Z książki samej dowiadujemy się, co prawda, dosyć dużo: mianowicie, że rodzina jego należała do najznamienitszych domów Guyenny, że około roku 1648, za wojen Frondy, bawił w Paryżu, że zakochawszy się w margrabinie des Roches, wyjechał za nią (kiedy została wezwana przez Maryę Ludwikę w charakterze ochmistrzyni dworu) do Warszawy, i że w Polsce przebywał w czasie, mniej więcej, od

roku 1649 do 1660, a może i dłużej, biorąc, jako ochotnik, udział w wojnie szwedzkiej, a w chwilach wolnych dwo-rując pani swego serca i pośrednicząc w sprawach miłosnych Jana Kazimierza. Okoliczność, że inne źródła o nim milczą, nie wyklucza bynajmniej możliwości jego pobytu w Polsce, bo Rzeczpospolita pełna była podówczas kawalerów francuskich, przyjmowanych chętnie do służby dworskiej i wojskowej.

Po tych wyjaśnieniach możemy przystąpić już wprost do zapoznania się z treścią.

II.

Znaczną część pierwszego tomu zajmuje historya romansu Jana Kazimierza z Radziejowską. Stosunek króla do pięknej podkanclerzyny nie został dotychczas, mimo prac Szajnochy i Kubali, dostatecznie wyjaśniony; z ciekawością wziąłem się też do odczytania obszernej relacyi Rousseau'a.

Ale, rzecz szczególna, w tej właśnie pierwszej części opowiadanie naszego autora różni się tak często z historyą, że chciałoby się je zupełnie pominąć, a przystąpić odrazu do dalszych ustępów książki, które ze stwierdzonymi naukowo faktami o wiele rzadziej stają w sprzeczności.

Bądź co bądź, mimo wszystkich bałamuctw i wątpliwych szczegółów, nie bez znaczenia nawet dla surowego krytyka będzie przecież ta okoliczność, że autor obcy, piszący około roku 1672, nie znający języka polskiego i nie używający żadnych źródeł polskich (bo gdyby je miał pod ręką, nie popełniłby ani połowy tych błędów, jakie w jego opowiadaniu znajdujemy), posiada niezawisłą wiadomość o stosunku króla z Radziejowską, i uważa wiarołomstwo tej ostatniej, jako fakt całkiem niezawodny i powszechnie znany. Wedle Rousseau'a, jest podkanclerzyna w roku 1649 jeszcze kobietą bardzo młodą; za Radziejowskiego wyszła, jako panna. Jedno i drugie nie zgadza się, jak wiadomo, z rzeczywistością:

bo Radziejowska liczyła wtedy już lat trzydzieści kilka i oddała rękę Radziejowskiemu, jako wdowa po Kazanowskim.

W całej intrydze romantycznej, która doprowadziła do zbliżenia się, a następnie nawiązania stosunku między królem a podkanclerzyną odgrywają (wedle naszego autora ciągle) znaczącą rolę St. Cyr i oddana mu ochmistrzyni domu Radziejowskich. St. Cyr jest kuryerem miłosnym: pośredniczy w korespondencyi i załatwia ustne zlecenia, jako częsty gość i nawet „przyjaciel“ Radziejowskiego. Ten ostatni spostrzega się dosyć wcześnie na wiarołomstwie żony i staje naturalnie na przeszkodzie kochankom. Stąd nienawiść króla do Radziejowskiego, przedtem obsypywanego łaskami — i stąd gwałtowne sceny zazdrości zarówno w domu królewskim, jak podkanclerskim. Radziejowski dostaje do rąk miłosne listy Jana Kazimierza, i doręcza je królowej. Teraz i Marya Ludwika sprzymierza się z oszukanym mężem, co króla doprowadza do najwyższego rozdrażnienia; to też, wpadłszy na ślad tajnych rzekomo stosunków Radziejowskiego z dworami zagranicznymi, każe mu wytoczyć proces i surowym wyrokiem zmusza do ucieczki z kraju. O schronieniu się Radziejowskiej do klasztoru i o krwawych zajściach, wywołanych przez podkanclerzego w Warszawie, autorowi naszemu nic a nic nie wiadomo, a przecież te to zajścia stanowiły główny substrat aktu oskarżenia. Rousseau utrzymuje, że po usunięciu się męża, Radziejowska utrzymywała z królem stosunki jeszcze przez lat kilka, — i dopiero wskutek szemrania krewnych i nacisku opinii publicznej, musiał Jan Kazimierz dopuścić ostatecznie do zerwania.

Nie będę się zatrzymywał nad licznymi szczegółami tego pierwszego romansu królewskiego, który, jak zauważyłem, w obszernem przedstawieniu Reosseau'a często sprzecza się z historyą. Nie wynika z tego jednak, abym odmawiał tej części książki wszelkiej wartości i znaczenia. Owszem, sądzę, że zasługuje ona na bliższe zbadanie; gdyby naprzykład udało się na podstawie istniejących, a nieużytych do-

tychczas źródeł stwierdzić, że St. Cyr bawił w istocie w owym czasie na dworze polskim, i określić, jakie było jego stanowisko, to relacya, zawarta w książce Rousseau'a, mogłaby posłużyć za punkt wyjścia do nowych studyów nad głośną w pierwszych latach rządów Jana Kazimierza sprawą Radziejowskiego, a nawet, mimo wszystkich niedostatków, przyczynić się do postawienia tej ostatniej z wielu względów w nowem świetle.

O wiele bardziej zajmującą i do prawdy podobną jest dalsza część opowiadania, poświęcona stosunkowi Jana Kazimierza do panny Schanfeld. I tutaj występuje parę figur, skąd inąd wcale nieznanych; obcą nam jest nawet sama bohaterka romansu. Ale zato zarówno malowidło ogólnego tła historycznego, przez które przewija się nić miłosnej intrygi, jak i liczne szczegóły, dotyczące równoczesnych zdarzeń, znajdą często odbicie i sprawdzenie w innych źródłach; co więcej, spotykamy tu cały szereg wybitnych osobistości, działających w ten sposób i w takim duchu, że czynności, jakie im przypisuje Rousseau, przystają prawie zawsze, i to wcale dokładnie, do ich historycznych fizyonomij.

Panna Schanfeld, bohaterka tego drugiego epizodu, z rodu Niemka, była wedle naszego autora panną dworską królowej. Chociaż nic o niej z innych źródeł nie wiemy, uważamy za bardzo możliwe, iż królowa, chociaż Francuska z krwi i wychowania, utrzymywała na swoim dworze około lat 1655—1658 także Niemki. Nie trzeba zapominać, że był to czas, w którym Marya Ludwika nietylko sprzeniewierzała się coraz bardziej Francyi, ale nawet groziła zupełnem zerwaniem; a natomiast szukała zbliżenia do domu cesarskiego. W takiej chwili nie trudno było właśnie Niemce dostać się na dwór królewski, tem więcej, że królowa używała chętnie do swoich intryg politycznych pomocy pięknych i zręcznych kobiet.

Jan Kazimierz poznał więc pannę Schanfeld, już jako damę dworską. „Miała ona — jak opisuje Rousseau — kibić

smukłą i jednę z tych, które można nazwać korzystnemi. Twarz owalna, oczy niebieskie, ładnie wykrojone, z wyrazem jakiejś mglistości i żywości zarazem: a przytem taka proporcya w całej postaci, że nie łatwo było o piękniejszą“... Z zaletami zewnętrznemi łączyły się i wewnętrzne: dowcip wielki i rozsądek.

Wszystkie te przymioty podbiły w krótkim czasie serce Jana Kazimierza. Lecz że panna Schanfeld bawiła ciągle przy boku królowej i pod surowym nadzorem ochmistrzyni dworu, margrabiny des Roches, trudno było królowi zrazu o sposobność do wyrażenia swych uczuć. W tem położeniu przyszedł mu znowu w pomoc uczynny kawaler francuski, St. Cyr. Jako adorator margrabiny des Roches, której wzajemnością się cieszył, wziął na siebie pozyskanie ochmistrzyni dla sprawy sercowej króla. Nie wiodło mu się z początku, ale wreszcie, po długich zabiegach, odniósł zwycięstwo. Margrabina pozwoliła na schadzki z panną Schanfeld we własnem swem mieszkaniu. Odtąd zaczyna się drugi stosunek miłośny Jana Kazimierza. Historya jest pełna romantycznych epizodów, które Rousseau opisuje drobiazgowo. Nie brakło, jak zwykle w takich razach, na przeszkodach. Przesuwając się cichaczem przez korytarz zamkowy, o mało nie został Jan Kazimierz pewnego wieczora uwięziony przez gwardyę pałacową, która nie poznała swego pana i wzięła go za jakiegoś złoczyńcę...

Wszystko to działo się w samem przededniu wojny szwedzkiej. Najazd Szwedów i ucieczka Jana Kazimierza na Śląsk, nie sprowadziła zerwania stosunku. Panna Schanfeld wyjechała wraz z dworem do Opola. Tu jednak, w ścieśnionem kole domowników, romans króla nie mógł ujść uwagi Maryi Ludwiki. Podejrzenia posunęły się wkrótce tak daleko, że postanowiła nawet oddalić od siebie pannę Schanfeld; z trudnością zdołał ją Jan Kazimierz odwieść od tego zamiaru.

Zmuszony odtąd trzymać się zdaleka od ukochanej kobiety i ciągle pełen obawy, że zazdrosna królowa lada chwila zechce powrócić do zamiaru usunięcia jej, t. j. odesłania do Niemiec, do rodziny, coby sprowadzić musiało rozłączenie na zawsze, — chwyta się król nowego pomysłu. Postanawia wydać ją za mąż za któregoś z panów polskich, powiedziawszy sobie: jeżeli nie mogę mieć jej na dworze, niechże ją widzę przynajmniej w pobliżu. A ponieważ wiadomo mu o matrymonialnych zamiarach wojewody sandomirskiego, Jana Zamojskiego, więc ku niemu zamyśla się zwrócić w roli — swata. Za pośrednika służy znowu (nieoceniony widać Totumfacki) St. Cyr. Na nieszczęście dla króla i temu projektowi staje na przeszkodzie królowa, mająca również na oku Zamojskiego, ale w tym celu, aby go ożenić z inną panną dworską, młodziutką Maryą Kazimierą d'Arquien. I teraz zaczyna się intryga, bardzo rozwlekła, ale i bardzo zajmująca. Jedna i druga strona stara się przyciągnąć ku sobie i opanować starego wojewodę, i jedna i druga wydziera go sobie na przemiany. Dla króla pracuje St. Cyr, dla królowej Podlodowski. Obie panny, zarówno Schanfeld, jak i d'Arquien, ulegają ponęcie znakomitego imienia i olbrzymiego majątku Zamojskiego, i zaczynają między sobą rywalizować, usiłując usidlić swojemi wdziękami zmiennego magnata. Zawikłanie powiększa okoliczność, że Marya Kazimiera sercem skłania się więcej ku Sobieskiemu (właśnie około roku 1655 poznała przystojnego chorążego) a panna Schanfeld zdobywa mimowiednie serce barona de Soye (mimo francuskiego nazwiska Niemca), oficera w wojsku cesarskiem, który, dawszy się poznać, ubiega się namiętnie o jej rękę. A więc popędy serca i popędy ambicyi, miłość i próżność stają ze sobą do walki. Intryga ta toczy się dalej i po powrocie królestwa do Polski, przez lata 1656—1658. Miesza się do niej i polityka: zręczny dyplomata austryacki, Lisola, korzysta z wpływowego stanowiska Niemki, panny Schanfeld, na dworze, i używa jej, jako podatnego narzędzia, na

szkodę partyi francuskiej. On to pomaga także baronowi de Soye w jego miłośnych zabiegach.

Ostatecznie zwycięża królowa i Marya Kazimiera d'Arquien, którą Zamojski w roku 1658 poślubia. Jan Kazimierz zwraca się ze swymi afektami ponownie do pięknej Niemki: ale panna Schanfeld, zrażona ostatniem niepowodzeniem, postanawia oddać rękę baronowi de Soye. Stąd znowu zazdrość i gniew króla — a potem zupełne zobojętnienie. Baron tryumfuje, bo osiąga cel swoich westchnień.

Całą tę historyę opowiedzieliśmy za Rousseau'em tylko pokrótce, z pominięciem mnóstwa szczegółów, które podnoszą jej koloryt romantyczny. Nadaje się ona, jak powiedzieliśmy, bardzo do opracowania powieściowego. Bo, naprzód, wysuwa na pierwszy plan parę osobistości, znanych dobrze z historyi, i to w sytuacyach, które można nazwać przynajmniej na pół historycznemi. Jest bowiem rzeczą wiadomą ze źródeł, że król około tego czasu oddawał się więcej jak dawniej, miłostkom (z listów des Noyers'a), jak jest pewną z drugiej strony, że królowa była bardzo zazdrosną i bardzo często psuła niewiernemu mężowi szyki. Starania Zamojskiego o rękę margrabianki d'Arquien i ślub, wzięty z nią w roku 1658, są także faktem historycznym. Miłość Sobieskiego do Maryi Kazimiery datuje się wedle jego własnych wyznań od roku 1655. Tak samo da się stwierdzić, że Lisola w tym właśnie czasie, kiedy go wprowadza Rousseau, był obecny w Polsce, jako przedstawiciel Austryi, — że dalej, Podlodowski, używany przez królowę w intrydze, należał do wpływowych powierników Zamojskiego (okazują to listy Maryi Kazimiery, ogłoszone przez Kluczyckiego) i t. d. A potem, co za temat zajmujący: oto występują na widownię właśnie te trzy żywioły, które się wówczas ścierały na dworze polskim: żywioł francuski, niemiecki i narodowy polski, — a każdy z nich ma swoich wybitnych przedstawicieli, występujących w roli czynnej: francuski w Maryi Ludwice, Maryi Kazimierze d'Arquien, St. Cyr'ze; niemiecki w królu,

Lisoli, baronie de Soye i pannie Schanfeld; narodowy polski w Zamojskim i Janie Sobieskim. Nawiązując do ostatniego, trzeba też podnieść, że autor ma tu sposobność najlepszą wysunięcia na pierwszy plan sympatycznej postaci młodego Sobieskiego w najbardziej romansowej roli, nie potrzebując się oddalać od historyi; bo czyż istnieje obfitsze źródło do przedstawienia jakiegokolwiek miłosnego stosunku z XVII wieku, jak to, którego dostarcza korespondencya Jana Sobieskiego i Maryi Kazimiery, ogłoszona od dawna drukiem, (datuje się ona dopiero z czasu po roku 1660, ale cóż znaczy różnica lat dwóch lub trzech, gdy chodzi o to, coby można nazwać „kolorytem czasu?“).

Z resztą książki Rousseau'a możemy się prędko załatwić, gdyż historya trzeciego stosunku króla, mianowicie, z hrabiną Denhofową, opowiedziana jest w kilku niewielkich ustępach. Dama ta była małżonką podkomorzego nadwornego, Denhofa, piastującego wymienioną godność od roku 1661. Pożycie Jana Kazimierza z podkomorzyną, kobietą już starszą, przypomina więcej stosunek Ludwika XIV z panią Pompadour, niż Ludwika XV np. z panią du Barry. Denhofowa, nie tyle piękna, ile inteligentna, dowcipna i zręczna, zdołała nietylko opanować króla zupełnie, ale też utrzymać nad nim jednostajną władzę aż do chwili jego abdykacyi i wyjazdu do Francyi. Marya Ludwika nawet czuła się wobec tej kobiety bezsilną; a po śmierci królowej podkomorzyna zajęła odrazu miejsce i panujące stanowisko po zmarłej. „Wkradła się tak w łaski (króla)“ — powiada Rousseau — „że rządziła nim samowładnie. U niej odbywał król narady i zwierzał się przed nią ze wszystkiemi sprawami; a przecież nie ściągnęła na siebie przez to zawiści dworaków, bo zachowywała się tak oględnie, iż wszyscy byli z niej zadowoleni“...

Szczegóły, dotyczące ostatniego stosunku z Denhofową, znajdują (jak już zaznaczyłem) prawie dosłowne stwierdzenie w innych źródłach. Ta sama jedyna okoliczność wy-

starcza, aby dziełku Rousseau'a przyznać prawo do nazwy „źródła historycznego“, mimo licznych, nie przeczę, niedokładności i błędów, mimo przesady i owego romantycznego kolorytu, rażącego zwłaszcza w pierwszej części książki.

Nie ślepy bynajmniej wobec jej niedostatków, sądzę przecież, żem spełnił obowiązek historyka, wydobywając tę rzecz z zupełnego prawie zapomnienia. Żadnego źródła, nawet najbardziej mętnego, nie godzi się lekceważyć do tego stopnia, żeby z niem wolno było nie liczyć się wcale. Ostrożny badacz znajdzie w każdem jakieś źdźbło prawdy i potrafi je wydzielić z całego stosu nieużytków. A nawet — jeśli opowiadanie jest fałszywe lub kłamliwe, to sam fakt raz umyślnego, to znowu mimowolnego fałszu, rozpatrzony bliżej, może doprowadzić niejednokrotnie do ciekawych i ważnych wniosków.

Przyczynek do biografii
Józefa Bartłomieja Zimorowicza.

Przykład badaczy dziejów wewnętrznych Polski podziałał i na historyków naszej literatury: w dziełach biograficzno-literackich, które pojawiły się w ostatnich czasach, widoczny jest zwrot do poszukiwań w archiwach aktów grodzkich i ziemskich, jako też miejskich. Wiadomo, że czynić poszukiwania w naszych archiwach, to rzecz w ogóle nie zbyt łatwa: wobec braku dokładniejszych spisów i niekiedy nawet inwentarzy, nic nie pozostaje jak tylko zapuścić się w istny las dziewiczy starych aktów prawie na oślep, i trzeba pewnej dozy cierpliwości i uporu, aby się nie zrazić płonnymi niekiedy rezultatami dosyć uciążliwej pracy. Ale kto przetrwa pierwsze trudności, tego nie minie nagroda: szkodę straconego czasu opłaci pewnie sowicie jakaś jedna szczęśliwa chwila. Złotych żył w tych naszych kopalniach historycznych nie brak: nie trzeba długo grzebać, aby dotrzeć do najbliższej. Świadczą pp. Kniaziołucki, Czubek, Heck i wielu innych. Ktoby się spodziewał, że po upływie trzech z okładem wieków od śmierci Reja, i po tylu nad jego osobistością studyach, znajdzie się jeszcze tyle szczegółów nieznanych, ile ich znalazł p. Kniaziołucki w krakowskiem archiwum aktów grodzkich i ziemskich? Albo o Wacławie Potockim? Kiedy Szajnocha pisał pierwszą biografię autora „Wojny chocimskiej“, nie umiał o nim przytoczyć więcej nad jeden jedyny szczegół ze źródeł, i dzieje życia wysnuł zresztą w całości z samych tylko utworów poetycznych Potockiego. Pan Czubek miał szczęśliwą myśl sięgnąć do aktów grodzkich, bieckich i krakowskich, i udało mu się wydobyć na jaw takie

mnóstwo nowych świadectw autentycznych, że starczyło ich na szczegółowe objaśnienie całego życia poety, od chwili urodzenia aż do grobowej deski. Pan Heck znalazł podobnież istną skarbnicę nieznanych wiadomości o sielankopisarzu Zimorowiczu, w archiwum miejskiem we Lwowie [1]).

Lwów dopisał p. Heckowi, ale Kraków go zawiódł. W przedmowie do swego wydawnictwa „Materyałów“ (strona 162), użala się biograf Zimorowicza, że jedyna biblioteka Jagiellońska dostarczyła mu jakiegoś jednego aktu, podrzędnego znaczenia. Nie byłoby w tem nic dziwnego, skoro chodzi o tak ściśle związanego ze stolicą Rusi Lwowianina, jak Zimorowicz: ale jakby na świadectwo o niewyczerpanem i różnorodnem bogactwie krakowskich zbiorów i na dowód, że byle poszukać dobrze, wszędzie się znajdzie coś uwagi godnego, — w tem właśnie archiwum krakowskiem, które p. Heck, w toku swoich poszukiwań, ominął zupełnie, zdarzyło się nam wykryć sporą wiązankę materyałów, odnoszących się prawie wyłącznie do autora „Sielanek“. Wpadły nam te materyały w ręce prawie przypadkowo, przy przeglądaniu papierów Pinoccich, głośnej w XVII wieku rodziny patrycyuszów krakowskich, — papierów o charakterze więcej prywatnym, które jakimś szczególnym trafem dostały się do archiwum miasta Krakowa w komplecie i dochowały się w niem szczęśliwie do naszych czasów.

Hieronim Pinocci, pierwszy, o ile wiadomo, przedstawiciel tej rodziny na ziemi polskiej, przybysz z Włoch, jak

[1]) Pan Korneli Heck ogłosił w „Rozprawach Akademii Umiejętności“ krakowskiej (Wydział filologiczny Serya II, tom VIII. Kraków 1894) pierwszą część studyum p. tyt. „Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów, na tle stosunków ówczesnego Lwowa“ (strona 1—187), w której to części biografię poety doprowadził do roku 1646. Brak więc jeszcze historyi trzydziestu z okładem ostatnich lat życia Zimorowicza (zmarłego, jak wiadomo, w roku 1677). Niedługo później pojawiła się w tomie VIII „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“ (wydawnictwa tejże Akademii, 1895), wydana również przez p. Hecka część I „Materyałów do biografii Józefa Bartłomieja Zimo-

samo nazwisko jego wskazuje, dobił się za czasów Władysława IV i Jana Kazimierza, własnym trudem i przemysłem, pierwszorzędnego stanowiska wśród mieszczaństwa krakowskiego i, co więcej, nie małego znaczenia w całem w ogóle królestwie. Zrazu tylko bogaty kupiec, staje z czasem w rzędzie rajców miejskich, a następnie i na ich czele, jako burmistrz Krakowa; cudzoziemiec i mieszczanin wyrabia sobie, dzięki majątkowi, obrotności i niepośledniemu wykształceniu, stopniowo, coraz rozleglejsze stosunki poza obrębem miasta, w wyższych sferach szlacheckich, a wreszcie i u dworu ostatnich Wazów, i osiąga najpierw tytuł sekretarza królewskiego, potem zaszczytny urząd metrykanta kancelaryi koronnej. Długie jego życie, którego kres przypada dopiero na początki rządów Jana III (w roku 1676), tak ściśle jest splecione z historyą Krakowa, iż ktokolwiek zechce opowiedzieć dzieje patrycyatu krakowskiego w XVII wieku, będzie musiał wypracować wyczerpującą monografię tego przedewszystkiem spolszczonego Włocha (Hieronim władał językiem polskim równie biegle, jak rodowitym [1]). Materyału do takiej monografii, sowitego i nader zajmującego, dostarczą właśnie zachowane w archiwum miejskiem krakowskiem, familijne papiery, których część lwią stanowi rozległa korespondencya Hieronima i jego synów, drugą część, także pokaźną, akta i zapiski, dotyczące przeróżnych interesów kupieckich, jakoteż niektórych spraw publicznych, lub prywatnych, ale cudzych, nie osobistych, o ile wchodziły one w sferę czynności urzędowych lub wpływów któregoś z Pinoccich.

Właśnie w tym ostatnim dziale aktów niefamilijnych zauważyliśmy osobny, spory fascykuł z napisem: „Zimorowicz

rowicza“ (strona 161—240), na którą składają się sądy współczesnych, listy, testamenty, inwentarze, nagrobki i drobne utwory (ogółem sztuk 39). Część II, przygotowana do wydania, ma zawierać „wyciągi z akt i ksiąg sądowych i miejskich“.

[1]) Krótki życiorys Pinoccego, podał *A. Grabowski*, na początku tomu I „Ojczystych Spominków“, (Kraków, 1845).

contra Złotorowicze". Zestawienie tych dwóch nazwisk uprzedzało z góry, że będziemy tu mieli do czynienia z jakimś materyałem do biografii Józefa Bartłomieja Zimorowicza, bo wiadomo, że poeta był spowinowaconym z rodziną Złotorowiczów. Okazało się, że tak jest w istocie. Znaleźliśmy pod okładką fascykułu, liczącego dwieście kilkanaście stronic zapisanych, o kartach po większej części foliowych, a zresztą kwartantach, zbiór aktów i korespondencyi, odnoszących się w całości do jednej tylko, co prawda, sprawy osobistej znanego sielankopisarza, ale sprawy takiej, która zapełniała sobą, rzec można, całe dziesięciolecie życia poety, i do której on sam — jak okażemy niżej — wyjątkowe przywiązywał znaczenie. Wszystkie te pisma obracają się około tematu bardzo a bardzo prozaicznego: treścią ich spór o interes majątkowy, o spadek po jednej z żon Zimorowicza.

Zanim zapoznamy czytelników ze szczegółami tego materyału, wypada nam przypomnieć kilka faktów z życia poety. Józef Bartłomiej Zimorowicz, od połowy, mniej więcej, XVIII wieku dygnitarz miejski (rajca, a później i burmistrz), cztery razy wchodził w związki małżeńskie. Pierwszą jego żoną była Katarzyna Duchniczanka, córka złotnika lwowskiego, zaślubiona w roku 1629. Z tą miał czworo potomstwa, które jednak wymarło w dziecięctwie. Po stracie tej pierwszej towarzyszki, ożenił się z majętną Ormianką, Zofią Zacharyaszewiczówną. Ta, prócz majątku, zostawiła mu córkę, Katarzynę. Nie znamy dokładnej daty jej śmierci: musiała ona jednak zajść na jakiś czas przed rokiem 1656, bo w tym roku staje nasz poeta już po raz trzeci na ślubnym kobiercu, tym razem z Rozalią, córką jednego z najznamienitszych obywateli Lwowa, Marcina Groswajera, a wdową po Franciszku Złotorowiczu, doktorze medycyny i aptekarzu. Rozalia, jako Groswajerówna, skoligacona z Kampianami, Ostrogórskimi, Szolcami, mogła się zaliczać do najwyższej arystokracyi miejskiej. Musiała to być kobieta uderzającej piękności, skoro umiała natchnąć niemłodego poetę takim

namiętnym zachwytem, jaki przebija z jego sielanki p. tyt. „Zalotnik"; a że miała w sobie także coś z arystokratycznych, jeśli nie manier, to upodobań, wnosić można z przeglądu inwentarzy jej ruchomości, które świadczą aż nadto wymownie, iż właścicielka ich kochała się w zbytku, a zwłaszcza w klejnotach i strojach [1]). Rozalia dała była pierwszemu mężowi syna, Franciszka; z drugim mężem dzieci nie miała. Nie przeżyła zresztą z naszym poetą nawet jednego pięciolecia; zeszła bowiem ze świata w roku 1660. Jej miejsce zajęła niedługo później czwarta z rzędu małżonka, Kralówna z domu; ale historya tego małżeństwa leży już właściwie poza obrębem sprawy, którą się mamy zająć poniżej [2]).

Chodzi nam bowiem o sprawę dziedzictwa po trzeciej żonie Zimorowicza, Rozalii, *primo voto* Złotorowiczowej, której jedyny syn, a pasierb poety, Franciszek, przeżył matkę. W imieniu tego to małoletniego potomka wystąpił jego opiekun, Michał Złotorowicz, z pretensyą do części spadku po zmarłej, która żadnego testamentu nie zostawiła, a wedle twierdzenia Złotorowiczów, wniosła była Zimorowiczowi znaczny posag w majątku pierwszego męża. Zimorowicz widocznie pretensyi tych zaspokoić wcale nie chciał — i wskutek tego poszła sprawa przed kratki sądowe. Zaczął się szereg rozwlekłych i uporczywych procesów: przez lat niespełna dziesięć udzierały się strony przed rozmaitymi sądami, zarzucały się nawzajem replikami i protestacyami, walczyły z sobą wszelkimi możliwymi środkami prawnymi — i nawet nieprawnymi. Najpierw rozpatrywały rzecz sądy ławnicze lwowskie; potem oparła się sprawa aż o sąd relacyjny królewski; wreszcie dostała się pod opinię polubownie obranych arbitrów i superarbitra i jeszcze raz wróciła do Warszawy, aby nie zostać znowu załatwioną... Położyły jej koniec do

[1]) *Łoziński:* „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie", strona 172 do 176.

[2]) Co do historyi związków małżeńskich Zimorowicza porównaj testament poety z roku 1666 (*Heck:* „Materyały", str. 185—193).

piero dekrety, kapturowy i następnie królewski z roku 1670, któremu, acz z żalem, poddał się ostatecznie nasz poeta.

Zbiór aktów i listów, znalezionych w archiwum miejskiem krakowskiem, stanowi tylko część materyałów do dziejów tego przewlekłego sporu spadkowego, a mianowicie, odnosi się do okresu, kiedy sprawa, powierzona sądowi polubownemu arbitrów i następnie superarbitra, zeszła czasowo na tory, że tak powiemy, więcej poufne, prywatne. Gdy wyrok arbitrów, Macieja Zaleskiego, rajcy lwowskiego i sekretarza królewskiego, i Macieja Kuczankowicza, tychże tytułów dygnitarza miejskiego, nie zadowolił żadnej ze stron poróżnionych, zgodzono się na poddanie sprawy pod sąd superarbitra. Wybór stron obu padł wtedy na rajcę krakowskiego, a zarazem już i sekretarza królewskiego i metrykanta kancelaryi koronnej, znanego nam Hieronima Pinoccego. I tem się tłumaczy, jak materyał do dziejów zatargu między Zimorowiczem a Złotorowiczami dostał się do papierów Pinoccich i do archiwum krakowskiego. Pinocci zebrał wszystkie akta i noty, które mu przedstawiono, podołączał do nich wszystkie listy, jakie wskutek zajęcia się tą sprawą otrzymywał, i odpisy własnych listów, z powodu tej sprawy pisanych — i wszystko to pomieścił razem w jednym fascykule, który dochował się w całości między jego papierami. Jakkolwiek czynność Pinoccego, jako superarbitra, nie trwała dłużej nad pół roku (do połowy 1664 roku), mamy w tym fascykule materyały z lat 1662 do 1667, bo Pinoccemu dostarczono dokumentów i notatek, objaśniających przebieg sprawy po rok 1664, a nadto Michał Złotorowicz informował superarbitra listownie o dalszym toku procesu w ciągu trzech lat następnych, po wydaniu wyroku polubownego.

Połowę, mniej więcej, całego zbiorku (złożonego ogółem z sześćdziesięciu kilku sztuk osobnych świadectw) stanowią listy, między którymi dwa samego Zimorowicza, ośmnaście listów Michała Złotorowicza i jeden kanclerza Prażmowskiego (same oryginały) — wszystkie do Hieronima

Pinoccego, a nadto siedm odpisów listów Pinoccego do różnych osób i jeden list dra Macieja Kuczankowicza do Złotorowicza. W dziale aktów znajduje się pięć sztuk, albo pisanych własną ręką Zimorowicza, albo też przez niego samego ułożonych — razem 33 stronice pisma. Własnoręcznemi są dwa pisma poety: 1. „Informacya JMP. Superarbitrowi przesłana *cum documentis*“ i drugi akt p. tyt. „Memoriale lwowskie“, w którym mieści się wyjaśnienie przebiegu sprawy z przed roku 1664. Z pod redakcyi samego Zimorowicza wyszedł także obszerny wykaz p. tyt. „Likwidacya wydatków, które a. 1656, pojąwszy MP. Rozalią Groswajerównę za małżonkę, na zapłacenie długów jej własnych, nakłady prawne i insze potrzeby jej z dóbr MP. Zofiej Zacharyaszewiczównej, wtórej małżonki swojej, spendowałem i dawałem“ — i wreszcie obszerna replika na pretensye Złotorowiczów. — W dziale innych aktów (szt. 30) znajdujemy kopię kilku dekretów, zapadłych w sprawie przeciw Złotorowiczom w latach 1662 i 1663, kopie oblaty testamentu Franciszka Złotorowicza, kopie mandatów, cytacyi, protestacyi i wreszcie najważniejszego wyroku superarbitra Pinoccego. Wśród załączników zasługuje na szczególną uwagę obszerne pismo, w którem, na złamanych wpół kartach, są zestawione równorzędnie zarzuty i pretensye Zimorowicza, obok zarzutów i argumentów strony przeciwnej (19 stronic folio). Akta odnoszą się wyłącznie do czasu od roku 1662 do 1665, listy sięgają datami do połowy roku 1667. W dziale korespondencyi jest, jak już nadmieniono, najwięcej listów Michała Złotorowicza, przeciwnika Zimorowicza: przeważnie obszerniejsze, zapełniają one ogółem czterdzieści kilka stronic. Listy te i, wyliczone wyżej, innych osób — to, można powiedzieć, najszacowniejszy nabytek dla badaczy życia poety, bo wiadomo z wydawnictwa p. Hecka, że dział listów był dotychczas najuboższym wśród obfitego zresztą materyału biograficznego. Panu Heckowi udało się zebrać podobno aż kilkaset sztuk rozmaitych świadectw piśmiennych o Zimorowiczu; ale

wśród tych świadectw niema więcej nad dziesięć listów, mianowicie: cztery tylko samego Zimorowicza, pięć pisanych do niego przez inne osoby, a jeden króla Jana III do magistratu lwowskiego, w sprawie, poety po części dotykającej [1]). W tej więc kategoryi ilość źródeł powiększa się obecnie w trójnasób. Co do działu aktów [2]), mamy wskazówkę w artykule p. Łozińskiego p. tyt. „Zięć poety“ [3]), że w archiwum miejskiem lwowskiem musi się znajdować dosyć obfity materyał urzędowy do dziejów tej samej sprawy, do której wykryte przez nas akta także w całości się odnoszą. Wartość materyału, zachowanego w papierach Pinoccego, polega naprzód na tem, że ma on, w przeważnej części, charakter nieurzędowy, przez pół poufny; i potem, że zyskujemy w nim wyznania strony, przeciwnej Zimorowiczowi (zwłaszcza w obszernych listach Złotorowicza), gdy dotychczas sprawa cała była nam znaną właściwie tylko o tyle, o ile przedstawił ją sam poeta.

Już bowiem i te nieliczne materyały, które p. Heck ogłosił drukiem, obracają się w znacznej części około tego właśnie przykrego epizodu z życia poety. Omawia go Zimorowicz w dwóch listach i w obu testamentach: najobszerniej w pierwszym, z roku 1666. Treść tego testamentu dowodzi najlepiej, jak wielką wagę przywiązywał poeta do sprawy spornej, ile go ona kosztowała trudów i kłopotów i ile mu krwi napsuła. Zatarg ze Złotorowiczami przedstawia się tu jakby główna sprawa w życiu poety. Obszerny akt ostatniej woli (o siedmiu stronicach druku) dotyczy w $^3/_4$ częściach tego jedynego przedmiotu. Cały nastrój pisma, w którem przebija rozdrażnienie, rozgoryczenie i smutek, świadczy, że spór ze Złotorowiczami pochłaniał wówczas całą uwagę po-

---

[1]) Pan Heck ogłosił wszystkie znane mu listy, odnoszące się do Zimorowicza, w części I swoich „Materyałów“ (strona 169–184).

[2]) Akta, znane p. Heckowi, mają się złożyć (przypominamy) na część drugą „Materyałów“, dotychczas niewydaną.

[3]) „Kwartalnik historyczny“, tom IV (rok 1890), str. 51–52.

ety i pozbawił go równowagi umysłu. W testamencie drugim z roku 1671 znać już pewne uciszenie i ukojenie żalu i gniewu: bo też w tym akcie znajduje się wiadomość o ostatecznem rozwiązaniu sprawy. Zanim jednak do tego zakończenia przyszło, w przeciągu lat dziesięciu nie miał Zimorowicz, jak widać z wykrytych świeżo aktów, ani miesiąca spokojnego, wolnego od przykrości i zatargów [1]).

Nie bez przyczyny nazwał tę całą sprawę Pinocci „poniekąd zaćmioną i powikłaną“ [2]). Wyznajemy i my z góry, że po rozpatrzeniu wszystkich aktów i listów, jakie mieliśmy pod ręką, nie zdołamy jeszcze dzisiaj orzec stanowczo, po której stronie była właściwie słuszność. W każdym razie materyał, przechowany wśród papierów Pinoccego, ułatwia znacznie oryentowanie się w przebiegu zawiłego procesu i na ten jego epizod, który przypada na lata 1664—1667, rzuca wiele promieni światła, a zarazem dostarcza wielu ważnych szczegółów do dziejów pożycia małżeńskiego Zimorowicza z Rozalią Groswajerówną i stosunku poety do rodziny Złotorowiczów.

Zimorowicz sam twierdził zawsze, i z największym naciskiem powtórzył to w testamencie z roku 1666, że żadnych pieniędzy za trzecią żoną nie wziął, a cokolwiek Złotorowiczowa do domu jego wniosła w dobrach ruchomych, to poszło wszystko na spłacenie jej długów, które przewyższały wartość całego jej posagu, tak, że poeta musiał wydatki żonine pokrywać w części z majątku swej córki z drugiego małżeństwa, Katarzyny [3]). Popierał to twierdzenie szczegóło-

[1]) Będziemy w dalszym ciągu powoływać się na karty fascykułu archiwalnego wedle liczb porządkowych, poznaczonych u dołu ołówkiem. Nieliczne makaronizmy podajemy w przekładzie polskim.

[2]) W liście Zimorowicza z dnia 10. czerwca 1664 roku (rękopis. karta 106—107).

[3]) Porównaj w testamencie z roku 1666 ustęp na stronie 186 do 187 (*Heck:* „Materyały“); nadto w rękopisie załącznik p. tyt. „Informatio plenior Bartholomaei Zimorowicz“.

wymi wykazami owych wydatków, powołując się na mnóstwo świadków, kwitów i t. d. Wyliczenie jednych i drugich znajduje się w akcie p. tyt. „Likwidacya wydatków". Wedle zestawienia, podanego w drugim wywodzie p. tyt. „Inferenda p. Zimorowicza i replika pp. Opiekunów" — „suma tej wszystkiej ekspensy przez p. Zimorowicza pretendowanej i jakoby wydanej" wynosić miała aż 34.061 złp. 12 gr. Złotorowicze natomiast oceniali wartość całego majątku Zimorowicza w roku 1664 na sumę 107.369 złp. 26½ gr., i utrzymywali, że Złotorowiczowa wniosła poecie dobra ruchome i nieruchome w łącznej wartości 57.052 złp. 26½ gr., (która to suma wliczona jest w poprzednią), a dowodzili zarazem, że z tego majątku Złotorowiczowej na pokrycie jej długów i wydatków nie poszło więcej nad 13.184 złp. Do udziału więc w reszcie majątku Rozalii, to jest w dobrach o wartości 43.869 złp. 29 gr., podnosili pretensyę w imieniu małoletniego pasierba, Franciszka; do udziału tylko, bo rozumieli, że Franciszek miał prawo jedynie do ⅔ spadku po matce i nadto do ⅓ wszystkich dóbr Zimorowiczowych: to jest do dóbr ruchomych i nieruchomych w łącznej cenie 37.856 złp. 10 gr.[1]). Zimorowicz podawał te pretensye (w liście do Pinoccego z 9. maja 1664 roku) za „przeciwko prawdzie, sumieniu, słuszności, plebiscytowi i dekretom Kr. JMci koncypowane"[2]), a o replice, z którą wystąpili Złotorowicze w odpowiedzi na jego własne wyjaśnienia i zarzuty, tak się wyrażał: „Ten skrypt, z szczerych potwarzy, nieprawdy i wierutnej złości od adwersarzów moich fortelnie koncypowany, nie mogę inaczej nazwać, tylko pismem haniebnem, oszczerczem i wybiegiem fałszywym, autorów zaś onego fałszerzami. Fałszerzem bowiem zwie się oszczerca, który naśladowaniem prawdy swojej korzyści ze szkodą cudzą pod-

[1]) Porównaj w rękopisie wywód p. tyt. „Status causae praesentis" (karta 10) i nadto przytaczane już wyżej pismo: „Inferenda pana Zimorowicza i replika pp. Opiekunów".

[2]) Rękopis, karta 75.

stępnie poszukiwa. Podpada pod tę zbrodnię, kto kłamstwa rozpowiada, co daleko bardziej, dla zaciągnięcia sędziego do tego, aby sprawę opacznie rozstrzygnął". Upierał się więc Zimorowicz ciągle przy swojem, — co więcej, wystąpił nawzajem z pretensyami do udziału w spadku po dwóch krewnych nieboszczki żony, który to spadek Złotorowicze, z pominięciem praw Rozalii, rzekomo w całości zagarnąć mieli. Majątek ten mieścił się głównie w tak nazywanych w aktach „dobrach łuckich", to jest w realności i budynkach, znajdujących się w mieście Łucku: Zimorowicz rościł sobie prawa do udziału w cenie kilku tysięcy złp.[1]).

Wyjaśniliśmy już wyżej, że sprawa toczyła się co najmniej od roku 1661 przed sądami radzieckiemi; potem rozpatrywana była na sądach relacyjnych królewskich — ale po rok 1663 nierozstrzygnięta, została w tym czasie oddaną, za radą kanclerza Prażmowskiego, pod opinię sądu polubownego, złożonego z dwóch arbitrów, obywateli lwowskich. Gdy i ci nie dali rady zawikłanemu sporowi, okazała się potrzeba powołania superarbitra. Trudnego zadania ponownego zbadania sprawy podjął się, zażywający snać wyjątkowej powagi, patrycyusz krakowski, Hieronim Pinocci. Przez całą pierwszą połowę roku 1664 rozpatrywał nasz superarbiter akta, zjeżdżał nawet umyślnie do Lwowa celem przesłuchania świadków i korespondował ze stronami; przez cały ten czas obsyłał go też pilnie listami swoimi przeciwnik poety, Michał Złotorowicz. O tym panu Michale wiemy, niestety, bardzo niewiele. Możemy stwierdzić na pewno, że służył w jednej z chorągwi husarskich i brał czynny udział w wojnach moskiewskich z owego czasu. To wydaje się nam także niezawodnem, że musiał być człowiekiem natury gwałtownej, porywczej i po prostu zawadyackiej: znać to ze sposobu jego wyrażania się i traktowania przeciwnika w listach, pisanych

[1]) Porównaj w rękopisie wywód p. tyt. „Status causae praesentis" (karta 10.) i drugi p. tyt. „Informatio plenior Bartholomaei Zimorowicz" (karta 21).

do Pinoccego. Listy pierwsze, pisane w pierwszej połowie 1664 roku, mają oczywiście na celu jednanie sobie przychylności superarbitra, a nastrajanie jego sądu na niekorzyść antagonisty. Gdybyśmy chcieli (wbrew zasadom krytyki historycznej) kreślić charakterystykę Zimorowicza na podstawie samych listów Złotorowicza, przedstawiłaby się nam postać poety w bardzo ciemnych kolorach. Nie szczędzi mu nie umiejący widać liczyć się ze słowami towarzysz pancerny najdotkliwszych, najbardziej ubliżających epitetów. Oto, co czytamy zaraz w pierwszym z przechowanych listów: „Ja jeślibym mógł jeszcze od WMM. Pana, nim odjadę, mieć jakową informacyę i rozkazanie do tego wykrętacza, pilnie wyglądać będę. Bo zgoła już mi wstyd i po ratuszach słaniać się, gdy troskliwie zabiegając, nic naprzód posunąć nie mogę: Panu Bogu to całe, a samego już w tej mierze WM. Pana i Dobrodzieja porzuciwszy rozumowi, że onego wykrętnym zabieżyć raczysz sposobom wysokim rozumem swoim, bo go już u mnie i nie stało na tak zajadłego pieniacza“ [1])... „Obsyłałem ja powtórnie“ — czytamy podobnież w późniejszym liście Złotorowicza, z pierwszych dni 1664 roku [2]) — „pana adwersarza naszego temiż Jegomościami, którychem w pierwszym liście, pisanym do WMM. Pana, mianował, którzy mi nic nowego nie przynieśli, jeno upór, złość zawziętą do wyniszczenia, owo zgoła i nieskończenie ugadzając, aby się ta rzecz między nami nie dokończyła, usiłowanie“... „Zaczym zabieżenie temu uporowi i egzekucya rozstrzygniętej sprawy, najwyższemu to przypadnie sądowi WMM. Pana, aby po decyzyi już przecież mogliśmy mieć stateczny koniec z tym niecnotliwego sumienia człowiekiem“. Musiał tymczasem i Zimorowicz udawać się ze swojej strony z jakąś „submissyą“ do Pinoccego, (której między papierami

[1]) List z datą: We Lwowie, 30 Decembris 1663.

[2]) Rękopis, karta 59 do 60.

onego, rzecz dziwna, nie znajdujemy), bo w dwa miesiące później, pozwala sobie Złotorowicz na temat tej „submisyi" nowych, ironicznych i pogardliwych uwag w liście do superarbitra. „Do listu, od WPana dziś oddanego" — pisze [1]) — „wrócić mi się przyjdzie, gdzie nie bez śmiechu przychodzi mi czytać submisyą pana Zimorowicza, którą czyni WM. M. Panu: widzę kwiczy (tak!) a po staremu wór drze, jako łatwo okaże się to WM. M. Panu z attestacyej przyjaciół odemnie dosłanych, co za wichry i jakie knowa prokrastynacye i nieskończone obiecuje nam zatargi i chłopca naszego przez to wyzuć (chce) z substancyej, co mu w Bogu nadzieja nie da wpaść lamparci rozum lisowemu wykrętowi (tak)"...

Z jednego z dalszych listów Złotorowicza (z 5. kwietnia) dowiadujemy się, że udawał się on w tym czasie ponownie do protekcyi kanclerza Prażmowskiego. Widać to w ogóle ze wszystkiego, co wiemy z naszych materyałów o przeciwniku Zimorowicza, że miał on, jak to mówią, silne plecy u dworu i zwłaszcza w kancelaryi koronnej, zapewne dzięki temu, iż jako żołnierz, towarzysz pancerny, w owych czasach wojennych mógł nieraz bawić przy boku króla i stykać się osobiście z najwyższemi sferami. Wedle zapewnienia Złotorowicza, kanclerz nie pożałował swego czasu, aby ododczytać *ad minimum* (jak powiada) akta procesu i „to przeczytawszy, jeno się zadumiewał, co za wichrów jeszcze zamyślawa (Zimorowicz) zasięgać na przyszłość". „Już ja widzę" — miał dodać zarazem — „że to być inaczej nie może, jeno niech decyduje WPan Pinocci, godny człowiek, który poważnie tę zechce odprawić okazyą, któremu ja to całe z moim deklaruję listem, nie tając przed WMciami: co orzecze, to uznanem i postanowionem zostanie" [2])... Nic więc nie pozostawało, tylko czekać wyroku superarbitra. Z całą sprawą miał Pinocci kłopotów niemało. Ani jedna, ani druga strona nie chciała bowiem zadosyć uczynić wymaganiom,

[1]) W liście z 28. lutego 1661 r. [2]) Rękopis, karta 54—55.

z któremi do obydwu się zwracał. Złotorowicze żądali, aby Zimorowicz przedstawił nietylko inwentarz tych dóbr ruchomych, jakie wziął za Rozalią, ale i inwentarz majątku poprzedniej żony, Zacharyaszewiczówny. Zimorowicz odmawiał, a domagał się natomiast od przeciwników, aby przedstawili inwentarze dóbr łuckich i sprawę podziału tych dóbr poddali także pod sąd superarbitra: o tem znowu nie chciał ani słyszeć pan Michał. Musiał się ostatecznie Pinocci zadowolić tymi aktami i dowodami, których mu dostarczono, i na ich podstawie wydać swe orzeczenie.

Wyrok superarbitralny ma datę 3. czerwca 1664 roku. Wypadł on stanowczo na niekorzyść Zimorowicza. Wedle decyzyi Pinoccego, winien był nasz poeta oddać pasierbowi swemu, Franciszkowi, na własność wszystkie dobra, tak nieruchome, jak ruchome, wniesione do jego domu przez trzecią żonę, i nadto, wypłacić temuż pasierbowi sumę 6.000 złp., którą, jak się pokazało, podarował był — tylko na papierze — Rozalii, jeszcze przed ślubem; wreszcie opiekunom sumę 1.500 złp., tytułem zwrotu kosztów procesu. Franciszka natomiast Złotorowicza zobowiązywał wyrok do zwrócenia Zimorowiczowi wydatków, poczynionych w zastępstwie Rozalii za jej życia i po śmierci – które jednak oceniał tylko na sumę 3.339 złp. 29 gr. Na tem nie koniec. W dalszym ciągu wyroku wraca Pinocci jeszcze raz do Zimorowicza i nakłada nań cały szereg drobniejszych ciężarów: każe mu wypłacić na rzecz pasierba sumę 3.000 złp., „które, wyzwalając z pod dekretu marszałkowskiego kamienicę Rottendorfowską, odebrał od p. Rejda“; dalej sumę 500 złp. jako czwartą część „sumy wyderkafowej na półkamienicy Kampianowskiej, należącej matce jego“; każe mu powykupywać różne rzeczy, zastawione ongi u żony jego, Rozalii, które on sam zafantował był następnie u innych. Nie zapomniano nawet o „pozytywie p. Groswajerówny nieboszczki własnym“, zastawionym także przez Zimorowicza — u Ojców Bożych! Nie będziemy wyliczali dosyć licznych dalszych zastrzeżeń,

ani też warunków, jakie wyrok dyktował z kolei opiekunowi Franciszka, Michałowi.

Odpisy wyroku rozesłał Pinocci stronom z oznajmieniem, że wybiera się w podróż do Włoch, a uważając swoją misyę za skończoną, zdaje ją w ręce kanclerza [1]). Wyrok przypadł oczywiście jedynie Złotorowiczom do smaku (chociaż i oni nie całkiem byli zadowoleni) — ale nie mógł się podobać Zimorowiczowi [2]). Poetę naszego napełnił on w istocie najżywszem oburzeniem. Nie chciał ani słyszeć o jego uznaniu i wykonaniu. Wystąpił z protestacyą, w której podawał się za pokrzywdzonego w wysokim stopniu i oświadczał, że wyrok już dlatego samego jest nieważnym, ponieważ on sam „do publikowania i słuchania sentencyi p. Superarbitra przypozwany nie był, nie mając terminu ani wiadomości o niej“ [3]). „Deklarował to publicznie, nim dekret depatacki stanął“, — opowiadał o Zimorowiczu jeszcze w 1667 r. Złotorowicz [4]) — „że to ukażę, że wszystkie punkta źle, niecnotliwie ferowane; i jeżeli jeden punkt p. superarbitra nie będzie fałszywy, tedy niech zgniję w wieży na wieki!“

Czy z protestacyą Zimorowicza należało się liczyć? O ile wnosić można z treści aktów, które mamy pod ręką, wybór superarbitra nastąpił za zgodą poety — a więc tem samem był on obowiązanym poddać się jego wyrokowi. Oczywiście, jeśli się sądził w rzeczy samej ciężko pokrzywdzonym, pozostawało mu jedyne wyjście: apelować do kanclerza i króla, i postarać się o to, aby wyrok nie został przez nich potwierdzony, to jest, nie był oddany lwowskim wła-

---

[1]) Kopia w rękopisie na karcie 103—106.

[2]) Porównaj kopie listów Pinoccego do Zimorowicza i Kuczankowicza z 10. czerwca 1664 roku (rękopis, karta 106—107).

[3]) Porównaj rękopis aktu p. t. „Praecustoditio p. Zimorowicza“. Podobnież w testamencie z r. 1666 wyraża się Zimorowicz o wyroku Pinoccego temi słowy: „ . . . proinde sententia haec de omni iure nulla, nullo modo subsistere potest“ (*Heck*: „Materyały“, str. 190).

[4]) List Złotorowicza z 1. marca t. r. w rękopisie, k. 128—129.

dzom do egzekucyi. Są wskazówki w dalszych listach Złotorowicza, że Zimorowicz obrał tę drogę, ale próba nie powiodła się. Dowiadujemy się, owszem, od jego przeciwnika, że w styczniu 1666 roku (a więc, co prawda, dopiero po półtorarocznej zwłoce) wyrok Pinoccego został „dekretem króla asesorskim aprobowany“ i jego wykonanie powierzone wyznaczonym umyślnie na ten cel komisarzom; i co więcej, że pod koniec lutego wszystkie dobra nieruchome, przyznane małoletniemu Franciszkowi, zostały w istocie przez Złotorowiczów, przy pomocy owych komisarzy, zajęte [1]). Z kolei mieli komisarze przystąpić do przymusowego inwentaryzowania dóbr ruchomych Zimorowicza, celem wydzielenia z nich tego, co, jako własność osobista nieboszczki Rozalii, miało przejść także, wedle orzeczenia Pinoccego, w ręce jej syna, jak nie mniej celem ściągnięcia ekwiwalentu sum pieniężnych, na których wypłacenie Zimorowicz został skazany. Poeta, przyciśnięty, „skoczył do Warszawy“, aby jeszcze raz popróbować obalenia wyroku, a przynajmniej zawieszenie na jakiś czas czynności komisyi wyrobić. Pospieszył zaraz „za nim w tropy“ czujny Złotorowicz. Sprawa znowu wytoczona została przed kanclerza — i znowu wygrał „adwersarz“ poety, bo wyrok Pinoccego utrzymano w mocy. Zimorowicz jednak i teraz nie dawał za wygraną. „Alić on raz pijany“ — skarży się Złotorowicz w liście z 26. marca 1666 r. [2]) — „deklarował mi, że złotą drogą pójdę do króla JMci, ażebyście się ze mnie na starość nie ucieszyli: wolę to rozdać, a wam nigdy nie dać, i będę siedział wieżę, a po mojej śmierci nic nie weźmiecie. Przecie mię godziwy czeka karcer, jako rajcę, nie zdrajcę: będę siedział w luneryej, a będziecie mię strawować wedle godności mej osoby; a jak umrę, to już skończę tem, żem nie miał: pewnie też moje

[1]) Porównaj listy Złotorowicza do Pinoccego z 24. stycznia, 25. lutego i 26. marca 1666 roku i z 1. marca 1667 roku (w rękopisie karty 111—112, 114—115, 117—118, 128—129).

[2]) Rękopis, karta 117—118.

sukcesorki będą miały pierwsze hipoteki, odłączyć im muszą przysądzone 40.000 fl.: to dopiero, co zostanie, zobaczycie, a u mnie zawsze za pazuchą będziecie mieli nieprzyjaciół, że lubobyście co i wzięli, tedy wyniszczę pupila i was, że nigdy nic nie weźmiecie sukcesyej“. Ale Złotorowicz widocznie umiał lepiej chodzić koło swojej sprawy, lub raczej umiał korzystać ze względów kanclerza, który go, podobno nie całkiem bezinteresownie, popierał; bo przed marcem 1667 roku wyrobił sobie „mandat od Króla JMci drugi penalny do PP. Komisarzów, aby bez względu na jakiekolwiek reskrypty wydane czy też wydać się mające... owo żadnych ani listów J. Kr. Mci, które powynosił był, aby supersedowoli od egzekucyej pp. Komisarze (nie uwzględniając) — ale na to całe nie dbali“ — i co więcej, uzyskał upoważnienie do aresztowania Zimorowicza w razie, gdyby stawił opór dalszym czynnościom komisyi [1]).

Zimorowicz dowiedział się snać wcześnie o treści tego mandatu i znowu „wykradł się“ (wedle słów Złotorowicza) do Warszawy. Zaszła wówczas właśnie ważna zmiana w obsadzie najwyższych urzędów koronnych. Stary prymas, Wacław Leszczyński, od kilku miesięcy nie żył; lecz dopiero w początkach 1667 roku godność jego przeszła na dotychczasowego kanclerza, Prażmowskiego, a kanclerstwo po Prażmowskim objął Jan Leszczyński. Tym sposobem zabrakło na czele rządu koronnego protektora Złotorowiczów. Doskonale wyzyskał ten obrót rzeczy Zimorowicz. Dokazał więcej w ciągu miesiąca, niż Złotorowicze w ciągu dwóch lat poprzednich, bo sprawił, że wyrok superarbitra Pinoccego został „inwalidowany“, więc uznany za nieważny i jeszcze raz kazano się stronom „ugadzać“ poufnie, przy pośrednictwie delegatów kanclerskich, pisarza dekretowego i księdza Lipskiego, regenta mełej kancelaryi. Układy jednak polubowne

[1]) Porównaj list Złotorowicza do Pinoccego z 1. marca 1667 r. (karta 128—129).

i tym razem spełzły na niczem, jak utrzymuje Złotorowicz, dlatego, ponieważ jego przeciwnik żadną miarą ni do czego nie dał (się) pociągnąć po staremu i nic dać pupilowi nie chce. Z niczego nic: rozeszliśmy się z niszczym. Jutro udam się do sądów relacyjnych J. Kr. Mci“ [1]). A więc znowu, już po raz trzeci, miała się sprawa oprzeć o króla. Jak wypadł wyrok królewski, o tem nic powiedzieć nie umiemy, bo materyał nasz urywa się właśnie na dniu 6. lipca 1667, przy której to dacie, w ostatnim liście Złotorowicza, znajduje się objaśnienie: „to jest we wtorek, a jutro dekret we środę“. Z tego jutra już żadnej relacyi nie mamy.

O samym jednakże epilogu przydługiego i zawikłanego procesu zachowała się dosyć dokładna wiadomość, w drugim testamencie Zimorowicza z dnia 22. stycznia 1671 [2]) roku. Wspomina w nim poeta naprzód o tem dawniejszem, znanem nam stadyum procesu z lat 1666 i 1667, kiedy to „już dekretów egzekucya od komisarzów Króla JMci na instancyą opiekunów Franciszka Złotorowicza na pół kamienicy Kampianowskiej wykonana była tak dalece, że też z użyciem siły te pół kamienicy Kampianowskiej tymże opiekunom w rzeczywiste posiadanie podane było“, — a następnie dodaje: „Jakoż cały rok onę w ręku swoich mieli, ludziom szlacheckim najmowali, a nawet i do tego czasu jużby przy nich była na zawsze została, — ażem ja do dworu Króla JMci jadąc i tam więcej niżeli rok obecnie (a więc widocznie dopiero w ciągu roku 1670) mieszkając, za wielkiem staraniem i kosztem niezmiernym ledwiem to sprawił, że mi dekretem Króla JMci kazano, abym opiekunom Złotorowiczowskim gotowemi pieniędzmi półosma tysięcy monety i liczby polskiej oddał i wyłożył. Jakoż, chcąc nie chcąc, nie półosma tysiąca, ale z dekretu kapturowego półdziesięta tysiąca musia-

[1] Porównaj list Złotorowicza do Pinoccego z 5. lipca 1667 r. (rękopis, karta 126—127).

[2]) *Heck:* „Materyały“, strona 196—197.

łem tymże opiekunom z winami sądowemi oddać i wyłożyć, i dopiero do posessyej tejże kamienicy Kampianowskiej przyść, o czym procesów obszernych kilka, także i dekretów Króla JMci i kapturowych, na ostatek kwity na osobę moją zeznane oczywiście świadczą"...

Dopiero więc w roku 1671 ułożył się zupełnie ten długoletni zatarg, który zaburzał i zatruwał Zimorowiczowi całe nieledwie dziesięciolecie życia, w dobie, kiedy zaczynał się dlań już okres starości (jako urodzonego w roku 1597). Wyszedł poeta z tego zatargu z przegraną: wskórał jednak tyle, że przeciwnicy musieli zniżyć wysokość swoich pretensyj o trzy czwarte: bo gdy pierwotnie żądali wydania majątku w cenie 37 przeszło tysięcy, zadowolili się w końcu okupem w kwocie $8^1/_2$ tysiąca złp. Rozumie się, że ta ostatnia cyfra nie daje żadnego pojęcia o ogólnej sumie wydatków, jakie były niewątpliwie nieodłączne od powolnego toku tego uporczywego procesu, ze względu na który wypadło poecie odbywać parę razy odległe podróże i nawet jeden cały rok za domem przepędzić. Musiała ta kosztowna sprawa mocno nadszarpać majątek Zimorowicza, skoro wedle testamentu z roku 1666, po odliczeniu tego, co należało się córce, Katarzynie, z drugiego małżeństwa, jako dziedzictwo po matce, z domu Zacharyaszewiczównej, i tego, co poeta uznał za konieczne zapisać pasierbowi Franciszkowi, — nie pozostawało już ani grosza do rozdania między dzieci z czwartego małżeństwa, tak, że ojciec widział się zmuszonym zdać je na łaskę krewnych swej żony [1]). Prawda, że w ciągu następnych kilku lat stosunki materyalne Zimorowicza widocznie cokolwiek się poprawiły, bo w drugim testamencie, z roku 1671, znajdujemy już zapisy na rzecz żony i wszystkich dzieci: ale inwentarz ruchomości, jaki w siedm lat później, bezpośrednio po śmierci poety, sporządzono, świadczy o ponownem i bardzo uderzającem jego zubożeniu. Dosyć powiedzieć, że

[1]) *Heck:* „Materyały", strona 190–191.

w szkatule tego niegdyś bogatego człowieka znaleziono tylko 14 złp. 15 gr. gotówki i jeden jedyny złoty sygnet; między sprzętem stołowym tylko dwie łyżki srebrne — resztą sama cyna, miedź i mosiądz; i ponadto nieco sprzętów pokojowych, sukien, a najwięcej samych książek [1]). Nie można jednak tej ruiny majątkowej kłaść wyłącznie na karb skutków procesu ze Złotorowiczami; bo wiemy skądinąd, że przyczynił się do niej, po roku 1671, w znacznej mierze Jan Krall, zięć poety, „skończony urwis i oczajdusza" (jakim go mieni p. Loziński), którego Zimorowicz na rok przed śmiercią wydziedziczył [2]). W każdym razie jest rzeczą widoczną, że od czasu i poniekąd wskutek procesu ze Złotorowiczami, poecie z roku na rok coraz gorzej się wiodło.

Wracając do tej sprawy, około której wyłącznie obracają się nowowykryte materyały, trzeba nam powtórzyć to, cośmy już raz powiedzieli: że na podstawie wszystkich tych aktów i listów, jakkolwiek zapełniają one dwieście kilkanaście stronic, nie sposób, niestety, orzec stanowczo, czy i o ile Zimorowicz został wyrokami sądów pokrzywdzonym, lub czy i o ile ciąży na nim samym wina zatrzymywania sierocej własności, a więc niesumienności i chciwości, a nadto manii pieniactwa. Na niekorzyść Zimorowicza świadczą, bądź co bądź, wszystkie znane wyroki: gdyż we wszystkich część pretensyi strony przeciwnej była uznawaną za słuszną, podczas gdy Zimorowicz przez czas długi prawności i słuszności wszelkich w ogóle pretensyj Złotorowiczów przeczył. Jeszcze bardziej obciążającą poetę jest okoliczność, że w testamencie swoim z roku 1666 uznał on za właściwe znaczną część majątku swego przekazać nie komu innemu — jeno właśnie temu pasierbowi, Franciszkowi, z którym się wówczas procesował! Zastrzegł się wprawdzie w odnośnym ustępie testa-

1) *Heck*: „Materyały", strona 206—215.

2) Porównaj artykuł Władysława Lozińskiego p. tyt. „Zięć poety". (Kwartalnik historyczny tom IV, z roku 1890, stronu 50—57).

mentu, że rozporządzenie to czyni „powodowany uczuciem miłości małżeńskiej, niewygasłej i po śmierci żony, idąc więcej za głosem litości chrześcijańskiej, niż za rygorem prawa“ i wprawdzie jeszcze raz powtarzał z naciskiem, że „długi Rozalii, przezeń przejęte, przewyższały jej posag“ [1]), — ale ostatecznie sam fakt zapisu, tak szczególny, świadczy, że poeta musiał czuć się poniekąd dłużnikiem pasierba i w obliczu śmierci nie śmiał mu przeczyć prawa do udziału w dziedzictwie, chociaż majątek jego wówczas nie wystarczał na obdzielenie własnych dzieci. A więc rola Zimorowicza w tej przykrej sprawie nie była całkiem czystą: są na niej plamy, których brud — jeśli ich nie zdołamy zetrzeć jakimiś nowymi autentycznymi środkami świadectw źródłowych — może przylgnąć do charakteru poety...

Złotorowicz pomawia Zimorowicza o pieniactwo niejednokrotnie. Zarzut to przeciwnika o usposobieniu widocznie porywczem i zawziętem w gniewie, a więc bynajmniej nie wzbudzającego ku sobie zaufania i wiary. Ale jeśli w jego zarzutach jest z pewnością bardzo dużo przesady i złej woli, to czy niema w tym jednym przynajmniej cokolwiek prawdy, lub choćby tylko prawdopodobieństwa? Podejrzeniom trudno się opędzić, gdy się rozpamiętywa wcześniejszą przeszłość poety. Wiadomo przecież, że Zimorowicz był z zawodu prawnikiem-palestrantem i przez długie lata działał we Lwowie jako obrońca sądowy, o następnie, jako sędzia ławniczy. Przed objęciem urzędu sędziowskiego, w ciągu lat 1624 do 1637, przeprowadził też co najmniej siedmdziesiąt kilka spraw przed kratkami sądów miejskich [2]). Przyszły biograf Zimorowicza będzie więc obowiązany zastanowić się nad tem głębiej, czy w ciągu długoletniej praktyki obrończej ta mała żyłka pieniacza, która jest w każdym palestrancie owych czasów, nie nabrzmiała u naszego poety zanadto:

[1]) *Heck:* „Materyały“, strona 188.

[2]) *Heck:* „Żywot i dzieła Zimorowiczów“, str. 70—73 i 136—148.

czy przyzwyczajenie, nabyte w toku pracy zawodowej, nie weszło w krew i nie wyrodziło się w manię?

Wobec takich pytań, które się narzucają same przez się i wymagają odpowiedzi, rośnie także i ważność owej, z pozoru podrzędnej, sprawy — sporu o spadek między Zimorowiczem a Złotorowiczami — do znaczenia zasadniczego problematu z życia poety. Od dokładnego i stanowczego jej wyjaśnienia będzie bowiem zależało, czy mamy do czynienia z człowiekiem w gruncie serca uczciwym, a tylko nieszczęśliwą ofiarą intryg przewrotnego przeciwnika i przemocy wyższej protekcyi, — czy też z człowiekiem naprawdę upartym, chciwym i niesumiennym...

Materyał, świeżo wykryty, nie wystarcza do rozstrzygnięcia powyższej, zasadniczej kwestyi: ale badaczowi specyaliście przyda się doskonale do bliższego rozpoznania sprawy, która tamtą kwestyę nasunęła. Być może, że źródła inne, do tegoż samego przedmiotu odnoszące się, a nam nieznane (ma ich być, szczególnie w archiwach miasta Lwowa, nie mało), pozwolą wejrzeć w rzecz głębiej i dotrzeć do dna prawdy. Pana Hecka, biografa Zimorowicza, czeka zadanie trudne i poważne: sumienność, z jaką opracował dzieje pierwszych pięćdziesięciu lat życia poety, daje rękojmię, że zadania tego nie będzie lekceważył. Wiązanka nowych świadectw źródłowych, o których podaliśmy powyżej tylko tymczasową, pobieżną wiadomość, ułatwi p. Heckowi znacznie robotę. — Wydawnictwo „Materyałów do biografii Zimorowiczów“ podjęła krakowska Akademia Umiejętności; nie wątpimy, że redaktor tego wydania, właśnie pan Heck, nie omieszka uwzględnić w dalszym ciągu i w pełnej mierze tych nowych materyałów, na które niniejszem zwracamy jego uwagę.

Przyczynki do dziejów XVII wieku

z archiwów prywatnych.

Jest to poniekąd obowiązkiem, ciążącym na każdym badaczu naszych dziejów, rozwijać, że tak powiem, ustawiczną agitacyę, mającą na celu ratowanie prywatnych zbiorów rękopiśmiennych od zniszczenia, a z drugiej strony pracować nad rozpowszechnieniem wiadomości o tych zbiorach, do których udało się dotrzeć. Zawsze byłem i jestem do dzisiaj tego zdania, że nasze instytucye publiczne, łożące na wydawnictwa naukowe, a przedewszystkiem Akademia Umiejętności krakowska, największą oddałyby przysługę nauce historycznej, gdyby zmniejszyły o połowę swoje wydawnictwa źródeł, a zaoszczędzone tym sposobem fundusze obracały na pokrywanie kosztów badania i katalogowania zbiorów rękopiśmiennych, tak prywatnych, jak i publicznych. Wydawnictwa katalogów naszych publicznych bibliotek i archiwów posuwają się naprzód żółwim krokiem, postępy ich przyspieszyć, umożliwić doprowadzenie ich do końca w krótkim czasie zapomocą sowitych subwencyi — byłoby to prawdziwe dobrodziejstwo dla badaczy nowszych zwłaszcza dziejów, z których każdy tracić musi obecnie niezmiernie wiele czasu na wertowanie niezinwentaryzowanych dokładnie kodeksów, często bezowocne. Pracę tę katalogowania należałoby rozciągnąć równocześnie i na zbiory prywatne. Dokładny, tystematycznie ułożony katalog wszystkich znajdujących się u nas w kraju materyałów historycznych skuteczniej przyczyniłby się do pobudzenia i podniesienia na wyższy poziom ruchu naukowego w dziedzinie historyi, aniżeli wydanie stu tomów nowych źródeł. A przedewszystkiem zyskałyby przy-

szłe wydawnictwa na wartości naukowej i zyskałyby na pełności, na lepszym doborze i składzie uwzględnionych w nich świadectw historycznych. Obecnie nie podobna wydać żadnego zupełnego zbioru dyaryuszów sejmowych czy wojennych, żadnego zupełnego zbioru niczyjej korespondencyi, bo nigdy niema się pewności, czy po wydaniu książki jutro nie wyjdą na jaw całe stosy aktów lub listów, należące do tej samej grupy źródeł, która była przedmiotem wydawnictwa. I nadto, kiedyż nasze wydawnictwa zdołają ogarnąć choćby najważniejsze, zachowane po czasach nowszych świadectwa źródłowe? Nie popełnię żadnej przesady, jeżeli powiem, że liczy się je nie na dziesiątki, ale na setki tysięcy foliałów. Obecnie dziewięć dziesiątych tych świadectw są dla nas zupełną — *terra incognita*. Nie wiemy nawet o istnieniu tysięcy aktów, listów, relacyj, które leżą w publicznych bibliotekach. Codziennie robimy odkrycia w kodeksach rękopiśmiennych, od dawna dostępnych dla wszystkich. A więc przedewszystkiem — spisywać, katalogować i ogłaszać takie wykazy, abyśmy przynajmniej wiedzieli, co mamy; abyśmy mogli z tego, co mamy, robić należyty wybór; abyśmy raz kiedyś mogli nareszcie przystąpić do prawdziwie systematycznych wydawnictw w miejsce dotychczasowych dorywczych i niezupełnych.

Co do mnie, korzystałem z każdej sposobności, jaka się nadarzała, do wglądania w domowe archiwa i do sporządzania wykazów kryjących się w nich rękopisów. Zebrało się w ten sposób w moich tekach sporo notatek, których część poniżej ogłaszam. Dotyczą one zbiorów prywatnych hrabiego Michałowskiego w Dobrzechowie i pana Ludwika Górskiego w Sterdyni (dziś w części złożonych w bibliotece hr. Krasińskich w Warszawie). Z zawartością obu tych kollekcyj rękopiśmiennych miałem możność poznać się bliżej dzięki nadzwyczajnej uprzejmości i uczynności ich Szanownych Właścicieli, którym za wszelkie doznane ułatwienia serdeczną na tem miejscu składam podziękę.

I.

Pan hrabia Roman Michałowski (w Dobrzechowie pod Strzyżowem w Galicyi) jest posiadaczem zbioru kodeksów rękopiśmiennych niewielkiego, bo złożonego z siedmiu tylko woluminów; rodzina przechowała je starannie jako szacowny spadek po przodkach. Wszystko to bowiem są kodeksy, spisane albo własną ręką któregoś z Michałowskich, albo przez kogoś innego dla ich użytku, albo też złożone z aktów i listów, z blizka rodziny Michałowskich dotyczących. Obecny ich właściciel okazał uznania godne zrozumienie interesu nauki, sam udając się do mnie z prośbą o przejrzenie rękopisów i rozpowszechnienie wiadomości o nich pośród badaczy naszych dziejów. Rękopisy przywieziono do Krakowa i oddano do mojej dyspozycyi, złożywszy je w bibliotece Seminaryum historycznego przy uniwersytecie Jagiellońskim. Dziś są one już znowu w rękach właściciela.

Nazwisko Michałowskich jest niezawodnie znanem każdemu, ktokolwiek zajmował się źródłowem badaniem naszych dziejów z XVII wieku: jeżeli nie dlatego, iż dwaj członkowie tej rodziny należeli bądź co bądź do wybitniejszych przedstawicieli szlachty lubelskiej za Wazów, to z przyczyny, że właśnie jednemu z Michałowskich, Jakóbowi, zawdzięczamy spisanie tego interesującego zbioru aktów, listów i relacyj, który został przed laty trzydziestu z okładem ogłoszony drukiem, nakładem Towarzystwa naukowego krakowskiego, a pod redakcyą Helcla, jako „Księga pamiętnicza Michałowskiego“. Cała ta „Księga pamiętnicza“ stanowi zawartość jednego tylko kodeksu rękopiśmiennego, który także należy do zbiorów dobrzechowskich. Z przedmowy Helcla widać, że wówczas, kiedy przystępowano do wydania „Księgi“, miał wydawca w rękach także i parę innych kodeksów, należących do Michałowskich [1]), ale z reszty użytku naukowego

[1]) Na kartce tytułowej „Księgi pamiętniczej“ jako właściciel rękopisu wymieniony jest hrabia Morsztyn; w istocie bowiem kodeksy

nie zrobił, ani nie podał o ich treści żadnej zgoła wiadomości. Przypuszczam, że niektórych nie przejrzał nawet należycie, bo gdyby wszystkie poznał dokładnie, nie pominąłby był niezawodnie kilku obszernych, doskonałych relacyj o wojnach kozackich z lat 1649 do 1651, które tak ze względu na ich treść i wartość naukową, jak i ze względu na autorstwo samegoż Jakóba Michałowskiego, należało uwzględnić w pierwszym rzędzie przy wydawaniu „Księgi pamiętniczej".

Przyznaję zresztą, że z pominiętych przez Helcla sześciu kodeksów rękopiśmiennych tylko połowa co najwięcej zasługiwała na bliższą uwagę, ale w tej połowie są rzeczy, o których warto wiedzieć i które się przydać mogą niejednokrotnie badaczom dziejów Polski z czasów Wazów.

Wszystkie, z wyjątkiem jednego po części, są to kopiaryusze, pisane widocznie na przemiany albo rękami samych Michałowskich, albo też przez jakichś nieznanych kopistów, ale pod okiem właścicieli.

Michałowscy, herbu Jasieńczyk, mieszkali za czasów Wazów w Lubelskiem i piastowali też najczęściej urzędy i godności tamtej ziemi; niektórym udawało się jednak wyrastać ponad urzędników ziemskich i wydostawać na krzesła senatorskie. Do takich należy mianowicie Jakób, autor „Księgi pamiętniczej". On i jego ojciec Melchior — to najznamienitsi przedstawiciele rodziny w XVII wieku. Melchior, który żył za czasów Zygmunta III, zrazu pisarz grodzki krakowski, potem podstarości, skończył, zdaje się, na godności wojskiego lubelskiego; syn jego, który także piastował przez długi czas tę samą godność w ziemi lubelskiej, osiągnął później, około roku 1660, kasztelanię biecką. Obaj nietylko zażywali popularności w swojej ziemi, używani często do ważnych posług publicznych, wybierani marszałkami sejmików, posłami, a zwłaszcza deputatami do trybunału lubelskiego,

---

rękopiśmienne, o których piszę, przez jakiś czas znajdowały się w rękach blisko spokrewnionego z Michałowskimi hr. Morsztyna.

ale zasłużyli się Rzeczypospolitej także poza obrębem województwa jako dworzanie królewscy i uczestnicy kilku wypraw wojennych. Funkcye sędziowskie w trybunale koronnym były jednak, jak widać z papierów familijnych, zwyczajnem ich i prawie stałem zajęciem: i z tytułu tego właśnie zawodu wyrobili też sobie oni stosunki, sięgające daleko poza koła szlachty lubelskiej, do najwyższych nawet sfer społeczeństwa polskiego za Wazów. Melchior Michałowski żył w bliskich stosunkach z Zamojskimi i był nawet jednym z opiekunów syna wielkiego kanclerza, Tomasza; Jakóba łączyły węzły koligacyi z rodziną Kazanowskich, a związki znajomości lub przyjaźni z wieloma wybitnymi senatorami i dygnitarzami Rzeczypospolitej. Słynął on w Polsce jako bibliofil; wiadomo, że Kochowski napisał cały wiersz pochwalny na „Bibliotekę Wielm. J. M. P. Jakóba na Michałowie Michałowskiego, kasztelana bieckiego"[1]. Z listów i relacyj, przechowanych po nim, wnosimy, że jako dworzanin Jana Kazimierza odbył kampanię berestecką i chlubnie się w niej odznaczył.

Jakóbowi to także zawdzięczamy powstanie większej części kodeksów rękopiśmiennych, o których mam podać wiadomość. Z siedmiu istniejących przynajmniej pięć urosło widocznie pod jego okiem: zaledwie bowiem w dwóch są rzeczy, co do których można przypuszczać, że spisane zostały po części wcześniej, może z inicyatywy ojca Jakóba, Melchiora. Są to same spore kodeksy, formatu folio, o kilkuset kartach zapisanych każdy, wszystkie oprawne w pergamin -- z wyjątkiem jednego, ujętego w okładki z drzewa i skóry, — i wszystkie zachowane w dobrym stanie. Ponieważ nie były one opatrzone żadnymi znakami porządkowymi, pooznaczałem je na odwrotnych stronach okładek cyframi rzymskiemi I—VII. Kodeksy, z wyjątkiem jednego po czę-

[1]) W wydaniu *Turowskiego* „Liryków polskich" nr XXXVI na stronie 69 do 71.

ści, nie mają też paginacyi; można ją będzie przeprowadzić dopiero po należytem uporządkowaniu tomów (gdyż niektóre karty poprzekładane); dlatego liczb stronic przy poniżej wymienionych materyałach podać nie mogłem.

Wspomniałem już o tem, że wszystkie, z wyjątkiem jednego po części, są to kopiaryusze z rodzaju t. zw. „Silvae rerum“ i że z siedmiu kodeksów właściwie tylko trzy zasługują na bliższą uwagę, a mianowicie te, które oznaczyłem cyframi I—III. Kodeks nr IV został ogłoszony prawie w całości drukiem przez Helcla; kodeksy nr V, VI i VII zawierają w przeważnej części zbiory formularzy, wypisy z książek i t. d. Wszystkie zawierają „miscellanea“ rozmaitego gatunku, pomieszane razem: a więc kopie listów, aktów, relacyj i t. d., w przeważnej części odnoszące się do czasu od roku 1600—1660 (wyjątkowo tu i owdzie nieco rzeczy z XVI wieku). Ogółem jest we wszystkich więcej materyałów, dotyczących spraw publicznych, aniżeli prywatnych, familijnych.

Tylko kodeks nr I zawiera obok kopij także pewną ilość listów i aktów oryginalnych. Są to prawie wyłącznie korespondencye i akta familijne Michałowskich, jak w ogóle cały ten kodeks ściśle wiąże się treścią swą z dziejami tej rodziny. Dużo kopij i aktów familijnych zawiera także kodeks nr III. Rzeczy oryginalne pochodzą także z rozmaitych lat pierwszych sześciu dziesiątków XVII wieku i dotyczą przeważnie Melchiora i Jakóba Michałowskich. Znajdujemy tu nieco oryginalnych listów, pisanych do Jakóba jako deputata, zasiadającego w trybunale koronnym, z powodu spraw, sądowi trybunału podlegających, a wśród nich i listy pierwszorzędnych dygnitarzy Rzeczypospolitej, jak naprzykład kilka listów Stanisława Lubomirskiego, wojewody krakowskiego, Adama i Dominika Kazanowskich i t. p. Wśród aktów zasługuje na wyróżnienie kilka dotyczących bezpośrednio lub pośrednio Jana Zamojskiego i jego potomków. Cały w ogóle kodeks I zawiera materyał, rzucający interesujące

światło na typową postać jednego z wybitniejszych dygnitarzy ziemskich w Lubelskiem, jakim był za dwóch ostatnich Wazów Jakób Michałowski; z pomocą tego materyału możnaby doskonale odtworzyć życie zamożnego i wpływowego potentata prowincyonalnego — potentata w lepszym stylu, w którego działalności publicznej znać i głębokie poczucie godności i gorliwe przejęcie się obowiązkami. A zwłaszcza cały zbiór listów i aktów, dotyczących działalności Jakóba Michałowskiego jako deputata trybunalskiego, mieści w sobie nietylko liczne szczegóły, przydatne do charakterystyki ówczesnych stosunków, ale i szacowny materyał do dziejów sądownictwa polskiego w XVII wieku. Pod tym względem obfitych danych dostarcza także kodeks nr III, w którym na przeszło 140 kartach bardzo bitego pisma znajdują się regesta dekretów trybunału koronnego z rozmaitych czasów, w przeważnej części z pierwszej połowy XVII wieku, a głównie z lat 1641 i 1642.

Już jednak i w kodeksie nr I obok materyałów familijnych i sądowych są też i inne o publicznym charakterze. Wypada mi przedewszystkiem wyróżnić zapełniający 8 kart bitego pisma: *Dyaryusz albo krótkie opisanie drogi poselstwa JMP. Wojnickiego* (Firleja) *do Węgier od 19. Juni — 17. Augusti*, bez daty roku, ale, jak wnoszę z pobieżnego przeglądu treści, odnoszący się do spraw roku 1623 i 1624, w szczególności do ówczesnych nieporozumień Polski z Betlenem Gaborem, wywołanych samowolą Kozaków Lisowczyków. Zasługuje także na uwagę *Rachunek czopowego województwa krakowskiego z lat 1618 i 1619*, dalej pismo p. t. *Postanowienie porządku mennicy w Zamościu w roku 1606 przez Macieja Leśniowskiego* i nieznany, obszerny regestr *Klejnotów nieboszczki Zamojskiej Batorówny*.

Kodeks nr II (kopiaryusz) zawiera już prawie wyłącznie odpisy aktów, listów, mów i t. d. publicznej natury. Ogółem jest tu osobnych sztuk około 80; większość odnosi się do pierwszych dziesiątków lat XVII wieku. Ktokolwiek

zajmuje się dziejami wojen szwedzkich za Zygmunta III, ten znajdzie tu dosyć dużo materyałów, po części nieznanych skądinąd. Wymieniam parę obszerniejszych dyaryuszy, które zauważyłem:

1. Dyaryusz podróży Zygmunta III do Szwecyi od 30. lipca do 16. października — na 8 kartach.

2. Część dyaryusza z pierwszej wojny szwedzkiej — na 11 kartach.

3. „Kopia dyaryusza drogi francuskiej JWP. Krzysztofa z Bnina Opalińskiego, wojewody poznańskiego, wielkiego posła po królowę JMć do Francyi“ (a więc z roku 1645) — na 6 kartach.

Wskazuję nadto na interesujący wykaz długów Władysława IV, które Rzeczpospolita w roku 1642 popłaciła.

Najobfitszym w treść historyczną jest kodeks nr III, największy z wszystkich, bo liczący około 650 kart zapisanych. Dadzą się w nim rozróżnić trzy działy: pierwszy, mieszczący „miscellanea“ z czasów wszystkich trzech Wazów, to jest odpisy listów, mów, dyaryuszów i t. d., drugi, zawierający regesta trybunału koronnego (na 140 kartach), o których już była mowa; trzeci, złożony głównie z odpisów korespondencyi i aktów familijnych Jakóba Michałowskiego.

W skład działu pierwszego wchodzi właśnie najszacowniejsza rzecz całego zbioru: wiązanka dyaryuszów wojen kozackich z lat 1649 do 1651, zajmujących razem 48 kart (folio) dosyć ścisłego pisma. Znajdujemy tu:

1. „Dyaryusz ekspedycyi zborowskiej“ (20 kart).

2) „Dyaryusz wojny pod Beresteczkiem“ (10½ kart).

3. „Sekretny a prawdziwy dyaryusz od JMP. Michałowskiego, stolnika halickiego JM. księdzu kanclerzowi posłany expedycyej kostynuowanej kozackiej z pod Beresteczka pod Białocerkwię“ (na 7½ kart.).

4. „Dyaryusz podróży królewskiej do Prus z roku 1651“ (na 4½ kart.).

5. „Kopia listu JMP. Krakowskiego do JMci X. kanclerza de data z obozu 1. Octobris 1651 albo dyaryusz transakcyej pod Białą Cerkwią" (4 karty).

Co do dyaryuszów, wymienionych pod 2. i 5., jakkolwiek niema wymienionych w tytułach ich autora, uważam za rzecz niewątpliwą, że wyszły z pod pióra samegoż Jakóba Michałowskiego. Żaden z tych dyaryuszów nie został uwzględniony w wydawnictwie Helcla i nie był też przez nikogo używany. Dyaryusze, wymienione pod numerem 2 do 4, składają się na całość, której należy się, mojem zdaniem, pierwsze miejsce wśród znanych relacyj o wojnie kozackiej z roku 1651, jako podającej najbardziej szczegółowy i wiarogodny obraz wyprawy beresteckiej i w ogóle wypadków, w bezpośrednim z nią związku pozostających. Zbiór ten zasługuje ze wszech miar na to, aby go co prędzej ogłosić drukiem.

Wśród dalszych części działu „miscellaneów" tegoż kodeksu III wypada mi wyróżnić sporą wiązankę odpisów aktów, listów i relacyj, odnoszących się do wypadków z lat 1621—1622, głównie do dziejów wojny chocimskiej (na blisko 90 kartach).

Kodeks IV, jako wydany przez Helcla, pomijam. W pozostałych (V—VII) mieści się więcej formularzy i wypisów z dzieł drukowanych, aniżeli nieznanych materyałów historycznych. Na bliższe przepatrzenie i zregestrowanie zasługuje kodeks nr V, w którym mieści się pewna ilość kopij, listów i aktów, nieznanych mi skądinąd, jak naprzykład dziesięć kopij uniwersałów króla i dygnitarzy koronnych z lat 1657—1660, nieco odpisów aktów, dotyczących rokoszu Zebrzydowskiego i t. p.

Kodeks nr VI zapełniony jest w znacznej części formularzami, ale wśród nich znajduje się także sporo odpisów całych listów z datami, np. korespondencyi Zygmunta III z książętami obcymi i innymi cudzoziemcami z lat 1625 do 1632 na kilkudziesięciu kartach; na dalszych dwudziestu

kartach nieco takichże odpisów z czasów Władysława IV. Kodeks nr VII jest w większej części zapełniony ekscerptami i wypisami z dzieł drukowanych; na pierwszych stukilkudziesięciu kartach zawiera jednak także „miscellanea“, głównie z czasów Władysława IV i pierwszych lat Jana Kazimierza.

Ograniczam się na tem więcej ogólnikowem streszczeniu kodeksów; na dokładniejsze brak tutaj miejsca; wartoby jednak sporządzić wykaz zupełny zawartych w nich aktów oryginalnych i odpisów i złożyć w jakiejś bibliotece publicznej. Nie potrzebuję dodawać, że szanowny właściciel rękopisów chętnie pozwoli korzystać ze swoich zbiorów każdemu, kto się zechce zapoznać z nimi bliżej.

II.

Nierównie bogatszym i ważniejszym dla nauki jest zbiór materyałów rękopiśmiennych, przechowywany do niedawna w domu p. Ludwika Górskiego w Sterdyni (Królestwo polskie, gubernia siedlecka) a obecnie przeniesiony do biblioteki hr. Krasińskich w Warszawie. Istne to archiwum, i to archiwum aktów nie familijnych, lecz przeważnie publicznego znaczenia.

Zwrócił na nie moją uwagę przed dziesięcioma laty gorący miłośnik i znawca rzeczy polskich, p. Adam hr. Starzeński z Zaszkowa. Z jego wyjaśnień i notatek, łaskawie mi nadesłanych, wyrozumiałem, iż archiwum to zawiera wiele materyałów historycznych pierwszorzędnego znaczenia. Chętnie też skorzystałem wówczas z zaprosin samego czcigodnego właściciela Sterdyni, jak wiadomo, prezesa Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie i jednego z najbardziej zasłużonych obywateli Królestwa, — aby z zawartością tych materyałów poznać się bliżej na miejscu. W ciągu jednomiesięcznego pobytu w Ceranowie pod Sterdynią czyniono mi wszelkie dogodności, aby ułatwić rozgląd w całej kollekcyi.

Niech mi wolno będzie wyrazić za nie osobno na tem miejscu podziękę.

Zajmowałem się prawie wyłącznie przeglądaniem aktów o publicznym charakterze. Miałem także w ręku sporą ilość papierów familijnych; ale na rozpatrzenie się w nich nie starczyło mi już czasu, zwłaszcza, że znaczną część aktów publicznych trzeba było dopiero dobywać z paczek, powiązanych sznurkami i od dawna nietykanych, czytać i porządkować. To, co przejrzałem, rozdzieliłem na grupy, jużto wedle treści, jużto wedle nazwisk autorów (o ile chodziło o listy); tak też podzielone, poumieszczane zostały rękopisy w osobnych pudłach i teczkach.

Archiwum bowiem sterdyńskie nie składa się z kodeksów rękopiśmiennych większych rozmiarów, lecz z aktów, listów, dokumentów i t. d., przeważnie oryginalnych, które zachowały formę pierwotną. Aby dać wyobrażenie o ich ilości, powiem, że w ciągu miesiąca przeszło przez moje ręce blisko 5.000 sztuk dokumentów, chociaż papierów familijnych prawie wcale nie przeglądałem.

Jaka zaś jest ważność tych materyałów, zrozumie każdy, gdy dodam, że są one po większej części ułamkiem archiwum domowego samegoż króla Jana Kazimierza, w mniejszej pozostałością po archiwum domowem Jana Gotharda Butlera, podkomorzego koronnego.

Ową większą część, którą nazwałem ułamkiem archiwum domowego króla Jana Kazimierza, mógłbym określić bliżej jako zabytek niemieckiego oddziału królewskiego archiwum; w skład tego zbioru wchodzą bowiem głównie pisane w języku niemieckim akta i listy, jakie przychodziły do króla, i bruliony listów i aktów, jakie wychodziły w tymże języku z kancelaryi królewskiej. Zbiór brulionów obejmuje przeszło 1.000 sztuk osobnych; reszta w liczbie około 3.600, to w bardzo przeważnej części same listy, akta, relacye oryginalne, a wśród oryginałów przynajmniej połowa należała kiedyś do króla.

Już z tych ogólnych wyjaśnień łatwo wywnioskować, że cała kollekcya musiała się dostać do Sterdyni, do domu Górskich, tylko więcej przypadkowym sposobem. Wedle wskazówek, które zebrał p. Adam hrabia Starzeński, rzecz miała się tak w istocie. Tak ułamek archiwum domowego króla Jana Kazimierza, jak i papiery, dotyczące Butlerów, znajdowały się jeszcze w początkach bieżącego wieku w domu samychże Butlerów; dopiero, gdy ta rodzina wygasła, przeszły w posiadanie hrabiów Krasińskich, a następnie p. Ludwika Górskiego.

Część aktów kancelaryi domowej króla Jana Kazimierza została włączona do archiwum Butlerów niezawodnie za życia, albo wkrótce po śmierci Gotharda Wilhelma Butlera, który był podkomorzym koronnym i jednym z najbardziej ulubionych powierników tego monarchy. Rodzina Butlerów, potomków tego Gotharda Wilhelma w prostej linii, wygasła w istocie dopiero w początkach bieżącego wieku. Za ostatniego jej przedstawiciela męskiego podaje Kossakowski [1]) Jana, wnuka Aleksandra, który był właśnie synem Gotharda Wilhelma. Ten Jan żył jeszcze w roku 1812 i zapewne niedługo później zmarł bezdzietnie. W jego to majątku, Miedznej, która od czasów Gotharda Wilhelma należała do rodziny, przechowywało się zarówno archiwum familijne, jak i fragment archiwum Jana Kazimierza. Miedzna, a z nią i archiwum przeszło po śmierci Jana na jego siostrę Józefę, którą pojął w małżeństwo Feliks Kuczyński, cześnik podlaski. Inna żeńska odrośl rodu Butlerów, Rozalia, córka Łukasza Aleksandra, a stryjeczna siostra wymienionego co dopiero Jana, wydana za Antoniego hrabiego Ossolińskiego, była matką hrabiego Stanisława. Ten ostatni właśnie kazał przewieźć archiwum pobutlerowskie z Miedznej do swego majątku, Sterdyni: a więc i w chwili, kiedy dziedziczka tego majątku, wnuczka Stanisława hrabiego Ossolińskiego,

[1]) „Monografie historyczno-genealogiczne“, tom II, str. 47—61.

Paulina hrabina Krasińska (dziś już nieżyjąca) została małżonką p. Ludwika Górskiego.

Że po Butlerach zachowało się sporo aktów familijnych, temu niema się co dziwić, bo to była rodzina dosyć znacząca, która zwłaszcza w XVII wieku żyła w bliskich stosunkach z najwyższemi sferami społeczeństwa polskiego, ale jakim sposobem dostała się w ich ręce także część archiwum domowego samego króla? Oto, jak sobie to tłómaczymy.

Niema, jak wiadomo, u nas nigdzie publicznego archiwum, któreby stanowiło większą zbiorową pozostałość po archiwum osobistej i dyplomatycznej kancelaryi królewskiej: niema tego, co się nazywa w Niemczech „Haus- und Hofarchiv". Istnieją tylko rozrzucone jego fragmenta, przechowane w prywatnych zbiorach. Wyjątkowo tylko domowe archiwum Sobieskich dostało się do publicznego zakładu, t. j. do pruskiego tajnego archiwum państwa. Część archiwum domowego i dyplomatycznego króla Stanisława Augusta znajduje się w bibliotece książąt Czartoryskich w Krakowie. Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju archiwów domowo-dworskich u nas nie utrzymywano: że raczej w czasach elekcyjnych pozostawały one własnością osobistą królów i rodzin królewskich i że każdy z królów mógł rozporządzać niemi dowolnie. Jan Kazimierz więc niezawodnie, wyjeżdżając w roku 1669 z Polski, pozostawił część domowego swego archiwum w domu Butlerów, potomków Gotharda Wilhelma (może tylko jako depozyt?).

Najdawniejsze znane mi wiadomości o Butlerach sięgają do czasów Stefana Batorego: dziad Gotharda, Jan, miał się odznaczyć w wojnach moskiewsko-inflanckich za tego króla. Dopiero jednak Gothard Wilhelm wybił się na wydatne stanowisko. Urodzony w roku 1600, już w roku 1624 był czynnym na dworze króla Zygmunta III jako pisarz kancelaryi królewskiej; odtąd służył stale jako dworzanin tak temu królowi, jak i jego synom, aż do swojej śmierci, która nastąpiła roku 1661. Trzymał się osoby Jana Kazimierza; z nim

dzielił wszystkie dobre i złe jego przygody, a więc i więzienie królewicza we Francyi. Był ochmistrzem dworu Jana Kazimierza co najmniej od roku 1643; w roku 1644 dostał starostwo preńskie; a gdy pan jego został królem, objął zaraz podkomorstwo nadworne koronne. Jan Kazimierz i nadal nie szczędził mu dowodów swej łaski: posiadł też Gothard Wilhelm prócz preńskiego także starostwa rowskie, parnawskie i bolesławskie; nadto nosił tytuł nowodworskiego, persztyńskiego, przełomskiego i rudnickiego leśniczego. Uzyskał prócz tego w roku 1651 od cesarza Ferdynanda III godność hrabiowską, a w roku 1658 mianowany został generałem straży przybocznej króla.

Jeżeli — jak przypuszczam — wydział niemiecki kancelaryi królewskiej znajdował się pod kierunkiem Butlera, to łatwo stać się mogło, że papiery tego wydziału, choć wchodzące w skład archiwum domowego samego króla, następnie przeszły w ręce podkomorzego, a raczej jego potomków. Część bowiem aktów, wiążących się ściśle z osobą Jana Kazimierza, sięga datami powstania poza datę śmierci Gotharda Wilhelma; wnoszę stąd, że i synowie Gotharda, zwłaszcza Marek, musieli sprawować jakieś funkcye na dworze Jana Kazimierza (choć dowodów na to niemam), lub, że w każdym razie Jan Kazimierz z synami podkomorzego utrzymywał bliskie stosunki, tak, że wyjeżdżając z Polski, swoje papiery niemieckie poprostu pozostawił w ich rękach.

Stawiając domysł, że Gothard Wilhelm, jako szlachcic inflancki, mógł mieć w swoim zarządzie wydział niemiecki kancelaryi królewskiej, nie chciałem przez to powiedzieć, aby sam był pisarzem i sekretarzem, używanym do korespondencyi niemieckiej. Bruliony listów i aktów niemieckich, jakie wychodziły z kancelaryi królewskiej, nie pochodzą, jak okazuje porównanie z listami Butlera, z jego ręki, lecz wyszły z pod ręki niejakiego Jana Kerna, który widocznie pełnił na dworze Jana Kazimierza stale funkcye sekretarza do korespondencyi niemieckiej.

Nawiasowo dodaję, że w Miedznej, dawnym majątku Butlerów, ma się znajdować dotychczas kollekcya portretów tychże Butlerów, jak mnie zapewnił p. Adam hr. Starzeński.

Archiwum sterdyńskie przeglądał swego czasu Aleksander hr. Przeździecki; ogłosił jednak tylko jeden tamże znaleziony list Radziejowskiego (w *Gazecie codziennej* z roku 1854). Dotychczas w ogóle nikt nie podał o materyałach sterdyńskich wiadomości w żadnem piśmie publicznem. Sądzę więc, że spełnię rzecz pożyteczną, ogłaszając niniejsze sprawozdanie.

Materyały, przezemnie przejrzane i uporządkowane (około 5.000 sztuk), zostały pomieszczone w 13 pudłach i 8 tekach. Pudła zawierają same prawie akta i korespondencye o publicznym charakterze; w tekach przeważnie rzeczy podrzędnego znaczenia.

Co najmniej trzy czwarte aktów, pomieszczonych w pudłach i tekach, są to same pisma oryginalne, a wśród nich nie brak i autografów. Więcej niż połowa ich musiała należeć kiedyś do archiwum domowego Jana Kazimierza.

Podciągam pod tę ostatnią kategoryę: 1. bruliony i minuty niemieckiej korespondencyi Jana Kazimierza i jego rodziny; 2. zbiór oryginalnych listów niemieckich, pisanych do króla, a względnie do członków rodziny królewskiej; 3. zbiór aktów, dotyczących zarządu księstw Raciborza i Opola; 4. zbiór listów i aktów, pisanych do osób z otoczenia króla, także w języku niemieckim. Kollekcya ta obejmuje przeszło 2.000 osobnych sztuk rękopiśmiennych.

Dział pierwszy obejmuje minuty i bruliony wszelkich aktów i zwłaszcza listów, jakie wychodziły z kancelaryi królewskiej w języku niemieckim w latach od roku 1650—1666, i to nietylko w imieniu samego króla, ale i w imieniu innych członków jego rodziny. Jest ich ogółem przeszło 1000 sztuk: z tych 180 przypada na Jana Kazimierza (z lat 1650—1666), 150 na Ludwikę Maryę (z lat 1655—1666); reszta — są to bruliony aktów, memoryałów i t. d. niemieckich, które też

wychodziły z kancelaryi królewskiej, ale nie wprost od króla lub królowej. Zbiór ten został pomieszczony w pudłach VI do VIII. Bruliony pisane są przeważnie na półarkuszach foliowych (*pagina fracta*), dosyć mocno zniszczonych i zabrudzonych, pismem niezbyt wyraźnem, pospiesznem: w tekstach wiele przekreśleń, odmianek i poprawek. Znajdujemy tu minuty listów, pisanych do wszystkich współczesnych znakomitości niemieckich, które utrzymywały stosunki z dworem polskim, a więc zarówno do monarchów i książąt, jak do generałów, oficerów niemieckich, do ajentów dyplomatycznych, ministrów i t. d. Treść ich dotyczy nietylko spraw więcej osobistych, prywatnych, króla i rodziny królewskiej, ale w przeważnej części także i spraw publicznych.

Najważniejszą część zbioru stanowi kollekcya listów oryginalnych, adresowanych przeważnie do samego króla. Zaliczam tu około 700 sztuk rękopiśmiennych, zredagowanych wyłącznie w języku niemieckim. Zostały one pomieszczone w pudłach nr I—V. Pierwsze miejsce zajmują listy monarchów, a dalej generałów, dyplomatów obcych i t. d. Wyszczególniam:

1. Trzy listy oryginalne cesarza Ferdynanda III do króla z lat 1654—1655 (i kopie 2 listów z roku 1655).

2. Cztery listy cesarza Leopolda do króla, dwa listy tegoż do królowej, dwa listy do innych osób, z lat 1658 do 1663 (same oryginały, i nadto kopie dwóch listów).

3. Pięćdziesiąt oryginalnych listów Fryderyka Wilhelma, elektora brandeburskiego, do Jana Kazimierza z lat 1657 do 1660 i nadto kopie czterech listów tegoż elektora z roku 1660.

4. Siedmnaście listów Karola Gustawa, króla szwedzkiego, do różnych osób, z roku 1657 (niewątpliwie same listy przejęte w drodze).

5. Zbiór oryginalnych listów książąt niemieckich, pisanych do Jana Kazimierza (27 sztuk) w latach 1655—1666, a mianowicie: Ferdynanda Maryi, elektora bawarskiego, Al-

brechta i Albrechta Zygmunta, książąt bawarskich, Jana Jerzego, elektora saskiego, Franciszka Erdmanna, księcia saskiego, Filipa Wilhelma, palatyna najburskiego, Ferdynanda Maksymiliana, margrabiego badeńskiego, Chrystyana Ludwika, księcia szweryńsko-ratzeburskiego, Aleksandra Henryka, księcia szlezwicko-holsztyńskiego, Sylviusa, księcia wirtemberskiego, Chrystyana i Jerzego, książąt lignickich i księcia Zygmunta Croy'a.

6. Zbiór piętnastu oryginalnych listów księżniczek niemieckich, pisanych do króla Jana Kazimierza w latach 1657 do 1667, mianowicie: Elżbiety Karoliny, księżnej inflanckiej, Maryi Anny, księżnej bawarskiej, Anny i Eleonory, arcyksiężniczek austryackich i Anny księżnej Croy.

7. Dwadzieścia listów oryginalnych Jakóba księcia kurlandzkiego do króla z lat 1650 - 1668.

8. Trzydzieści listów oryginalnych Ludwiki Karoliny, księżnej kurlandzkiej, do króla z lat 1658 1666.

9. Listy oryginalne generałów niemieckich do króla Jana Kazimierza, a mianowicie: *a)* 22 listy generała Hatzfelda; *b)* 12 listów generała Heistera; *c)* 18 listów generała Rajmunda Montecuculego; *d)* 24 listów generała de Souches'a; *e)* 11 listów generała Jana Sporcka; *f)* 5 listów generała Gustawa Wrangla; *g)* 4 listy generała hr. Dohna — wszystkie z czasu od roku 1657 - 1664.

10. Listy oryginalne generałów szwedzkich do różnych osób, a mianowicie: *a)* 8 listów księcia Adolfa Jana, palatyna reńskiego, z lat 1658 — 1659; *b)* 1 list Jana Jerzego księcia Anhaltu z roku 1657; *c)* 2 listy Magnusa de la Gardie. Należy tu oprócz listów oryginalnych kilkanaście kopij listów wymienionych pod 9. i 10. generałów.

11. Sześć listów oryginalnych księcia Auersperga, ministra cesarskiego, do króla Jana Kazimierza z lat 1655 do 1659.

12. Dwa listy oryginalne Hoverbecka, posła brandeburskiego, do Jana Kazimierza z roku 1658 — 1659.

13. Ośm listów oryginalnych Benedykta Oxenstierny, pisanych do różnych osób w roku 1657.

14. Siedm listów oryginalnych Bogusława Radziwiłła z lat 1658—1661.

15. Cztery listy Krzysztofa Grodzickiego (ale z tych tylko jeden oryginalny).

16. Parę listów Pawła Sapiehy, Wincentego Gosiewskiego, Radziejowskiego.

17. Zbiór oryginalnych relacyj Grzegorza Barkmanna, ajenta dyplomatycznego, z lat 1657—1668 (66 sztuk).

18. Zbiór oryginalnych relacyj Mikołaja de Bye'go, rezydenta polskiego w Hadze, z lat 1657—1663 (80 sztuk — nadto dużo załączników).

19. Zbiór oryginalnych relacyj Bertolda Rautenfelsa, sekretarza królewskiego, z lat 1655 - 1668 (26 sztuk).

20. Dziewiętnaście oryginalnych relacyj Betlema Janosa, Jana Rainera, Muermana, z roku 1657 (trzy sztuki po niemiecku, reszta po węgiersku).

Listy powyższe i relacye, zwłaszcza wymienione pod numerami 9 do 20, odnoszą się prawie wyłącznie do spraw publicznych.

Za pozostałość po dawnem archiwum domu i dworu tegoż króla uważam także znaczną część oryginalnych i kopiowanych listów, relacyj i t. d., pomieszczonych w pudłach IX do XII. Mieści się w nich razem sztuk rękopiśmiennych przeszło 400; ale tylko część, jak powtarzam, mogła należeć do kancelaryi królewskiej, reszta jest spuścizną po samym podkomorzym Butlerze i jego synach. Wszystkie pisma, złożone w wymienionych pudłach (z wyjątkiem kilkunastu wcześniejszych), powstały w latach od roku 1649 do 1668. Jest między niemi około 120 listów oryginalnych rozmaitych osób, pisanych do samego Jana Kazimierza; i nadto sporo innych listów, pisanych do Butlerów i innych osób. Wymieniam nazwiska ważniejszych tylko autorów listów w porządku alfabetycznym. Są nimi: J. Berny, Steno Bielke, pułkownik Bo-

kum, Adam Brach, pułkownik de Brion, von Buelow, Butler, Paweł hr. Celary, Andrzej Cuyper, rezydent szwedzki w Gdańsku, Teodor Denhof, Jan Dennemark, Robert Duglas, Fersen, Adam Garnier, Harnpucher, Hohndorf, Helmfeld, generał-lejtnant szwedzki, Kaiserstein, komendant załogi krakowskiej, Kern, sekretarz Jana Kazimierza, Korff, oberszt, Krause, Lilienthal, sekretarz króla szwedzkiego, von Lehnsdorf, hrabia Nostitz, des Noyers, Jan Pleitner, Ferdynand J. Portia, hrabia Schafgotsch, O. Grzegorz Schönhof, generał Sparr, Sternbach, pełnomocnik księcia kurlandzkiego, Jerzy Vischer, Paweł Wirtz, oberszt Wolff — i wielu innych.

Pod tenże sam dział (pozostałość po archiwum domowem króla Jana Kazimierza) należy wreszcie podciągnąć także zbiór aktów, dotyczących zarządu księstw Raciborza i Opola. Jest ich tu około 500 sztuk, pomieszczonych w tekach od I do III.

Cała reszta znanych mi rękopisów sterdyńskich — to są papiery, pozostałe po Butlerach, a w części także po Ossolińskich. Za pozostałość po archiwum domowem Butlerów, uważam najpierw:

1. Pięć oryginalnych listów króla Władysława do G. W. Butlera z lat 1636—1645.

2. Trzydzieści trzy listów oryginalnych króla Jana Kazimierza, pisane do Butlerów, w latach 1640—1662.

3. Zbiór oryginalnych listów tegoż króla do kilku innych osób — w liczbie kilkunastu.

4. Dwadzieścia kilka aktów, podpisanych przez tegoż króla, a dotyczących głównie Gotharda Butlera.

5. Dziewiętnaście aktów, listów, kwitów i t. d., podpisanych przez królowę Ludwikę Maryę, z lat 1656—1666.

6. Pięć listów królewicza Karola Ferdynanda do G. W. Butlera, z lat 1644—1645.

7. Kilkadziesiąt listów różnych osób, pisanych do Gotharda Wilhelma Butlera, w latach 1649—1668, pomieszczonych w pudłach nr IX—XI.

Nareszcie w tekach IV do VIII mieszczą się, pomieszczone razem, papiery przeważnie familijne, nietylko przechowane po Butlerach, ale także i po Ossolińskich; tych jednak nie miałem czasu nawet przejrzeć dokładniej. Mam tylko notatkę, że teki IV i V zawierają akta, teka VI rachunki prywatne, teka VII tabele genealogiczne i zapiski drobiazgowe, — ale obok nich także rolle regimentu Butlerowskiego; teka VIII różne kwity i zbiór listów jednej z hrabianek Ossolińskich z XIX wieku.

Na najbardziej szczegółowe wykazy rękopisów, przechowanych po Butlerach, brak tutaj miejsca. Podczas jednomiesięcznego pobytu w Ceranowie pod Sterdynią nie starczyło zresztą czasu na bliższe rozejrzenie się w ich treści. Jednak już na podstawie pobieżnego przeglądu, jaki przeprowadziłem, mogę zapewnić, że w archiwum Butlerowskiem mieści się materyał pierwszorzędnej historycznej wartości, nieoszacowany zwłaszcza dla badacza dziejów szwedzko-polskiej wojny z lat 1655 do 1660. Niewielka część aktów, znajdujących się w tem archiwum, te mianowicie, które dotyczą Brandeburgii i Prus książęcych, są wydane z minut i brulionów, zachowanych w archiwum dworu i państwa berlińskiego, w zbiorze: „Urkunden und Actenstücke zur Geschichte Friedrich Wilhelms von Brandenburg"; ale cała reszta nie była dotąd nigdzie ogłoszoną drukiem, ani też wyzyskaną naukowo.

III.

Skoro podałem wiadomość o byłem archiwum sterdyńskiem i o materyałach, dotyczących głównie dziejów wojny szwedzkiej z lat 1655—1660, to nie od rzeczy będzie nadmienić tu dodatkowo, że w drodze do Sterdyni, bawiąc jakiś czas w gościnnym domu Adama hr. Starzeńskiego w Dominikowie pod Ciechanowcem, miałem sposobność oglądać tam kodeks rękopiśmienny, który odnosi się w całości wyłącznie

do historyi pokoju oliwskiego. Kodeks ten nosi napis: „Norma et modus tractatus pacis Oliviensis inter Poloniae et Sueciae Regna eorumque foederatos principes seu litterae et scripta plerumque authentica in unum compendium redacta studio et opera GWDCV (sic)". Ostatnich liter, stanowiących widocznie inicyały nazwiska i tytułów redaktora całego zbioru, nie umiem objaśnić; zaznaczam tylko, że spory ten foliant, o kilkuset stronicach zapisanych, zawiera w części oryginalne akta, w części kopie z aktów dyplomatycznych z roku 1659 i 1660, ogłoszone — z pewnymi nielicznymi wyjątkami — drukiem w znanym, dwutomowym zbiorze Böhma: „Acta pacis Oliviensis" (Vratislaviae 1763). Wspominam więc tylko o tych wyjątkach, to jest o rzeczach nieogłoszonych drukiem. Należy tu najpierw zbiorek 5 kopij ważnych relacyj Morsztyna, rezydenta polskiego w Kopenhadze, z tego miasta pisanych: z 12. (2 sztuki), 17., 22. lutego i 5. marca 1660 roku; dalej: „Copie de la lettre écrite par M. de Bierenklau... à Mr. le comte de la Garde. De Toulouse le $^{18}/_{28}$ Décembre 1659"; dalej: „Kopia listu cesarza Leopolda do posłów, traktujących o pokój" z datą: „Viennae d. 5. Aprilis 1660" i wreszcie oryginalny list króla Jana Kazimierza do komisarzy polskich w Oliwie, z datą: „D. w Grudziądzu dnia 7. maja 1660 roku". Interesującym jest własnoręczny dopisek króla, umieszczony na końcu tego listu: „Dla Boga, nie odjeżdżajcie WMM. ze Gdańska, aż wszystko wprzód porządnie skończywszy, żeby zaś nie rzeczono o WMM., że Polacy każdą rzecz wysoko i pięknie zaczną, a potem ladajako skończą". W chwili, kiedy Jan Kazimierz te słowa pisał, już pokój był zawarty.

Rękopis omówiony jest własnością Wiktora hr. Starzeńskiego i znajduje się obecnie w majątku właściciela, w Komorowszczyźnie (powiat święciański, gubernia wileńska). —

TREŚĆ.